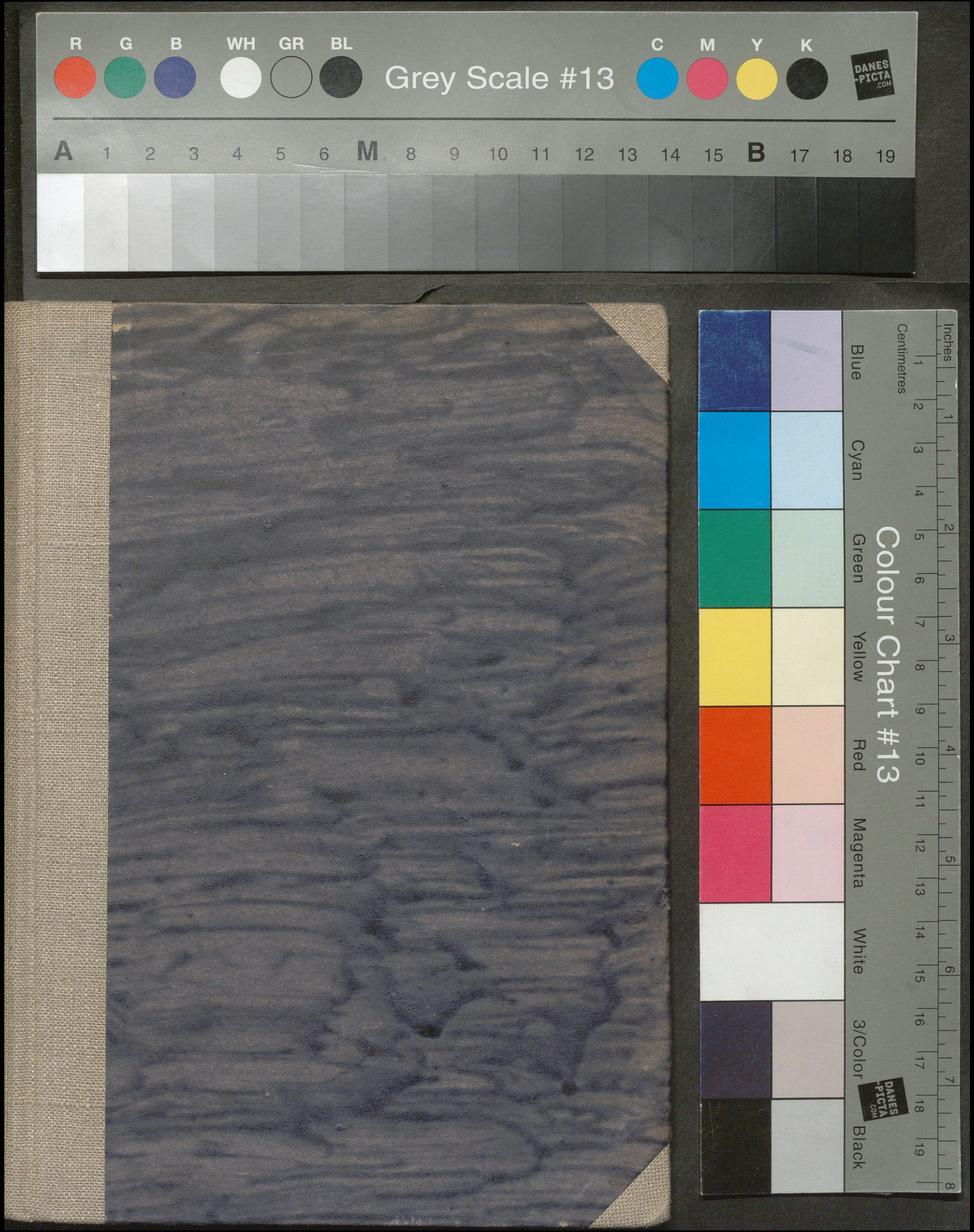
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

PAMIĘTNIKI ROBOTNIKÓW Z CZASÓW OKUPACJI

BIBLIOTEKA CENTRALNEJ RADY
ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH W POLSCE

PAMIĘTNIKI ROBOTNIKÓW Z CZASÓW OKUPACJI

I

WARSZAWA 1948

PAMIĘTNIKI ROBOTNIKÓW Z CZASÓW OKUPACJI

I

Wydanie drugie

· KSIĄŻKA i WIEDZA ·

WARSZAWA 1949

„Książka i Wiedza", Warszawa
Printed in Poland
Wrzesień 1949 rok
*
Okładkę projektował
Władysław Daszewski

4555/2

D-04268
Tłoczono 10.370 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza" w Łodzi
Obj. 19,25 ark. Format 61.86 cm. Papier dziel. mat. V kl. 80 g
Zam. nr 1848. Oddano do składu 8. VIII 49. Druk ukończono 25. IX 49.

Komisja Centralna Związków Zawodowych, rozpisując konkurs na pamiętnik robotnika z czasów okupacji, kierowała się przekonaniem, że na tej drodze otrzyma najlepszy i najbardziej bezpośredni materiał, dotyczący socjologicznych i ideologicznych przemian klasy robotniczej.

Chodziło więc przede wszystkim nie tyle o ujawnienie nowych talentów literackich, ile o otrzymanie możliwie dokładnego tła przemian natury społecznej, przemian, które będą przedmiotem dalszych badań socjologicznych.

***

„Spisywanie dziejów tych smutnych dni i godzin jest marnotrawieniem czasu, mówi Wandzia. Możliwe, bo i mnie samej nasuwa się porównanie tej pisaniny do przechowywania materii, wyciśniętej z bolesnego ropienia. Wojna — ból jest w tej chwili w stadium bolesnego jątrzenia i nie wiadomo kiedy się zagoi".

(Irena Nieznaniec)

Tak się zaczyna pamiętnik poznańskiej robotnicy (jeden z najciekawszych przejawów samorodnego talentu), która dzięki bystrości obserwacji i surowości spojrzenia na otaczającą rzeczywistość dała nam dokument o historycznej niemal wartości.

Czytając stronice pamiętników robotniczych z czasów okupacji, wraca się niejednokrotnie do tych słów Ireny Nieznaniec, nie dlatego zresztą, aby były szczególnie efektowne. Są one jednak głęboko prawdziwe, jak prawdziwe były przeżycia samych pamiętnikarzy, przeżycia, które nie zdążyły się jeszcze oderwać od pnia faktów i przesublimować w literacką formę. Sztuka zaczyna się dopiero wtedy, gdy pisarz przekroczy samego siebie w trudnym akcie tworzenia. Pamiętnikarstwo natomiast jest

fragmentem autentycznego przeżycia. Niekoniecznie musi być poparte dokumentacją historyczną, samo bowiem jest dokumentem historycznego procesu rozwoju — nawet jeśli się to dzieje bez świadomości autora.

Bezlitosna prawdziwość wydarzeń i przeżyć decyduje o wartości pamiętnika, który może stać się przekrojem środowiska, warstwy społecznej, a nawet narodu.

Pamiętniki omawiają okres ściśle zamknięty. Okres okupacji, kiedy „nadzieja wypina pośladki i naga, bezwstydna pozwala się gładzić i kopać zwyrodniałej rezygnacji" (Irena Nieznaniec).

To zjawisko osobliwego splotu nadziei i rezygnacji występuje zarówno podczas żmudnej codziennej pracy, pracy podejmowanej, aby żyć, aby nie być wywiezionym do Niemiec, aby nie zdechnąć z głodu, aby móc urodzić dziecko, aby uratować drogiego człowieka — jak i podczas pracy podziemnej, równie powszechnej i równie codziennej — jak wreszcie w katowni, w oflagach, podczas łapanek, wywózek, w obozach, gdzie według słów „lagerführera": „Jedno wejście dla was i jedno wyjście dla was. Wejściem jest ta brama, a wyjściem komin krematorium" (Marian Knot).

W ten sposób powstaje obraz chropawy, surowy, bezlitosny, w którym odtworzona jest cała Polska, Polska bezimiennego bohaterstwa i bezimiennego łajdactwa.

Stanęli przed nami ludzie, których męczeństwo nie było już bohaterstwem, lecz tylko męczeństwem, ludzie wielcy duchem i ludzie-bestie, choć jeszcze nazywali się Polakami, ludzie-tchórze i ludzie o człowieczej godności. A przede wszystkim ludzie prości, którzy bądź to pokładali nadzieję w Londynie, bo tam był rząd Polski, bądź też nasłuchiwali armat ze Wschodu, bo stamtąd szło wyzwolenie. Którzy szli do AL i do AK, bo tam było ognisko walki, ludzie, którzy szli do nowej Polski przez śmierć i przez życie. Przez codzienną śmierć od niemieckiej kuli i codzienne życie — z żoną, dziećmi, rodziną.

Motyw walki w pamiętnikach robotników nie jest motywem bohaterskim; motyw spekulacji, „kombinacji" czy nawet szabru fabrycznego nie jest motywem hańby.

Obydwaj Szymczakowie i Wołk, i Knot, walczyli w 1939 roku. Walczyli, bo nie można było inaczej, bo nie chcieli być niewolnikami, bo trawiła ich nienawiść do wroga.

Sześć blisko lat okupacji nie były tylko czynną walką. Były przede wszystkim staraniem o kawałek chleba, o byt rodziny, o prawo do krótkiej, kradzionej radości, o prawo do słuchania radia, do rzetelnej informacji politycznej, o prawo do widzenia Polski swoimi oczami, oczami robotnika.

W codziennym życiu, które było jednym bolesnym ropieniem, rosła nowa Polska — Polska Ludowa.

Bezlitosne dni następowały po sobie. Wiadomo było, że tak zawsze być nie może, że to musi się kiedyś skończyć. Lecz kiedy i jak? I coraz ostrzej — jak? Nie ma pamiętnika, w którym by serca nie zabiły mocniej na wiadomość o wojnie niemiecko-radzieckiej. Nie ma pamiętnika, w którym by Stalingrad nie zapisał się jaskrawo, ostro, zaczepnie. W którym by słowa „już nadchodzi" nie wywoływały łomotania serca — nawet kiedy zakradało się zwątpienie siane przez Londyn: „czy aby to też będzie Polska?" I nie ma pamiętnika, żeby mordy dokonywane przez NSZ nie były w nim traktowane jako mordy niemieckich najmitów. Choć pamiętniki pisali nie tylko żołnierze AL i BCH. Bardzo często pisali je akowcy, którzy wiązali swoje nadzieje z Londynem, a do ZSRR odnosili się z nieufnością i lękiem.

I znowu bezlitosne dni deptały sobie po piętach. Wyprawy przemytnicze, sabotaż w fabryce, kompania przy wódce, rodząca żona, zabójstwo prowokatora, niemieckiego żandarma, straszliwa tragedia mordowanych Żydów, która jak wyrzut wdziera się na stronice pamiętnikarzy, choć przeważnie nic lub prawie nic nie mogą im pomóc. I znowu wiadomości radiowe, rozgłośnia im. Kościuszki, Pierwsza Armia i coraz mocniejszy tętent armii idących ze wschodu.

Nie jest przypadkiem, że już w powstaniu warszawskim robotnicy, nawet ci wczoraj jeszcze z AK, walczyli w szeregach AL.

„Ponieważ z przyjęciem robotników do AK — pisze Kazimierz Szymczak — robią wielkie ceregiele, zapisałem się do AL, gdzie przyjęto mnie od razu i z chęcią".

Świadomość Polski Ludowej dojrzewała w sercach tych ludzi nie jako teoretyczne rozważanie, lecz jako owoc dni i nocy ich życia, często nawet poza ich świadomością, lecz w zasięgu świadomej woli działającej w podziemiu partii robotniczej.

Realizm tych pamiętników to nie drzewa wyhodowane przez ogrodnika. To są po prostu drzewa przydrożne i owoce przydrożne. Cierpkie i gorzkie, chociaż można w nich wyczuć, przez kurz i pył przydrożny, smak słońca. Słońca przyszłości. Nie łamie się ono barwami tęczy, ale przebija chmury ołowiane i ciężkie, chmury pełznące po ziemi.

Realizm tych pamiętników jest po prostu kawałkiem życia, a nie jego przeżyciem artystycznym. I jak życie robotnika w jego codziennym trudzie i nędzy, trwodze i walce zazębiało się o dni idące w przyszłość, tak ich pamiętnikarstwo uparcie nawiązuje do tej przyszłości.

Siła ich często polega nie na formie literackiej, lecz na dokumentacji przeżycia. Są one olbrzymim materiałem dla socjologicznych studiów. Są sumieniem narodu, bronionego przez klasę robotniczą. Są pogardą dla zdrady i kolaboracjonizmu. Są zadumą nad człowiekiem. Nad ogromem jego zbrodni.

I nic też dziwnego, że smutek i umęczenie zaciążyły na duszach ludzi, którzy przeżyli okupację. O tym również nie wolno nam zapominać. Odrodzenie człowieka w trudnej wolności naszego dnia powszedniego, w świadomej, celowej pracy, wbudowanie drogi każdego człowieka w drogę rozwoju narodu jest długim, niełatwym procesem historycznym. Robotnik wyszedł z okresu okupacji zmęczony. A odpoczywać dziś może tylko w pracy. W pracy dla siebie. W pracy dla kraju. W pracy, która ma położyć nieprzebytą tamę nowej wojnie.

Słowa tutaj nie wystarczą. Nie wystarczy nawet świadoma organizacja naszego codziennego bytu. Potrzebna jest troska o człowieka, o jego los, o jego byt, o jego kulturę. Troska rządu,

partii i związków zawodowych. A nade wszystko troska tych, do których człowiek pracy zwraca się o radę i o pomoc, zwłaszcza że klasa ma do przezwyciężenia straszliwe dziedzictwo z okresu okupacji, kiedy niejednokrotnie groziła jej dekadencja.

Kazimierz Szymczak, ślusarz z zawodu, pracujący w Warszawie od 1939 roku w małej fabryczce żarówek Webera, już 15. X 1939 r. notuje w swoim pamiętniku:

„Byłem dwa razy w Płońsku za szmuklem, na rowerze, który jakoś ocalał. Ale widzę, że z tego chleba jeść nie będziemy, to jest nie dla mnie. Za daleko, za duże ryzyko, a za mało na życie. Mam wszystkiego do handlu 100 zł. W Płońsku widziałem po raz pierwszy, jak niemiec bił gospodarza ręką po twarzy. Zapłonąłem oburzeniem, czułem się tak, jakby to mnie bito. Zacisnąłem zęby i odszedłem, ale obraz ten na długo utkwił mi w pamięci".

Te słowa robotnika warszawskiego są nicią przewodnią wszystkich nieomal pamiętników, są jakby wydeptaną ścieżką polskiego proletariatu, drogą jego gehenny. Trzeba było istnieć. Pracy jednak bądź nie było, bądź nie chciało się pracować dla Niemców, bądź wreszcie sama praca na utrzymanie wystarczyć nie mogła. Należało więc szmuglować i handlować.

Szmugiel i handel przeważnie jednak nie szły. Brakowało pieniędzy, doświadczenia, nawyku kupieckiego ryzyka. Wracało się więc do pracy, zwłaszcza że Arbeitsamt naciskał na pięty; groziły łapanki, wywózki. W takich warunkach praca nie dawała jednak ani zadowolenia, ani zarobku.

„W tej chwili — pisze Irena Nieznaniec — moje marzenia o końcu wojny plączą się z innymi pragnieniami — myślę, jakby się wydostać z pracy. Stary zwolnić mnie nie chce. Goryl złośliwy — twierdzi, że jestem jego pierwszą siłą, choć wie, że prawie nic nie robię. Przed wojną robiłam pięć do sześciu tysięcy dziurek dziennie, a teraz więcej nie naciągnę niż jeden lub dwa tysiące".

Instynkt klasowy robotnika pchał go do sabotażu. „Pracuj wolniej". W miarę możności uciekaj z fabryki. Znowu więc szmugiel, handel, do nowej przypadkowej pracy.

Było tak przez sześć lat. Proces ten objął olbrzymią większość kobiet, nie ominął jednakże i młodzieży. Młodzieży co gorętszej, bez kwalifikacji zawodowych, bez szkoły, młodzieży robotniczej, która nie brała udziału w kompletach szkolnych i nie przeszła przez klasową szkołę kolektywnej pracy w fabryce.

Jest to zjawisko, które z ponurą wyrazistością zarysowuje się na kartach pamiętników, zjawisko, obok którego nikt nie może przejść obojętnie.

Przyszłym zadaniem socjologów będzie zbadanie, w jakim stopniu sześć lat okupacji, a więc sześć lat pośredniego lub bezpośredniego szmuglu, wypaczyło psychikę polskiego robotnika. Pamiętniki robotników będą dla tych prac poważnym przyczynkiem.

Czytając „Pamiętniki robotników z czasów okupacji" widzimy z całą oczywistością, że początkowa postawa psychiczna, postawa niewątpliwie słuszna, uzasadniona świadomością narodową i klasową — „nie będę pracować na Niemca" — stopniowo rzeźbi w psychice człowieka nowe nawyki, nawyki kombinatorstwa, handlarstwa, nawyki drobnego kupca i spekulanta, które jak rdza przeżerają duszę pewnej części klasy robotniczej. Zwłaszcza że atmosfera szmuglu to atmosfera cynicznego wyuzdania, straceńczej odwagi i obrzydliwego tchórzostwa. Po każdej takiej wyprawie poszczególni pamiętnikarze przysięgają sobie nigdy więcej do tego obcego sobie rzemiosła nie wracać, traktując je jako „ostatni swój wypad" — lecz głód, rodzina, ciężkie stosunki w pracy, wreszcie konieczność ucieczki z przymusowych robót, a w rezultacie nielegalny tryb życia powodują ponowne nawroty.

Jasne jest, że ci spośród robotników, którzy nawet szmuglując zachowali poczucie swojej odrębności klasowej, łatwo mogą potem przezwyciężyć psychiczne wynaturzenia okresu okupacji, jak taki na przykład Kazimierz Szymczak, który jeszcze 25. VI 43 r. zmienia swoje zamiary pod wpływem nawiązanych kontaktów z robotniczą partią. Praca w organizacji, a później udział w walczących szeregach AL przywraca mu poczucie klasowej przynależności i Szymczak wchodzi do nowej

Polski jako jej świadomy współtwórca. Nie można jednak tego samego powiedzieć o szerokim ogóle robotniczym, który dopiero w codziennej pracy nad odbudową własnego przemysłu i własnego kraju zmienia się psychicznie, politycznie i klasowo.

Niemało miejsca zajmuje w pamiętnikach gehenna Żydów polskich. Nie przechodzi mimo tej sprawy żaden z pamiętnikarzy. Ich słowa są twarde, bolesne i tragiczne. Są to słowa zgrozy i potępienia. Słowa buntu, ale nigdy solidarności z katami.

„To, co było kiedyś małym człowiekiem — pisze Kazimierz Szymczak o zamordowanym przez gestapowca żydowskim chłopcu — wisiało teraz na drutach jak mucha w pajęczynie. Mały, czarny, nieruchomy, tak jak mucha wyssana przez pająka. Nie miał w sobie ani krwi, ani życia, żałosny szczątek człowieka, pozbawionego życia przez hitlerowskiego pająka. Działo się to w dzień, o godz. 4 po południu w oczach oniemiałej ze zgrozy i wściekłości ludności polskiej i z drugiej strony wylęknionej ludności żydowskiej, przyglądającej się widowisku w jakimś dziwnym skupieniu, jakby to było nabożeństwo. Po odejściu kata jeden z Żydów podniósł chleb wypuszczony przez zamordowanego chłopca, długo na niego patrzył, obtarł rękawem i poszedł dalej. Był to klasyczny przykład „kultury" niemieckiej, wszczepianej dziś wszystkim ludom Europy przez katów ludzkości".

Irena Nieznaniec, robotnica poznańska, wyrosła w środowisku tradycyjnych niejako nałogów antysemickich, ulega gruntownemu przeobrażeniu właśnie w okresie okupacji, pod wpływem straszliwej gehenny narodu żydowskiego, któremu śpieszy niejednokrotnie z pomocą nawet w warunkach grożących kaźnią i śmiercią.

Inaczej reagują inni pamiętnikarze. Wprawdzie nie uznają metod stosowanych przez Niemców, ale ustawicznie nawracają do tego jakoby nierozwiązalnego dla Polski zagadnienia.

Taki na przykład Jerzy Wolny co krok potyka się o sprawę żydowską, która mu nie pozwala przyjąć jasno sprecyzowanej klasowej postawy. Nawet jego radykalizm społeczny ulega wskutek tego jakiemuś paradoksalnemu wynaturzeniu. Jerzy

Wolny staje zakłopotany wobec zjawiska ludowej Polski, chce się przed nią usprawiedliwić, nie może jednak jej uznać bez zastrzeżeń za swoją.

Są to sprawy trudne, nie można ich jednak nie widzieć. Żaden działacz i żaden socjolog nie może przejść obok nich obojętnie, zwłaszcza że dają znać o sobie do dzisiaj.

Zupełnie osobną problematykę pamiętników stanowi udział klasy robotniczej w walce zbrojnej z okupantem. Właściwie źle się wyraziłem. Przynależność do organizacji uczyła robotnika rozumieć przyczynowy łańcuch wydarzeń. A wówczas „człowiek domagał się swojego prawa". W latach 1943 — 44 walka polskiego proletariatu przestaje być zbrojnym czynem, staje się świadomym udziałem w walce o nową Polskę. O Polskę świata pracy.

I ten proces odbywa się bez deklamacji, bez politykowania. Wyrasta z życia. Krok za krokiem. Uparcie, wytrwale. Z każdą odwróconą kartą życia, z każdą przeczytaną ukradkiem książką. Jest to nie dający się powstrzymać proces samego życia. Jego klasowej treści. Klasowej treści walki.

„Ponieważ sam był robotnikiem — pisze Zenon Wolk o swoim przyjacielu — do robotniczej organizacji należał. Wieczorami, kiedy w moim warsztacie zbierało się ludu sporo, wyciągał zakazane przez Niemców książki i czytał w głos nieraz do drugiej w nocy.

Tłumaczył młodym i starym, że ta wojna przyniesie zmianę ustroju samego państwa i że należy popierać organizacje o podłożu demokratycznym..."

Pamiętniki te są klasycznym przykładem, jak twarda, realna prawda, prawda życia widziana oczyma robotnika zastępuje agitację czy propagandę. Nie agitacja pchała ich do szeregów AL czy PPR. Szli tam wiedzeni prawdą życia, dopingowani pytaniem „dlaczego", szli tam, by „przyszłe pokolenia mogły prowadzić lepsze życie niż ja" (Kazimierz Szymczak).

W. SOKORSKI

KILKA SŁÓW O PAMIĘTNIKACH I PAMIĘTNIKARZACH

Huragan, który przeszedł nad naszym krajem w latach 1939 — 45, okropności sześcioletniej wojny i bezmiar cierpień pod okupacją hitlerowską musiały wycisnąć mocne piętno na życiu poszczególnych jednostek oraz całych klas, warstw i grup społecznych. Nic też dziwnego, że po dziś dzień unosi się jeszcze nad nami koszmar owych ponurych lat.

***

Koszmar lat okupacji ujawnił się z dużą siłą w literaturze okresu powojennego. Większość pozycji wydawniczych ostatnich lat mniej lub bardziej zahacza o przeżycia okupacyjne w obozach koncentracyjnych i poza obozami.

Autorami tych publikacji są przeważnie ludzie pióra, literaci lub w ogóle inteligenci, a forma publikacji ma charakter utworu literackiego. Wiele materiału surowego, bezpośredniego wniosły prace Żydowskiej Komisji Historycznej, lecz materiały te dotyczą martyrologii żydostwa polskiego, a więc odnoszą się wyłącznie prawie do jednego tylko odłamu społeczeństwa. W piśmiennictwie o tematyce okupacyjnej brak było dotychczas autentycznych wypowiedzi przedstawicieli klasy robotniczej. Konkurs na pamiętnik robotnika z okresu okupacji, rozpisany przez Komisję Centralną Związków Zawodowych, miał tę lukę zapełnić.

***

Jaki jest plon tego konkursu? Ilościowo biorąc jest on raczej niezbyt obfity. Gdy się wspomni, że przy podobnych konkursach przed wojną napływało 600—700 i więcej odpowiedzi, to liczba

115 pamiętników, nadesłanych na apel KCZZ, wydaje się stosunkowo niska. O wiele korzystniej przedstawia się jakościowy wynik konkursu. Wprawdzie niektóre nadesłane prace niezupełnie odpowiadają wymogom konkursu, gdyż przynoszą jedynie krótkie, ułamkowe epizody przeżyć, większość jednak pamiętników zawiera ogromne bogactwo materiałów historycznych, społecznych i psychologicznych, składających się na prawdziwy i barwny obraz niedoli i walk klasy robotniczej pod hitlerowską okupacją. A więc mamy pamiętniki więźniów obozów koncentracyjnych, jeńców wojennych, ludzi wywiezionych na pracę do Niemiec, robotników zatrudnionych w kraju, bezrobotnych itd.

Ciekawe światło na wynik konkursu rzucają niektóre dane cyfrowe. Jeśli chodzi o poszczególne województwa, to uczestniczyły one w konkursie w następującym porządku: na pierwszym miejscu kroczy woj. śląsko-dąbrowskie z liczbą 22 pamiętników, poznańskie nadesłało 16 pamiętników, krakowskie — 12, kieleckie — 11, łódzkie — 10, wschodnio-pomorskie — 9, dolnośląskie — 8, m. Warszawa — 7, woj. warszawskie — 6, gdańskie — 4, rzeszowskie — 3, lubelskie — 3, szczecińskie — 2, olsztyńskie — 1. W jednym pamiętniku brak adresu autora. Udział województw w konkursie jest więc na ogół wprost proporcjonalny do stanu ich uprzemysłowienia. Pokrywa się to z innym zestawieniem: ośrodki przemysłowe dały łącznie 68, inne ośrodki 46 pamiętników. Kolejność udziału większych miast układa się następująco: Warszawa — 7, Łódź — 6, Częstochowa — 4, Kraków — 3, Wrocław — 3, Gdańsk — 3, Poznań — 3, Lublin — 2, Katowice — 1. W zestawieniu tym uderza pozorny paradoks, że Katowice, stolica najbardziej uprzemysłowionego województwa, dały tylko jeden jedyny pamiętnik. Fakt ten tłumaczy się tym, że prace z tego województwa pochodzą wyłącznie z ośrodków robotniczych, a te znajdują się poza Katowicami. Obszary wchodzące w przedwojenne granice Polski nadesłały 92 pamiętniki, Ziemie Odzyskane 22. Charakterystyczna jest wy-

soka stosunkowo liczba (23) pamiętników kobiecych oraz ich duża wartość zarówno pod względem treści jak i formy.

***

Różnorodne jest oblicze autorów pamiętników. Obok ludzi o ustalonych lewicowych poglądach społeczno-politycznych nie brak obciążonych w większym lub mniejszym stopniu bagażem reakcyjnej ideologii lub szukających po omacku wytłumaczenia niezrozumiałych dla nich zjawisk wojny, okupacji i ich następstw. Obok ludzi głęboko i szczerze religijnych piszą pamiętniki niewierzący lub religijnie indyferentni. Niejeden też autor pamiętnika wadzi się z Bogiem, a zwłaszcza z jego namiestnikami ziemskimi. Różny też jest poziom wykształcenia uczestników konkursu. Są pamiętniki, których inteligentna, piękna treść i forma budzi podejrzenia, że pisała je dłoń wykształconego inteligenta. Dopiero po dokładniejszej lekturze umacnia się przekonanie, że są dziełem robotników. Częściej jednak nieudolna forma, nieznajomość elementarnych prawideł gramatyki, ortografii, stylistyki i... kaligrafii przysparza wiele trudności przy odczytywaniu nadesłanych prac.

Piszą pamiętniki ludzie młodzi, którzy w momencie wybuchu wojny rozpoczynają dopiero świadome życie społeczne, piszą robotnicy młodzi i w średnim wieku, z pewnym już jednak doświadczeniem życiowym i klasowym, piszą starsi, pamiętający przeżycia pierwszej wojny światowej.

Najważniejszym walorem większości pamiętników jest ich autentyzm, prosty i bezpośredni opis powszednich dni pracy, cierpień i walk. Stąd ogromne znaczenie pamiętników jako dokumentów historycznych i socjologicznych. Znaczeniu temu nie dorównuje wartość artystyczna pamiętników, chociaż i pod tym względem nierzadko piękną racą wystrzeli samorodny talent pisarski.

***

Kim są laureaci konkursu? Mimo warunków konkursu, przewidujących pierwotnie tylko 4 nagrody, sąd konkursowy postanowił nagrodzić 8 pamiętników i wyróżnić 3. Z nagrodzonych i wyróżnionych utworów wszystkie z wyjątkiem dwóch są pracami robotników. Sąd przydzielił trzecią nagrodę studentowi R. Szyndlerowi, biorąc pod uwagę fakt, że ten w chwili wybuchu wojny wchodził dopiero w życie. Sąd wyróżnił również pracę Karola Rożka — jak się później okazało, literata — z uwagi na cenny materiał z przeżyć robotników wywiezionych na roboty do Niemiec. Nagrodzone i wyróżnione pamiętniki opisują stosunki i warunki życia i pracy robotników w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Zagłębiu naftowym i węglowym, na wsi, w niewoli niemieckiej, w obozach pracy w Niemczech, w obozach koncentracyjnych, oraz działalność podziemnych organizacji antyhitlerowskich.

***

Nagrodzone pamiętniki zamierza Komisja Centralna Związków Zawodowych wydać w trzech tomach. Niektóre wejdą do tych tomów w całości, inne w większych lub mniejszych urywkach. Tom pierwszy obejmuje dwie pełne prace: pamiętnik robotnika warszawskiego, Kazimierza Szymczaka (I nagroda). i wspomnienia robotnicy poznańskiej, Ireny Nieznaniec (II nagroda).

Wszystkie prace drukowane będą w całkowitej zgodności z rękopisami — bez zmian w tekście i stylu, z zachowaniem pisowni, a nawet interpunkcji. Jedynie w miejscach, w których źle umieszczony znak pisarski mógłby przyczynić się do wypaczenia myśli autora, pozwolono sobie na korektę. Redakcja sądzi, że w ten sposób lepiej zachowa autentyzm pamiętników i bardziej uwypukli oblicze ich autorów.

G. Bolesławski

KAZIMIERZ SZYMCZAK

DNI ZGROZY
i
WALKI O WOLNOŚĆ

Dn. 5.10.39 r.

Dla nas żołnierzy wojna zasadniczo już się skończyła wraz z kapitulacją i zrzuceniem munduru oraz wszystkiego, co wojskowe. Ja, jako rocznik osiemnasty, miałem w październiku 1939 r. iść do wojska, dostałem kat. A i przydział do pułku pancernego na ul. Gdańską, byłem zdrów i młody z zapasem sił i wiary w ludzi i siebie szedłem przez życie, choć od 16-go roku życia ciężko borykałem się z losem, nie traciłem nadziei w lepsze jutro, tymczasem... Wojna zaskoczyła mnie na dachu czteropiętrowej kamienicy przy ul. Długosza na Woli, gdzie siedziałem obserwując pierwszy nalot bombowców niemieckich na osiedle Koło. W wymienionej kamienicy pracowałem jako ślusarz przy fabrykacji żelazek elektrycznych, a mój pracodawca p. Weber, jak się później okazało niemiec, wypłacił mi tego dnia całą pensję i zwolnił z pracy. Pierwszy ten nalot wywarł na mnie nieokreślone wrażenie, ni to strachu, ni to radości. Idąc do domu po drodze napotykane grupy ludzi komentowały z przejęciem zaszłe wypadki, ale wszyscy wyrażali radość z powodu wojny, że choć raz nareszcie zostanie złamana potęga niemiecka, przez trzy sojusznicze państwa, nie wiem tylko czy tego samego zdania były trupy na Kole. Piątego dnia wojny wyjechaliśmy do Wołomina, gdzie mieliśmy domek, ażeby po trzydniowym pobycie znów powrócić do Warszawy, na której teraz już było znać dzieło wojny. Na apel Starzyńskiego o przyjmowaniu ochotników do obrony Warszawy, zgłosiłem się do Cytadeli, skąd zostałem przydzielony na Bielany, do 36 pułk. piech., gdzie przebywałem do kapitulacji. Gdy dowiedziałem się, że mamy po zdaniu broni iść do niewoli, uciekłem do domu, aby znów ujrzeć matkę, siostrę i narzeczoną.

Ojca mego nie było, zaraz w pierwszych dniach września wyjechał na front i jeszcze nie wrócił. Od matki się dowiedziałem, że mój najlepszy kolega został zabity w naszym domu, który dostał cztery pociski ostatniej nocy działań wojennych i nie nadawał się już do zamieszkania. Zakrzątnąłem się koło mieszkania, ponieważ nie mieliśmy żadnej rodziny w Warszawie, zamieszkaliśmy w niewykończonym domu przy ul. Mickiewicza 44, dokąd pościągałem nieporozbijane jeszcze i niepokradzione meble i rzeczy.

Dn. 15.10.39 r.

„Życie jest ciężkie"

Byłem dwa razy w Płońsku za szmuklem, na rowerze, który jakoś ocalał, ale widzę, że z tego chleba jeść nie będziemy, to jest nie dla mnie, za daleko, za duże ryzyko, a za mało na życie, mam wszystkiego do handlu 100 zł. W Płońsku widziałem po raz pierwszy, jak niemiec bił gospodarza ręką po twarzy za co nie wiem, zapłonąłem oburzeniem, czułem się tak jak to by mnie bito, zacisnąłem zęby i odszedłem ale obraz ten na długo utkwił w mej pamięci.

Dn. 20.10.39 r.

„Przeprowadzka"

Znalazł się właściciel tego domu, w którym mieszkamy, i za to że pilnowaliśmy mu żeby nie rozkradli materiałów budowlanych, to nas wyrzuca, musimy się wyprowadzać, taka to jest wdzięczność ludzka. W domu bida aż piszczy, żywimy się sucharami z chleba, oraz plackami z żyta spalonego, które matka przyniosła ze Stawek. Po obiedzie moja narzeczona Stachna, która mieszka razem z nami, gdyż rodziców nie ma, matka umarła a ojciec z rodzeństwem nie chce jej znać za to, że za mnie chciała wyjść, poszła na Gdańską, gdzie niemcy

rozdawali zupę, a ja powlekłem się szukać mieszkania i znalazłem na Oksyńskiej Nr 7 jeden pokój na pierwszym piętrze, bez szyb wprawdzie, ale to nic. Stachna przyniosła trochę zupy i ćwiartkę chleba, ale powiedziała że już więcej nie pójdzie, bo niemcy ich fotografują i strasznie długo trzeba czekać w kolejce. Najpierw puszczają matki z dziećmi. Jedna z kobiet zdobyła się na sposób i zawinęła w chustkę kota i gdy dochodziła już do kotła, kot nagle wyrwał się i uciekł, śmiechu było co niemiara, ale niemiec zamiast zupy dał kobiecie gumą po głowie. Zjadłem trochę i zaczęliśmy przenosić z siostrą Hanką rzeczy na plecach, jutro resztę przeniesiemy. Idę spać, bo jestem nieludzko zmęczony i osłabiony, od naszej obecnej siedziby do nowego mieszkania jest przeszło kilometr.

Dn. 25.10.39 r.

„Nie dać się"

Dostałem robotę na Lwowskiej pod 8 przy murarzach bardzo ciężka praca, przy moim odżywianiu na czwarte piętro dźwigać wapno i cegłę, ale trudno trzeba się nie dać. Matka kupiła gdzieś mąki i piecze placki, a Stasia sprzedaje je na placu Wilsona, ale też to marnie idzie, jest bardzo ciężko dostać się do pracy i w ogóle warunki życiowe są bardzo ciężkie, nie wiadomo jak się przetrzyma tę zimę, zaczęto dawać trochę chleba na kartki, to jest kropla w morzu. Robotnik chodzi głodny i bez pracy a za złe spojrzenie na niemca jest bity przez tego.

Dn. 30.10.39 r.

„Nowina"

Był u mnie kolega Stefan, pytał mnie z tajemniczą miną czy chcę należeć do tajnej organizacji wojskowej mającej na celu zbieranie broni, amunicji, konserwację takowej i prze-

chowywanie, oraz walkę z niemcami i zatruwanie im życia na każdym kroku, naturalnie że chcę, ja syn sierżanta zawodowego W. P., który nienawidzę ich całą duszą. Prosił mnie o dyskrecję i powiedział że już w najbliższą sobotę pojedziemy wykonać jakąś robotę, będzie nas pięciu, tamci też wszystko moi koledzy, ale jak co i gdzie to nic nie chciał powiedzieć. Ja też w domu nikomu nic nie mówię. Na razie pracuję na Lwowskiej, ale czuję się coraz gorzej przy tej pracy, niedługo skończymy, to poszukam sobie innej pracy. Ci, którzy nakradli z magazynów państwowych z kolei, berlinek różnych produktów żywnościowych i innych materiałów, to nawet nieźle sobie żyją, cóż nie wszyscy mogli kraść, ja gdybym nie walczył, to również może bym kradł i moja rodzina nie cierpiałaby głodu. Słonina kosztuje już 9 zł. a robotnik zarabia 8 zł. dziennie lub najwyżej 10 zł. i jak tu żyć? Boli mnie głowa i kładę się spać, bo jutro rano do roboty.

Dn. 5 11.39 r.

„Pierwsza robota"

Dzień był słoneczny, zebraliśmy się na Gdańskiej, wszyscy na rowerach, wziełem z domu plecak i dwa chlebaki, pojechaliśmy do lasu młocińskiego. Na skraju niedaleko szosy, po której co i raz przejeżdżały auta wojskowe niemieckie, zaczęliśmy swoją pracę. Ja i Stefan staliśmy na obserwacji, a tamtych trzech szukało i wykopywało, za pomocą jakiejś rurki, amunicję i broń. Po godzinie nas zawołano, na ziemi leżały cztery karabiny i dwie skrzynki amunicji do K. B. Podzieliliśmy to między siebie: dwóch wzięło po dwa karabiny i owinąwszy ich workiem przymocowali do ramy roweru, trzech rozdzieliło amunicję między siebie, ja miałem najwięcej, bo miałem w co brać, napakowałem pełen plecak i obie torby. Gdy wszyscy się zapakowali, najstarszy dał znak do odjazdu. Pierwszy wyjechał Stefan, po paru sekundach ja i tak po kolei w pewnych odstępach jechaliśmy, ale tak żeby jeden drugiego

widział i w razie zatrzymania pierwszego, reszta mogła zawrócić. To była emocja gdy przejeżdżałem koło wartownika niemieckiego, stojącego przed CIWF-em przyglądającemu się mnie, nie przeczuwając że to na jego łeb wieziemy te skarby. Dojechaliśmy na miejsce bez wypadku, choć każdy inną drogą i złożyliśmy to wszystko u kolegi w komórce, aby po oczyszczeniu, nawazelinowaniu, włożyć w skrzynki i zakopać, po wszystkim każdy wypalił papierosa i rozjechaliśmy się do domów.

„Powrót"

Wracałem akurat od Stefana, przychodzę, otwieram drzwi i widzę: ojciec stoi, uścisnęliśmy się i dalej sobie opowiadać co i jak. Ojciec wrócił spod sowieckiej granicy, armia Sowiecka po rozbrojeniu żołnierzy puściła ich wolno do domów. Kolei jeszcze tam nie ma, ojciec szedł prawie 300 km na piechotę, ale pomimo wszystko wrócił, jest zdrów i nie ranny, to najważniejsze, a wycieńczenie to minie. Ojciec z matką już nie żyje od 1936 r., pomimo tego pierwsze kroki skierował do nas, na odchodnym dał matce 100 zł. na życie i powiedział, że co miesiąc tyle będzie dawał i będzie pomagał jak tylko będzie mógł. Ojciec z przyjaciółką mieszka w blokach wojskowych, które stoją nieuszkodzone, ale wszystko co ojciec miał wartościowego się spaliło, bo wywiózł rzeczy do swojego kolegi na ul. Topiel, a dom ten trafiony bombą niemiecką spłonął doszczętnie. Tak to nieraz sprawiedliwość Boska daje się we znaki temu, kto się najmniej tego spodziewa.

Dn. 20.11.39 r.

„Bezczynność"

Robotę na Lwowskiej skończyliśmy, a nowej na razie nie mogę dostać. Chodzę do ojca, który już zaczął pracować w szpitalu im. marsz. Piłsudskiego w charakterze zduna, ma 65 zł.

tygodniowo i dochody z boku. Okrada niemców jak może. Należy już też do organizacji, dzielimy się nawzajem wiadomościami z zagranicy, które na razie nie są pocieszające. Odwiedzam kolegów w poszukiwaniu pracy, ale na razie nic tylko obiecują.

Dn. 2.12.39 r.

„Praca"

Będę pracował. Fundusz Pracy potrzebuje ludzi do uprzątania śniegu z ulic, który w tym roku spadł bardzo obficie, poszedłem się zapisać i przyjęli mnie, jutro na 8 do pracy. Na tę całą niedolę naszą jeszcze mamy silny mróz, jakiego nie notowano od kilku lat. Ludzie jeżdżą nocami do podwarszawskich lasów i wycinają drzewa wbrew zakazom niemieckim, jedni dla siebie na opał, inni na sprzedaż, z której się utrzymują. Ceny na wszystkie produkty znów podskoczyły. Niemcy wprowadzili kartki żywnościowe, tylko że nic na nie prawie nie dają, ani podwyżki w zakładach również.

Dn. 11.12.39 r.

„Mróz"

Wszystko pod znakiem mrozu się odbywa. Jak z wieczora położymy się ze Stasią do łóżka, to do rana nie możemy się rozgrzać. Od kilku dni pracuję przy uprzątaniu śniegu na ulicy Słowackiego, opatulony od stóp do głowy, płacą nam za tę pracę 3—3.50 dziennie. Ja mam 3.50, praca odbywa się w ten sposób: Rano zbieramy się na miejscu zbiórki, grupowy nas liczy, wywołuje nazwiska, sprawdza kogo nie ma, ale ponieważ nasz grupowy jest poczciwe chłopisko, zapisuje że wszy-

scy są i tych nieobecnych także, ma to taki skutek, że coraz mniej ludzi przychodzi do roboty, bo i po co, kiedy wypłatę i tak otrzymają. Potem wybieramy miejsce, które mamy oczyścić, potem zakurka, dzielenie się wiadomościami politycznymi i gorąca dyskusja i znów zakurka, potem rozgrzewanie się, bo zmarzliśmy stojąc, jak żeśmy rozgrzeli się, zapalamy papierosa, poczem po wypaleniu każdy przygląda się swojej łopacie, czy się zabardzo nie stępiła od nadmiernej pracy i zabieramy się do roboty, żeby po piętnastu minutach ją przerwać celem rozprostowania grzbietu i zapalenia papierosa, po którym żegnamy się aby się rozejść do domów i jutro stanąć znów do intensywnej pracy jak dziś. Ludzie, którzy się nam z boku przyglądają, uśmiechają się na widok nas zapracowanych. A my rozumujemy, że po co śnieg sprzątać, kiedy słońce na wiosnę i tak go roztopi, a zresztą za te pieniądze nie warto się męczyć. W ten sposób pracujemy wszystkiego godzinę.

Dn. 14.12.39 r.

„Coraz lepiej"

Stasia po miesięcznym bezskutecznym chodzeniu dostała się do pracy do Wedla, teraz będzie nam lepiej. Ponieważ nie ma żadnej komunikacji, jeździ do pracy na rowerze i wszyscy znajomi ją podziwiają, bo mróz dochodzi do 30^0 i mało kto jeździ z mężczyzn na rowerze, a co dopiero kobieta, ale ona jest z tego dumna i zaczerwieniona od mrozu, ale uśmiechnięta wraca do domu. Ja kupuję tytoń w paczkach od jednego ślązaka, który chodzi do kantyny niemieckiej i tanio go kupuje i znów z zarobkiem odsprzedaje znajomym. Życie konspiracyjne zamarło, dlaczego, nie wiem. Poznałem fajnego chłopaka na robocie w naszej grupie, nazywa się Stanisław Szymanowski, zaprosiłem go do nas, zagraliśmy sobie w tysiąca i poszedł do domu.

Dn. 18.12.39 r.

„Nieporozumienie"

Na razie wszystko jest bez zmian. Chodzę do roboty, Stasia też, matka kucharzuje, wieczorami przychodzi Stasiek, gramy w tysiąca. Od czasu do czasu chodzę do ojca po drzewo, bo ojciec likwiduje szpital wojskowy na Zakroczymskiej, z tego też powodu była awantura pomiędzy mną a policjantem. Jechałem wioząc na sankach drzewo, spotyka mnie policjant, zatrzymuje i dawaj pytać a skąd a co a jak, zgniewało mnie to i powiedziałem skąd mam to drzewo. Kazał mi jechać z powrotem, co też uczyniłem, po drodze spotkaliśmy ojca, który sytuację wyjaśnił i wszystko załatwił, że mogłem jechać dalej.

Dn. 24.12.39 r.

„Boże Narodzenie"

Smutne to nasze pierwsze w życiu niewolnicze Boże Narodzenie. Stoją nam żywo w pamięci rozstrzelani niewinnie w Wawrze. I podczas dzielenia się opłatkiem wszyscy mamy łzy w oczach. Dziś w samą wigilię miałem przykre zajście. Ponieważ nie miałem pieniędzy na kupno choinki, postanowiłem ją ukraść. Święto to nie ma dla mnie znaczenia bez tradycyjnej choinki. W tym celu wybrałem się do lasu młocińskiego, i właśnie siedziałem na świerku, żeby odrąbać czub, gdy nadszedł leśnik, musiałem złazić, zabrał mi siekierę i jeszcze chciał zaprowadzić mnie do nadleśnictwa, tylkom mu uciekł, ale siekiera przepadła. Później spotkałem kolegę, który handluje choinkami i dał mi jedną. W domu nic nie mówiłem nikomu, lecz nie nastroiło mnie to wesoło.

Dn. 2.1.1940 r.

„Znów z drzewem"

Po pracy pojechałem do ojca po drzewo sankami i znów miałem nieszczęście. Naładowałem za dużo drzewa, miejscami

wiatr wywiał śnieg, ciężko było ciągnąć i co chwila rwały mi się sznurki, przystawałem, wiązałem i klłem kto niemców nam nasłał. Wreszcie na pl. Inwalidów sanki rozwaliły się, wściekłość moja osiągnęła punkt kulminacyjny. Byłem głodny, zmarznięty i było już ciemno. Do Gdańskiej się dowlokłem ciągnąc drzewo i sanki po ziemi, tu spotkała mnie matka i Stasia i poznosiliśmy drzewo na rękach, tak to człowiek biedny musi się męczyć.

Dn. 15.1.1940 r.

„Wszystko po staremu"

Wszystko idzie normalnym trybem. Niemcy wydają coraz ostrzejsze zarządzenia, my coraz więcej ich nienawidzimy. Mróz trochę zelżał i opady są mniejsze, mają nas redukować z końcem miesiąca. Po pracy zbieramy się i gramy w tysiąca a potem spać. Im dłużej mieszkamy z matką i Hanką, tem większe zaznaczają się różnice i coraz większe są nieporozumienia pomiędzy Stasią a matką i jeśli to nie ustanie, to będziemy zmuszeni wyprowadzić się od matki. Co też niezwłocznie uczynimy jak tylko spłacimy dług, jaki Stasia zaciągnęła na życie podczas walki o Warszawę i w późniejszym okresie dopóki nie pracowała, o który matka coraz częściej i gwałtowniej upomina się. Mówi że na karty to mamy, a dla niej na dług to nie ma. A przecież dług wynosi 300 zł., a my gramy po pięćdziesiąt groszy dla rozrywki, bo choć niemcy kina uruchomili, to my jeszcze nie chodzimy.

Dn. 18.1.1940 r.

„Nowa znajomość"

Koło odwiedzających nas i grających w karty powiększyło się. Stefan zapoznał nas ze swoją narzeczoną, Stefcią Samul-

ską i jej rodziną. Brat jej Witek miły i wesoły chłopak ma lat 19 i na wszystko i zawsze odpowiedź. Matka ich to sympatyczna siwowłosa starsza pani — wdowa, a drugiego brata Jurka i siostry Hanki bliżej nie znam. Wiem tylko, że Hanka jest strasznie zgryźliwa jak moja siostra i ma męża policjanta. Witek świetnie gra w tysiąca i nawet koalicja nic mu nie może zrobić, tak że zawsze on zgarnia nasze groszaki, za które kupuje papierosy i wszyscy palimy. Wszyscy oni, należą do partii, i podczas takich zebrań wywiązuje się żywa dyskusja i wymiana zdań na tematy polityczne.

Dn. 20.1.1940 r.

„Redukcja"

A jednak redukcja, dziś przy wypłacie wymówili nam prawie wszystkim, zostali tylko ci, co mieli szerokie plecy. Robimy tylko do pierwszego lutego, a później nie wiem co będzie, ale jakoś będzie. Wieczorem sprzeczaliśmy się, czy niemcy wojnę wygrają czy nie. Ja i Stasiek, mówiłem że nie, reszta że tak, a zwłaszcza Stasia gorąco przy tem obstawała, złamana całkowicie coraz nowemi sukcesami niemców w Europie, nie doszedłszy do porozumienia, rozeszliśmy się. Ja jeszcze ze Stasią w łóżku dyskutowałem. Pomimo że śpimy oboje i rozgrzewamy się, zimno jest diabelnie, bo nie mamy szyb, tylko dyktę i nie ma czem palić, a pod kocem i paltami nie może być gorąco pomimo lat dwudziestu.

Dn. 1.2.1940

„Bezczynność"

Wczoraj wziełem ostatnią wypłatę, dzisiaj już nie pracuję. Łaziłem trochę po kolegach, wypytywałem o robotę, ale wszyscy tak jak i ja szukają pracy. Po południu czytałem książkę „Gwiżdżący Dan". Nie wiem jak to ze mną będzie i co ja będę robił. Z matką awantury coraz gorsze, już i trudno wytrzymać.

Dn. 5.2.1940

„Wyprowadzka"

Dostaliśmy nakaz eksmisji, choć za komorne płaciliśmy, bo gospodarz będzie ten dom remontował. Z tego powodu latałem dziś za mieszkaniem. W końcu znalazłem na ul. Gdańskiej w suterynie. Tym razem furką przewieźliśmy rzeczy. Mieszkanie to jest jeszcze mniejsze od tamtego, więc i o kłótnie będzie łatwiej. Jest wilgotne i ciemne, czuję, że długo tu nie namieszkamy. Ja lubię swobodę, ruch i słońce, a tu nie ma nic, czuję się jak w więzieniu lub jak ptak w klatce.

Dn. 10.2.1940

„Kleptomania"

Koledzy mało do nas zaglądają, bo ciasno i nie ma gdzie usiąść. Stefan jeździ na szmukiel, prosiłem go żeby mnie zabrał, ale nie chciał. Stasiek jeździ nocą i drzewo kradnie i z tego utrzymuje rodzinę. Drzewo teraz wszyscy kradną, jest to teraz normalnym zajęciem dla wszystkich, którzy nie mają pracy w Warszawie i okolicach, lasy są wyniszczane i zagajniki, to się nazywa kultura. Roboty nigdzie nie można dostać. Niemcy zaczynają oczywiście polskiemi rękoma odbudowywać linie tramwajowe. A ludzie w dalszym ciągu chodzą do pracy na piechotę, albo furkami.

Dn. 18.2.1940

„Niedobrze"

Pracy nie mogę dostać, kraść nie chcę. Całe moje zajęcie to wożenie drzewa od ojca, czytanie książek i przyrządzanie kolacji dla siebie i Stachurka. Z matką się gniewamy i osobno

się stołujemy. Stasi obniżyli deputat, żyjemy teraz bardzo marnie i oszczędnie. Chcemy odłożyć i oddać matce dług i się wyprowadzić. Dokładamy wszelkich starań aby najszybciej to uskutecznić, bo już bardzo ciężko z matką wytrzymać, odkąd ja przestałem pracować a matka zaczęła jeździć na szmukiel, to stała się nie do zniesienia. Ciągle mi przygryza, że ja nie pracuję, tak jak bym nie chciał pracować i tembardziej mi jest przykro.

Dn. 25.2.1940

„Nowa potrawa"

A wymyśliłem ją z braku kartofli, które są drogie a cebulę Stasia dostaje w deputacie. Pokroiłem cebulę w cienkie plasterki, ułożyłem na talerzu, posoliłem, popieprzyłem, polałem octem i olejem, tak to postało godzinę. Po godzinie sprobowałem z chlebem — dobre. Stasi też smakowało, do tego po kubku herbaty erzacowej z cukrem — jeszcze z cukrem i cała nasza kolacja.

Dn. 28.2.1940

„Wyprowadzamy się"

Ale tym razem osobno. Matka z siostrą będą mieszkały na ul. Tylżyckiej 10 na Marymoncie, a my na ul. Szlacheckiej również na Marymoncie. Matce dług zapłaciliśmy i komorne za pół roku z góry. Gospodarz odnawia nam już mieszkanie. Rzeczy poprzewozimy na pożyczonym wózku. Od pierwszego marca już będziemy mieszkali sami, bardzo też cieszymy się z tego powodu. Rzeczy już podzieliliśmy, kto ma co zabrać.

Dn. 4.3.1940

„Sami"

Nareszcie i nieodwołalnie jesteśmy sami. Całe nasze umeblowanie to łóżko, szafka nocna, krzesło, ale pomimo to czujemy się bardzo dobrze, cicho, spokojnie. Domek stoi w ogrodzie, a nad samym oknem naszym zwisa gałąź wiśni, jak przyjdzie wiosna, to będzie ślicznie. Byłem u swoich kolegów zawiadomić ich gdzie mieszkam, odwiedziłem też swojego, dawno nie widzianego kolegę Wacka Balcerzaka, przygotowuje się chłopak do egzaminów, bo niemcy zaczynają uruchamiać szkoły.

Dn. 12.3.1940

„Ulica w kartoflach"

Odwiedziłem matkę, mają budkę za mieszkanie, która również stoi w ogrodzie, tylko większym jak nasz. Samo mieszkanie jest mniejsze niż nasze i dosłownie nie ma gdzie się obrócić, część mebli trzyma matka w komórce. Rozhartowała się, jeździ za szmuklem i dobrze jedzą i dobrze się czują. Jednym słowem zadowolenie z rozejścia się jest obopólne. Tylko ulica, na której mieszka matka, kończy się w kartoflach. Nieraz matka jak przyjedzie z drogi, to przyniesie mi coś zjeść, kawałek sera, trochę śmietany lub masła, zaznaczając żebym tylko to sam zjadł, nie dawał Stasi, ja się zgadzam, ale i tak wszystkiem z nią się dzielę. Bo razem dzielimy jedną dolę i ją za to kocham, jak nikogo do tej pory w życiu.

Dn. 22.3.1940

„Nowy pomysł"

Zrodził się we łbie niemieckim, żeby brać Polaków do roboty do niemiec. Piszę o niemcach i rzeszy z małej litery dla-

tego, że nie warci są żeby w ogóle o nich pisać, a tem bardziej dawać im przywilej jak dla wszystkich narodów, gdy oni sami nie uważają żadnego narodu za mającego prawo do życia, prócz swojego. W związku z zapotrzebowaniem rąk roboczych urządzili olbrzymią propagandę. Na mieście i we wszystkich urzędach rozlepili zdjęcia swoich fabryk i majątków, jak to u nich czysto, dobrze i wygodnie będzie miał pracować Polak, za jakim dobrym wynagrodzeniem i co on tam będzie mógł za te marczyny nakupować bogactw. Bardzo dużo ludzi jest bez pracy i poszło na lep hitlerowskiej propagandy i zapisują się i wyjeżdżają. Ja choć nie pracuję, nie pojadę, będę raz dziennie jadł i chwytał się każdej pracy, ale nie pojadę!

Dn. 27.3.1940

„Wyjazd"

Staśkowi wiosenne słońce uderzyło na mózg, chce wyjechać do niemiec na roboty. Co prawda u nich w domu straszna nędza. Byłem raz w domu u niego. Dwoje rodzeństwa leżało cały dzień w łóżku, w jakichś betach w ubraniu, bo w mieszkaniu diabelnie zimno, choć on drzewem handlował. Musiał wszystko sprzedać, aby żyć. A zresztą palić się nie opłaciło, gdy przez ściany widać świat. W mieszkaniu ciemno, okno jedno o rozmiarach 50 cm × 20 cm i ciągła kłótnia z matką i starszą siostrą, to wszystko nie zachęca do pobytu pod jednym dachem.

Dn. 4.4.1940

„Rozstanie"

Już Staśka nie ma, rozstaliśmy się. Zapisał się i wyjechał. A było tak: Jest nas trzech kolegów o podobnych nazwiskach: Stasiek Szymanowski, Felek Szymański i ja.

Gdy się dowiedziałem, że oni obaj chcą wyjechać, postanowiłem i ja z nimi jechać. Oni wyjeżdżali z powodu ciężkich warunków, ja dla towarzystwa i z chęci obejrzenia nowego kraju za darmo, co było zawsze moim marzeniem móc podróżować, zwiedzać, jak najwięcej zobaczyć i poznać.

Poszliśmy więc we trzech do arbeitsamtu, była tu kupa ludzi. Docisnęliśmy się do okienka i powiedzieli o co chodzi, bardzo chętnie nas zapisali, tylko mnie z Felkiem do fabryki, bo my metalowcy, a Staśka do roli, bo on robotnik, nastąpiło rozczarowanie, bo my chcieliśmy wszyscy razem w jedno miejsce i wobec powyższego, zapisaliśmy się drugi raz w innym okienku jako robotnicy. Mieliśmy po południu przyjść na transport, tymczasem rozeszliśmy się. Ja w domu matce pochwaliłem się że jadę do niemiec i kazałem sobie zapakować bieliznę, matka z początku odegrała scenę rozpaczy, mówiąc że mnie nie puści, a później poprosiła abym pokazał przekaz i pokazałem, a matka podarła go, nie przejąłem się tym zbytnio, bo myślałem że się dołączę i tak pojadę, tymczasem wyszło inaczej. Gdy po południu stawiliśmy się ponownie, ogłoszono nam listę kto jutro jedzie i nas z Felkiem nie było, a Stasiek był. Jemu zrobiło się przykro a nam nieswojo. Na drugi dzień rano poszedłem do Staśka i namawiałem go żeby nie jechał że pojedziemy innym razem wszyscy, ale nie chciał nawet słuchać, bo akurat pokłócił się z matką swoją i miał dosyć już współżycia razem z rodzinką. W końcu chwyciłem się fortelu, jakiego matka ze mną użyła, poprosiłem, od niego blankiet i podarłem go i jeszcze go prosiłem, aż w końcu się zgodził i obiecał że nie pojedzie. Na drugi dzień rano, poszedłem na miasto, a po południu do Staśka i dowiedziałem się, że wyjechał. Zaraz po naszej rozmowie poszedł wyrobił sobie drugi blankiet i wyjechał. Teraz tylko oczekuję od niego listu, więcej nic mi nie pozostało czynić. Jak nie będę miał pracy, a on napisze że mu jest dobrze, to pojadę.

Dn. 10.4.1940

„W kropce"

Nie wiem co robić mam, listu od Staśka nie ma, roboty żadnej też. Bieda w domu coraz gorzej. A i mnie samemu nieprzyjemnie siedzieć w domu bez pracy, gdy Stachna pracuje. Ona mi nic nie mówi, ale ja sam wiem że to nie wypada. Już tracę głowę i nie wiem co ze mną będzie.

Dn. 17.4. 1940

„Nadzieja"

Jest nadzieja że będę pracował w Elektrowni. Stefan już tam pracuje przy wyładunku węgla, powiedział że zaproteguje mnie i Witka, mamy się do niego zgłosić za cztery dni to da nam odpowiedź. Mam nowe zmartwienie, Stasia zaszła, dziecka nie możemy mieć, bo nie byłoby co dać jeść. Ja bym ostatecznie się zgodził, ale ona nie chce słuchać, mówi że jeszcze za wcześnie na dzieci i w tych warunkach materialnych niemożliwe, może ona ma i rację.

Dn. 22.4. 1940

„Praca"

Pierwszy dzień dziś pracowałem. Wczoraj byliśmy u Stefana i kazał nam jutro rano razem z nim iść do pracy, zapiszą nas i od razu będziemy pracowali. Rano pojechaliśmy, stanęliśmy w kolejce do okienka za innymi, po paru minutach dostaliśmy łopaty i posłali nas na pryzmę miału węglowego, rozgarniać to, co wózki wysypywały. Płacą pięć złotych dziennie i obiad, lepsze to, jak nic, na razie dzisiaj się nie narobiłem, zobaczymy jak dalej będzie. Pracujemy przy ul. Kolejowej na

bocznicy Elektrowni Miejskiej, ja jeżdżę do pracy na rowerze. Niemcy uruchomili już niektóre linie tramwajowe i Stasieńka jeździ tramwajem.

Dn. 27.4.1940

„Warunki"

Praca teraz dopiero okazała się cięższą, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka. Żeby prędzej szło praca idzie na zmiany. Ci co wyładują wagon, nie odpoczywają tylko idą wózkami rozwozić węgiel, a co jeździli wózkami, wyładowywują wagon. W ten sposób wyładowywujemy czterdzieści — sześćdziesiąt wagonów na osiem godzin. Jak przychodzę do domu, to krzyża nie czuję, ale trudno, robić trzeba. Mówią chłopaki że ten dziad co nam podaje obiad jest straszny brudas, do tego stopnia że wszy po nim łażą. Pracujemy tylko w trykotach, bo gorąco i nie chcemy brudzić ubrania, przez to nie wiadomo czy jesteśmy więcej brudni od pyłu węglowego, czy opaleni od słońca.

Dn. 5.5.1940

„Kłopoty"

Ósmego maja Stasieńki imieniny, nie wiem co jej kupię. To co chciałbym jej kupić to drogo kosztuje i nie mam tyle pieniędzy, a byle co kupić też nie wypada. Podczas obiadu była dziś próba siły, podnosiliśmy szyny kolejki wąskotorowej i ja podniosłem, choć niewielu było mężczyzn którzy mogli podnieść, którzy lepiej się odżywiają ode mnie. U mnie na kolację chleb z marmeladą i na śniadanie to samo, a na obiad cienka zupka i z czego mam mieć siłę, ale jednak jeszcze mam, są to zapasy energii i siły z dobrych czasów. Będąc w Rosji od-

żywiałem się przeważnie owocami, których miałem pod dostatkiem i dzisiaj daje mi to możność przenieść wysiłki fizyczne.

Dn. 8.5. 1940

„Imieniny"

Nie miałem pieniędzy, kupiłem Stasieńce na imieniny kwiaty i pończochy. Był Wacek i Stefan wypiliśmy pół litra pośpiewaliśmy trochę i na tym się skończyło. Choć dar był mój skromny, to jednak Stasieńka była zadowolona że pamiętam o niej. Na Marymoncie byli niemcy samochodami dzisiaj, kogoś szukali, ale nie wiem kogo. U nas w podziemiu ustał wszelki ruch, nie wiem dlaczego. Dostaję tylko od czasu do czasu biuletyn pisany na bibule maszynowo, informujący o sytuacji w kraju.

Dn. 25.5. 1940

„Kłopot"

Stachurek jest w ciąży i nie wiem, co teraz będzie bo przecież bez ślubu nie można mieć dziecka według praw Bożych, a pieniędzy na zabieg zapobiegawczy nie mamy i jak wybrniemy z tej sytuacji, to ciekawe. Bo można by było coś sprzedać z domu, tylko że my nic nie mamy, a od matki nie chcę pożyczać, a nikt inny w tych czasach nie pożyczy nawet i kolega. Ja to bym ostatecznie się zgodził na to dziecko ale wiem że Stachurka nie, no i nie dalibyśmy rady go wychować.

Dn. 1.6. 1940

„Wyjaśnienie"

Pozbyliśmy się już kłopotu z dzieckiem, Stachurka wzięła trochę towaru z firmy i odsprzedała z zyskiem i poszła do

takiej macherki, co ją za 150 zł. wybawiła z kłopotu. Leżała jeden dzień tylko w łóżku, źle się czuła, była blada i powiedziała żebym uważał, bo ona tyle się bólu nacierpiała że więcej nie pójdzie na taką operację.

Dn. 14.6. 1940

„Wypadek"

Na terenie pracy, gdzie pracuję w Elektrowni zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Było bardzo gorąco i często piliśmy wodę bo mięty zabrakło. Wodę piliśmy ze szlaucha, zakończonego, tak jak strażackie węże, końcówką, natomiast kran do odkręcania był kilka metrów od zakończenia i podczas gdy jeden szedł się napić, drugi musiał być przy kranie, aby odkręcić wodę. Akurat widziałem jak dwóch młodych chłopców podeszło się napić wody, i gdy jeden z nich ujął końcówkę to drugi manipulował kranem, to odkręcając, to zakręcając wodę, wtedy ten pierwszy przyłożył oko do końcówki, wówczas ten drugi odkręcił wodę na cały regulator i — ... usłyszeliśmy straszny krzyk, podbiegliśmy i co się okazało, od silnego strumienia wody uszkodził mu oko, tak że nic na niego nie widział i zaszło mu krwią. Poszkodowanego odprowadzili do Ubezpieczalni, a tamten zaraz uciekł z pracy, zanim kto się zorientował i więcej obu nie widziałem. Takie to są skutki głupich żartów.

Dn. 2.7. 1940

„Za chlebem"

Węgla już zmagazynowali tyle i na takiej kupie że począł się palić, choć gasili wapnem, nic nie pomogło i w końcu nas zredukowali, w tej liczbie mnie i Stefana oraz Witka. Teraz chodzę i znów szukam roboty. Wieczorami przychodzi do mnie Witek i gramy w karty. Znów nam ze Stachurkiem jest ciężko.

Dn. 16.7. 1940

„List"

Dostaliśmy od Staśka list i fotografię z Niemiec. Na fotografii wygląda dobrze i pisze że jest mu dobrze, bo ma co zjeść i w czystym i w ciepłym się wyśpi, a w domu mu tego brakowało. Ale pisze żebym ja nie przyjeżdżał, bo praca jest b. ciężka i marnie wynagradzana, no i w ogóle nie warto. A ja i tak bym już teraz nie pojechał bo mi to wywietrzało z głowy a i w organizacji powiedzieli że tak nie trzeba okupantowi pomagać, bo kto wyjeżdża do pracy do Niemiec ten przedłuża wojnę i nie jest dobrym Polakiem. Bo co innego przymusowo, a co innego na ochotnika.

Dn. 24.7. 1940

„Jest praca"

Przeczytałem ogłoszenie że potrzeba gońca z rowerem zgłosiłem się i zostałem przyjęty do tego samego Webera co robiłem u niego do wybuchu wojny. Przyjął mnie bardzo grzecznie, dostałem 3,50 na godzinę i pracuję jako ślusarz. Na to konto poszliśmy ze Stachurkiem do kina.

Dn. 3.8. 1940

„Bez tytułu"

Nie będę już teraz pisał więcej nagłówków gdyż życie się powtarza i zdarzenia również, to w końcu zabrakłoby mi tytułów lub musiałbym je powtarzać co jakiś czas a powtarzać się to znaczy przeżyć już życie. Wszystko dąży naprzód i ja również muszę iść z prądem. Nie być obojętnym — pozostawać w miejscu, lub iść pod prąd, bo wiem że nie dałbym rady.

Dn. 15.8. 1940

Znów jestem bez pracy. Dowiedziałem się że ten mój fabrykant jest folkstoiczem, pokłóciłem się z nim i już od wczoraj nie pracuję. Stachurka zmartwiła się tem, ale ją pocieszyłem, że jakąś robotę dostanę i z głodu nie umrzemy choć sam się martwię z tego powodu.

Dn. 21.8. 1940

Stachurek dostał urlop i wyjeżdża w środę do Świdra na 12 dni, a ja zostaję sam i przykro mi z tego powodu. Z racji urlopu dostała z firmy pieniądze i paczkę słodką, którą jak i pieniądze zostawiła mnie abym miał z czego żyć. Bo ona jedzie do pensjonatu, który jest własnością Wedla i który dla swoich pracowników podczas urlopu daje całodzienne utrzymanie, nie pobierając za to żadnych opłat. Jak ja bym tak się wzbogacił na pracy robotników jak on to też byłbym taki filantrop. Jak powiedziałem o tym Stasi to się pogniewała na mnie, bo ona nic nie da na Wedla powiedzieć i uważa go za b. dobrego człowieka. A ja ją pomalutku uświadamiam o tej dobroci wielkich panów, no i z tego powodu nieraz trochę się na siebie gniewamy.

Dn. 23.8. 1940

Zostałem sam, odprowadziłem Stachurka do pociągu, pożegnaliśmy się czule. Czuję jakąś pustkę naokoło siebie w domu. Jutro idę do starych kolegów z lat dziecinnych za robotą, może dadzą mi jakąś pracę.

Dn. 26.8. 1940

Mam już pracę, moje starania i stara znajomość pomogły mnie. Od poniedziałku będę pracował w Legionowie, jakiś

zbiornik mamy rozbierać. Będę pracował w towarzystwie kolegów z któremi chodziłem kiedyś do szkoły. Płaca nieduża, ale przypuszczam że i praca nie będzie b. ciężka. Nie wiem co jutro będę robił i jak spędzić niedzielę. Bez Stasieńki bardzo samotnie i głupio się czuję. Nie mogę usiedzieć w domu, znaleźć sobie miejsca. Ciągle myślę jak ona tam się czuje i co porabia czy jej jest tam dobrze.

Dn. 28.8.1940

Pierwszy dzień pracowałem, praca bardzo ciężka, nie spodziewałem się takiej, bo bym za te pieniądze nie zgodził się pracować. Rozbieramy zbiornik gazowy, na terenie naszych wojsk balonowych w Legionowie. Zbiornik ma być w całości zmontowany w Berlinie. Praca wygląda w ten sposób, że stoimy na szczycie zbiornika i na zmianę obcinamy nity grube 1½ cm. średnicy, na które to z arkuszy blachy jest spojona w jedną całość kopuła. Żeby narzędzia były dobre, ale wszystko jest w jak najgorszym gatunku, mesle po dwudziestu nitach trzeba oddawać do ostrzenia i hartowania. Trzonki młotków się łamią. Młot waży 5 kg. Z tego powodu robota idzie pomału. A jeszcze do tego pracujemy w pozycji schylonej, jeden klęczy, a drugi schylony wali młotem, więc co i raz odpoczywamy a majster tylko pogania, jest to bardzo wyczerpująca praca. Na miejsce pracy dostajemy się pociągiem do stacji, a dalej piechotą około półtora kilometra. Na dziedzińcu ćwiczy się orkiestra wojskowa niemiecka na jakichś piszczałkach aż uszy bolą słuchać.

Dn. 4.9.1940

Byłem u Stasi w Świdrze już nie mogłem wytrzymać bez niej, a przecież to zaledwie parę dni. Nie pisałem cały tydzień, bo przychodzę z roboty taki zmęczony że zjadam kolację i kła-

dę się zasypiając natychmiast. W niedzielę nie mogłem pojechać bo padał deszcz. A dziś wcześniej się zwolniłem i pojechałem na rowerze. Widziałem Stachurka tylko godzinę bo już się ściemniało i musiałem jechać a miałem przed sobą 20 kilometrów. Stasieńka się poprawiła czuje się dobrze. Mieszka w pensjonacie, postawionym wśród olbrzymich sosen, już jej przybyło, a jednak też nie może się doczekać powrotu do domu. W drodze powrotnej na trzecim kilometrze od Świdra nawaliła mi guma i myślałem że nie dojadę, ale pompując powietrze co parę kilometrów, dojechałem, a było już zupełnie ciemno, bez kolacji kładę się spać.

Dn. 18.9. 1940

Dwa tygodnie minęło jak ostatni raz pisałem, i byłem młody i byłem szczęśliwy. A dziś czuję się starcem jestem zdruzgotany, zmiażdżony, jest we mnie pustka i rozpacz myślę tylko o swoim nieszczęściu, a chwilami nic nie potrafię myśleć. Jestem kaleką na całe życie. Mam odebraną możność zarobkowania, odebraną radość życia, największy skarb człowieka — zdrowie. Dziś wyszedłem ze szpitala — ... a było to tak. We wtorek, to jest 5. 9. pojechałem jak zwykle do pracy, nie przeczuwając nic złego. Pracowałem z Władkiem na zmianę raz on trzymał mesel a ja waliłem młotem, to ja znów operowałem meslem a on młotem. Po obiedzie około godziny 2 ja trzymałem mesel a Władek walił młotem, w pewnej chwili uczułem ból w prawym oku krzyknąłem, oko zalała mi krew i nic na niego nie widziałem, dostałem maleńkim odpryskiem metalu, lub minii w prawe oko który się wbił w panienkę. Gdy otarto mi oko z krwi i spojrzałem to ujrzałem obraz przyrody otaczającej nas przekręcony jakoś w bok i połamany na kilka części, jak w zbitym lusterku. Zdałem sobie w tej chwili sprawę że już nigdy nie będę widział na oko, choć wszyscy mnie pocieszali że to przejdzie i wszystko będzie dobrze, bo bólu wielkiego nie

odczuwałem. W swej świadomości czepiałem się tej nadziei, choć byłem przekonany że sam siebie oszukuję. Zaraz zaprowadzono mnie do lekarza niemieckiego, który po obejrzeniu oka orzekł, że on tu nic nie poradzi, trzeba mnie natychmiast zawieźć do szpitala, to utwierdziło mnie w pierwotnych mych przypuszczeniach że z oka już nic. Nie byłem tym faktem przestraszony, a raczej zdziwiony jak to się stało, dlaczego tak szybko i dlaczego to właśnie mnie spotkało a nie kogo innego. Przerwano pracę i udaliśmy się na stację, mój pracodawca trochę niespokojny a chłopcy zaskoczeni i smutni, bo nikt się nie spodziewał że może tak się stać. W pociągu pracodawca pan..... wypisał mi zaświadczenie do Ubezpieczalni i na dworcu W-wa — Gdańska rozstaliśmy się, ja sam z chusteczką przy oku pojechałem do Ubezpieczalni na Wolską. Tam lekarza złapałem dosłownie na schodach, szedł już do domu, urzędowanie było skończone, jednak dla mnie się wrócił, założył mi prowizoryczny opatrunek i dał skierowanie do Instytutu Oftalmicznego na Smolną. Na moje pytanie, czy będę widział, odpowiedział że nie wiadomo. Doktór ten nazywa się Rostkowski. Po przyjeździe na Smolną wyczekiwałem z pół godziny na korytarzu na załatwienie jakichś formalności. Po upływie tego czasu siostra zaprowadziła mnie do łazienki, gdzie umyłem się i przebrałem w szpitalną bieliznę. Następnie zrobiono mi prowizoryczny opatrunek, dostałem kromkę chleba z kawą i poszedłem spać. Na drugi dzień oglądali mnie lekarze, zapuszczali krople, kazali zaglądać w różne aparaty, ale ja w dalszym ciągu nic nie widziałem i nikt mi nie mógł powiedzieć czy będę widział. Zetknąłem się z takiemi samemi biedakami jak i ja, lub całkiem ociemniałemi. Całą rozrywką tych ludzi było granie w szachy, lub opowiadanie w jaki sposób utracili wzrok. Byli to ludzie przeważnie ze wsi. Na trzeci dzień wizytowy przyszła do mnie matka i Stachurka, obie płakały i ja im nic nie mogłem powiedzieć na pocieszenie. Za dwa dni wzięto mnie na operację, której prawdę powiedziawszy bałem się jak ognia. I gdy położyłem się na stole operacyjnym, cały drżałem.

Operacja odbyła się bez usypiania. Po czynnościach wstępnych rozcięto mi oko i przystawiono magnes, z początku mały, później największy jakim dysponował zakład i też nic. Później rozcięto mi oko w drugim miejscu i również nic, zaszyto i pomogła mi siostra zejść ze stołu operacyjnego do sali. Z początku nic nie czułem tylko szum w głowie, to działało jeszcze znieczulenie. Po upływie pół godziny zacząłem odczuwać ból głowy w tylnej części ale to tak jak nigdy w życiu, jakby kto głowę w kawałki rozrywał i jakkolwiek podczas operacji czułem ból, to ani jęknąłem teraz za to nie krzyczałem a wyłem, tak że wszyscy chorzy z sali pouciekali. Po godzinie nawpół siedząc usnełem. Gdy obudziłem się czułem głuchy ból, ale to już były bajki naprzeciw tego pierwszego. Po kilku dniach zdjęto mi opatrunek, wyciągnięto nici któremi miałem zszyte cięcia i lekarz mi oznajmił: że obcego ciała nie udało się wyjąć i wskutek tego nie będę już nigdy na niego nic widział, a na pocieszenie dodał: gdy nie będzie się psuło to może sobie siedzieć, a w przeciwnym razie trzeba go będzie usunąć, gdyż będzie zagrażał drugiemu, które może się psuć. To był dla mnie wyrok, który grzebał raz na zawsze moje ambitne plany na przyszłość i cel jaki sobie wytknąłem, w gruzy. Podczas następnej wizyty przyszła Stasieńka i powiedziałem jej to co rozmyśliłem podczas długich godzin leżenia w łóżku. Że zwracałem jej wolność, gdyż jest młoda i zdrowa, a ja kaleka i nie wiadomo co ze mną będzie, musimy się rozejść i zapomnieć o sobie, ale Stachurka nie chciała o tym słuchać, powiedziała że mnie kocha takim jakim jestem i będzie kochać jakim będę choćby jej przyszło pracować całe życie na mnie, wobec jej zdecydowanej postawy ustąpiłem dając jej jednak termin do namysłu i ostatecznej odpowiedzi. W parę dni to jest dzisiaj wyszedłem ze szpitala i usłyszałem od Stachurka to samo co i poprzednio. Postanowiłem żyć z nią nadal i dać z siebie wszystko na co będzie mnie stać. A jednak co pomyślę o tym wypadku, to jest mi bardzo, bardzo smutno. Cała moja pociecha to tylko w tem że Stachurka jest ze mną, że jest ktoś co mnie w nieszczęściu nie porzucił i kocha naprawdę szczerze i gorąco.

Dn. 23.9. 1940

Już się koledzy dowiedzieli że wyszedłem ze szpitala i przychodzą mnie odwiedzać i oglądać jak jakiego zwierza egzotycznego, co mi jest nad wyraz przykre. Stachurka pracuje a ja siedzę w domu i książki czytam. Mam zamiar pójść do tego przedsiębiorcy aby dostać od niego albo pracę albo odszkodowanie.

Dn. 2.10. 1940

Byłem u pracodawcy mówiłem mu o odszkodowanie, lub o pracę, ale nawet nie chciał słuchać jeszcze gburowato się zachował i powiedział że za stratę oka nie warto dać 3 tys. zł., a pracy to on dla mnie nie ma, choć wiem że prowadzi dwa warsztaty. Oznajmiłem mu że będę go skarżył do sądu o odszkodowanie, na co wyraził zgodę. A więc dobrze będę miał jeszcze jedno doświadczenie więcej bo dotychczas się z nikim nie procesowałem ani nawet nie byłem na żadnej rozprawie.

Dn. 19.10. 1940

Do sądu dałem pozew, wystarałem się o świadectwo ubóstwa, które było mi potrzebne do uzyskania adwokata z urzędu — bezpłatnie. Byłem w Ubezpieczalni na komisji celem uzyskania renty wypadkowej. A w domu u nas bardzo krytycznie. Od dnia mojego przyjścia ze szpitala do tej pory raz dziennie jemy i to nie okraszone. Podupadłem na zdrowiu słabo się czuję. Ja to cierpię bo tak chciał los, ale za co Stachurka cierpi to nie wiem.

Dn. 29.10. 1940

Był u mnie Stefan, jeździ na rowerze na szmukiel do Truskawki pod granicę rzeszy może i mnie zabierze ze sobą, muszę

wyszykować rower. Odwiedził mnie dawno nie widziany kolega Wacio Balcerzak, chłopak porządny z kościami, nie wie co ma robić ze sobą czy się uczyć, czy szukać roboty. Stachurek napomina o ślubie naszym, trzeba będzie coś pomyśleć o tem. Bo faktycznie za jej przywiązanie do mnie to coś jej się przecież należy, a i ludzie patrzą na nas krzywym okiem, choć na nich nie zważam.

Dn. 2.11.1940

Odmawiałem Stachurka od ślubu teraz za czasów okupacji żeby później można było wziąć w wolnej Polsce, naprawdę uroczyście, gdyż jest to jedyna chwila w życiu człowieka. Ale tu działa Stachurka pod wpływem czyjejś namowy, prawdopodobnie swoich koleżanek z pracy.

Dn. 10.11.1940

Jeżdżę od kilku dni ze Stefanem na rowerze, po szmukiel do Truskawki pod granicę rzeszy, marki kupujemy w W-wie i za nich kupujemy towar. Przeważnie wozimy, miód sztuczny, chleb sitkowy, mąkę pszenną i kaszę lub fasolę. Zarobek nie jest duży 30 — 40 złotych dziennie, ale na rower nie można dużo towaru włożyć i nie zawsze mogę znaleźć nabywcę. Wyjeżdżamy wieczorem o godzinie 7-ej wieczór a wracamy z powrotem o godz. 12 — 1-ej w nocy nie bacząc na zakazy szwabskie, że nie wolno chodzić dłużej jak do 10-ej. I do tego wracamy zawsze koło lotniska bielańskiego, aby ominąć wachę stojącą na szosie i wyłapującą szmuklerów. Przyjeżdżamy zaczerwienieni z mrozu, Stasieńka wstaje robi nam kolację i kładziemy się spać. Stefan mieszka teraz u mnie bo pokłócił się ze swoim ojcem. Rano Stachurek jedzie do roboty a ja zabieram przywieziony towar i idę szukać nabywców a Stefan jeszcze leży, co nie bardzo mi się podoba, ale nic nie mówię. Po

wspólnym śniadaniu rozchodzimy się na miasto załatwiać swoje sprawy, aby wieczorem znów się spotkać i jazda. Gdy pierwszy raz z nim jechałem to miałem strachu i z powodu, aby nas żandarmi nie złapali, albo bandyci nie napadli bo i to się zdarza, lub na pień nie wpaść, ale teraz już się przyzwyczaiłem i jeżdżę bez strachu. Nawet gdyby nie mróz, to nie jest to pozbawione uroku. Przejeżdżamy w jednym miejscu przez ładny las sosnowy w drugim przez młody zagajnik, jedziemy krętymi dróżkami wśród pni i korzeni, na złamanie karku, Stefan oczywiście zawsze prowadzi, bo jak jest ciemna noc to ja tym jednym okiem widzę tylko tylne koło Stefana. Trochę o tym swoim wypadku zapominam w nawale zajęć. Oko mnie na razie nie dokucza.

Dn. 12.11.1940

Dziś była wielka awantura arabska u nas w domu. Stachurka sprawę naszego ślubu poruszyła i postawiła ultimatum albo się z nią żenię, albo się rozejdziemy i na ten moment nadeszła moja matka i od słowa do słowa awantura gotowa, i byłoby doszło do rękoczynów, gdybym matki nie wypchnął za drzwi, za co matki majestat obraził się śmiertelnie. W wyniku naszej konferencji postanowiłem, pozbawić się wolności, kładąc głowę w jarzmo małżeństwa. Bo ostatecznie cóż mi kalece i bez pieniędzy po wolności.

Dn. 13.11.1940

Byliśmy ze Stachurkiem u księdza celem załatwienia formalności i dania na zapowiedzi. Miałem przy tym dramatyczną nie pozbawioną jednak humoru rozmowę z księdzem. Na moje pytanie ile będzie kosztowała ta cała ceremonia ślubna usłyszałem odpowiedź 200 zł, na taką sumę włos na głowie mi się zjeżył i w jednej chwili zrezygnowałem ze ślubu i wszelkich przyjemności z tem związanych. Złapałem Stachurka za

rękę i ze słowami chodź Stachurka, będziemy żyć na kocią łapę, usiłowałem wycofać się z plebanii w czem wybitnie przeszkodził nam rozwścieczony ksiądz który na moje słowa, podskoczył do nas jakby ucięty przez tse-tse, podstawiając nam nogę i zatrzaskując nam drzwi przed nosem. I zaczęliśmy pertraktacje, targując się o każdy złoty, po długich i ciężkich targach ustaliliśmy kwotę na zł. 20 za ślub i wszelkie dodatkowe kwestje, z czego 10 zł. płatne żywą gotówką zaraz a drugie 10 zł. na raty, spłacone w ramach naszych możliwości. Wieczorem byliśmy u mojego ojca, przedstawiłem swoją przyszłą żonę, prosiłem o radę i błogosławieństwo. Ojciec odradzał na razie nam małżeństwo, tłumacząc że jesteśmy jeszcze za młodzi. Ale widząc moją zdecydowaną wolę zgłupienia, dał błogosławieństwo. Dziś odnieśliśmy pełny sukces, ale jeszcze mamy dużo do załatwienia.

Dn. 14.11.1940

Stasieńka była dziś u swojego ojca a mojego teścia. Była pierwszy raz od czasu jak opuściła dom rodzinny. Ojciec ją bardzo ładnie przyjął, zmarnowali ćwiartkę oboje, oddał trochę ubrania, o którym wpierw nie było mowy o oddaniu. No i zrobił jej prezent ślubny: dał dwie obrączki z brązu, ładnie obtoczone, miały wygląd złotych. Jesteśmy teraz biedni, nie mamy pieniędzy.

Dn. 17.11.1940

Już po ślubie i po krzyku, wczoraj odbyło się to widowisko. Rano o godzinie 6 chlapał sobie deszczyk a szliśmy w orszaku weselnym każdy w innym nastroju. Z mojej strony był tylko Stefan, Wacek i sąsiad z żoną, ze Stasi strony tylko jej najstarsza siostra Marysia. Przed ślubem poszliśmy do spowiedzi poprawczej, po odbyciu ceremonii Stasieńka pojechała do

pracy ja do domu, a towarzystwo rozeszło się. Wieczorem zebraliśmy się w tym samym komplecie, zmarnowaliśmy litra, pograliśmy trochę na pożyczonym patefonie i koniec. Było to wesele najcichsze o jakim dotychczas słyszałem i ślub który najtaniej kosztował, bo tych drugich dziesięciu złotych nie oddałem do tej pory. Raz wierny wyżyłował księdza, który dotychczas wszystkich żyłował.

Dn. 29.11.1940

Sytuacja w domu się nie zmieniła, ciągle nam brak gotówki. Bo choć jeżdżę w dalszym ciągu ze Stefanem na szmukiel, to tam drogo płacimy za towar a tu staniało, tak że niedługo przestaniemy jeździć, jak dalej to potrwa, nie będzie się opłaciło. Mieliśmy dwie przygody, a właściwie chwile emocji i to jednego dnia. Dojeżdżając do wsi, gdzie kupowaliśmy towar zobaczyliśmy płomienie ognia i fontanny iskier wystrzeliwujących w górę, coś się paliło. Stanęliśmy na skraju lasu, nie wiedząc czy mamy iść naprzód czy się cofnąć. Przejeżdżający szmukler poinformował nas że we wsi byli „kulturalni" panowie — niemcy i nakryli u jednego z gospodarzy szmuklerów, których wraz z gospodarzem i rodziną jego zabrali do Modlina, a dom podpalili, ale ich już nie ma i do wsi możemy wjechać. Załatwiliśmy szybko kupno i w drodze powrotnej po minięciu lotniska na brzegu wsi z ostatniej chałupy wyszła młoda, przystojna niewiasta, odziana tylko w futro i koszulę, którą było widać spod niezapiętego futra, oraz w śniegowcach wysokich, bez nakrycia głowy z rozpuszczonymi włosami. Za kobietą z boku i z tyłu biegły psy różnej maści, rasy i wielkości, ujadając przenikliwie na nasz widok, a nawet jeden z nich ugryzł Stefana w nogę, za co dostał kopniaka. Zaczęliśmy gwałtownie zwiększać odległość między damą i sobą, w obawie żeby ta piekielna orkiestra nie sprowadziła nam na kark żandarmów. Przeklinaliśmy damę z psami jak tylko szmukler potrafi. Po chwili byliśmy daleko, niebezpieczeństwo minęło.

Dn. 3.12. 1940

Wczoraj zawlekliśmy się dopiero na godzinę 2 w nocy, pomimo że wcześnie wyjechaliśmy z domu. Miałem wypadek, niedaleko wsi jest góra spora porośnięta lasem sosnowym. Droga nasza prowadzi właśnie przez tę górę ścieżynką wijącą się pośród zwalonych drzew i ściętych pni. Noc była ciemna jak u murzyna po czarnej kawie o dwunastej w nocy przy zupełnym zaćmieniu księżyca. Lubimy jechać ze Stefanem na dziewiątkę z tej góry tylko że zawsze on jedzie pierwszy a tym razem ja jechałem pierwszy i tu znów moje kalectwo dało o sobie znać, nie zauważyłem pieńka z prawej strony i uderzyłem pedałem, który był w dolnej pozycji. Wstrząs, przez chwilę łapanie równowagi i zatrzymałem się, ale byłem uboższy już o jeden pedał. Za minutę nadjechał Stefan i zaczęliśmy przy świetle zapałek szukać nieszczęsnego urwanego pedału, aby po wypaleniu pudełka zapałek i zmarnowaniu pół godziny czasu, odnaleźć zgubę. Z powrotem Stefan ciągnął mnie na pasku.

Dn. 17.12. 1940

Od czasu, gdy matka się pogniewała z nami dopiero dziś przyszła z jakimś starszym gościem, przedstawiła go jako swojego przyjaciela. Na pierwszy rzut oka dość miły i grzeczny. Postawił ćwiartkę, posiedział trochę i poszedł, podobno jeździ na szmukiel.

Dn. 23.12. 1940

Sporo spraw załatwiłem, byłem po choinkę, u ojca swojego, powinszowałem mu, dał mi stare buty z cholewami, ale jeszcze będzie można w nich chodzić jakiś czas. Rano dziś dopiero wróciłem ze wsi ze Stefanem, bo nie było towaru i musieliśmy nocować u chłopa. Matka jak się dowiedziała że byłem u ojca i składałem życzenia, znów się obraziła.

Dn. 26.12. 1940

Święta Bożego Narodzenia upłynęły mi smutniej niż wszystkie dotychczasowe. Gdyż jestem już kaleką na zawsze. W wigilię była matka z tym frajerem, ja i Stachurka, we czworo spędziliśmy ten wieczór wigilijny. Od dziś sprowadza się Marysia do nas, jest to służąca, która podczas wojny w 1939 r. wyświadczyła mojej rodzinie pewną przysługę i za to muszę się dziś jej odpłacić i przyjąć ją na mieszkanie, bo pokłóciła się ze swoim chlebodawcą i nie ma gdzie mieszkać.

Dn. 2.1. 1941

Wyszło szydło z worka. Maryśka już u nas nocuje, ale ona chce się spotykać ze swoim narzeczonym i pytała się mnie, czy on może przychodzić do nas do domu, na co zezwoliłem. A dzisiaj zdębiałem. Około godziny 7-ej wieczorem wchodzi jakiś niemiecki czołgista i Marysia przedstawia go jako swojego narzeczonego, na razie nic nie powiedziałem, ale poszedłem do swojego piątkowego z partii, i zapytałem co mam robić z tym fantem. Dowódca powiedział mi że na razie niech przychodzi i starać się wydostać od niego jak najwięcej informacji, a gdy stanie się bezużyteczny, to dziewczynę wyrzucić z domu, to i on przestanie przychodzić. Sprawę tylko to komplikuje, że Stefan się zakochał w tej dziewczynie i już u mnie nocuje, razem z nią śpi i chce się żenić, nawet mnie się pytał czy warto, ale mu odpowiedziałem że szkoda fatygi, i prawdopodobnie nic z tego nie wyjdzie.

Dn. 14.1. 1941

Franc, bo tak się nazywa ten narzeczony Marysi dał trochę informacji o niedużym znaczeniu. Jest święcie przekonany że wojna między Rosją i niemcami nigdy nie będzie, często

na ten temat z nim się spieram. Już powiedziałem Marysi żeby on więcej nie przychodził jak chce się z nim spotykać to na ulicy.

Dn. 29.1. 1941

O mały włos a byłaby tragedia. Marysia ze swoim niemcem spotykała się ostatni raz na ulicy, a słysząc że Stefan chce się z nią żenić w ogóle przestała się z nim spotykać i kazała powiedzieć mu jak przyjdzie że ona się ode mnie wyprowadziła a ja nie wiem gdzie. I tak zrobiłem. Był u mnie ze dwa razy i od tej pory więcej nie przychodził aż wczoraj w nocy... Położyliśmy się spać my ze Stachurkiem w łóżku a Marysia ze Stefanem na podłodze. Była godzina 12 ktoś puka do drzwi, wstałem, pytam się kto tam, odpowiada Franc czy jest Marysia, mówię mu że już nie mieszka u mnie, pomamrotał pod drzwiami i poszedł, wyczułem że był pijany, położyłem się z powrotem. Po jakiejś godzinie znów pukanie, tym razem do okna, wstaję podchodzę do okna odsuwam firankę, patrzę Franc stoi. Maryśka wlazła do łóżka do Stachurka a Stefan stanął za szafą. Franc którego męczyła czkawka pijacka domagał się koniecznie widzenia z Marychą, która jednak nie chciała wyjść. Na moje zapewnienia że jej w domu nie ma Franc wyjął pistolet mówiąc że ja kłamię, wycelował we mnie oddzielała nas tylko szyba i powiedział że mnie zastrzeli jak go nie wpuszczę do mieszkania, na taką perspektywę, kazałem natychmiast Maryśce wyjść do niego. I ta ze strachu i z zimna dygocąc wyskoczyła w koszuli i boso do niego — po jakich piętnastu minutach wróciła i mieliśmy spokój do rana. Ale rano kazałem jej kategorycznie szukać sobie mieszkania, gdyż ja jej swoje wymawiam.

Dn. 5.2. 1941

Na szmukiel już nie jeżdżę bo się nie opłaci. Marysia nie mieszka już się wyprowadziła, jeszcze na ostatek pokłóciliśmy się. Zła była na mnie że odmówiłem Stefana od mał-

żeństwa. Miała dwóch — teraz nie ma żadnego. Stefan również pogodził się z ojcem i wyniósł się ode mnie, mamy teraz nareszcie trochę spokoju. Stefan wziął się teraz za szmukiel grubszy ale co gdzie i jak nie chce mi powiedzieć.

Dn. 28.2. 1941

Już od tygodnia chodzę za robotą i nic nie mogę znaleźć odpowiedniego. Na Bielanach są przyjęcia podobnież mają w tym tygodniu przyjmować, pójdę się dowiem. Zapasy nam się wyczerpały i znów zaczyna pokazywać się nędza w domu naszym.

Dn. 3.3. 1941

Dwa dni już pracuję na Bielanach w niemieckiej firmie „Bauleitung" mamy stawiać baraki, na razie kopiemy rowy fundamentowe. Płacą 10 zł. dziennie i mają być deputaty. Pracuje tu do 3 tys. ludzi z całej Warszawy z różnych dzielnic i zakątków. Panują różne gwary łobuzerskie ze swoistemi narzeczami. Jesteśmy podzieleni na grupy po dwudziestu ludzi. Ja jestem w grupie gdzie ja tylko jeden jestem z Marymontu, dwóch z Czerniakowa, jeden z Ochoty a reszta to wszystko ze Starówki. Moim grupowym jest mój kolega szkolny którego dawniej nie lubiłem, ale dziś wobec wspólnego nieszczęścia, które nas wszystkich Polaków przygniata urazy osobiste są nieważne i nie mają racji bytu. Kolega mój tak samo myśli jak ja, bo odnosi się do mnie życzliwie, tak jak i do innych.

Dn. 16.3. 1941

Przerzucają nas do coraz innych robót, widać robota jest b. pilna bo coraz więcej jest majstrów niemieckich i stojaków, pilnują nas i poganiają, a my pracujemy tak jak Polak potrafi pracować dla niemca. Jak niemcy patrzą my robimy jak

się odwrócą to my stoimy. Wacek też tu pracuje, tylko w innej grupie na lotnisku a ja w lasku Bielańskim.

Dn. 2.4. 1941

Pracujemy już teraz i w niedzielę, tylko że się urządzamy tak: ponieważ pracuje bardzo dużo ludzi, a listę sprawdza grupowy, rano przychodzi się, po odczytaniu swojego nazwiska pocichutku, bokiem paru chłopców ulatnia się do domu, mając jednak dniówkę zapisaną. Teren pracy nie jest ściśle ogrodzony i pilnowany, tak że przedostanie się do domu nie przedstawia specjalnych trudności. Kartofle już zdrożały, kosztują 9 zł. kilo. Papierosy też podrożały, nie wiem co to dalej będzie. Deputat nam dają w takiej obfitej ilości, że za cały miesiąc to w jednym ręku nie ma co trzymać, aż śmiech bierze to brać i do domu nosić, to też niektórzy wcale nie biorą. Na deputat się składa: 1 kg suszonych kartofli, 15 dkg śmierdzącego mięsa, 5 dkg fasoli, 2 dkg erzacowej herbaty i to wszystko.

Dn. 17.4. 1941

Składamy teraz baraki robota nie jest taka ciężka, pracujemy na dwie zmiany przy świetle reflektorów. Mamy teraz dobrych dwóch majstrów niemieckich. Jeden kościsty staruch w okularach chodzi z laseczką — wyłamanym młodym, sękatym dębczakiem grubości ręki dorosłego mężczyzny i nawraca tym kijaszkiem leniwych Polaków do gorliwej pracy. Drugi to młodzian tyrolski, wszczepia nam niemiecką „kulturę" pięściami, przy lada okazji. Już stoją dwa baraki, do końca lipca ma ich być 25.

Dn. 3.5. 1941

Ponieważ ledwo koniec z końcem możemy związać, handluję teraz na terenie pracy cukierkami, których po tańszej

cenie dostarcza mi Stasieńka z fabryki, nie jest to dużo, ale zawsze parę groszy więcej. Tydzień pracuję na noc a tydzień na dzień. Jak robię na noc to Stasieńka przynosi mi kolację. Wczoraj przypatrywał mi się jeden niemiec jak jadłem i zaczął rozmowę, dowiedziałem się, że tak mi się przyglądał bo sam jeść nie może, gdyż był na froncie ranny w brzuch i od tej pory nic jeść nie może, tylko płyny wlewają mu przez rurki. Pomyślałem sobie jak by to dobrze było gdyby tak wszyscy niemcy mieli taki feler bo wtedy by może mniej głodzili Europę.

Dn. 18.5.1941

Do dwóch baraków już gotowych, sprowadzili się niemieccy żołnierze-lotnicy, którzy brali udział w bitwie pod Dunkierką. Mają dużo papierosów francuskich i belgijskich, które nieraz w przystępie humoru sprzedają nam. A my jak nie mamy co palić to zbieramy pety od tych papierosów, ale tak żeby niemcy nas nie wyśmieli, żeby nie widzieli. Razem z lotnikami przybyła do nas piechota z poznańskiego i posterunki pilnują dzień i noc cały obszar pracy i druty będące granicą. Zrobiono to dlatego, że za dużo drzewa przeznaczonego do budowy, wędrowało do naszych pieców w domu. Już teraz nie można się urwać do domu jak kiedyś.

Dn. 6.6.1941

Wydarzył się nieszczęśliwy wypadek na terenie pracy. Blacharz obsunął się z dachu dwupiętrowego domu i lecąc w dół poprzez rusztowania złapał się za butelkę z kwasem solnym i gdy upadł na ziemię z połamanymi kośćmi i rozbitą głową butelka z kwasem jeszcze rozbiła mu się na tej nieszczęsnej głowie i wypaliła oczy i rany. Karetka zabrała go od nas jeszcze żywego, kupę drgającego mięsa zlanego krwią.

Co dalej się z nim stało nie udało mi się ustalić. Jeszcze jeden Polak postradał w najlepszym wypadku zdrowie, lub życie złożył w daninie bestii hitlerowskiej.

Dn. 24.6. 1941

Przeciętny niemiec jest głupszy 100% od Polaka, pomimo swej kultury jaką się chwalą, dowodzi tego dobitnie proceder jaki obecnie uprawiamy. Wozimy wapno z kolonii na Żoliborzu na teren CIWFu. Wozimy furmanką w kolebie od wózka. Żeby się koleba nie wywróciła podstawiamy deski wzdłuż boków furmanki tylko zamiast użyć do tego desek czterech krótkich, to my używamy najdłuższych jakie mamy do dyspozycji osiem sztuk, a w kolebie leżą sobie cichutko jeszcze paliki jodłowe, używane do fundamentów. I żadnemu jeszcze zastawnikowi na bramie nie przyszło do głowy zajrzeć do środka. Ani żaden nie spostrzegł że deski z boków, już z powrotem nie wracają. A my deski dzielimy między siebie a paliki sprzedajemy i rozgrzewamy się do wytrwania pod jarzmem, wodą ognistą.

Dn. 5.7. 1941

Szlak trafił już tych dwóch majstrów dobrych, to za to sprowadzili niemcy lepszych panów. Jakaś organizacja młodzieżowa objęła służbę na całym terenie pracy i oni też pilnują nas w robocie byśmy za często nie odpoczywali. Chodzą z grubemi lagami i tłuką gdy tylko zobaczą że robotnik za długo namyśla się nad robotą. Nie podoba mi się to i będę musiał poszukać sobie innej pracy. Ja jeszcze nie dostałem, ale widziałem jak jednego z robotników ta laska dotknęła i krew mu poszła ustami i nosem, w takiej chwili bym się rzucił na taką bestię i jak jestem łagodnego usposobienia to bym gardło przegryzł. Bo niemcy jak biją to wykonują to ze specjalną satysfakcją i precyzją, lubując się w tej robocie.

A wiem, że mi nie wolno samorzutnie swojego zdrowia i życia marnować bo ono należy do Polski i muszę je oddać za sprawę naprawdę wartą tego, gdy przyjdzie odpowiednia chwila. Powiedziałem o tem wszystkim Stachurkowi, powiedziała że porozmawia z majstrem i może przyjmą mnie do Wedla.

Dn. 13.7. 1941

Akty gwałtu powtarzają się coraz częściej i są coraz brutalniejsze, dużo ludzi już uciekło i nie przychodzi do pracy. Ja też to samo zrobię tylko czekam na odpowiedź od Wedla, na razie nie mam innego wyjścia. Przypuszczam że jak tak maltretują ludzi, to widocznie na nich im nie zależy. Baraki stoją już gotowe, przeprowadzamy teraz tylko kanalizację i wodę. Znów pracuję na noc. Praca wygląda tak: połowa chłopców siedzi w dole i oparta na łopatach drzymie, aby jak nadejdzie majster z furią wyrzucać ziemię. Druga połowa śpi na strychu baraku.

Dn. 20.7. 1941

Zdaje się, że będę robił u Wedla, jest nadzieja, jak tylko będą przyjęcia, to będę pracował tak orzekła Stachurka. Dziś w nocy była wsypa. Ktoś nas wykapował że chodzimy spać do baraku na górę. I majster uzbroiwszy się w lachę odpowiedniego kalibru, żeby nam kości poprzetrącać, wyruszył na poszukiwania. Ale my mamy też swoich informatorów którzy nas ostrzegli i my chyłkiem, jeden za drugim zaczęliśmy się posuwać po górze wzdłuż baraku, bo tylko w jednym końcu jest wejście na strych. Było nas pięciu, ja szedłem przedostatni, a deski pod nami trzeszczały, bo są lekko przybite i trzeba trafu, że ten ostatni co szedł, nadepnął i cały kwadrat pod nim się zerwał skutkiem czego narobił niesamowitego hałasu, nam strachu no a sam znalazł się dużo szyb-

ciej od nas na dole w korytarzu, na szczęście nic sobie nie zrobił bo wylądował z niewielkiej wysokości na kwadracie który spełnił do pewnego stopnia rolę spadochronu. Nas również majster nie złapał, dopiero jak już weszliśmy do dołu, majster wszedł do baraku, który przed chwilą opuściliśmy. Był zdziwiony tylko skąd się wziął kwadrat podsufitki na podłodze, złożył to pewnie na karb nieumiejętności budowania naszych rzemieślników, nie szkodzi, dla siebie na pewno będziemy umieli budować.

Dn. 27.7. 1941

Już nie pracuję, rzuciłem sam robotę. Przedwczoraj wziełem wypłatę i więcej nie poszłem. Nareszcie wyszła moja sprawa, blisko rok czasu leżała, by nabrać mocy urzędowej i wejść na stół sędziowski. Rozprawa trwała b. krótko i sąd odroczył na miesiąc czasu z powodu niestawiennictwa się wszystkich świadków. Dostałem adwokata z urzędu mec. Pik się nazywa i czuję, że on coś kręci, bo nakłaniał mnie koniecznie do zgody, ale teraz ja nie chcę.

Dn. 30.7. 1941

Od pierwszego będę pracował u Wedla, już zostałem przyjęty i wszystkie formalności załatwione. Ubezpieczalnia przyznała mi rentę wypadkową za te oko, dostałem 33% utraty zdrowia i 27 zł. renty miesięcznie, jak na obecne warunki to kolosalna suma, nie będę wiedział co zrobić z tyle pieniędzmi, nic dziwnego, komisarz zatwierdzający wysokość rent jest niemiec, przyjęłem to co przyznali i nic nie mówię. Znam wypadek autentyczny gdy mój kolega zgłosił sprzeciw że mu za małą za obcięty palec wskazujący przyznali bo tylko 21 zł, to właśnie ten komisarz obciął mu rentę do 13 zł. miesięcznie. Więc lepiej nie warto protestować, tylko czekać, czekać aż pan Bóg i do naszego kraju zajrzy.

Dn. 4.8. 1941

Pracuję u Wedla na Pradze, jak jest ładna pogoda, to jeździmy razem ze Stachurkiem na jednym rowerze do pracy, bo to i oszczędniej i bezpieczniej i prędzej jak zaśpimy. Pracuję w magazynie na górze przy transporcie i układaniu worków mąki i cukru, praca jest ciężka. Jeszcze nie poznałem wszystkich chodów i nic słodkiego nie jadłem na fabryce. Coś mi strzeliło do głowy i zapisałem się na kursy samochodowe może skończę i będę jeździł na jakim wozie. Lubię ten fach, tylko nie wiem czy będę mógł go wykonywać, ze względu na to jedno oko. Uszkodzone oko zarosło mi kataraktą i nic już absolutnie nie widzę prócz światła.

Dn. 16.8. 1941

Niemcy choć stworzyli ghetto i opasali je murem nie są panami sytuacji, gdyż odkryto w dzielnicy żydowskiej fabrykę fałszywych pieniędzy. A bramy wyjściowe i mury choć są dobrze pilnowane, to handel kwitnie jak gdyby nic. Czasem zbrodniarze postrzelą to Polaka to Żyda w momencie przerzucania towaru przez mury, ale tem nie mogą nas zdławić. I dzieci żydowskie wydostają się spoza muru i uciekają na wieś gdzie na razie jest bezpieczniej i łatwiej się ukryć. W Ghecie można dostać towaru nawet w większej ilości takiego, jakiego u nas nawet brakuje np. śledzi. Jestem ciekawy co też z nimi niemcy zrobią ostatecznie, bo w to żeby ich nie zniszczyli całkowicie nie wierzę.

Dn. 29.8. 1941

Na razie jest mi u Wedla znośnie, choć pracę mam ciężką, ale dobrze się odżywiam, tak że w domu mało co jem, już poznałem wszystkie chody i wiem jak się obracać. Na śnia-

danie zjadam ćwierć kilo orzechów laskowych i popijam pół litrem mięty pół na pół z cukrem. Potem do obiadu zjadam z pół kg. szampanek i trochę czekoladek, tak że na obiad talerzyk zupki to ledwo mogę zjeść. Przed czwartą zjadam znów taką samą porcję jak rano, ale za to mam siłę, biorę 100 kg. mąki na plecy i zanoszę na 1 piętro.

Dn. 2.9. 1941

Mam już jazdy na samochodzie, jest to stary ford rozklekotany, dobrze mi idzie, a z teorii b. dobrze, niedługo egzaminy. Znów była moja sprawa na wokandzie, została rozpatrzona i powołano ekspertów inżyniera i doktora, bo mój były pracodawca broniąc swojej skóry powiedział że ja na to oko widzę tylko udaję, bodajby on tak na oba oczy widział całe życie jak ja widzę. Sprawa idzie o 6 tys. zł. i chwilami jak widzę jak to wszystko w tym sądzie idzie to chce mi się machnąć ręką i dać spokój, ale koledzy i matka mnie dopingują do dalszego prowadzenia sprawy. Ja bym to załatwił po swojemu wykłółbym mu oko i sprawa załatwiona.

Dn. 12.9. 1941

Niemcy utworzyli organizację Toda i werbują młodych Polaków do różnych robót przyfrontowych, za żarcie, ubranie i parę zł. Stworzyli również organizację samochodową Stralo i przyjmują polskich szoferów do jazdy na ich samochodach. Warunki w Stralo są trochę lepsze jak w Todzie. Ale to wszystko im nic nie pomoże do wygrania wojny.

Dn. 27.9. 1941

Już tydzień jak pracuję w piwnicach Wedla, podwozimy z owocarni beczki z marmeladą i ustawiamy w piwnicach. Jem

teraz chleb zabierany z domu z różnego rodzaju konfiturami i owoce które przywożą całemi furgonami do firmy. Mam trochę gorzej, ale można wytrzymać.

Dn. 29.9. 1941

Wczoraj miałem wypadek, beczka 300 kg. z rombarbarem zgniotła mi palec, przy staczaniu jej na ziemię. Jest to wina mojego towarzysza pracy. Bo gdyby on puścił beczkę w tym czasie co ja to wszystko byłoby dobrze, a on puścił wtedy gdy ja jeszcze trzymałem, no i stało się. Dostałem od lekarza 5 dni zwolnienia, ale przyjdę do pracy bo mi nie zapłacą mam dniówkę 10 zł. dziennie i połowę deputatu Stachurka a teraz potrzebuję pieniędzy na opłacenie jazdy samochodowej, zresztą Boże kiedy ja nie potrzebowałem pieniędzy.

Dn. 30.9. 1941

Dziś przyszłem do pracy i nie pracowałem bo kierownik nie dał, powiedział że jak mam zwolnienie, to nie mogę pracować bo ciężkiej pracy z chorą ręką nie mogę wykonywać a lżejszej on dla mnie nie ma choć była. Poszedłem do wyższej instancji i znalazła się dla mnie robota, ale cóż z tego gdy już wieczorem przy wypłacie dostałem wymówienie pracuję tylko jeszcze cztery dni, a potem, potem znów bez pracy, i tak w kółko. Jak zdam egzamin to może pójdę do tego Stralo pracować, jak nie ma dla mnie roboty u Polaków, to będę musiał iść do niemców pracować, taki jest porządek rzeczy i tak widocznie musi być.

Dn. 5.10. 1941

Nie pracuję u Wedla ani w ogóle nigdzie. Stefan stara się mi o miejsce w zakładach niemieckich u Bindera gdzie sam pracuje, Wacuś też tam robi i Wacka brat Stasiek, jednym

słowem cała paczka morowych chłopaków. Wczoraj zdawałem egzamin i z ustnego poszło mi b. dobrze, ale z jazdy się obciełem. Wykręcałem tyłem z ulicy Działdowskiej w ulicę Wolską i zamiast stanąć przy bandzie chodnika po prawej stronie, to stanąłem po lewej i już koniec, mam jeszcze wziąć dziesięć jazd i będę za tydzień powtarzał egzamin, może mi lepiej pójdzie niż ten.

Dn. 8.10. 1941

Byłem u ojca i usłyszałem taką opowieść, był ojciec naocznym świadkiem. Ulica Żelazna jest przepołowiona drutami gdyż w połowie należy do ghetta a połowa do dzielnicy polskiej. Z jednej z bram po stronie polskiej wyskoczył mały żydziaczek obdarty i trzymając bochenek chleba pod pachą co sił podbiegł do drutów, chcąc się przedostać na drugą stronę, ale oczy krwawego zbira bystro patrzały aby najmniejsza uncja żywności, na powierzonym odcinku, nie przedostała się do głodnego ghetta. Gdy dzieciak siedział już na drutach, nie wiadomo skąd wyleciał z rzemiennym batogiem w ręku i przyskoczywszy do małego, zaczął go okładać z dziką pasją. Po pierwszych razach, mały krzyczał nieludzkim głosem i szamotał się, bo zaplątał się w drutach i nie mógł zeskoczyć, później już nie krzyczał, tylko wątłe ciałko drgało na drutach, nie wiadomo czy od uderzeń bata, czy z bólu, a może jedno i drugie. Chleb który wysunął się z rąk małego, dziwnym trafem potoczył się na stronę żydowską, takie było widocznie przeznaczenie, w tej chwili leżał na bruku i był niczyj, ale zapłacony po najwyższej cenie jaką można osiągnąć — życiem człowieka. Chłopak już wisiał teraz jak strzęp szmat bez życia, krew strużkami ściekała na bruk, tworząc małe jeziorka. Poprzez przecinane ubranie widać było ciałko nikłe jakieś i takie dziwnie czarne. Gestapowiec się zmęczył, zatknął pejcz za pas, ręce obtarł chusteczką, splunął, zapalił papierosa i odszedł najspokojniej w świecie w kierunku sie-

dziby NSDP na Żelaznej. To co było kiedyś małym człowiekiem, wisiało teraz na drutach, jak mucha w pajęczynie i tak wyglądał jak mucha, mały czarny nieruchomy i tak jak mucha — wyssana przez pająka, tak i on nie miał w sobie życia ani krwi, żałosny szczątek człowieka wyssanego — pozbawionego życia przez hitlerowskiego pająka. Działo się to w dzień o godzinie 4 po południu na oczach oniemiałej ze zgrozy i wściekłości ludności polskiej i z drugiej strony wylęknionej ludności żydowskiej, przyglądającej się temu w jakimś dziwnym skupieniu, jak by to było jakieś nabożeństwo. Po odejściu kata jeden z Żydów podniósł chleb, długo na niego patrzył, obtarł rękawem i poszedł dalej. Był to klasyczny przykład „kultury" niemieckiej, wszczepianej dziś wszystkim ludom Europy przez katów ludzkości.

Dn. 13.10. 1941

Zdałem egzamin, dostałem już prawo jazdy trzeciej klasy. Do Stralo nie poszedłem bo już nie przyjmują na razie ale zato pracuję u Bindera razem ze swoimi chłopakami, ze Stefanem razem jeździmy do pracy i z pracy na rowerach. Firma mieści się na ulicy Przyokopowej w Warszawie. Zakłady składają się właściwie z kantoru, z hali i z placu, na który się zwozi zrabowane maszyny z polskich zakładów pozamykanych przez oprawców hitlerowskich oraz z terenów ghetta warszawskiego. My te maszyny zładowywujemy, czyścimy i ustawiamy na placu lub w hali za 15 zł. dziennie i deputat pożal się Boże. Jest to rozbójnicza firma, zresztą jak wszystkie firmy niemieckie. Maszyny które dostają darmo, odświeżają i sprzedają za nowe do niemiec wywożą.

Dn. 14.11. 1941

Sprawę o odszkodowanie wygrałem lecz cóż z tego, pieniędzy nie będę widział, gdyż mój pracodawca założył ape-

lację i znów będę czekał parę tygodni aż sprawa wyjdzie i w końcu nie wiadomo jaki będzie rezultat już tak mi to wszystko zbrzydło, że zaniechałbym tego wszystkiego, ale jak wytrwałem tyle to muszę i wytrzymać do końca. Rentę mi podwyższyli dostaje teraz 52 zł. miesięcznie. Do tej pory nie pisałem o tym bo było mi przykro, ale teraz muszę. Od czasu wybuchu wojny pomiędzy Związkiem Radzieckim a niemcami to jest od dnia 22. 6. 41 r. upłynęło pięć miesięcy, a niemcy wciąż idą naprzód, choć w wolniejszym tempie jak na początku ale naprzód i wojska radzieckie nie mogą powstrzymać fali barbarzyńców, a może specjalnie, wciągają ich w głąb aby tem skuteczniejsze spuścić im lanie, nie wiem, a chciałbym bardzo wiedzieć, ale mój mózg jest na to za ciasny. Przykro mi jest dlatego, że jak chodziłem do ojca to stale się spierałem że ruski jeszcze przyjdą do nas w co ojciec nie wierzył i kategorycznie zaprzeczał, mówiąc że nie mają takiej dobrej broni jak niemcy, pomimo wszystko wierzę w dalszym ciągu w zwycięstwo Związku Radzieckiego. Pamiętam ten dzień gdy hitlerowscy mordercy wyruszyli na podbój. Była to słoneczna niedziela, byłem ze Stefanem nad Wisłą na plaży, i nic nie znamionowało niezwykłych wydarzeń. Gdy w tym pośród plażowiczów powstał jakiś ruch i wszyscy zaczęli się ubierać pośpiesznie, za chwilę całą plażę obiegła nowina, podawana z ust do ust, nie wiadomo skąd przybiegła „Wojna pomiędzy Związkiem Radzieckim a niemcami". Wszyscy opuszczali plażę lecąc na miasto sprawdzić prawdziwość wiadomości. W pierwszej chwili myśleliśmy że to łapanka i tak ludzie uciekają. Spytałem Stefana — no jak, dadzą radę ruskim czy nie, Stefan również wierzył w zwycięstwo ruskich. A tym czasem okazało się co innego ale nie tracimy nadziei, jeszcze obszaru Rosji nie zajęli, choć piszą w szmatławcu o swoich sukcesach, to tak łatwo im nie idzie. W Rosji jest cała nasza nadzieja.

Dn. 21.11. 1941

Od ojca dowiedziałem się znów o nowym kwiatku niemieckiej „kultury". Na ulicy Chłodnej zabili niemcy szofera Polaka, który u niemców jeździł i zostawiwszy samochód w garażu wracał do domu, do którego miał jeszcze 5 m i byłby wszedł do bramy, ale że było już 5 minut po godzinie policyjnej, musiał zginąć. Oprawcy hitlerowscy ujrzawszy go na ulicy — patrol wyszła z Żelaznej — posłali mu serię w plecy, kładąc trupem na miejscu. Bez sprawdzenia dowodów, bez ostrzeżenia, krótko i skutecznie, po niemiecku.

Dn. 26.12. 1941

Na wigilii Bożego Narodzenia byliśmy u ojca mojego, skromnie ale obficie było podane, tylko dziwię się skąd ojciec bierze na to wszystko, bo przecież zarabia mniej jak ja. Posiedzieliśmy trochę, pośpiewali kolędy i przed godziną policyjną byliśmy w domu, i znów matka moja miała do nas pretensje, że do niej nie poszliśmy na wigilię. Matka zawsze ma do nas jakieś pretensje od tej chwili jak pokłócili się ze Stachurkiem przed ślubem.

Dn. 2.1. 1942

Wczoraj było u mnie kilku kolegów i Marysia — siostra Stasi i popiliśmy trochę z okazji Nowego Roku. Wszyscy żeśmy życzyli sobie nawzajem przeżycia wojny i jej rychłego zakończenia klęską niemiec. Około 12 w nocy usłyszeliśmy strzały pistoletowe i karabinowe, oraz z broni maszynowej, na chwilę serca zabiły nam żywiej, wybiegliśmy z mieszkania, myśleliśmy, że zaczęły się jakieś rozruchy, lub powstanie, ale to tylko niemcy strzelali obchodząc tradycyjnie Nowy Rok, jak to u nich jest w zwyczaju.

Dn. 20.1. 1942

Naszą organizację nakryli, aresztowali dwóch ludzi, reszta uciekła. My ze Stefanem nie nocujemy w domu, ja u ojca a Stefan u kolegi. Łapanki na ludzi do pracy w rzeszy się wzmogły, im gorzej idzie im na froncie, tym gorzej obchodzą się z nami.

Dn. 2.2. 1942

Nareszcie ostatecznie proces wygrałem. W ostatnim słowie sędzia zaproponował abyśmy się pogodzili, ale ja nie chciałem, bo pan Sochacki, mój pracodawca, dawał mi tysiąc zł., a ja wygrałem sześć tysięcy, tylko muszę brać komornika, bo czuję, że dobrowolnie od niego tych pieniędzy nie dostanę. Ale mam choć tę satysfakcję, że po długich cierpieniach sprawę wygrałem.

Dn. 27.2. 1942

Niemcy posunęli się znów w głąb Rosji, zabrali Smoleńsk, Kijów i są niedaleko Moskwy. W Afryce też im dobrze idzie. Anglicy marnie się starają. Choć przysmalali Sowietom, to jednak Związek Sowiecki ponosi teraz cały ciężar wojny. Stalin chce aby Anglicy utworzyli drugi front w Europie, a Anglicy albo nie mogą, albo nie chcą. Chwalą się tylko, że dają pomoc w sprzęcie Rosji, ale krwi swoich ludzi to żałują, zawsze biją się tylko cudzymi rękami. Zawsze znajdą głupich, co się za nich biją, a Polacy w pierwszym rzędzie.

Dn. 14.3. 1942

Nieszczęście — Stefan zeskoczył tak niefortunnie z samochodu w robocie, że złamał nogę, zabrali go zaraz do szpitala.

Jego braciszek Władzio okradł go i uciekł... do niemiec na roboty. Wacek zapisał mnie do nowej organizacji, może będzie ta dłużej egzystowała jak poprzednia. W ogóle zaobserwowałem, że te wszystkie organizacje przejawiają b. małą działalność, tylko gadanina, a roboty nic. I zamiast zjednoczyć się we wspólnym wysiłku walki z okupantem, to powstają tylko wciąż nowe partie. Jeden mądral zbierze 5-ciu głupców i już tworzą nową partię i przez to wytwarza się nienawiść międzypartyjna — jeszcze skóra na baranie, a już o kożuch się biją. Było już i tak, że wzajemnie wydają się niemcom jak to było ostatnio na Powązkach, lub do siebie strzelają brat do brata, Polak do Polaka.

Dn. 25.3. 1942

Dostałem list od Staśka, pisze że jest mu bardzo dobrze, bo jego gospodarza wzięli na front i on jest teraz całym gospodarzem, a gospodyni we wszystkim mu dogadza, a jednak tęskni za krajem i chciałby dostać urlop, o który starał się, jednak bezskutecznie, gdyż pobił się ze swoim gospodarzem kiedyś i siedział 14 dni w areszcie, i przez to stracił prawo do urlopu w tym roku. W niedzielę też musi pracować, a jak ma wolną chwilę to nie ma gdzie pójść.

Dn. 16.4. 1942

Odebrałem ze swoich pieniędzy wygranych od Sochackiego dopiero 500 zł. Jak przyszedłem z komornikiem zajmować rzeczy, to nic prawie w mieszkaniu nie zastaliśmy, wszystko powynosił, no a to co zastaliśmy, to ze sprzedaży uzyskałem 500 zł. Po te rzeczy to pojechałem z pompą wózkiem dwukołowym dużym z Wackiem i Witkiem, a z powrotem nie było co wieźć na tym wózku, na razie to on tryumfuje ale to nic, jeszcze i ja będę na wierzchu.

Dn. 22.4. 1942

Byliśmy świadkami tragicznego wypadku, tem boleśniejszego, że ofiarą padł mały czteroletni chłopczyk. Do Stasi przyjechali w odwiedziny Marysia i Ignac, rodzeństwo, a do mnie przyszedł Wacek, wypiliśmy po katolicku pół literka i wyszliśmy wszyscy razem na placyk przy ul. Potockiej, gdzie stoją karuzele, huśtawki i inne przybytki ku uciesze biednego ludu zbudowane a na pożytek właścicieli tych igrzysk urządzone, gdzie muzyka z płyt nadawana przez głośnik mąci ciszę świąteczną. Jest dzisiaj drugi dzień świąt Wielkiejnocy. Oparliśmy się o sztachetki karuzeli obserwując barwny tłum kręcący się po placu i na karuzeli, wymieniając między sobą uwagi na temat wyglądu niektórych miss Marymontu. W pewnej chwili wzrok mój padł na kobietę stojącą niedaleko toru tramwajowego, i chłopczyka bawiącego się nieopodal matki, którą była ta kobieta stojąca, jak się później okazało. W tym momencie czternastka zjeżdżała z góry od pl. Wilsona. Gdy tramwaj, który jechał b. szybko, był jakieś 10 metrów od kobiety, chłopiec podniósł się z ziemi i biegiem zaczął biec prosto pod tramwaj, jakby jakaś siła nieznana pchała go ku przeznaczeniu. Zwróciłem uwagę naszego towarzystwa na scenę rozgrywającą się przed nami, słowa nie przemówiliśmy do siebie, ale wszyscy o jednym myśleli — czy zdąży przebiec, czy motorniczy zahamuje? Chłopiec przebiegł jedną szynę i pół torowiska, wóz od niego był o metr, motorniczy dzwonił gwałtownie i zaczął hamować, w tym momencie uświadomiłem sobie, że już za późno... że już nic nie wstrzyma pędzącego wozu na czas i nikt chłopcu nie pomoże przebyć tych paru centymetrów szybciej niż on biegł. Matka jego stała jak posąg, bez poruszenia. Po paru sekundach było po wszystkim. Tramwaj potrącił chłopca, gdy ten był już jedną nogą za szyną, przewrócił się na wznak na środek szyn. Stasia zbladła, a ja nachyliłem się żeby lepiej widzieć, a nuż nie przejedzie, ale nie, widziałem do-

kładnie jak deska ochronna go odrzuciła, dwa razy się przekręcił, dostał się pod deskę, pierwsze koło przeszło po nim i tramwaj ze zgrzytem stanął. Mdlejącą Stasię odprowadził Wacek do domu, ja pobiegłem na miejsce wypadku. Wydobyli go spod tramwaju, był już trup, koło przecięło go na pół w pasie. Matka chłopca przebiegła też na drugą stronę tramwaju, wokół którego zebrał się tłum, a dowiedziawszy się, że nie żyje, zemdlała. Tymczasem zaczęto spisywać formalności urzędowe, zaczęły się komentarze, kto winien i tłum rósł, jedni potępiali matkę, że nie pilnowała chłopca, drudzy winili motorniczego, że za prędko jechał, moim zdaniem to oboje byli winni. W pewnym momencie w jakieś 10 minut po wypadku nagle usłyszałem nieartykułowany krzyk, obejrzałem się, ujrzałem jakiegoś mężczyznę biegnącego z rozwichrzonym włosem. Wpadł w tłum i zaczął roztrącać, rozpychać, kopać ludzi najbliżej stojących na jego drodze. Uderzył jakiegoś młokosa, który był z lekka na gumowych nogach i uderzony zaczął szurać do mężczyzny, którym się okazał później ojciec przejechanego dziecka. Młodzian złapał ojca za klapy chcąc zaaplikować mu parę byków, a mówiąc językiem marymonckim, dać mu włosy swoje do powąchania, ale publiczność natychmiast zmitygowała młodzieńca kilkoma prostemi i paroma kopami w okolicę pierwszej krzyżowej, winszując mu przytem wszystkiego najlepszego. W ten sposób młodzieniec opuścił grono widzów dość szybko. Ojciec przejechanego, zobaczywszy zwłoki dziecka, najpierw uderzył dwa razy głową w tramwaj, następnie przypadł do dziecka, zasypując jego martwą ubrudzoną twarzyczkę pocałunkami, przeplatając okrzykami rozpaczy: „Synu mój kochany! dlaczego nie żyjesz?“ Poczem porwał trupka na ręce, nie bacząc na to, że krew uchodząca ze zwłok oblewa mu całe ubranie, zanim ktokolwiek z patrzących się zorientował, roztrącił tłum i znikł w najbliższej uliczce. Jak się później dowiedziałem, zaniósł syna do domu i położył na łóżku, a sam usiadł naprzeciwko i wpatrywał się w niego, nie wpuszczając

nikogo do mieszkania. Tramwaj ruszył w dalszą drogę, tłum się rozszedł i ja przyszedłem do domu. Stasieńka czuła się już lepiej, ale była jeszcze bardzo blada. Na cały wieczór były prowadzone między nami komentarze na ten temat wypadku (byłem naocznym świadkiem).

Dn. 5.5. 1942

Po kłótni ze swoim majstrem, przestałem pracować u Bindera, w rozbójniczej firmie, teraz znów będę chodził szukał pracy. Stefan wciąż leży jeszcze w szpitalu, kość mu się źle zrosła i łamali mu drugi raz, a ponieważ jest to w kostce, sprawa się komplikuje, ale zapoznał w szpitalu ładną dziewczynę, pierwszorzędną w każdym calu, Irka się nazywa, mówi że może będzie się żenił jak wyzdrowieje.

Dn. 19.5. 1942

Mówią że jak kto szuka, to znajdzie, a co to obojętne, tak i ja szukam roboty i mały figiel a znalazłbym robotę jak nigdy w życiu, historia jest trochę dziwna ale prawdziwa. Otóż zjadłem trochę świeżej zieleniny i dostałem czerwonki, a ponieważ nie pracuję, nie przysługuje mnie pomoc lekarska, więc chcąc się ratować, poszedłem do Opieki i tu dostałem blankiet niebieski, z którym udałem na na ul. Skaryszewską, gdzie rzekomo miałem otrzymać pomoc lekarską. Lecz cóż się okazało na miejscu. Doktór mnie zbadał i powiedział, że nadaję się do roboty w rzeszy, tylko jak mnie czerwonka opuści, to zostanę wysłany do niemiec, poczem dał mi żółty blankiet czyli tymczasowe odroczenie i kazał do niego się zwrócić jak wyzdrowieję. Byłem oszołomiony i niepomiernie zdziwiony, ale wolałem nie pytać się, tylko grzecznie się pożegnałem i już mnie nie ma. Nie umiem sobie wytłumaczyć, co to było, czy pomyłka, czy złośliwość, ale wo-

lałem nie chodzić i nie sprawdzać. A wyleczyć to sam się wyleczyłem, trzymając się diety i jedząc te wszystkie lekarstwa, jakie usłużni sąsiedzi i znajomi doradzali.

Dn. 2.6. 1942

Był u mnie Wacek z chłopakami z organizacji, do której i ja należę, najpierw piątkowy odczytał najnowsze wiadomości, potem czytał instrukcje służbowe, następnie przerabialiśmy trochę musztry i umówiliśmy się na następne spotkanie.

Dn. 14.6. 1942

Dziś byliśmy na mieście rozlepiać ulotki. Pojechaliśmy raniutko pierwszym służbowym tramwajem. Na rogu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej było jeszcze b. mało przechodniów, spotkaliśmy jeszcze dwóch chłopaków, mieli klej, ulotki i broń. My z Wackiem naklejaliśmy a tamci dwaj stali na ubezpieczeniu, ściskając w kieszeni rękojeści pistoletów. Na powierzonym nam odcinku nakleiliśmy 8 sztuk. Cała robota trwała 10 minut i przeszła na czysto. Po wykonaniu zadania poszliśmy alejami do Nowego Świata, wsiedliśmy w tramwaj i jak gdyby nic pojechaliśmy do domu. W parę godzin później ludzie już mówili o nas. Że ktoś rozlepiał ulotki w samym centrum Warszawy, dziwiono się, byliśmy dumni, ale podczas roboty mieliśmy trochę pietra, tylko nie przyznawaliśmy się między sobą do tego, to była pierwsza nasza robota na mieście.

Dn. 1.7. 1942

Jak nie miałem roboty, to żadnej, a jak teraz, to naraz dwie. Przysłali mi wezwanie z Poczty, do której złożyłem

papiery i od „Opla", gdzie starałem się do roboty. I nie wiedziałem gdzie iść, warunki mniej więcej jednakowe. Chodziłem nawet w tej sprawie poradzić się ojca, ale ojciec dał mi b. mądrą radę. Powiedział „Ja ci radzę rób, jak uważasz". Stasi się pytałem, ale w końcu i tak sam zadecydowałem i poszedłem pracować do „Opla". Są to zakłady samochodowe, gdzie remontuje się samochody marki „Opel" wszystkich typów. Maszyny przychodzą z frontu i odchodzą na front. Pracuję tam w charakterze montera, na podwoziach, mam 12 zł. dziennie plus deputat, jak: wódka, papierosy, owoce oraz trochę artykułów spożywczych. Grunt że mam blisko do pracy, bo zakłady mieszczą się na ul. Włościańskiej w dawniejszych garażach MZK. Majstrami na wszystkich działach są niemcy, którzy nie umieją po polsku i nie możemy się z nimi porozumieć, co utrudnia robotę. Mamy dwóch tłomaczy, ale ich nigdy nie ma, tam gdzie potrzeba lub gdzie powinni być, porozumiewamy się na migi. Mam przydanych do pomocy dwóch praktykantów, co mnie napawa prawdziwą dumą, tylko że ich też nigdy nie ma przy robocie, szwendają się gdzieś i ja muszę pracować i za nich i za siebie.

Dn. 12.7. 1942

Stefan wyszedł już ze szpitala, ale chodzi o lasce. W niedzielę przy ładnej pogodzie byliśmy na plaży, on był ze swoją narzeczoną, może i będzie z nich nabożeństwo. Wczoraj do pracy przyprowadzili jeńców sowieckich z fortu Bema, są strasznie wynędzniali i marnie ubrani, dali im najcięższe roboty. Ściągali popsute samochody z terenu zakładów, wyskakiwałem co i raz z hali aby im się przyjrzyć choć z daleka i posłuchać ich mowy. Chciałbym im podać parę papierosów, ale nie mam sposobności, dopiero drugi dzień jak ich przyprowadzają, to pilnują bacznie abyśmy nie zarazili się od nich komuną, lub nie dowiedzieli prawdy o froncie wschodnim. Nadzór nad fabryką sprawuje SS, to wystarczy aby

mieć pojęcie o rygorze, jaki u nas panuje. Niedawno odesłali jednego robotnika do Treblinki za to, że trzy dni nie był w pracy.

Dn. 28.7. 1942

Stefan znów się do mnie sprowadza ze swoją narzeczoną, bo na razie nie ma gdzie, zezwoliłem mu na to. Stachurka znów jest w odmiennym stanie, ale chodzi tak ładnie i jest energiczna tak, że wcale po niej nie znać, obliczamy na grudnia, że już powinno coś być, ja chciałbym syna, a ona nie wiem. Warunki jeńców sowieckich się poprawiły i teraz mogę podać co dzień im trochę jedzenia i papierosów, nie dziękują mnie za te rzeczy, ale w oczach ich widać bezgraniczną wdzięczność. Dowiedziałem się od nich, że gdy dostali się do niewoli, to byli wyekwipowani jak wszyscy żołnierze armii europejskich, tylko niemcy chcąc zohydzić ich w oczach innych ludów, pozabierali im wszystko co było możliwe do chodzenia, dając w zamian za to łachmany i drewniaki, zrobili z nich dziadów, jest to jeszcze jeden z „kulturalnych" chwytów propagandy hitlerowskiej, lecz my i tak w to co oni chcą żebyśmy uwierzyli, nie wierzymy.

Dn. 2.8. 1942

Dziś od nas z fabryki drugiego robotnika zabrali do Treblinki również za to, że trzy dni nie był w pracy. Niemcy coraz gorzej z nami się obchodzą. Przyjechał jakiś kapitan niemieckiej marynarki na samochodzie marki „Opel-Kapitan" i żaden z niemieckich mechaników nie potrafił go zreperować, choć latali naokoło wozu, jak opętańcy, bo kapitanowi b. się spieszyło, dopiero jeden z polskich mechaników usunął defekt. Jeden z praktykantów polskich rozbił wóz o drzwi garażu, zapomniał, że wóz był na tylnym biegu i włączył gaz

i zamiast do przodu, pojechał do tyłu i uderzył w drzwi. Wóz był po remoncie i po próbnej jeździe miał być dziś oddany. Gdy dowiedział się o tym wypadku dyrektor SS-man, uderzył chłopca w twarz, mówiąc że na tym kończy się jego kara, i zwracając się do nas, zapytał czy słusznie postąpił, czy nie uważamy tej kary za wysoką i błyskał ku nam wściekłymi oczami. Z początku żaden z nas się nie odezwał, lecz później w obawie aby względem chłopca nie zastosowano gorszych represji, przytaknęliśmy mu. Wszystko to są pomniki „kultury" niemieckiej, które na zawsze pozostaną w pamięci naszej i naszych dzieci, które będziemy wychowywać w nienawiści do niemców i wszystkiego co niemieckie.

Dn. 10.8.1942

O krok byłem od kalectwa lub śmierci. Rozbierałem podwozie małego wozu opel-olympia i źle podstawiłem koziołki, jeden z nich był wyższy, a sam leżałem pod wozem po tej stronie, gdzie był niższy koziołek i w pewnym momencie wóz przechylił się i przygniótł mnie, zdążyłem tylko wysunąć głowę i krzyknąć. Monter, który robił obok mnie podskoczył i przytrzymał, aż przylecieli inni i mnie wydobyli. Nic mi się nie stało, byłem trochę podrapany, miałem poprzecinaną skórę w wielu miejscach. Po skończonej pracy na portierni nas rewidują, tak że nie można nic wynieść, a benzyny mamy po 60 litrów i więcej, ponieważ nie możemy jej wynieść, to wszyscy monterzy, którzy należą do organizacji jakiejś, i ja, wylewamy tę benzynę do kanałów, choć w ten sposób walczymy z okupantem, w myśl naszych tajnych instrukcji: „Sabotować, mała produkcja, niszczyć, psuć i uszkadzać". Niemcy też o tem wiedzą, bo zapowiedzieli wszystkim polskim monterom, że jeśli choć jedna śruba w samochodzie po remoncie będzie źle zakręcona lub zaszplintowana, to tego, który będzie winien, czeka Treblinka. Terror w stosunku do Żydów i Polaków rośnie z dnia na dzień. Parę dni temu na

Potockiej postrzelono lotnika, wszyscy mężczyźni z Marymontu pouciekali i ja też, myśleliśmy że będzie obława, ale nie było nic.

Dn. 16.8.1942

Dostałem parę dni zwolnienia od lekarza i za to nie dostałem wódki, ani deputatu, warunki u nas się pogorszają. Miałem dziwne zdarzenie. Jechałem czternastką do domu z miasta i na przystanku koło Muranowskiej dowiedzieliśmy się, że koło gen. Zajączka łapią tych, co nie mają kennkarty i arbeitskarty, co nie pracują. W jednej chwili tramwaj opustoszał, zostałem tylko ja, jakaś stara kobieta i konduktor. Nie wysiadłem, bo nie chciało mi się czekać na drugi tramwaj lub iść na piechotę, a papiery miałem w porządku. Dojechaliśmy do tego przystanku pracy. Po zatrzymaniu wszedł gruby jak świnia niemiec cywil, poznałem go od razu, był to kierownik żoliborskiego arbeitsamtu — Warszawa-Północ. Przeszedł przez wagon, zapytał konduktora co on tu robi, zażądał od niego książki pracy, przejrzał, oddał mu, popatrzył chwilę na mnie, ja na niego i nie pytając o nic wyszedł. Gdyby życzenia ludzkie mogły się spełnić, to w tej chwili szwab leżałby na ziemi z pękniętym kałdunem. Gdy mijaliśmy przystanek, widziałem zamkniętych w budce tramwajowej, zbitych w kupkę ludzi — transport nieszczęśliwych — bydło robocze dla wielkich niemiec, byli to przeważnie młode dziewczęta i chłopcy w wieku szkolnym. Przez migające szyby wagonu ujrzałem jeszcze porozstawianych gęsto żandarmów. Szkoda, że nasi chłopcy nie wiedzieli zawczasu o tym, boby zrobili robotę.

Dn. 20.8.1942

Stefan z Irką już się wyprowadzili od nas i w ogóle rozeszli, nie mogli się pogodzić pod względem finansowym.

Stasieńka dostała od swojego ojca trochę mebli i brata Mietka w spadku. Ten jej braciszek ma 14 lat i jest mało rozwinięty umysłowo, tak że żadnej pomocy z niego w domu nie było, oddałem go więc do szkoły rzemieślniczej im. Konarskiego na Leszno w ghecie, na praktykę i posyłamy mu co tydzień paczkę, choć u nas samych w domu bieda piszczy i chleb z marmeladą jest codziennym naszym pożywieniem. Pracę u Opla chyba rzucę, bo już się nie opłaci robić, bo nie ma za co, deputatów nie dają, ani wódki, ani papierosów. Muszę się rozejrzeć za nową pracą. Stachurka nosi swoją przyszłą pociechę, w nocy słuchamy oboje, a właściwie czujemy, kładę rękę na brzuch i wyczuwam ruchy dziecka, ciekawość nas źre co też będzie. Szukam teraz mieszkania, bo w tym po sprowadzeniu gratów od teścia to nie ma się gdzie ruszyć. Jak znajdę mieszkanie, to obecne odstąpię matce.

Dn. 29.8. 1942

Mieszkamy już na nowym mieszkaniu, również na Marymoncie, tylko że dwie ulice dalej, na Horyńskiej Nr 14. Mamy również jeden pokój, ale duży, zapłaciliśmy za trzy miesiące z góry, a mieszkanie na Szlacheckiej oddaliśmy matce. Właścicielem domu jest zawodowy złodziej, ale co robić, jak gdzie indziej nie mogłem znaleźć. Stasia wzięła działkę w dzierżawę na ul. Kamedułów żeby było nam lżej, będzie tym więcej roboty, ale na zimę przyszłą będziemy mieli swoje warzywa i kartofle. Niemcom coraz gorzej idzie na froncie wschodnim, bo organizują krucjatę w całej Europie przeciwko bolszewizmowi. Stworzyli legion ochotniczy francuski, hiszpański, armię numiską, fińską, wcielili do wojska Czechów, Słowaków, Łotyszów, Litwinów, Ślązaków i Poznaniaków, tylko w jednej Polsce nie mogli stworzyć ochotniczego legionu, i jestem dumny z tego, że należę do tego narodu, w którym nie ma zbiorowych zdrajców, są tylko zbiorowe mogiły i pojedyńczy zdrajcy współpracujący z okupantem.

Był wprawdzie taki pan hrabia Ronikier, który usiłował stworzyć coś w rodzaju rządu marionetkowego, który byłby posłuszny okupantowi, ale p. hrabiego prędko zgasili.

Dn. 3.9.1942

Oko moje zaczyna dawać znać o sobie, boli mnie trochę. Byłem u lekarza i dowiedziałem się, że muszę znów iść na operację, trzeba ściągnąć kataraktę, ale na razie nie, bo oko jest podrażnione. Ile razy przypomnę sobie o swoim kalectwie, to płakać mi się chce nad swoim losem i życiem, jedynym słonkiem mego smutnego życia, które mi go opromienia, jest Stachurka. Ona swoją dobrocią łagodzi moje nerwy i żal i ból, który mnie trawi bezustannie. Nie chce mi się po prostu żyć, jak pomyślę o swojej doli. Pracuję, pieniędzy nie przepijam ani nie przegrywam, marnie się odżywiam i nie mogę sobie na nic pozwolić kupić z odzieży czy z obuwia, wciąż chodzę w drewniakach. I są tacy, którzy mrą z głodu na ulicy, podczas gdy inni bawią się i na każde skinienie mają to co chcą. Czy to jest ta sprawiedliwość Boża? Albo gdzie jest Bóg, który widzi wszystkie zbrodnie hitlerowskie i pozwala na nie, nie karząc ich. Stanowczo jest tu coś nie w porządku. Chciałbym aby ta przeklęta wojna jak najprędzej się skończyła, bo dłużej już nie wytrzymam, załamuję się psychicznie, bo na co żyć, by przeżyć wojnę, i znów tak się mordować. W partii mi mówią, że po wojnie Polska będzie ludowa inna, lepsza, sprawiedliwsza, ale jaką gwarancję mam, że faktycznie będzie tak, że ja będę też coś znaczył jako człowiek.

Dn. 6.9.1942

Wielka awantura arabska była u nas w domu, a zaczęło się jak zwykle przez przeklęte pieniądze. Stasieńka znalazła w fabryce 500 zł., co dla nas jest wielką sumą, i nic o tym mnie nie powiedziała, tylko Stefanowi. Ja wiedziałem od niej

tylko o 100 zł. że znalazła. Gdy się dowiedziałem prawdy, przyszedłem do domu i zacząłem ze Stasią awanturę, dlaczego mi nie powiedziała prawdy. Od ostrych słów przyszło do rękoczynów i uderzyłem Stachurka w twarz i kopnąłem w brzuch, tak dalece się zapomniałem, że dziś wstydzę po prostu się o tym wspomnieć. Stachurka się chciała wyprowadzić, jedną noc nocowała u sąsiadki, ale dziś już jest wszystko dobrze, przeprosiłem ją i przyrzekłem sobie w duchu i jej na głos, że nigdy w życiu już na nią ręki nie podniosę. To co zrobiłem, to był wynik trwającej wciąż wojny. Człowiek nie jest pewny dnia ani godziny. Idę do pracy i nie wiem czy wrócę. To tak mnie wyczerpuje, że z trudem powstrzymuję się od picia czy robienia innych głupstw. Ogół ludzi przytępia sobie nerwy bimbrem tak u nas popularnym, sprzedawanym po cichu w każdym sklepie czy budce, a ja nie mogę sobie na to pozwolić, bo nie mam pieniędzy. Wszystko przetrawiam w sobie, nie okazując nic zewnętrznie.

Dn. 9.9. 1942

Stanowczo nie mogę pracować w fachu metalowym — dziś miałem wypadek. Nie mogłem ściągnąć koła tylnego z opela, założyłem przyrząd, który trzymał praktykant, a ja waliłem młotem i dostałem odpryskiem metalu w rękę prawą, który mi przeciął skórę i utkwił głęboko w mięsie między trzecim a czwartym palcem. Ręka spuchła mi w błyskawicznym tempie i ręka zrobiła się czerwona jak oparzona i czułem głuchy ból i nic do ręki nie mogłem wziąść ani zamknąć dłoni. Poszedłem do majstra żeby mnie zwolnił do lekarza, bo i tak nie mogę nic robić, ale ten odesłał mnie do lekarza fabrycznego — niemca, ten po obejrzeniu ręki oznajmił mi, że mi nic nie jest, że ja tylko udaję. Po tym orzeczeniu największą moją przyjemnością byłoby kopnąć w tą wredną mordę niemiecką niemieckim drewniakiem, jaki właśnie miałem na nodze. I tak musiałem siedzieć do 6-ej choć nic nie robiłem, ale cholera

mną rzucała, że ja w takim stopniu jestem zależny od tych skurwysynów i postanowienie moje zapadło nieodwołalnie, jak wyjdę dziś z pracy, więcej nie wracam. Żeby mnie poszukiwali, żeby nie wiem co, najwyżej wyjadę do pracy z jaką firmą na wschód. Ręka mi teraz wieczorem trochę stęchła i mniej boli, jutro idę do lekarza naszego polskiego i na pewno dostanę zwolnienie.

Dn. 13.9. 1942

Byłem u lekarza Węglewicza i na prześwietleniu, które wykazało, że faktycznie mam odprysk metalu wielkości ziarnka pieprzu w ręku pomiędzy trzecim a czwartym palcem. Lekarz powiedział, że jak nie będzie się ręka paskudzić, to może sobie siedzić, a jak nie, to będą wyjmować. Zwolnienie dostałem do czwartego października. Żeby było kawałek mięsa w domu na święta, kupiłem trzech króli. Stachurka tak tęskni za mięsem. Ostatecznie powiedziałem sobie, że do Opla pracować więcej nie pójdę i w ogóle pracy, która ma coś wspólnego z metalem się nie podejmę.

Dn 20.9. 1942

Dostałem pracę w warsztacie stolarskim, odbieram drzewo spod krajzegi i szabowni i układam je na jednym miejscu lub przenoszę z miejsca na miejsce. Robota nie jest ciężka, tylko długo się pracuje, od 7 do 7, dwanaście godzin i cały czas na nogach. A potem co ja jem, to nie mam siły i przychodzę do domu taki zmęczony, że po zjedzeniu kolacji kładę się zaraz spać. Zakład się mieści w starym bunkrze Cytadeli, koło ojca. Nie wiem ile będę miał na godz., bo dopiero tydzień robię i dostałem zaliczkę 90 zł. Zrobił mi się na ręku czyrak — wrzód i za tym jednym posypie się pewnie więcej, ja już mam takie szczęście do tych wrzodów.

Dn. 29.9.1942

Byłem u ojca i opowiedziałem mu o swoim wypadku, to powiedział, że jestem ofiara i sam sobie winien i że tutaj gdzie teraz pracuję, to mi krajzega rękę utnie — zobaczymy, tak to mnie współczuł i pocieszył kochający ojczulek, ażeby szlag to wszystko trafił, albo mnie raz nareszcie.

Dn. 7.10.1942

Złe fatum mnie ściga, tak jak inni ludzie mają aniołów — stróży, którzy nad nimi czuwają i chronią od nieszczęścia tak ja mam widać anioła — przekleństwa, który ustawicznie dogląda i stara się abym był stale przygnębiony, czegoś nieokreślonego się lękał i ostatecznie osiągnął swój cel. Przede wszystkim złamana została moja uparta wola i energia, z jaką stawiałem opór wszelkim nieszczęściom, jakie dotychczas mnie spotkały. Energia z jaką zabierałem się na nowo do pracy, energia z którą dążyłem do czegoś, znikła. Właśnie ta cała moja zdawałoby się niewyczerpalna i niezniszczalna energia skończyła się. Na taki stan duchowy złożyło się: zdechły mi dwa króliki, na jednym ręku mam trzy czyraki na drugim dwa. Są to właśnie przyjemnostki, które mi mają dodać bodźca do intensywnej pracy i przetrwania wojny. Teraz złożyłem podanie do policji, bo są przyjęcia i jestem ciekawy czy mnie przyjmą czy nie. Tym tylko na razie żyję, jak mnie nie przyjmą to wiem, to czuję dobrze że popadnę w odrętwienie, ale tym razem już nic mnie nie będzie w stanie zbudzić do nowego zapału, lub do jakiegoś czynu. Staję się coraz więcej obojętny na wszystko, na ból ludzki, na nieszczęścia i na swoją własną nędzę, ogarnia mnie apatia.

Dn. 15.10.1942

W warsztacie na razie nie ma roboty i nie pracuję. Zapoznałem się z sublokatorem naszych sąsiadów i byłem z nim

na szmuklu, pod Białymstokiem, ale marnie nam poszło. Stosunkowo droga jest uciążliwa i daleka 55 km. w jedną stronę na piechotę i z powrotem, a zarobek mały i trudny. Ale trochę zarobiłem.

Dn. 18.10. 1942

Byłem na komisji lekarskiej w związku z przyjęciem do policji i zostałem odrzucony, a wszystko przez oko oczywiście. Gdyby lekarz badał mnie na zwykłej tablicy, na jakiej badają wzrok wszędzie, to numer by się udał, ale on mi dał kartę drukowaną i kazał z niej czytać z odległości 4-ch metrów, to ja nawet zdrowym okiem nie widziałem, no i odpadłem.

Dn. 23.10. 1942

Chodzę po lekarzach i wyłudzam zwolnienia, żeby mieć jak najdłużej spokój z oplem. Ponieważ nie mam żadnego zajęcia albo będę robił ze Staśkiem Bednarskim — sublokatorem sąsiadów bimber, albo będę jeździł z nim do Rosji po złote ruble. Tylko czekamy na powrót jednej szmuklerki która stale jeździ i przywozi i nic jej nie odbierają, bardzo szybko obraca (mam podejrzenie że i ją niemcy też obracają).

Dn. 17.11. 1942

Stasia będzie musiała iść niedługo do szpitala wszystkie formalności już załatwiłem. Na myśl o tym dziecku to włosy mi dęba stają, jak my sobie damy radę, kiedy we dwoje ledwie dychamy z mortusu. Karta zwycięstw niemieckich już się odwróciła zdaje się. Niemcy Stalingradu nie zdobyli i rozpoczęli odwrót a i w Afryce dostają baty. Chwila zwycięstwa już niedaleka jest to tylko mnie krzepi, chciałbym dożyć tej chwili

gdy potęga niemiecka zostanie złamana, gdy będę mógł plunąć szwabowi w twarz za wszystkie nasze upokorzenia, za moje zmarnowane lata, za kalectwo, za dni głodu i poniewierki i strachu — zapłacimy za wszystko!

Dn. 25.11. 1942

Siedzę bezczynnie i szlak mnie trafia, nie mogę dostać pracy. Złożyłem podanie do Vistuli i nie przyjęli mnie, do tramwai to samo, już nie wiem co będę robił. Z bimbru nic bo kocioł sprzedali. Ze szmuklu po złoto nic, 22 kumpli Bednarskiego gestapo złapało, on sam ledwie uszedł — jechać nie można. Mamy 800 zł. odłożone w domu i nie wiem na co ich obrócić. Rozmyślania moje doprowadziły mnie do rewelacyjnych postanowień. Jak nie będę miał co dać jeść naszemu dziecku, to okradnę babkę — sąsiadkę moją która handluje i dobrze się ma. A jest ta babka chytra jak Szkot. Zrobię to tylko w tym wypadku jak nie wystarczy nam na życie to co zarobię uczciwie lub warunki się nie zmienią. Chciałbym żeby wojna się skończyła, to bym został przemytnikiem. Bo wszędzie mi mówią że nie nadaję się do pracy z powodu swojego kalectwa. Pracować jako robotnik całe życie nie mam siły, i moja natura się buntuje przeciwko takim perspektywom, wiem że moje kwalifikacje i inteligencja mogłyby mi zapewnić lepszy byt ale kalectwo stoi na przeszkodzie i ludzie nie chcą mnie zrozumieć i dać pracy uczciwej, więc będę musiał albo odebrać sobie życie albo zostać przestępcą. Smutne wnioski i horoskopy na przyszłość.

Dn. 1.12. 1942

Zdecydowałem się jechać z Bednarskim w drogę za szmuklem za Małkiń, tam gdzie już byłem raz z nim, wezmę 800 zł. co mamy odłożone i przywiozę tłuszczu to się Stasi przyda. Teraz dowiedziałem się dlaczego Stasia zataiła przede mną

prawdziwą sumę znalezionych pieniędzy. — Bo chciała kupić mi jakiś prezent na urodziny 14-go grudnia, a ja ją tak wtedy sponiewierałem, naprawdę bardzo mi przykro, bardzo źle postąpiłem. Ale teraz staram się dobrocią jej odpłacić za tą krzywdę.

Dn. 18.12. 1942

Opiszę teraz swoją ostatnią jazdę w tym kierunku na szmukiel, więcej już tam nie pojadę choćbym nie wiem ile miał zarobić. W dniu 7. 12. 42 r. wyjechaliśmy z Bednarskim z Warszawy na ten nieszczęsny szmukiel. Wyruszyliśmy z dworca Zachodniego, dzięki sile fizycznej mieliśmy siedzące miejsca, co już było dużym sukcesem, zważywszy na to iż jazda miała trwać kilka godzin. Z Zachodniego do Wschodniego jechaliśmy pół godziny. Na Wschodnim ludzie którzy nie dostali się do środka wagonu aby ulżyć sobie wybili parę szyb i ruszyliśmy. Do Łochowa nic godnego uwagi się nie działo, poza niemożliwym wprost tłokiem, kłótniami i jednej pani jadaczka się nie zamykała przez cały czas. W Łochowie weszło trzech pijanych wojskowych niemców. Dwóch z nich usiadło przy dziewczętach, obmacując ich bez krempacji, ściskali i całowali się słychać było śmiechy i piski, wagon tonął w ciemności. Jeden z nich wybrał sobie dwie i wszedł z nimi do ustępu po paru minutach wyszedł, był to szczyt wyuzdania, dziewczęta nic się nie żenowały. Ten trzeci szwab chodził po przedziałach i szukał co by tu ukraść, ale nic mu się nie udało, więc usiadł i siedział, bez żadnych poza tym przygód dojechaliśmy do Małkini. Przenocowaliśmy u kolejarza. Na drugi dzień poszliśmy pod tory i pomimo że chodził koło pociągu którym mieliśmy jechać, żandarm, Bednarski poszedł i obrobił maszynistę, ja z bagażami siedziałem w krzakach. Niemiec stał z jednej strony pociągu, a my z drugiej wskoczyliśmy na wagon z drzewem i zadekowaliśmy się, tak żeby nas oko nie widziało i ucho nie słyszało. Zanim pociąg nie ruszył modliłem

się aby nie kasłać (byłem przeziębiony) nareszcie ruszyliśmy. W Czyżewie znów mieliśmy postój bo odczepiali wagon i musiałem się dusić żeby nie kasłać, staliśmy koło baraku banszuców. Przed Kitami gdzie mieliśmy wysiadać, szliśmy po dachu wagonu z tobołkami, maszynista zwolnił (daliśmy za to 40 marek) i zeskoczyliśmy. Na wieczór byliśmy w Mościskach, gdzie nocowaliśmy. Na wieść, że przyjechaliśmy zeszli się gospodarze i Bednarski zaczął pokazywać i zachwalać swój towar, to wszyscy pokładali się ze śmiechu, ale nic nie kupowali. Na drugi dzień po obejściu paru chałup, pomimo że we wsi byli żandarmi, sprzedaliśmy trochę towaru. Ja miałem parę fartuchów, trochę pończoch, sukienkę i farby. Potem udaliśmy się do miejsca przeznaczenia do Osip, w których byliśmy około południa. Tu dopiero zaczęły się nasze przygody. Na drugi dzień z rana złapali nas żandarmi, którzy przyszli aresztować chłopa u którego nocowaliśmy a który był posądzony o podpalenie chałupy sąsiadowi. Obrewidowali nas, Bednarski gęsto się tłumaczył, w końcu zabrali nasz towar i rozdali babom których napchała się cała izba, a które obdarowane tak niespodziewanie zaraz się wyniosły. Zostawili nam tylko 16 marek na pociąg i zapowiedzieli, żebyśmy zaraz się wynosili a jak jeszcze raz nas spotkają to zabiorą do obozu w Zambrowie. Bednarski swój towar co lepszy zdążył już sprzedać, a 10 kg słoniny ukrył, miał szczęście. Po śniadaniu poszliśmy po chałupach odebrać co gdzie jeszcze nam się należało i wieczorem mieliśmy jechać do Warszawy, już wtedy postanowiłem sobie więcej tu nie przyjeżdżać. Po drodze wstąpiliśmy jeszcze po dwóch warszawskich Kryjanów (tak nazywają tam szmuklerów z Warszawy, bo się muszą kryć) po Władka i Mietka, którzy czule z nami się przywitali, gdyż mieli już dobrze w czubie i zaraz kazali litra a Bednarski dał kurę i zaczęła się pijatyka. Była tam też siostra Władka Wanda, ale jak się później dowiedziałem nie była to wcale jego siostra, tylko Żydówka którą on u siebie ukrywał. O pierwszej w nocy skończyło się pijaństwo i wszyscy byli na gumowych nogach, w sztok pijani. Władek co chwila ryczał „rąbaj ją rąbaj" tyczyło się to Wan-

dy z którą piłem bruderszawt i całowaliśmy się, w końcu towarzystwo się rozeszło, Bednarski się gdzieś urwał, ja odprowadziłem Wandę na nocleg, pojechałem do stolicy Łotwy i położyłem się z Władkiem spać w stodole, nie mogłem usnąć, gdyż mnie coś oblazło i zimno było cholerycznie. Rano zaprawiliśmy się każdy po ćwiartce i ruszyliśmy do stacji. Po drodze czekaliśmy w dwóch wsiach, w jednej aż żandarmi przejadą, a w drugiej aż się ściemni, na dziewiątą byliśmy na stacji w Kitach. Idąc do stacji często musieliśmy stawać bo Wanda była chora (miała swój okres) poprawiała tam coś sobie i buty wiązała sznurkami bo jej się rozleciały. Początkowo czekaliśmy na pociąg, który miał nadejść o 12-ej w nocy i nas zabrać, w krzaczkach. Stasiek Bednarski położył się na ziemi i spał. Wanda spała na siedzący pod drzewem a ja z Władkiem chodziliśmy, paliliśmy papierosy i tupiąc rozgrzewaliśmy się. Do 12-ej tam tak wytrwaliśmy, było 5^0 mrozu i śnieg już leżał na polu. A pociągu żadnego nie było, od czasu do czasu przeleciał jakiś transport ale do Białegostoku. Jeszcze czekaliśmy dwie godziny, a później poszliśmy do stodoły dalej od stacji. Zagrzebaliśmy się zaraz w słomę, ja i Wanda ale nie mogłem usnąć, bo pchły mnie żarły i głód dokuczał a do tego byłem przemarznięty na kość. Stasiek z Władkiem stali na zmianę na kapie czy pociąg nie idzie. Gdy budzili mnie bym wartował, udawałem że śpię, a gdy żądania stały się natarczywe wychodziłem i po odstaniu swojej doli, znów zapadałem w słomę, drżąc cały z zimna. W pewnej chwili wpadł Stasiek i krzyknął „pociąg" porwał swoje tobołki i wyleciał, my za nim, wypadło nam lecieć na ukos do toru przez zaorane pole, leciałem, potykałem się przewracałem, myślałem że ducha wyzionę ale dognałem Staśka i wszystko na próżno. Okazało się że to był sam parowóz na który wsiadł banszuc i kilku kolejarzy oraz paru grubszych szmuklerów (handlowali całymi wieprzami). Dla nas już miejsca nie było i nie chcieliśmy jechać, bo baliśmy się wsypy. Wróciliśmy do stodoły, gdzie czekaliśmy do godz. 4-ej rano, ale nic nie szło. Zaczęło się rozwidniać, nie można było tu pozostawać, bo często wpadali do tej wsi żan-

darmi. Zaszliśmy więc do wsi o 3 kilometry leżącej od toru. Weszliśmy do jakiegoś gospodarza i każdy powalił się jak mógł i spał, ja usiadłem na pieńku z braku miejsca i tak drzemałem. O 10-ej rozeszliśmy się, bo nie chcieliśmy dzielić się z nimi żarciem, gdyż oni nic nie mieli. Władek z Wandą zostali się na miejscu a ja ze Staśkiem poszliśmy do drugiego gospodarza, u którego dostaliśmy śniadanie i Stasiek położył się zaraz spać a ja to samo zrobiłem, po pokrojeniu liści tytoniowych, które kupiłem od gospodarza. Obudziliśmy się, już się zmierzchało, po zjedzeniu kolacji spotkaliśmy się z nimi razem i udali znów na stację. I znów historia się powtórzyła tak jak wczoraj, z tą różnicą że jak nam się sprzykrzyło czekać w krzakach, to Stasiek umieścił Wandę w budce dróżnika opłaciwszy uprzednio haracz za to i za wiadomość. A sami poszliśmy do chałupy, gdzie Wanda miała nam dać znać gdy pociąg wyjdzie ze stacji Łapy, taki na który będziemy mogli się zabrać. Kupiliśmy litr bimbru i wypili zakąsając, kawałkiem chleba z 3 dkg słoniny w pięciu, ale rozgrzeliśmy się. W chałupie było dużo ludzi, bo był to już czwartek, a ludzie czekali tu na pociąg od poniedziałku. Wszędzie spali ludzie, na ławach, łóżkach, piecu i podłodze, nie było miejsca gdzie stąpnąć, lecz Stasiek gdzieś go znalazł i się położył, ja nawet nie próbowałem, boby mi wszy nie dały i tak spać. Siedziałem, kurzyłem samosieję i rozmawiałem z gospodarzem, rozmyślałem, co tam się dzieje w domu i co też o mnie myślą. Co i raz ktoś wychodził się dowiadywać na stację czy będzie pociąg, poszedłem i ja, przyprowadziłem Wandę, bo była głodna. Stasiek dał jej chleba z masłem i poszła z powrotem. I tak zeszło do rana, był już piątek. Rano zabraliśmy swoje klamoty i poszliśmy znów na inną wieś niż poprzednio. Tu u chłopa zrobiliśmy składkowy obiad pierwszorzędny z bimbrem. Tylko Stasio został wykiwany, bo dał do obiadu swoją gęś, a myśmy mieli mu dać każdy po pół kg. słoniny. Ja ponieważ nie miałem dużo tłuszczu, dałem na pół litra bimbru i ten drugi frajer też a tamci dwaj dali do spółki aż 60 dkg. słoniny i w ten sposób Stasio nie zrobił dobrego interesu. Po obiedzie oni jak zwykle położyli się spać,

a ja z jednym szmuklerem i trepem graliśmy w tysiąca, jednego wygrałem jednego przegrałem. Później wstał Władek i prosił żeby mu pożyczyć 4 marki, to przerobi chłopów w oczko, więc mu dałem. A on nie tylko że ich nie przerobił a jeszcze sam przegrał wszystko i żeby nie ja to by mu po ryju nakładli, tylko ja przy tej grze też straciłem 4 marki. Po grze zrobiliśmy sobie kolację, każdy sobie, i manatki na plecy i jazda na tę nieszczęsną stację. Na dworze było ślicznie, wiatr ustał, mróz zelżał i wszystko było czerwone w blaskach zachodzącego słońca. Przyszliśmy do chałupy co poprzedniej nocy nocowaliśmy, zastaliśmy tu już kupę ludzi wszyscy mieli zasępione miny. Dostali wiadomość od kryjanów co przyjechali z Warszawy, że w Małkini tory są zerwane i granica obstawiona, a żandarmi każdego szmuklera, który idzie czy jedzie łapią, na taką wieść i nam miny zrzedły, a Stasio chciał wracać do Osip i przeczekać tam, aż wszystko się unormuje. Ale temu stanowczo ja się oparłem i reszta towarzystwa. Uchwaliliśmy już iść na piechotę na granicę, ale jeden szmukler co miał 25 kg. masła powiedział, że nic takiego strasznego nie jest i że można jechać, byleby wiedzieć gdzie skakać, więc zdecydowaliśmy się jechać. Ponieważ córka gospodarza o odrażającym wyglądzie uprzejmie nas zaczęła z chałupy wyganiać, więc poszliśmy z chałupy i zaczęliśmy zbierać pieniądze dla zawiadowcy żeby zatrzymał dla nas jaki pociąg. Wtem nie wiadomo skąd wyskoczyli czarni z psami i zaczęli nas otaczać, my choda, Stasiek pierwszy ja za nim na końcu Wanda, Władek gdzieś się zgubił. My we trójkę polecieliśmy w bok do jakiegoś ogrodu, a potem dalej w pole byliśmy bezpieczni. Kto poleciał prosto, lub w uliczkę, wszyscy zostali złapani. Dochodziliśmy do wsi w której byliśmy trzy dni temu, z daleka dochodziły do nas strzelanina, szczekanie psów, krzyki ludzi, byliśmy zadowoleni że nas tam nie ma. Szmuklu miałem już powyżej uszu. Przenocowaliśmy u chłopa na jednym barłogu na podłodze we trójkę, Wanda w środku. W sobotę rano po śniadaniu Stasiek wziął się do reperowania garderoby swojej i Wandy ta ostatnia prała majtki sobie a ja poszedłem na zwiady do Kit. Po przyj-

ściu na miejsce dowiedziałem się że czarni wszystkich połapanych, po otrzymaniu okupu wypuścili i ludzie zabrali się na pociąg i odjechali. Wobec powyższego postanowiliśmy i my nieodwołalnie dziś jechać. Na te konto kazałem do obiadu ćwiartkę i po spożyciu takowego ruszyliśmy w drogę do stacji. Czekaliśmy na zmianę to na dworze, to w budce u dróżnika, w której było co prawda ciasno, ale ogień buchał z piecyka rozpalonego do czerwoności. Wanda zapoznała się z chłopakami z Wołomina i za kieliszek bimbru, który jej dali, dała się macać, gdzie tylko chcieli (w budzie było ciemno). Chciałem koniecznie usiąść a jedyną ławeczkę jaka była w budce okupowali wołominiaki, chcąc ich poruszyć z niej, wpadłem do budki z okrzykiem „pociąg", złapałem mój majdan i wyleciałem za budkę, ale podstęp się nie udał, a wołominiaki siedzieli jak przyrośnięci byli dobrze poinformowani kiedy przyleci pociąg. Tylko paru ludzi, będących najbliżej drzwi, dało się nabrać i wyszli. Wszedłem z powrotem do budki i tam pozostałem aż do przyjścia pociągu, i to mnie zaszkodziło, bo się nagrzałem a na dworze zrobiło się zimno i gdy wyszłem chłód mnie ogarnął i zacząłem się trząść. Około 11-ej przyleciał pociąg z Żydami do Treblinki, na stracenie. Przez okienka było widać blade wynędzniałe twarze, z całego transportu było słychać cichy jęk, naliczyłem 40 wagonów byli to Żydzi z Białegostoku i okolic. W godzinę po tym składzie przyszedł pociąg, którym mieliśmy jechać, składał się on w połowie z wagonów w których jechali żołnierze, a w połowie najróżniejsze wagony, mające za ładunek szmelc ze wschodniego frontu. Ludzie zaczęli wysypywać się jak spod ziemi, coraz nowi i nowi przybywali, panował cichy hałas, nawoływania, każdy się ładował gdzie mógł. Nam wypadło jechać na odkrytej platformie między legarami mostowemi, jechaliśmy w pozycji leżącej, zimno mnie trzęsło niemożliwie, czułem że po przyjeździe do domu będę chory. Między stacjami, podczas biegu pociągu wstawałem i rozgrzewałem się, bijąc ręka o rękę, mróz był z jakie 7^0. Przed granicą w Małkini pociąg stanął, był otoczony przez banszuców i celników z psami, serca łopotały w nas gwałtownie, znajdą czy

nie. Na przodzie już słychać było szczekanie psów, płacz ludzi, klątwy, światła latarek krzyżowały się plądrując po wagonach. Wreszcie ulga, pociąg ruszył. Po przejechaniu granicy pociąg wjechał na stację Małkinia. Wagon na którym leżeliśmy stanął akurat pod latarnią, pomiędzy barakami, z jednej strony banszuców z drugiej celników. Stamtąd to po pewnym czasie zaczęły dochodzić rozdzierające krzyki i jęki bitych ludzi, wygarniętych z naszego składu, wtem gdzieś na przodzie dołączył się chór wycia żydów, jadących na stracenie i czekających swojej kolejki aż im sygnał da drogę. Był to piekielny koncert i póki życia go nie zapomnę. Nigdym nie przypuszczał że człowiek pod wpływem rozpaczy, czy strachu może ze siebie wydać taki głos, jak głodny wilk w noc zimową, były to głosy śmierci. Nad nami rozpościerało się wygwieżdżone niebo ze srebrną tarczą księżyca, prószył drobny śnieg. Czekaliśmy aż pociąg ruszy jednak bezskutecznie po obu stronach przechadzały się posterunki. Po półtorej godziny gwiazdki zaczęły być mniej wyraźne, niebo bladło, robiła się szarówka przed nastaniem świtu, byłem już tak zmarznięty i wyczerpany nerwowo że zrobiłem się obojętny, czy pociąg ruszy, czy nas nakryją, wszystko jedno co się stanie, aby się coś stało, aby była jakaś zmiana naszego położenia. Powiedziałem o tym Staśkowi który już drzemał, postanowiliśmy za wszelką cenę wyłazić, do rana nie mogliśmy tu pozostać boby nas zauważono. Zeszliśmy między wagony, Stasiek rozejrzał się i w kilku susach dopadł do peronu, w tym momencie akurat wartownik odwrócił się w swojej wędrówce twarzą do Staśka który jakiś czas szedł prosto na wartownika, gdy wartownik się odwrócił, Stasiek raptownie wszedł w cień na bok, teraz i ja wyskoczyłem, leciałem prosto w cień gdzie skręcił Stasiek, za mną Wanda. W ciemności nie zauważyłem drutów i rozciągnąłem się jak długi, Wanda mnie minęła, chciałem powstać nie mogłem, drut trzymał mnie za spodnie, zdenerwowany chwyciłem za drut rękami i szarpnąłem z całej siły, byłem wolny, ale to tylko tak mi się zdawało, bo teraz drut uchwycił za rękawiczki, które miałem na rękach i trzymał. Stasiek z Wandą byli już da-

leko, słyszałem kroki zbliżającego się wartownika, zdecydowałem się zostawić rękawiczki na drutach, wyciągnąłem ręce i... rękawiczki same upadły na ziemię, zrobiło mi się ich żal, chwyciłem je i biegiem, klucząc wśród ścieżki i kanałów dognałem ich. Byliśmy wciąż na terenie dworca, jednak w parę minut byliśmy na ulicy, a w kilka chwil siedzieliśmy już w domu kolejarza, opowiadając swoje przygody. Ja przede wszystkim zapaliłem papierosa i pomału przychodziłem do siebie. Kolejarz wstał napalił w piecu i położyliśmy się spać na podłodze. Zbudziliśmy się o 8-ej rano, przez okno widzieliśmy pociąg wracający z Treblinki, który w nocy przywiózł żydów. Teraz wiózł ciuchy pozostałe po ofiarach, kaźnia w Treblince pracowała pełną parą, bez zarzutu, setki istnień do niedawna żywych były zgładzone, za to tylko że mieli nieszczęście urodzić się żydami. Po śniadaniu z czterdziestką, którą postawił Stasiek, poszliśmy na dworzec, kupiliśmy bilety i ponieważ żandarmi brali towar, zdecydowaliśmy się jechać wieczorowym pociągiem. Wieczorem znajomy kolejarz Wandy wprowadził nas do wagonu służbowego, ale nas to trochę kosztowało. Do Tłuszcza dojechaliśmy bez przygód. W Tłuszczu wsiadło dwóch czarnych i zaczęli gmerać po paczkach, zaraz jednemu chłopu zginęła paczka z baleronem, drugiemu dwie szynki i 24 kg. towaru innego, nam nic nie zabrali i szczęśliwie o godz. 11-ej stanęliśmy w Warszawie. Tramwaju już nie było, poszliśmy na piechotę. Na Kijowskiej przyplątała się jakaś pijana babka do nas która również szła na Żoliborz, a że była pijana wziąłem ją pod rękę, żeby się nie przewróciła bo była ślizgawica. Babka opowiadała swoje przygody że na bimber śpiewała w pociągu i nazywała mnie kochanym synkiem i swatała ze swoją córką i śpiewała, przeklinając od czasu do czasu szpetnym słowem niemców. I tak przez nikogo nie zaczepieni doszliśmy na 1-szą w nocy do domu. Stasiek wziął Wandę do siebie nocować a ja przyszedłem do Stasieńki zupełnie wyczerpany tem wszystkiem. W rezultacie przywiozłem $1^1/_2$ kg słoniny i $4^1/_2$ kaszy jęczmiennej jak za 800 zł. to nie za dużo, na tym szmuklu dostałem po kieszeni zdrowo i powiedziałem, że wię-

cej tam nie pojadę. (Wszystkie fakty podane są prawdziwe). Tak wygląda szmukiel w kraju okupowanym przez „kulturalny" naród. I takich przykładów można by dać tysiące jak się męczy człowiek pracy, który nie chce dopomagać okupantowi w jego dziele niszczenia Europy, pomimo wszystko wytrwamy.

Dn. 28.12.1942

Święta już się skończyły i przeszły u nas skromnie. Na wigilii była u nas matka, i zaraz po kolacji położyliśmy się spać bo Stasieńka b. źle się już czuje, żeby do jutra wytrzymała to ją zawiozę do szpitala.

Dn. 29.12.1942

Dziś odwiozłem Stachurkę do szpitala Ubezpieczalni na Czerniakowską o 7-ej wieczorem, bo miała bardzo silne bóle, jestem sam i czuję dziwny smętek na duszy. Obawiam się czy Stachurka przetrzyma ten poród. Ona jest taka szczupła i mała, a do tego zapracowana i źle odżywiana. Powiedziałem jej że jakby było źle to niech każe dziecko zepsuć, aby sama tylko żyła. Nic nie mogę robić, ciągle myślę jak to będzie.

Dn. 1.1.1943

Dziś o godz. 4 po południu urodziła Stasieńka córkę obie czują się dobrze. Te dwa dni upłynęły mi w gorączce co dzień jeździłem dwa razy dziennie dowiadywać się czy już i zawieźć, to co mogłem, trochę mleka, szmalcu i placków które kazałem matce upiec. Z tego zdenerwowania to jak lekarz wyszedł do mnie i powiedział, że już po wszystkiem i żona z dzieckiem czuje się dobrze zapomniałem się zapytać jakiej płci jest noworodek, tylko podziękowałem lekarzowi za informację i wybiegłem pędem do domu z tą wiadomością. Matka w domu mnie się pyta co Stasia ma? a ja zgłupiałem i teraz dopiero

przypomniałem sobie że zapomniałem się zapytać co jest chłopak czy dziewczyna. Matka najpierw mnie zrugała a potym zaczęła się śmiać, a ja w tramwaj i z powrotem do szpitala i dopiero się dowiedziałem prawdy. Po otrzymaniu wiadomości zasmuciłem się trochę, że to dziewczynka ale nic to, grunt że Stachurka żyje i czuje się dobrze.

Dn. 8.1. 1943

Przywiozłem Stachurkę ze szpitala, jest b. blada i b. słaba, położyłem ją do łóżka a sam wszystko robię. Córeczka jest brzydka, b. czerwona i do niczego niepodobna, ale nic Stasi nie mówiłem, żeby nie robić jej przykrości. Córeczka nasza urodziła się w czepku i martwą, dopiero lekarz klapsem w tyłek przywrócił ją do życia. Stasieńka nacierpiała się dużo bólu. Ale córka jest grzeczna je i śpi, wcale jej nie słychać. Jestem ojcem mając 24 lata.

Dn. 12.1. 1943

Przyjechała rodzina Stasi obejrzeć dziecko, wszyscy się zachwycali, że takie spokojne. Maryśka brała dziś ślub i Stefan też był, ale na wesele nie został zaproszony i strasznie z tego powodu się obraził mówiąc, że dostał policzek wskutek tej odmowy, był rozgoryczony i postawił ćwiartkę. A Marysia złapała jakiegoś frajera z Poznania i podobno porządny gość i dobrze sytuowany. Taka łachudra zawsze ma szczęście. Ktoś tam go podobnie ostrzegał przed nią, ale on powiedział że dla niego będzie dobra i postawił na swoim. Stasieńka nie może uleżeć w łóżku jak ja robię w domu i pomału co może to robi sama, choć jej nie daję.

Dn. 15.1. 1943

Ponieważ nie mam pracy, a manna nie chce z nieba lecić, musiałem wziąść się za jakieś zajęcie, ale takie które by mi

dało zarobek, przy małej ilości godzin pracy, abym mógł pomóc Stasi w domu co potrzeba zrobić. Taką pracą może być tylko handel. Nie mając dużo pieniędzy zacząłem handlować papierosami i jakoś mi idzie. Wstydzę się tylko krzyczeć, zachwalać, jak to robią chłopaczki, ale zawsze trochę grosza do domu przyniosę od 30 do 50 zł. dziennie i zajęty jestem trzy godziny rano i dwie godziny wieczór, a resztę czasu poświęcam w domu Stasi.

Dn. 17.1. 1943

Straszny to był dzień ze względu na tragiczne wypadki jakie dotknęły setki ludzi w tą straszną niedzielę. Z rana poszedłem po papierosy i zaraz dowiedziałem się że na Żoliborzu i całej Warszawie odbywa się polowanie na ludzi, czyli łapanka, trwająca od trzech dni, ale dzisiaj osiągnęła swój kulminacyjny punkt, bo się odbywa we wszystkich dzielnicach o jednym czasie, przy współudziale żandarmerii i wermachtu, co się dotąd nie zdarzało, tak że nie ma gdzie uciekać, bo wszędzie cię znajdą. Z handlu dziś nic nie będzie, wróciłem do domu i... miła niespodzianka. Stasiek Szymanowski siedzi u mnie w mieszkaniu, wrócił z Niemiec, przyjechał na urlop. Najgorsze jest to że z obławy tej zabierają przeważnie mężczyzn i nie wiadomo co z nimi ci „kulturalni" panowie z gestapo robią, zwożą złapanych ludzi do Cytadeli i na Pawiak. Po obiedzie siedzimy ze Stasiem rozmawiamy, gdy wtem wpada gospodyni domu i krzyczy „uciekaj pan, bo obława jest na Marymoncie, a żandarmi obok naszego podwórka". Ja palto na siebie i przez parkan sąsiedniego podwórka chodu i polami nad Wisłą dostałem się do ojca, by zasięgnąć języka, co to wszystko znaczy, ale ojciec sam nic nie wiedział. U ojca zastałem Hankę, z którą wieczorem udałem się z powrotem do domu. Po drodze spotykałem ludzi wystraszonych, błąkających się bez celu po ulicach. Co krok ktoś mnie lub ja kogoś zapytywałem gdzie w tej chwili znajdują się oprawcy

i łapanka. Człowiek człowiekowi nie dowierza, jest wilkiem i to jest straszne. Do takiego stanu doprowadzili nas swoją „kulturą" niemcy.

Dn. 23.1. 1943

Z łapankami na razie się uspokoiło. Handel idzie coraz gorzej, gdyż jest coraz większa konkurencja i nie wskakuję do wszystkich tramwai, gdyż wstydzę się znajomych, których i tak dość często spotykam, jestem przez to w fatalnej sytuacji, gdyż potrzebuję pieniędzy, a nie mogę zarobić. Obecny swój zawód (sprzedawanie papierosów) uprawiam z równym przykrym uczuciem, jak swego czasu, co chodziłem po podwórkach handlowałem starzyzną wołając handel — handel. Zdaje mi się że taki handel uliczny ma w sobie coś upokarzającego, a może to tylko złudzenie.

Dn. 3.2. 1943

Namawiałem Staśka tak długo aż osiągnąłem swój cel, że nie pojechał po skończonym urlopie z powrotem do niemieckich ciemiężycieli tyrać. Z początku wił się jak wąż, stawiając różne pro, ale ja go i pod uczucie i pod patryjotyzm, aż w końcu zwyciężyłem. Stasiek został nocuje u mnie, bo boi się żeby w nocy po niego nie przyszli. Śpi osobno, a ja ze Stachurkiem przez co jestem ciągle niewyspany. Byłem u Sobstyla w stolarni, dowiadywać się o pracę, ale na razie nie ma, przywiozłem tylko worek wiórów będziemy mieli ciepło.

Dn. 4.2. 1943

Niemcy ogłosili żałobę, wszystkie lokale rozrywkowe są nieczynne z powodu, że dostali baty pod Stalingradem, aż się zikrzyli. Do niewoli dostało się ileś tam dywizji, 22 ge-

nerałów z marszałkiem Paulusem na czele. Stasia z córeczką zostaną przez kilka dni u Wedla w żłobku z powodu słabego zdrowia małej. Gospodarujemy tylko we dwóch ze Stachem, który na gwałt szuka roboty a nie mogąc znaleźć, zapisał się na wyjazd do Mińska Litewskiego i ma tam jechać z firmą „Koder" jako robotnik i pewnie wyjedzie, bo tu nie ma z czego żyć, a mnie nie chce nadużywać, bo widzi jak u mnie słabo słychać z gotówką. Ja też oglądam się za jakąś pracą, bo handel to nie dla mnie.

Dn. 16.2. 1943

Jestem w kropce! W zeszłym tygodniu przysłali mi pismo z Opla, żebym stawił się do pracy (urlop dawno mi się skończył), bo inaczej czeka mnie Treblinka, więc w sobotę poszedłem i rozmawiałem z samym dyrektorem SS-manem kpt. Nadolnym, który kiedyś przed wojną pracował na Forcie Bema na Powązkach, a teraz jak stałem przed nim to zapomniał języka polskiego i tylko rozmawiał przez tłumaczkę ze mną i błyskając złemi oczyma powiedział że albo w poniedziałek przyjdę do pracy, albo on mnie zaraz wyśle do Treblinki, wobec powyższego obiecałem, że przyjdę. Mógłbym pracować na kolei, ale nie udało mi się wyrobić drugiej książki pracy na swoje nazwisko, a dostałem już nawet zapotrzebowanie. Tymczasem dziś przysłał po mnie Sobstyl, żebym przyszedł do stolarni do pracy i nie wiem co mam robić. Nie pójść do Opla — to znaczy żyć w ciągłym strachu i nie nocować w domu itp. przyjemnostki. Wyjechać gdzie za Warszawę do roboty, to nie widzieć Stachurka. Robić u Sobstyla — to nie pokazywać się na mieście, ani w domu. Nie ma mnie kto poradzić i nie wiem jak z tego wybrnę. Stasiek jednak wyjechał do pracy do Mińska Litewskiego jestem teraz sam ze swojemi myślami.

Dn. 27.2. 1943

Zdecydowałem się i poszedłem pracować do Sobstyla u którego po długich targach dostałem 3,40 na godzinę. Stasia wróciła już do domu z dzieckiem. Ja sypiam u jednego ze stolarzy z którym się zaprzyjaźniłem, jesteśmy teraz koledzy, nazywa się Wacław Strąk, ma żonę i dwoje dzieci i lubi wódkę — mnóstwo zabardzo. Matka moja tak się o mnie boi żeby mnie nie złapali, że zabroniła mi do siebie przychodzić nawet zjeść jak Stasieńka mi przynosiła do niej kolację. Jak dawałem matce klucz od mieszkania, gdzie mam kartofle, które matka brała dla mnie do gotowania to przytem i sobie procent pewien pobierała, tak że spostrzegłem, iż kartofli, których powinno mi starczyć do pierwszego maja plus zasiew, to przy takiej gospodarce starczy nam zaledwie do pierwszego kwietnia, a na zasiew to też już nie będzie. Na nic taka rodzina, jak matka okrada rodzonego syna, choć lepiej od niego finansowo stoi.

Dn. 28.2. 1943

Tak mi to wszystko zbrzydło i to ukrywanie się i ta rozłąka ze Stachurkiem, że poszedłem i zapisałem się do Kodera na wyjazd do Mińska Litewskiego, w tych dniach mamy wyjechać, będę razem ze Staśkiem. Dziś było całe towarzystwo u Strąka. Wacek, Stefan, dwie panny, Zdzisiek, Matka z Hanką i Stachurka. Dostałem trochę nowin ze świata. Zdzisiek dostał się do policji i jest zadowolony. Wacek zdał egzamin do liceum chemicznego. Stefan nadal pracuje u Bindera i mnie namawiał żebym wrócił tam pracować. Ja jak gdzieś rzucam robotę, to nie po to, żebym wracał. Zrobiliśmy składkowy popij i wszyscy mi odradzali wyjazdu do Mińska, a żona Strąka to nawet pocałowała mnie dwa razy abym tylko nie jechał, ale ja mam swoje obliczenia i wiem co robię.

Dn. 1.3. 1943

Mieliśmy dziś odjechać, spakowałem manatki i Stasia z Hanką odprowadziły mnie na dworzec Zachodni i tu dopiero dowiedziałem się od grupowego, że dziś nie pojedziemy, dopiero jutro, bo jeden z urzędników firmy który miał z nami jechać nie pozałatwiał swoich interesów czyli, nie zdążył kupić kraski, którą tam kwitnie handel na całą parę. Byłem zły jak cholera, bo już się w sobie zaciąłem, żeby przy rozstaniu się nie rozczulać a tu nic z tego. Stasia z Hanką to były zadowolone że nie pojechałem, bo myślały, że się rozmyślę i nie pojadę wcale, ale jeszcze mnie nie znają, jak ja na coś się uprę, to szkoda słów.

Dn. 10.3. 1943

Dopiero dziś oprzytomniałem i znalazłem chwilę czasu od chwili wyjazdu z Warszawy, aby coś napisać. A więc 2.3. wieczorem wyjechaliśmy z Warszawy a w środę 3-go byliśmy na miejscu. Po drodze przy świeczce, gdyż w wagonach było ciemno graliśmy w karty i szachy, chłopcy śpiewali tak dojechaliśmy do Brześcia, gdzie czekaliśmy na przesiadkę 4 godziny, tu też dostaliśmy prowiant na dalszą drogę, składający się z wędzonej i uwędzonej kiełbasy i chleba oraz cztery kostki cukru i to wszystko do Baranowicz. W Baranowiczach dostaliśmy trochę rzadkiej zupy z kaszą i do miejsca już nic. Eskortował nas jakiś spolszczały czech i był dla nas bardzo słodki dopiero na miejscu okazało się co to za gadzina. Do Mińska przyjechaliśmy w nocy i zaraz pokazało się jak to będzie wyglądać nasze traktowanie nas tutaj. Z miejsca skonfiskowali chłopcu walizkę w której przywiózł kraskę, aby ją sprzedać. Potem porozsyłali nas spać po barakach. Spaliśmy po dwóch na jednej pryczy, bez kocy. Na drugi dzień, który miał być dniem odpoczynku, zagnali nas do sprzątania baraku w którym mieliśmy mieszkać nosiliśmy łóżka i po zbi-

ciu ustawialiśmy je. Był to dzień moich imienin i tak się natyrałem jak nigdy w żadne imieniny swoje. W ogóle miałem fatalny dzień. O 12-ej dostaliśmy obiad, usiadłem na źle zbitym łóżku, które pode mną się zarwało i oblałem się zupą i nic nie jadłem, dobrze że miałem jeszcze kawałek ciasta, co mi Stasia upiekła, bo byłbym głodny. Jak się upomniałem o jedzenie to niemiec wydarł na mnie mordę „nie dostałeś taki kawał kiełbasy" i pokazał do łokcia, a dostaliśmy 35 dkg. Na kolację dostaliśmy 40 dkg. chleba, 3 dkg. masła i 10 dkg sera i to wszystko miało starczyć na kolację i na drugi dzień na śniadanie, a tego chleba to na raz było za mało. Po tych pierwszych obserwacjach już przestało mi się tu podobać i chciałem jechać do domu. W piątek rano spotkałem na zbiórce Staśka i Romana. Po zbiórce zaczęli nas przydzielać do roboty. Ja byłem zapisany jako ślusarz i jeszcze 3-ch z naszej grupy, poszliśmy pracować do warsztatu ślusarskiego, majstra mamy pijaka, praca jest narazie lekka, w warsztacie brak narzędzi.

Dn. 11.3. 1943

Dzień pracy u nas tak mniej więcej wygląda. Rano o godzinie 5 gong na pobudkę, wstajemy, ubieramy się, myjemy, zjadamy śniadanie (jak kto co ma). Po 6-ej 15-cie drugi gong wychodzimy na jedną salę wszyscy jak zbiórka. Ustawiamy się grupami murarze, ślusarze, elektrotechnicy i następuje odczytanie listy obecności oraz kar i upomnień, poczym rozchodzimy się do pracy. O 12-ej gong i obiad z godzinną przerwą, później praca do 4.30 gong i fairant. Przychodzimy do baraku, dyżurny którym jest każdy po kolei idzie po prowiant dla wszystkich i rozdziela go, przy czym jest zawsze dużo krzyku. Po kolacji każdy robi co mu się żywnie podoba. Jedni grają w karty lub szachy, inni piją wódkę, politykują lub kłócą się a najspokojniejsi słuchają tego wszystkiego, lub uderzają w kimę. I znów do rana i tak co dzień. W niedzielę też pracujemy, jak nie ma wagonów do wyładowania to do

obiadu a jak są to normalnie. Tak się jakoś złożyło że w pierwszym tygodniu mego pobytu tutaj, codziennie popijaliśmy. A teraz muszę stawać na uszach, żeby wykombinować co dzień pół kg. chleba, który tutaj pieką z domieszką owsa lub kartofli. Ludzie w naszej sali są różnorodni, większość to gagatki spod ciemnej gwiazdy, którym się ziemia pod nogami paliła w Warszawie z powodu spraw kryminalnych. Mamy dwie ofiary, no a reszta to ludzie anormalni i ja rozbitek życiowy.

Dn. 12.3. 1943

Miałem dziś pierwszy raz dyżur i myślałem że mnie zamęczą, chcieli żeby im wszystko zrobić na raz i wszyscy już zjedli kolację a ja jeszcze nic w ustach nie miałem bo nie miałem czasu. A najgorszy był typ bandyty Muraszew, myślałem że mu dorzucę trochę po mordzie, ale się uspokoił.

Dn. 14.3. 1943

Byliśmy w Baulagrze po fasunek. Ja dostałem buty, koc, marynarkę z X kawałków, kalesony, koszulę oraz chlebak, menażkę i łyżkę, miałem szczęście, że się wtryniłem jeden z pierwszych, bo inni tego nie dostali, a ostatni dostał tylko łyżkę, w którą miał się ubierać, przykryć i jeść, bo nic innego nie dostał. Wieczorem zaprowadzili nas do kąpieli pod prysznic, ale woda była raz zimna, raz ukrop, taka że nie można było się umyć przyzwoicie.

Dn. 15.3. 1943

Zaczynamy poznawać towarzystwo w naszym warsztacie. I stosunki między nami nowymi i starymi są naprężone, bo starzy zaczęli z początku delikatnie a teraz już nachalnie upominają się o postawienie wódki, tak jakby im się należało. A przecież nie przyjechaliśmy tu po to, żeby dla kogoś na wódkę pracować. A zresztą to nie mamy na chleb to skąd

może być mowa o wódce. Nawet swoją wódkę i papierosy cukierki i cukier sprzedaję na chleb a tu takiemu łobuzowi stawiaj wódkę. Jeszcze długo nie! Jeden z naszych Biernat przywiózł trochę sody i sprzedał ją na około 2 tys. marek i koledzy jego powiedzieli o tym majstrowi naszemu i ten otwarcie zażądał od niego postawienia wódki, a gdy nie odniosło to skutku, daje chłopakowi najcięższe roboty. Majster nasz jest z zawodu pijak i gdy jest trzeźwy, to jest wściekły, to samo jest, gdy sobie wypije mało, chodzi wtedy po warsztacie, toczy krwawymi oczyma, o byle co się przyczepia, ciska pilnikami w ludzi i kopie bez dania racji. Natomiast, gdy jest zalany w pestkę, to wodzi mętnymi ślepiami, mamrocze pod nosem niemieckie przekleństwa i jest spokój lub się położy gdzie w kącie i śpi wtedy my nic nie robimy.

Dn. 16.3. 1943

Trudno jest mi pisać, bo jak się wszyscy zejdą wieczorem na salę i zjedzą kolację, to zaczynają się kłócić wszyscy ze wszystkimi. A przeważnie to o chleb się kłócą. „Tyś wziął większy kawałek chleba skurwysynu, — a co ty byś nie wziął? Tylko ci się nie udało". Inni znów kłócą się przy kartach i wreszcie ci co wszystkich uciszają słowami „Cicho, kurwa wasza mać". No w takich warunkach trudno jest skupić myśli, by coś z sensem napisać. A jak panuje względny spokój i piszę, to znów wszyscy, koniecznie chcą wiedzieć co piszę i wszelkimi sposobami starają się zaglądnąć mi w brulion, a gdy im się nie udaje nic zobaczyć, wszczynają hałas naumyślnie i znów nie mogę pisać, przeto będę się ograniczał do krótkich notatek.

Dn. 18.3. 1943

Drugi dzień już mam spokój, bo pracuję samodzielnie, pomagam ruskiemu mechanikowi przy rozbieraniu traktora w którym pękł wał korbowy. Przez te dwa dni trochę odpo-

częłem. Wieczorami gram w karty lub szachy na pieniądze, albo na papierosy i jak dotąd przeważnie wygrywam, a za wygraną kupuję sobie chleb naprzeciwko w baraku u ruskich lub na targowisku położonym od nas o 3 km. Dziwna tu pogoda jest z rana mróz a w południe gorąco że ziemia rozmarza i robi się błoto, na wieczór znów ziemia twarda jak kamień. Podobno prócz kartofli to nic ta ziemia więcej nie rodzi. I tak upływają nam dnie na pracy a wieczory na rozrywkach. Nieraz chodzę do sztuby Staśka porozmawiać, ale rzadko, bo on późno przychodzi z roboty jest zmęczony i zaraz kładzie się spać. On pracuje przy murarzach na mieście gdzieś, ma ciężką pracę.

Dn. 19.3. 1943

Zagnali nas do wyładunku wagonów. Rampy nie ma i błoto po pas. Majster powiedział „wyładujecie ten wagon papy i pójdziecie do baraków", więc spieszyliśmy się jak sto diabłów, a gdy już wagon mieliśmy prawie wyładowany, zabrali nas do innej roboty, wyładowywać gater, po wykonaniu tej pracy mieliśmy mieć już wolne. Tymczasem po wyładunku gatra musieliśmy jeszcze poprzenosić jego części do magazynu. Nadszedł obiad, po którym zakończyliśmy przenoszenie gatra i majster zaczął przebąkiwać o wyładunku jeszcze jednego wagonu. Zgniewała mnie ta szwabska niesłowność i z dwoma kumplami urwałem się oglądać miasto, po piątej przyszłem do baraku. Mińsk nie posiada nic godnego uwagi poza wspaniałym domem Lenina. Dom jest wykładany białym marmurem, urzędują tam teraz różne przedsiębiorstwa budowlane niemieckie. Chodniki w mieście są drewniane, lub wcale nie ma. Wszędzie pełno błota. W każdym domu jest światło elektryczne. Są trzy targi, podobne do warszawskiej Wołówki, tylko mniejsze, wszystko tam można sprzedać lub kupić. Najpopularniejszą miarą są stakany i kusoki. Kusoczek słoniny kosztuje 6 marek a stakan soli 5 marek. Olbrzymie

wrażenie wywarła na mnie jednak mowa ruska, która bardzo mi się podoba, bo choć urodziłem się w Rosji nie umiem się posługiwać tym językiem. Mowa ruska jest bardzo dźwięczna i przypomina mi coś dobrego z mego życia, lecz jakże odległego. Mógłbym tak godzinami stać na rynku, pośród tych handlujących ludzi i słuchać ich mowy. W mieście stacjonują wojska różnych narodowości, najwięcej widać łotyszów. Jest kościół katolicki, w którym byłem.

Dn. 21.3. 1943

Na drugi dzień na zbiórce majster mnie opieprzył ale po niemiecku, to nieważne, za to że uciekłem z roboty, ktoś mnie musiał zakapować i na tym się skończyło. A dziś miałem możność doświadczyć na sobie opieki lekarskiej jakiej udzielają tu niemieccy lekarze robotnikom polskim, tu pracującym. Ambulatorium znajduje się 6 km. od miejsca pracy i jeszcze trzeba go tam dobrze szukać. Gdy przyszliśmy do budynku było nas dziesięciu chorych, ustawiliśmy się w szeregu czekając swojej kolejki, najpierw przyjmowano żołnierzy niemieckich. Po wyczekaniu około 3 godzin, wyszedł do nas lekarz obejrzał od stóp do głów, pytając co nam jest przez tłumaczkę — ukrainkę, która po niemiecku słabo umiała, po polsku wcale, a my ani po niemiecku ani po rusku. Z tego powodu wytłumaczenie choroby ze strony chorego napotykało na trudności, czem zniecierpliwiony doktór uderzył w twarz, drugiego kopnął, uzdrawiając resztę chorych, którzy już nic nie mówili, co widząc doktór, zaczął okładać pięściami wszystkich, prócz mnie, krzycząc polnische-faul — wek. Ja byłem ostatni i widząc jaki obrót przyjęła sprawa, gdy doszedł do mnie lekarz pokazałem mu piersi i plunąłem na rękę, ślina była krwawa, lekarz popatrzył i mnie jednego uznał za chorego naprawdę, podstęp się udał. Krew pochodziła z ugryzionego języka. Jako chory poszedłem do gabinetu i obmacał mnie doktór przez ubranie i dostałem dwie aspiryny i do pra-

cy, ale najważniejsze że postawił koło mojego nazwiska — krank, a przy dziewięciu moich kolegów — faul i jak przyszli do swoich majstrów, to znów krzyki i bicie że symulują chorych, była to opieka lekarska niemiecka dla Polaków. Teraz kombinujemy z jednym chłopakiem nad ucieczką z tego raju. Po przyjściu od lekarza wysprzedałem wszystkie swoje drobiazgi, jak owijki manierkę, a resztę zapakowałem do swojej walizki i wyniosłem na miasto do haziajki, przed pierwszym kwietnia mamy pryskać.

Dn. 23.3. 1943

To, co dziś zaszło utrwaliło mnie w przekonaniu, że muszę stanowczo stąd uciekać w jak najszybszym tempie, wpadłem jak śliwka w kanalizację. Choć Stasiek odradza mi ucieczkę, gdyż w razie złapania, grozi mi obóz karny, gdzie wykończają ludzi, ale decyzja moja jest nieodwołalna. Po obiedzie wyprowadzono nas wszystkich na plac, ustawiono trójkami i żołnierze z RKM-mi otoczyli nas dookoła, obstawiając wszystkie wyjścia i wtedy przyszedł komendant i przez ukrainkę która łamanym językiem obwieściła nam: Została popełniona kradzież dętek i opon samochodowych, rzeczy skradzione muszą w przeciągu pół godziny się znaleźć, gdyż w przeciwnym razie co dziesiąty człowiek zostanie rozstrzelany. Po ogłoszeniu żołnierze rozeszli się przeprowadzać rewizję po sztubach, a myśmy stali i liczyli który z nas będzie tym dziesiątym, byli nawet tacy, którzy zmieniali swoje miejsca. Ja rozglądałem się którędy będzie możliwa ucieczka. Rewizja trwała do godziny 6-ej wieczorem i znaleziono w jednej sztubie 4 litry benzyny i 2 paczki gwoździ, tych u których to znaleziono, było czterech i wszystkich ich zabrano samochodem do miasta, podobno zostali rozstrzelani. Skradzione przedmioty się nie znalazły, rozpuszczono nas do baraków.

Dn. 24.3. 1943

W odpowiedzi na kradzież, jaka została popełniona niemcy zastosowali radykalny środek. Sprowadzono kilkanaście samochodów ciężarowych, desek, wysokości 2.50 m. Nas podzielono na grupy po sześć osób i do wieczora ogrodziliśmy cały teren wysokim parkanem, z drutem kolczastym na górze. Postawiono w kilku punktach strażników i gdy który z chłopaków chciał iść do miasta po chleb, strzelano do niego, z tego powodu, siedzimy dziś wszyscy głodni i muszę jak najprędzej stąd zniknąć, jak nie chcę umrzeć śmiercią głodową. Postanowiłem czekać tylko na wypłatę, namawiałem Staśka żeby razem ze mną uciekł, ale nie chciał nawet słyszeć, bał się poszukiwań jego za ucieczkę z niemiec. Musiałem liczyć na własne siły i spryt.

Dn. 26.3. 1943

Jestem już na wolności! choć jeszcze w Mińsku, a bieg wypadków był taki. Wczoraj z rana poszedłem do warsztatu, ale nie było żadnej roboty, więc postawszy trochę przy imadle poszedłem do majstra polskiego i poprosiłem go żeby dał mi coś do roboty, ale ten nawet nie raczył na mnie spojrzeć i odpowiedzieć (było to lekceważenie za to że mu kiedyś wódki nie chciałem postawić). Był u nas w warsztacie taki zwyczaj, że ślusarze z majstrem przepijali całą wypłatę i ten za to nie wysłał ich na plac do pracy, gdy nie było co robić w warsztacie, a wszyscy stali i udawali tylko że robią, w rzeczywistości nic nie robiąc. Poszedłem do majstra grupy szoferów i poprosiłem żeby mnie przyjął do siebie, była to praca o dobrych warunkach i z rozumnym dobrym Polakiem. Majster odpowiedział że nie może mnie przyjąć bez zezwolenia mojego obecnego przełożonego, ale powiedział że porozmawia o tem z moim majstrem. I faktycznie przyszedł do naszego majstra i powiedział o mojej prośbie, ale tym rozpętał burzę, majster dowiedziawszy się o co chodzi, przyleciał jak

wściekły do mnie, zbluzgał mnie w najgorszy sposób i kopnął mnie, a potym zaczęła się moja gehenna, wszyscy starali mi się dokuczać i okazywali niechęć, aby przypodobać się majstrowi. Teraz wszyscy dawali mi robotę najcięższą i jedną za drugą, nie dając iść do ustępu, chcieli mi szynę rzucić na nogę, tylko się w porę zorientowałem, pracowałem, cierpiałem i nic nie mówiąc zaciskałem szczęki, tak wytrzymałem do obiadu. Po obiedzie mieliśmy iść do magazynów po fasunek i majster nie chciał mnie puścić, ale uciekłem. O szóstej przyszliśmy spowrotem, poszedłem po wypłatę dostałem 40 marek i poszedłem na kolację. Po kolacji dowiedziałem się od chłopaków, że majster z pianą na ustach i dębczakiem latał szukał mnie po placu, aby mi kości poprzetrącać, a jednego chłopaka to i uderzył, bo z tyłu był podobny do mnie, nie były te wiadomości pocieszającym horoskopem na drugi dzień, pomimo to położyłem się spać, myśląc jak to jutro będzie. Zostałem gwałtownie przebudzony i dostałem wiadomość, że u haziajki w baraku tuż za parkanem jest dwóch chłopaków zza Mińska 16 km, którzy jutro jadą do Warszawy, zerwałem się i szybko wciągnąłem wszystką bieliznę jaką miałem, na siebie, spakowałem manatki, które chłopak podał mi przez parkan, sam przeskoczyłem i za chwilę rozmawiałem z dwoma braćmi, z których jeden miał 17 lat drugi 25. Nabrałem do nich zaufania, postanowiłem z nimi jechać. Przyniosłem z miasta resztę swoich manatków i litr wódki, oraz dwukilowy chleb, miało to być na drogę. Pół litra wypiliśmy a pół schowaliśmy na łapówkę dla niemieckiego kolejarza jakby nas w razie nakrył w wagonie po drodze. Położyłem się spać, pierwszy raz od trzech tygodni, leżałem w prawdziwym łóżku, na czystej pościeli i w ciepłym, pomimo to nie mogłem długo zasnąć, bo bałem się zaspać, mieliśmy przed pierwszym dzwonkiem u nas wstać bo mogli nas poszukiwać i pociąg mieliśmy rano. Skoro świt zerwaliśmy się i poszliśmy na stację towarową, gdzie stało kilka składów i kilka kobiet rosyjskich — szmuklerek jeżdżących do Baranowicz. Od nich to dowiedzieliśmy się który skład pierwszy odejdzie do Warszawy.

Kobiet przybywało coraz więcej, baliśmy się stać razem z nimi, weszliśmy do chałupy stojącej w pobliżu i z okien obserwowaliśmy, czy nie doczepiają parowozu. Tu też napisałem parę ostatnich słów w pamiętniku, przed drogą. Chłop, u którego byliśmy, podejrzliwie spoglądał na nas i moje pisanie, obawiał się jakiejś zdrady a myśmy bali się jego.

Dn. 1.4. 1943

Jestem w domu! Opiszę teraz naszą ucieczkę z Mińska która obfitowała w emocjujące momenty, i tragiczne. Około godz. 8-ej doczepiono parowóz i wsiedliśmy do wagonu-węglarki załadowanego gilzami od pocisków artyleryjskich. Do tego samego wagonu wsiadło jeszcze ze trzydzieści kobiet, które po ruszeniu pociągu ustawicznie rozmawiały. Słuchałem z przyjemnością tej rozmowy, prowadzonej w języku rosyjskim, która w przeciwieństwie do niemieckiego bełkotu, jest dźwięczna i miękka. Kobiety po zapoznaniu się z nami, poczęstowały nas słoniną i chlebem, które to dary zjedliśmy łapczywie, bo prócz kilku kęsów chleba suchego nic nie mieliśmy w ustach. Między Stołpcami a Baranowiczami partyzanci sowieccy ostrzeliwali pociąg, który pomimo eskorty niemieckich żołnierzy, zaczął zwiększać szybkość, uciekając z miejsca zasadzki. W Baranowiczach wszystkie kobiety wysiadły i zostaliśmy sami, tu też był dłuższy postój, a mnie jak na złość zaczął męczyć kaszel (byłem przeziębiony) i choć palce zagryzałem do krwi, nie mogłem się powstrzymać od kaszlu — formalnie się dusiłem i w końcu zacząłem pokasływać, z początku cicho a w końcu głośno i teraz dopiero przekonałem się jakimi tchórzami byli moi towarzysze. Lada chwila mógł zajrzeć do nas jakiś kolejarz niemiecki i podróż nasza by się skończyła. Wacek i Mietek, tak się obaj nazywali, bledli i czerwienieli, naprzemian, mówiąc że już są zgubieni przeze mnie, a nawet chcieli uciekać z tego wagonu ode mnie. Po kilku minutach kaszlu, zajrzał do naszego wa-

gonu jakiś cywil i spytał dokąd jedziemy i objaśnił nam że skład ten idzie przez Wołkowysk i Białystok, a nie jak myśleliśmy że przez Brześć. W ten sposób było jakieś 300 km dalej, ale nie mieliśmy innego wyboru i zdecydowaliśmy się jechać tym transportem. Niedługo pociąg ruszył i jechaliśmy bez przerwy do wieczora. Mijaliśmy po obu stronach toru bunkry z bali i wartowników cywilnych, żołnierzy pilnujących toru, widać było z tego że partyzantka nie próżnuje. Wszystko to widzieliśmy przez szpary w deskach wagonu, gdyż wyjrzeć baliśmy się żeby nas nie dostrzegły posterunki. Zjedliśmy resztę chleba i wypili wódkę, bo zaczęło się robić zimno, a myśmy byli bez ruchu. Gdy zabłysły pierwsze gwiazdy, pociąg stanął na jakiejś większej stacji, pośród wspaniale wysokich i prostych sosen. Po godzinie ruszyliśmy dalej i jadąc to z góry, to pod górę, w dobrym tempie zajechaliśmy na jakąś węzłową stację, mogła być północ. Prawdopodobnie był to Wołkowysk, nigdy tu nie byłem, więc nie mogłem zorientować się gdzie jesteśmy, zdawało nam się że przejechaliśmy bardzo dużo kilometrów i baliśmy się żeby czasami nie znaleźć się na terenie rdzennych niemiec, bo wpadlibyśmy z deszczu pod rynnę. Wzdłuż torów kręciło się dużo niemców, a raz myśleliśmy że już po nas, bo jakiś kolejarz niemiecki zaczął zaglądać po wagonach, ale nas jakoś szczęśliwie ominął. Po zmianie parowozu, podróż rozpoczęła się na nowo i znów nie wiedzieliśmy gdzie się znajdujemy, zimno mi tak się zrobiło, że między stacjami wstawałem i zabijając ręce, rozgrzewałem się. Po obu stronach nasypu ciągnął się nieprzerwanie las, bujny, gęsty, migały małe nieoświetlone stacyjki, na których świeciły jedynie światełka kolorowe semaforów i nie można było odczytać żadnej nazwy. Na jednej z takich stacyjek, pociąg stanął pod zamkniętym sygnałem i po otwarciu go nie mógł ruszyć, było pod górę i z dziesięć minut szarpał naprzód i do tyłu, w końcu cofnął ze sto metrów i szarpnął i powolutku ruszyliśmy po paru minutach już pędziliśmy naprzód i w nieznane. Znajdowaliśmy się na ziemi dla Polaków, bez dowodów, tak jak my, zakazanej, za co grozi obóz, lub wy-

wózka do niemiec. Teraz do zimna doczepiła się dla mnie jeszcze jedna udręka, Wacka i Mietka zaczął ogarniać gwałtownie sen z akompaniamentem chrapania, jak pociąg był w biegu, to nieprzeszkadzało nikomu, ale gdy zatrzymaliśmy się na stacji, lub pod sygnałem przeraźliwe chrapanie mogło sprowadzić nam na kark szwendających się niemców. Z początku prosiłem ich żeby nie chrapali, perswadowałem, groziłem — nic nie pomagało, po wyczerpaniu wszelkiej perswazji, użyłem argumentu przekonywującego. Wziąłem cienką deseczkę i jak tylko zaczynali chrapać, a staliśmy na stacji, uderzałem i jednego i drugiego w łeb, co wywoływało u obydwu nieprzyjazne pomruki ale odnosiło skutek i przestawali chrapać. Stanęliśmy na stacji węzłowej, ale nie wiedzieliśmy na jakiej, bo było ciemno i stanęliśmy daleko od budynku stacyjnego, mogła być godzina trzecia nad ranem. Staliśmy bardzo długo, byliśmy głodni i zmarznięci do kości, kilkakrotnie podnosiliśmy się i rozglądali, ale ponieważ staliśmy na stacji towarowej, nie mogliśmy się dowiedzieć jaka jej nazwa. Byłem już tak zmarznięty i głodny, że chciałem do zawiadowcy, albo na wieś iść, kupić coś jeść, tylko kumple nie dawali mi iść mówiąc żeby jeszcze poczekać. Wyszliśmy z wagonu, rozprostowaliśmy nogi i weszliśmy do breku. Na torach stały pociągi towarowe, a obok naszego składu przechadzał się żołnierz z karabinem. Siedzieliśmy w breku już z godzinę a nic nie wskazywało na to żebyśmy zaraz ruszyć mieli, parowozu nie było, zrobiło się zupełnie widno. W końcu zdecydowałem się wyjść i za wszelką cenę dowiedzieć się gdzie jesteśmy, wyszedłem z breku, oni za mną — spostrzegliśmy grupy robotników sprzątających tory i od nich dowiedzieliśmy się, że stacja ta, to „Czeremcha", ostatnia przed granicą ostlandu, za którą to mogliśmy już się swobodnie poruszać. Dusza we mnie podskoczyła z radości do góry, po przejechaniu niecałych stu kilometrów, będziemy w Generalnym Gubernatorstwie, a tu już damy sobie radę, dowiedzieliśmy się również, że zaraz podstawią parowóz do naszego składu wobec powyż-

szego wróciliśmy do breku i w parę minut później unoszeni w dal w naszym breku rozmawialiśmy wesoło, słonko wyjechało na niebo, robiło się coraz cieplej, wyglądaliśmy przez okienko, chowając głowy ilekroć mijaliśmy wartowników pilnujących torów. Przejechaliśmy most na Bugu, byliśmy w Guberni, teraz należało tylko zmienić pociąg. Przed Platerowem pociąg zwolnił bieg i wyskoczyliśmy, od chłopa dowiedzieliśmy się którędy mamy iść do najbliższej wsi, tak żeby ominąć stację Platerów, gdzie często zajeżdżała żandarmeria, wyłapywać szmuklerów. Byliśmy głodni jak wilki, a na wsi za marki, które mieliśmy, nic nie chcieli nam sprzedać, tylko babina jakaś ulitowała się nad nami i dała pół kg. chleba, który pożarliśmy w mgnieniu oka i udaliśmy się do następnej stacji do Niemojek. Droga ta to była dla nas krzyżową drogą, mieliśmy przejść około 12 km. a z głodu nie mogliśmy iść, słonko dogrzewało i my w swoich ciuchach założonych jedne na drugie, z tobołkami w ręku, ledwo żeśmy się poruszali, a w dodatku szliśmy polami, aby na uczęszczanej drodze nie spotkać kogoś niepożądanego, a i tak spotkaliśmy. Po przejściu kilometra siadaliśmy na ziemi wypoczywając i po wypaleniu papierosa, wlekliśmy się dalej. Napotkaliśmy lasek i położyliśmy się na chwilę, a później nie mogliśmy wstać, tak byliśmy wycieńczeni, jeden drugiego musiał ciągnąć i zachęcać. Na dobitkę złego, pod jedną wsią natknęliśmy się na żandarmów i wypadało nam iść wprost na nich, albo w bród przez rzekę, a żandarmi obserwowali nas przez lornetki i choć chłopaki początkowo chcieli iść przez rzeczkę, to nie miało sensu, a mogłoby wzbudzić podejrzenie w stosunku do nas, więc walę prosto i śmiało na nich a chłopaki rade nie rade za mną. Zatrzymali nas, obejrzeli nasze bagaże i dowody i spytali co w tej okolicy robimy, odpowiedziałem że przyjechaliśmy bieliznę wymienić na żywność, uwierzyli i puścili nas. Pod wieczór dotarliśmy do wsi Niemojki i tu w spółdzielni wymienili nam marki na złote, ale znów tragedia, bo nic nie można było kupić! — w całej wsi w czterech sklepach ani

grama chleba! Dopiero w restauracji podali nam cztery kotlety siekane, po maleńkim kawałku chleba i trzy szklanki kawy, zdarli za to z nas nielitościwie — 82 zł. Na bezpłatnej kolacji byliśmy u jednego gospodarza i najedliśmy się pierwszy raz od wielu dni do syta. Ponieważ pociągu już żadnego do Warszawy nie było, poszliśmy do sołtysa aby nas we wsi przenocowali. Ale tu znów kwestia sporna. Sołtys nie chce im dwom wydać kartek na nocleg, bo nie mają kennkarty, miałem tylko ja i musiałem ją zostawić i przyrzec uroczyście, że nic złego we wsi nie zrobimy, dopiero otrzymaliśmy kartki. Ja i Mietek spaliśmy u dwóch najbogatszych gospodarzy — braci, a Wacek musiał jeszcze latać do sołtysa po nową kartkę, gdyż ta jaką dostał do chłopa, na nic mu się nie przyda, gdyż chłop nie chciał go puścić, udając że nikogo nie ma w domu. Na drugi dzień rano po odebraniu naszych bagaży i dowodów od sołtysa, ruszyliśmy do stacji dzieląc się wrażeniami odbytej nocy. Okazało się, że Wacek spał u najbiedniejszego gospodarza, a dostał lepsze śniadanie jak my u tych bogaczy. Wykupiliśmy bilety i bez żadnych przygód dojechaliśmy do Siedlec. Tu czekaliśmy na przesiadkę trzy godziny, włócząc się po mieście. Złapałem jakiegoś frajera, któremu sprzedałem mydełko, którego nikt nie chciał kupić, przypatrzyłem się jak na rynku warszawscy kanciarze ogrywali naiwnych i bogobojnych lecz chciwych kmiotków w trzy karty. Poprawiłem bagaż, żeby nie było widać fasowanych łachów i wsiedliśmy w pociąg, o wpół do piątej byliśmy w Mińsku Mazowieckim, skąd do Warszawy mieliśmy jechać elektrycznym pociągiem, na który jednak było trzeba trochę czekać, więc staliśmy na peronie i czekaliśmy. Żandarmi z lekka szabrowali szmuklerów, nawet i na moją walizkę jeden patrzył się chciwym, badawczym wzrokiem, jakby chciał poprzez ścianki zobaczyć upragnione masło i pęta kiełbasy, czy stertę jajek, a kiedy widząc jego pożądliwy wzrok, okazałem chęć otworzenia walizki, odszedł zawiedziony. Przy wsiadaniu do elektrycznego, spotkała mnie niespodzianka, zobaczyłem ma-

tkę swoją, która mnie w pierwszej chwili nie poznała, tak byłem wychudzony i brudny. Przywitaliśmy się, dała mi matka klucz od swego mieszkania i pojechałem do Warszawy, a matka do Siedlec, gdzie jeździła po towar. O szóstej byliśmy w Warszawie, pożegnałem się ze swoimi towarzyszami, obiecując ich kiedyś odwiedzić. Byłem szczęśliwy, że dotarliśmy cało do domu i szybko, pomimo trudności na jakie napotykaliśmy i choć w opłakanym stanie — byliśmy zadowoleni, że mamy już to wszystko poza sobą. Tak to zakończyła się moja ucieczka z raju, który nam stworzyli „dobroczyńcy" niemieccy na terenach zachodniej Rosji.

Dn. 12.4. 1943

Parę dni leżałem w łóżku, bo mi na nogach czyraki się porobiły, teraz już jest dobrze i pracuję u Sobstyla w stolarni, mam 4 zł. na godzinę. Początkowo spałem u matki, a teraz sypiam u Strąka, bo raz podczas śniadania, przyszedł policjant po mnie, to jeszcze Opel mnie poszukiwał. Matka rozmawiała z nim w drzwiach, a ja siedziałem przy stole zasłoniętym szafą, tak że mnie widać nie było i piłem kawę, schować się było już za późno, siedziałem więc bez ruchu i czekałem z rezygnacją, wejdzie, czy nie, ale na szczęście, nie wszedł. Kazał matce przyjść do komisariatu zaraz i przynieść zaświadczenie z firmy, że rzeczywiście jestem na wschodzie. Zaświadczenie takie miałem przy sobie, wystawione przez firmę Koder przed wyjazdem na roboty. Oddała matka to zaświadczenie i z Oplem mam już spokój, gdyż figuruję u nich, że jestem na Wschodzie.

Dn. 14.4. 1943

Podczas mojego pobytu na wschodzie, córeczka nasza chorowała i Stasia bojąc się żeby dziecko nie umarło, ochrzciła ją imieniem, takim jak ja chciałam. Nazywa się Monika —

Mirosława. Ojcem chrzestnym był Wacek a matką siostra Stasi — Marysia. Z Opla przysłali kartę żebym się stawił po odbiór dokumentów i pieniędzy zaległych, ale ja nie głupi żebym sam szedł, posłałem Stasię i choć ją trzymali pięć godzin, w końcu wydali jej wszystko i już raz nareszcie odtalętałem się od nich. Niemcy od pierwszego zaczęli wykańczać garstkę Żydów, która pozostała w ghetcie, lecz tym razem Żydzi postawili zbrojny opór. Niemców, którzy pierwsi weszli do ghetta, zabili, a czołgi i samochody spalili. W odpowiedzi na to niemcy wprowadzili do walki działka artyleryjskie i samoloty. W początkach ludzie chodzili koło murów ghetta i zbierali się w grupki, przypatrując się walce, ale gdy kilka osób zostało zabitych i postrzelonych, niemcy zamknęli ulice prowadzące wzdłuż murów ghetta dla ruchu kołowego i pieszego. Żydzi są dobrze zaopatrzeni w broń maszynową i granaty, które nawiasem mówiąc, nabywali od żołnierzy niemieckich i organizacji polskich podziemnych. Nie na wiele jednak zdaje się im ta broń, gdyż niemcy zmuszeni walczyć o każdy dom, a nie mogąc wejść w głąb ghetta, wzięli się na sposób. Z samolotów palą domy, a wypalone mury burzą działami posuwając się w ten sposób powoli, lecz stale ku środkowi ghetta, zaciskając ze wszystkich stron krąg coraz ciaśniejszy. Tramwaj z Żoliborza dochodzi tylko do Muranowskiej, a z miasta do placu Krasińskich i ten kawał trzeba obchodzić naokoło, przez Nowiniarską, Franciszkańską i Zakroczymską. Z tego powodu przed pójściem do pracy odprowadzam Stasieńkę niosąc dziecko i klnę na czym świat stoi niemców, że rozpoczęli tę walkę z Żydami. Ghetto się pali, dym snuje się nad zmęczonym naszym miastem, giną obrońcy, nie mając znikąd żadnej pomocy, jest to dramatyczna samoobrona umęczonego, zrozpaczonego człowieka. Jest też z nimi i razem walczy jakiś polski oddział, ale niewiele to pomoże. Bezustannie słychać detonacje, a nocą całe miasto oświetlone łuną płonących domów. Ludzie ze zgrozą opowiadają sobie szeptem o rozdzierających scenach, jakie mają miejsce w ghetcie, i zastanawiają się jak to z nami będzie.

Dn. 15.4. 1943

W warsztacie zdarzył się dzisiaj nieszczęśliwy wypadek. Strąkowi heblarka obcięła dwa palce i jeździłem z nim do szpitala na operację, nie mogli go uśpić, bo pije wódkę, pokopał siostry, aż wreszcie musieli go związać i zrobili co potrzebowali. Po operacji był taki słaby, że musiałem go prowadzić pod rękę.

Dn. 20.4. 1943

Jakiś pech prześladuje nasz warsztat, bo nie minął tydzień a dzisiaj znów wydarzył się wypadek. Jednemu ze stolarzy maszyna szabownia obcięła trzy palce. Wszystko przez to, że nie ma odpowiednich urządzeń zabezpieczających. Ghetto już jest prawie wykończone. Teraz trwa wyłapywanie pojedynczych Żydów, którzy probują kanałami wydostawać się na wolność z oblężonego i ginącego ghetta. Niemcy czatujący przy tych kanałach, podobni są do małp, przykucniętych na ziemi, rozważających jakiś poważny problem. Do walki w środku niemcy sprowadzili Łotyszów i ukraińców. Dziś wracając rano po odprowadzeniu Stasi, widziałem jak ukrainiec przyprowadził do niemców stojących na rogu Konwiktorskiej i Zakroczymskiej zwierzynę — Żyda. Mógł mieć około 30 lat, zarośnięty, czarny od dymu, stał drżący z chłodu, twarzą do muru z podniesionymi rękoma. Nie miał wybitnie szczęścia, gdyż udało mu się wyjść szczęśliwie z ghetta i z kanału na powierzchnię i tu dopiero ktoś go poznał jako Żyda, zdenuncjował i dostał się w ręce oprawców, lecz zdołał zmylić ich czujność i zbiegł. Uciekał w kierunku mostu kolejowego przy Cytadeli i tam ukrył się w szkółce drzewek owocowych i byliby go niemcy nie znaleźli, bo już dali spokój i zrezygnowani odchodzili z tego miejsca, gdy podszedł do nich polski zamiatacz ulic i powiedział niemcom gdzie siedzi zbieg i już po chwili go prowadzili. Dozorca ten mógłby być wzorem obowiązkowości dla gestapo — skurwysyn pies. To nawet na polowaniu

na zwierzęta, sztukę, która umknie, znikając z pola celownika, nie szuka się i nie gania, darowuje się życie, a taki człowiek ma gorszy instynkt jak bestia. Podeszłem do niego i schlebiając mu, chciałem dowiedzieć się jego nazwiska lub adresu, ale chytra bestia nie powiedziała, gdy odchodziłem podszedł do mnie jakiś facet — jeden z naszych, i powiedział, że on i tak będzie wszystko wiedział co mu o nim potrzeba i go się sprzątnie, za życie musi iść życie, takie jest zdrowe prawo natury. Żyda po przyprowadzeniu na miejsce, postawili pod lufami rozpylaczy i kazano mu spuścić spodnie do kostek aby zabezpieczyć się przed nową ucieczką i stał tak w kalesonach bezradny i zdeterminowany przed swoimi oprawcami i ci ostatni naprawdę śmiesznie wyglądali przy swojej ofierze, nie mogłem na to patrzeć i poszedłem do pracy. Dziwię się tylko dlaczego Żydzi nie zastosowali obrony wcześniej, kiedy ich było jeszcze tysiące?

Dn. 30.4. 1943

Święta przeszły nam smutno, bo mieliśmy przed oczyma dym unoszący się znad ghetta i w powietrzu było go pełno a w myślach smutne refleksje, jak to nas niemcy wykończą, bo Żydów już wykończyli, strzały w ghetcie ucichły, tylko domy dopalają się równo i od czasu do czasu słychać wystrzał, pozbawiający życia jednego z obrońców, znalezionego przy tryumfalnych okrzykach niemieckich. Niemcy nie zapominają o obrewidowaniu ofiary przed rozstrzelaniem, co daje im niezły dochód i tym sposobem łączą „kulturalną" rozrywkę z pożytecznym. No my Polacy chyba tak łatwo im się nie damy!

Dn. 13.5. 1943

Wczoraj w nocy mieliśmy nalot bombowców sowieckich, który trwał dwie godziny. Zburzyli kilka domów mieszkalnych, kilka spalili, jest kilkunastu zabitych i tyleż rannych,

ale na ogół to straty są większe polskie, jak niemieckie. Artyleria niemiecka porozstawiana po całym mieście, biła z początku raz za razem, a widząc bezskuteczność, dali spokój, nie strącili ani jednego! Z tego widać, jakie sukcesy odnoszą oni na frontach, tylko w szmatłowcu warszawskim — wszędzie zwyciężają. Wszędzie wymalowali literę V, co oznaczać ma zwycięstwo — viktoria — a na razie marsz ich na wschód został powstrzymany i stoją w miejscu.

Dn. 18.5. 1943

Moniczka jest chora, ma koklusz i często wymiotuje, Stasia wydaje ostatnie grosze na lekarzy i nic na razie nie pomaga. Teraz co dzień organizacje kogoś sprzątają, albo niemców, albo naszych kapusiów. W Afryce już alianci wykończyli na cacy niemców i Włochów — nie wiadomo co dalej będzie, wszystko wskazuje na to, że wojna w tym roku się skończy, ale pozory nieraz mylą.

Dn. 5.6. 1943

Zdaje się, że przestanę pracować w stolarni, gdyż ciągle się kłócę z bratem właściciela, który mści się na mnie za to, że powiedziałem właścicielowi, że on sprzedaje drzewo na lewo, bez wiedzy brata i przegrywa pieniądze w ruletkę u niemców w alei Szucha. Złożyłem podanie do tramwai żeby mnie przyjęli w charakterze konduktora lub motorniczego, praca ta mi się podoba i chciałbym już raz nareszcie mieć jakąś stałą pracę. Ta wędrówka po różnych kątach już mi się sprzykrzyła.

Dn. 10.6. 1943

Wczoraj przestałem pracować w stolarni, gdyż posądził mnie brat właściciela, że ukradłem im zegarek, który im zgi-

nął, a który Józiek pewnie sam sprzedał i przepił, albo przegrał, wziąłem wypłatę i do widzenia. Dziś byłem na placu Krasińskich po Stasię i przy mnie zabito jednego szwabskiego żołnierza, z tego powodu był popłoch jak cholera, ale wkrótce się uspokoiło, sprawcy zabójstwa, a właściwie dobrodziejstwa, nie złapano. Jest naród, który powinien być zniszczony całkowicie — to Anglicy. Już miesiąc jak skończyli walkę w Afryce i nic nie robią, a my się z temi skurwysynami tu męczymy, zdychamy z głodu i w obozach nas wykańczają, ale mówi się, że alianci nam pomagają. Kto jak kto ale Anglicy na pewno tak nie giną, jak my i po zakończonej wojnie się okaże jak kto walczył.

Dn. 20.6. 1943

Otóż do tramwai w takim charakterze jak ja chciałem nie przyjęli mnie, a w warsztatach nie chcę pracować. Pozałatwiałem wszystkie formalności na kolei i prawdopodobnie będę pracował na dworcu Gdańskim, o ile nie trafi się coś lepszego. Mam znów zmartwienie: chore oko zaczyna boleć, a na zdrowe gorzej widzę, a na myśl o operacji słabo mi się robi. Wielki sukces Anglików, którzy zdobyli trzy włoskie wysepki, teraz będą uważać siebie za wielkich bohaterów.

Dn. 25.6. 1943

Na kolej nie poszedłem pracować, choć mógłbym, bo będę stawiał do spółki z matką budkę owocową i handlem się zajmę. W ghetcie już kompletna cisza i puścili nareszcie tramwaj przez Bonifraterską, skończyły się Stasi męczarnie, noszenia dzieciaka taki kawał i skończyły się złote zarobki furmanów, przewożących ludzi na tym odcinku. Niemcy samowolnie wciągnęli mnie do straży ochotniczej ogniowej i muszę chodzić teraz dwa razy w tygodniu na ćwiczenia.

Dn. 5.7. 1943

Organizacja wysłała mnie z prasą na wieś do Nadarzyna i miałem tam dostać robotę u kowala, ale za późno się zgłosiłem, kowal miał już pomocnika i nie przyjął mnie. Oddałem tylko bibułę i z powrotem wróciłem. Niosłem papiery w butach pod wyściółką i miałem trochę pietra, bo szedłem sam i kilka razy na szosie legitymowali mnie niemcy, ale pokazywałem im stary auswais z Opla i puszczali, jednak pomimo swojej mądrości, to szwaby są głupie.

Dn. 14.7. 1943

Sytuacja finansowa przedstawia się u nas blado, tak, że nieraz tylko dwa razy jem dziennie i to nie do syta, kartofelki i chleb, czasami chodzę do matki na dożywienie i to mnie tylko przy życiu trzyma, bo inaczej to z osłabienia nie mógłbym chodzić. Stasia narzeka, że ja tak ciągle zmieniam pracę, ale co robić, to niemców zasługa, że nie dają człowiekowi żyć. Jak Stasia dostanie wypłatę, to pojadę na szmukiel, tylko już do Małkini, broń Boże!

Dn. 25.7. 1943

Stanowczo szmukiel to nie dla mnie, pojechałem parę razy do Szaniaw w stronę Terespola po żyto i przywiozłem i zarobiłem, a jak wziąłem Stefana i Wacka ze sobą, to mnie położyli niemcy na obie łopatki, z tramwaju przy Muranowskiej wyciągnęli mi 70 kg żyta. Potem zacząłem jeździć do Mińska Mazowieckiego po kartofle i tak na tym wyszłem, że raz kupiłem kartofle i jak przywiozłem do Warszawy, to musiałem ich sprzedać taniej, niż kupiłem, no i skończyłem już szmukiel. Od trzech dni ząb mnie boli i gęba mi spuchła jak karmelicka bania, oko mnie boli i nie mam forsy, stale prześladuje mnie jakiś pech, czy kara Boża. W ustach księdza

Bóg jest nieskończenie dobry i nieskończenie sprawiedliwy, jednak w życiu praktycznym tak nie jest. Biorę przykład ze swego życia. Jeśli zgrzeszyłem, a wiem, że zgrzeszyłem, to to, co ja w życiu wycierpiałem i moje kalectwo uważam za wystarczającą karę za moje grzechy, tymczasem karząca ręka Boga nadal na mnie ciąży. Natomiast ojciec mój w zrozumieniu społeczno-ludzkim również ciężko zgrzeszył jak i ja, a jednak jest mu i było zawsze sto procent lepiej jak mnie i Bóg go nie karze. Znaczy, trzeba być skończonym łotrem, to wtedy będzie mi dobrze, a im gorszy będę, to lepiej mi będzie. Tak wynika z życia praktycznego, czego najlepszym dowodem są niemcy, których za zbrodnię Bóg nie karze, a papież błogosławi. Tylko, że jest przysłowie, że za winy ojców dzieci cierpią, może i ja za swojego cierpię, tylko że mnie się nikt nie pytał czy ja chcę cierpieć.

Dn. 29.7.1943

Trzy dni pod rząd były u nas na Marymoncie draki z niemcami. W poniedziałek zabito na wale dwie siostry niemieckie i oficera, we wtorek zastrzelili folksdojcza na ulicy przy przystanku, a w środę na Szlacheckiej lotnika niemieckiego i z tych przyczyn co noc łapanka i co noc spałem u ojca. A dziś pijani żandarmi zastrzelili pijanego chłopaka za to, że szedł przed godziną policyjną, to znaczy przed 5 rano. Anglicy zdobyli Sycylię, to już sukces nie lada. Generał Sikorski zginął w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem, wtajemniczeni mówią, że to Anglicy go zgładzili z tego świata za to, że za bardzo szedł na współpracę ze Związkiem Radzieckim.

Dn. 2.8.1943

Budkę po przezwyciężeniu różnych trudności postawiłem i wczoraj pomalowałem, a dziś pierwszy dzień handlowałem, ale zdaje się, że w tym miejscu i takim towarem to nie bę-

dzie dobrze szło, handluję owocami i warzywem. Niemcy już teraz w dzień na samochodach patrolują ulice na Marymoncie, co nigdy się nie zdarzało. We Włoszech nastąpiła zmiana rządu. Włosi już się chwieją na osi, może to jednak niedługo koniec.

Dn. 7.8. 1943

Po niecałym tygodniu handlu już się pokłóciłem z matką, zrzekłem się swojego udziału i już nie jestem kupiec. Stasia ma urlop i siedzimy razem w domu i głodem przymieramy, ale Stasieńka nic się nie użala, sprzedała moje kalesony za 30 zł. na życie, bo nawet na kartofle nie mieliśmy. Ale właśnie w tej nędzy jesteśmy względem siebie szczerzy i odczuwamy to, że się prawdziwie kochamy, tylko nędza nas gnębi. Już pójdę chyba na tą kolej. Koledzy grali u nas dzisiaj w karty w oczko i wygrałem 17 zł., to dałem Stasi na życie i pomyśleć, że my nie mamy na chleb, a inni chodzą w oficerkach za 5 tys. zł.

Dn. 17.8. 1943

U nas w domu jest tak źle, że Stachurek dał mi swoją sukienkę, jaką miał najlepszą, do sprzedania na życie, ja staram się jednak za wszelką cenę jej nie sprzedać, co dotychczas mi się udało. Rentę mi podwyższyli, dostanę teraz 82 zł. Mieliśmy dziś iść z Wackiem do Staśka dowiedzieć się o wyjazd do Francji, ale pogrzeb nas zatrzymał. Na Szlacheckiej chowali 19-letniego ochotniczego robotnika z Prus. Najpierw pracował u baora, za bunt odesłali go do kopalni, a że tam nie chciał prędko umrzyć, wysłali go do drugiej kopalni, gdzie były gorsze warunki, no i w końcu po czterech latach z początkiem gruźlicy puścili go na urlop do domu, gdzie po dwóch miesiącach umarł sobie na suchoty — tak się dorobił w wielkiej trzeciej rzeszy.

Dn. 21.8. 1943

Dzisiaj byłem przez pięć godzin w piekle, a przynajmniej tak mi się zdawało. Poszedłem do pracy do kowala, za pomocnika z ogłoszenia. Upał dochodzi dziś do 46°, toteż po kilku minutach bicia młotem, pot lał się ze mnie strumieniami, a palce tak zdrętwiały, że musiałem jedną ręką rozginać palce drugiej ręki. Po czterech godzinach pracy, kowal powiedział, że się nie nadaję i zwolnił mnie. Odetchnąłem i czemprędzej się ulotniłem, nie żądając zapłaty za przepracowany czas. Z tego wysiłku po moim odżywianiu byłem wycięczony, że rozchorowałem się. Sukienkę sprzedałem za 180 zł.

Dn. 25.8. 1943

Byłem we Włochach względem pracy, ale jak zwykle już za późno, bo przyjęli kogoś. Dziś ojca imieniny i Stasia rano jadąc do pracy, pojechała do ojca z kwiatami powięszować i zaprosił nas. Ze dwie godziny byliśmy u ojca, trochę popili, porozmawiali o polityce i pożegnaliśmy się. Ojcu jak zwykle dobrze się powodzi i niczym nie przejmuje się, bo mówi, że nie warto, niech się koń przejmuje, na zapas nigdy się nie martwi.

Dn. 8.9. 1943

Skończył się kurs strażacki, dużo było przy tym śmiechu, ale jakoś przeszło. Od drugiego pracuję na dworcu Gdańskim w parowozowni jako pucer i czyszczę armaturę w parowozach. Dziś i wczoraj pracowałem przy wyładunku węgla z wagonów i paskudnie się narobiłem, do domu przychodzę czarny jak lucyper. Nieraz przychodzi mi na myśl, żeby wszystko

rzucić i uczyć się i uczyć, żeby choć maturę skończyć, bo inaczej to czuję, że w życiu przepadnę, zginę bez ratunku w świecie.

Dn. 9.9. 1943

Niemcy wydali oficjalny komunikat, że Włosi skapitulowali — jest to duży krok naprzód w kierunku szybkiego zakończenia wojny — oś pękła. Moniczka jest coraz zabawniejsza i silniejsza, już siada.

Dn. 18.10. 1943

Straciłem najlepszego kolegę — Wacek został rozstrzelany jako zakładnik na Towarowej, na wprost Łuckiej — biedny Wacio. Sprzedawał na Świętokrzyskiej książki szkolne aby kupić sobie te które jemu są potrzebne, i nie wiadomo skąd budy zajechały i wszystkich wygarnęli. Wacek nigdzie ostatnio nie pracował i znikąd ratunku dla niego nie było i w trzy dni po łapance było już po wszystkim. Niemieccy barbarzyńcy wzięli się na nowy „kulturalny" sposób masowego wyniszczenia Narodu Polskiego — odpowiedzialność zbiorowa — cygan zawinił, a Żyda powiesili.

Dn. 1.11. 1943

Jestem przeniesiony na stałe z parowozowni do składu węgla, dlatego że nie dawałem łapówek kierownikowi, boli mnie ta niesprawiedliwość, ale nic poradzić na to nie mogę. Tyram teraz jak dziki osioł, bo jak we dwóch dostaniemy 30 ton węgla do wyładunku na sześć godzin, to jest co robić aby na czas zdążyć. Próbowałem kiedyś nie wyładować, będąc ciekawy co mi za to zrobią, tłumaczyłem się że nie mam

siły, ale ciekawość moja została raz na zawsze w dość przykry sposób zaspokojona. Gdy przyszedł czas i wszyscy swoje wagony już skończyli, a ja jeszcze miałem górę węgla do wyładowania musiałem sam wszystko wyładować, a z pensji potrącili mi osiowe, od tej pory nie udaję chorego i zawsze zdążam na czas. W wolnych chwilach od pracy, patrzymy tylko gdzie są czarni i jak ich nie widać wynosimy kawały węgla i sprzedajemy zaraz obok na ulicy do składu. Najlepszy pan to jeden ze strażników niemieckich — przezywamy go garbinos, albo orli nos, ten nie daruje kolejarzowi ani kawałka węgla, jak złapie to zaraz bije i zapisuje do książki, potym płaci się karę i pozbawionym się jest deputatu i premii, najgorsze to baty. Mamy i z polskich strażników jednego psa — nazywamy go karaluch, bo jest czarny, temu jak się nie da w łapę parę zł albo ćwiartkę to nie puści złapanego z węglem, tylko bije do niemców prowadzi, nie wchodzi w położenie że może ktoś akurat nie ma dla niego na łapówkę. Ma podobnież na sumieniu zabójstwo dwóch ludzi z partii, muszę o tym pogadać ze Stefanem niech da znać gdzie potrzeba. Jak do tej pory to sprzyja mi szczęście i jeszcze nie zostałem złapany ani razu, tylko premii nie dostaję za lenistwo w pracy, ale choć mi jest ciężko, wolę nie dostawać wódki i papierosów, a nie wysługiwać się szkopom i być gorliwym.

Dn. 12.12. 1943

Pracuję już na nowym dziale — wagonowym. Praca moja polega na smarowaniu oliwą łączników i resorów. Mam majstra zniemczonego — polaka — choleryka, jest to typowy obraz szwabskiego zwyrodnialca, pochodzi ze Starogardu, rodzice jego mają sklep i są Polakami, a on należy do SS. Przyczepia się o byle co i jest strasznie pochopny do bicia, niejednokrotnie modlimy się, żeby go gdzie zabili. Jak jest zły to drze się na cały głos i toczy się z ohydnego pyska wściekła piana, w takich chwilach nie warto podchodzić mu pod rękę.

Dn. 20.12. 1943

Przerzucają mnie z miejsca na miejsce, znów pracuję gdzie indziej. Zostałem przydzielony wraz z trzema kolegami do obsługi parników przy pociągach sanitarnych, będziemy pracować przez cały okres zimowy. Praca ta odbywa się na dwie zmiany w dzień i w nocy nie jest zbytnio ciężka, ale jak przyjdzie sanitarny pociąg to musimy się uwijać, ale i tak robimy wszystko co jest możliwe, aby transport z kadłubami niemieckimi odszedł jak najpóźniej. Przy ładowaniu zawsze jest obecny starszy rewident i nas popędza — stary tchórz. Dzisiaj przejeżdżał transport rannych z Makijewki z frontu wschodniego. Nic się od rannych nie można dowiedzieć, ale panuje u nich wzorowa czystość i porządek, wywożą ich do jakiejś miejscowości w Prusach. Kucharze z tych pociągów sanitarnych zawsze dobrze wyglądają, jeszcze nie widziałem chudego, i zawsze mają coś do sprzedania, sacharynę, konserwy itp. ale chcą tak wygórowane ceny, jakby u nas nic nie było, tak, że żadne tranzakcje handlowe nie dochodzą do skutku.

Dn. 27.12. 1943

Święta spędziliśmy u ojca, akurat miałem dyżur na noc, zjadłem wigilię i poszedłem na stację, położyłem się ale nie mogłem zasnąć, bo moi koledzy się upili i darli się na cały głos, dobrze że pociągu nie było, bo nie wiem jakbyśmy go załadowali. Coraz częściej przechodzą transporty z frontu z porozbijanymi samolotami niemieckimi, takie transporty wraz z transportami rannych radują nasze oczy i serca, bo oznaczają coraz bliższą godzinę zwycięstwa aliantów. Nie mogę nawiązać kontaktu z żadnym z kolejarzy aby go nakłonić do pracy konspiracyjnej, gdyż większość to starzy ludzie, konserwatywni, pamiętający jeszcze czasy caratu i nie chcą

się angażować w żadne niebezpieczeństwo. Stefan znów mnie wciągnął do nowej jakiejś partii, bo tamta się rozsypała. Jest to zdaje się O.W. — organizacja wojskowa. Dwa razy w tygodniu zbieramy się w moim mieszkaniu, mamy wykłady o broni i czytamy prasę. Dostałem do przeczytania nowelkę lotniczą o naszych lotnikach, walczących w Anglii „Dywizjon 303" bardzo mi się podobała. Z wiosną Rosja szykuje wielką ofenzywę i będzie to decydujące uderzenie i mam nadzieję że niemcy nie oprą się aż na linii Wisły, żeby to już jak najprędzej nastąpiło. Dostałem instrukcję, abym bacznie obserwował ruch pociągów w obu kierunkach i meldował o wszystkich transportach, idących ze sprzętem wojennym na wschód. Partyzantka w Lubelszczyźnie się rozwija mając już coraz większy zakres działania. Niemcy mszcząc się za to wysiedlają ludność wiejską, paląc zagrody i zabierając inwentarz żywy.

Dn. 3.1. 1944

Nareszcie i ja wpadłem i to w sam Nowy Rok, tak źle zafartowałem sobie, teraz cały rok będzie mnie pech prześladował. Złapali mnie z węglem i to orli nos, ale że był w dobrym humorze, to kazał mi tylko wysypać węgiel z plecaka i puścił, nawet nie uderzył, niebywała historia w dziejach dworca Gdańskiego. Jak wychodzimy z roboty, każdy niesie kawał węgla 10—15 kg. i rozglądamy się na wszystkie strony jak przemytnicy, niemcy nauczyli nas złodziejstwa, stwarzając warunki ku temu, a my ten kunszt doprowadziliśmy do perfekcji, żeby nie dać się złapać, dwóch od nas kolejarzy wysłali do Treblinki, złapali ich na kradzieży kauczuku, mieli po 50 kg. Przez lenistwo jednego z nich wpadli obaj, bo zamiast obejść dworzec dookoła, to on poszedł sobie torami i niemiec go zahaczył, dostał baty i wydał drugiego, pojechali obaj.

Dn. 20.1.1944

Pomiędzy naszym dworcem a W-wą — Pragą wydarzyła się katastrofa. Pociąg osobowy wpadł na towarowy, stojący pod sygnałem, został zabity hamulcowy, który siedział w breku ostatniego wagonu oraz maszynista i palacz, ofiar innych w ludziach nie było, gdyż pociąg osobowy był pusty — manewrował. W biały dzień we czterech ukradliśmy dziesięć ton węgla na oczach niemców. Przetoczyliśmy wagon przez całą stację i koło Cytadeli sprzedaliśmy, a wagon pusty zapchaliśmy z powrotem na miejsce, to był największy szaber jaki ktokolwiek uskutecznił na tym dworcu. W zeszłym tygodniu organizacja zastrzeliła we własnym mieszkaniu wartownika polskiego z naszego dworca — czarnego za to że kiedyś dobił dwóch rannych chłopców z organizacji postrzelonych podczas pościgu przez niemców. Mściciele przyszli do niego do mieszkania i podziurawili go jak sito, dostał trzydzieści sztuk z automatu, tak powinni zginąć wszystkie psy. Jednocześnie na dworcu Zachodnim sprzątnęli banszuca niemieckiego „panienkę" który za kawałek węgla strzelał do ludzi.

Dn. 5.2.1944

Niemcy też się nauczyli szabru, zatrzymał się u nas na stacji towarowy pociąg sanitarny ewakuowany ze wschodu i stał trzy dni. I konwojent — niemiecki żołnierz sprzedał sto kocy, ja kupiłem pięć sztuk, bo już nie mieliśmy się czem przykrywać. Niemcy dostają na wschodzie aż się kurzy a Włosi już częściowo skapitulowali, alianci zajęli pół Włoch. Wczoraj skradliśmy z transportu sześć worków obuwia używanego i wszystko sprzedaliśmy, zostawiłem sobie jedną parę, bo nie miałem w czem chodzić.

Dn. 27.2. 1944

Nareszcie zaczęła się robota sabotażowa, na naszym dworcu ustawiacze w zmowie z maszynistami rozbijają co noc wagony, rzucając je z całej siły jedne na drugie, podczas przetoków. Wagony nie są na czas reperowane, jednym słowem wszystko szwankuje. Ja jeszcze z jednym podważamy w nocy drzwiczki w wagonach gdzie jest zboże, które sypie się na ziemię podczas drogi, nie mamy my chleba pod dostatkiem niech nie mają i oni.

Dn. 2.3. 1944

Dotychczas o egzekucjach publicznych tylko słyszałem a dzisiaj sam byłem świadkiem, wywarło to na mnie wstrząsające wrażenie, jest to gwałt nie notowany w dziejach ludzkości, wszystko odbywa się z premedytacją i systematycznością niemiecką. Można jedynie porównać to okrucieństwo do czasów Nerona i cierpień pierwszych chrześcijan. Egzekucja odbyła się przy Dworcu Gdańskim, koło wiaduktu gdzie kilka dni temu został zabity żołnierz niemiecki, w zamian za niego oddało swe życie piętnaście osób, jedenastu mężczyzn i cztery kobiety. Przed godziną czwartą po południu dostaliśmy rozkaz żeby nikt się nie wydalał z terenu dworca, bo będzie rozstrzelany. Cały wiadukt z jednej i drugiej strony został obstawiony przez żandarmerię. Wszelki ruch kołowy i pieszy wstrzymany. Wiedziałem że coś się święci, pobiegłem do pokoju rewidentów, którego okna wychodzą na placyk przed dworcem i cały czas obserwowałem wszystko. Gdy wszystko było gotowe nadjechały budy od strony Bonifraterskiej i ustawiły się jedna za drugą. Z pierwszej wysiadł pluton egzekucyjny i ustawił się. Za chwilę z następnej budy

wyprowadzono ofiary — pięciu mężczyzn i ustawili ich twarzą do wału, na chodniku pięciu żołnierzy ustawiło się z karabinami z tyłu za nimi. Więźniowie mieli opaski na oczach, coś mówili do swoich oprawców jeden coś krzyknął i nie mogłem dosłyszeć co, w następnej chwili padły strzały i pięć ciał upadło na wał, wtedy oficer komenderujący plutonem w białych rękawiczkach z pistoletem podszedł do ciał i oddał po jednym strzale w głowę, ażeby śmierć była stuprocentowa. Proceder ten powtarzał się z jednakową dokładnością tylko w drugiej partii jedno z ciał po wystrzale zaczęło drgać konwulsyjnie ale oficer zaraz go dobił. Na ostatku wyprowadzono jednego mężczyznę i kobiety, mężczyzna szedł chwiejnym krokiem opierając się na dwóch żołnierzach którzy go prowadzili ale nie doszedł do miejsca stracenia, zachwiał się i zawisł bezwładnie na rękach żołnierzy — pękło mu serce, był to już starszy mężczyzna. Kobiety szły spokojnie, prócz jednej, która rozdzierającym głosem błagała o darowanie życia, gdyż ma małe dzieci, tyle przynajmniej z tego krzyku zrozumiałem. Ale hitlerowskich zbirów nic nie jest w stanie wzruszyć, za chwilę padły strzały i wszystko się skończyło. Kobieta która krzyczała była młoda i jedna która nie miała opaski na oczach. Wszyscy straceni byli w sile wieku od 20-tu do 35 lat, prócz jednego któremu pękło serce, oczy zaszły mi łzami i póki będę żył obrazu tego nie zapomnę. Najgorzej nie mogę sobie darować że niemcy nie mają w sobie odrobiny sumienia, czy ludzkości, żeby komukolwiek darować życie. Po egzekucji ciała powrzucano do jednej budy, i reszta odjechała. Na placu pozostali jacyś ludzie którzy zmywali wodą krew i posypywali piaskiem. W parę minut i oni skończyli swoją pracę i odjechali, ruch został przywrócony i wszystko dalej zaczęło normalnie się obracać w kole życia, tylko duchy pomordowanych unosiły się na miejscu zbrodni i w naszych myślach, drogich nam osób, pamięć o nich na zawsze pozostanie w sercach, pałających zemstą. Wieczorem przejechałem się, na miejscu stracenia paliły się lampki i leżały wiązanki świeżych kwiatów. Każda jedna egzekucja to procent do nienawiści prze-

ciwko okupantowi, to zbrodnie o których nie zapomni żaden Polak i da Bóg doczekamy godziny odwetu, chciałbym i ja dożyć tej chwili aby móc odpłacić się im za śmierć mego najserdeczniejszego kolegi — Wacka Balcerzaka.

Dn. 10.4. 1944

Niemcy umacniają wybrzeże Atlantyku i straszą aliantów nową bronią a wojska Radzieckie nieustannie posuwają się naprzód. Włochy skapitulowały i znajdują się prawie całe w rękach aliantów, godzina zemsty się zbliża. A terror niemiecki w Warszawie szaleje. Nie ma tygodnia, żeby kilkadziesiąt osób nie stracono publicznie, to to co my wiemy. Niedawno znów powieszono dziesięć osób na Lesznie na balkonie, w tym jednego księdza. My na razie milczymy, cierpimy i liczymy dni dzielące nas od ostatecznej walki.

Dn. 26.4. 1944

Organizacja wysłała mnie na Wolę, żeby przywieźć karabin, mauzer niemiecki i amunicję. Pojechałem na rowerze, bo to najszybciej i najpewniejszy rodzaj lokomocji w dzisiejszych czasach. Na miejscu umówionym spotkałem się z naszym chłopcem i we dwóch poszliśmy na jakieś pole na peryferie Woli i odgrzebaliśmy karabin w dobrym stanie i dwadzieścia sztuk amunicji do niego. Włożyłem to wszystko do worka, w którym miałem dla pucu łopatę i grabie, że niby jadę na działki, przywiązałem do ramy i w biały dzień przewiozłem koło wach i nie zaczepiony przez nikogo przywiozłem do miejsca przeznaczenia. Blisko domu już lufa mi wylazła trochę i policjant idzie naprzeciwko. W pierwszej chwili struchlałem... i błyskawiczną decyzją, zacząłem kręcić nogami jak szalony, myślałem, że jakby kazał mi się zatrzymać,

czy też strzelał, skręciłbym w pierwszą ulicę ale nic nie zauważył, odetchnąłem, za parę minut byłem już w bezpiecznym miejscu.

Dn. 30.4.1944

W nocy wieźli z frontu wschodniego Włochów, którzy się zbuntowali i nie chcieli walczyć przeciwko Sowietom, zatrzymali ich na dworcu. A nasi zaraz zaczęli od nich kupować różne przedmioty jak pióra, paski, buty, wyzyskując przy tym ich niemiłosiernie gdyż Włosi byli zamknięci w wagonach i pilnowali ich żołnierze niemieccy a handel odbywał się przez okienka i na migi. Od jeńca nic nie kupuję, dałem im darmo bochenek chleba i uważam, że spełniłem swój obowiązek człowieczy.

Dn. 9.5.1944

Anglicy przeprowadzili próbną inwazję na wybrzeżu francuskim w okolicy Diepp, ale zostali wyparci przez niemców, którzy ten swój sukces roztrąbili na cały świat przez prasę i radio. Powiedzieli, że wał atlantycki jest nie do zdobycia, i że ani jeden samolot aliancki nie przeleci nad terytorium Francji. Dnia trzeciego maja w wielu punktach Warszawy były zawieszone na słupach flagi z polskim orłem, a na grobie nieznanego żołnierza kwiaty.

Dn. 16.5.1944

Był nalot na Warszawę, były samoloty Sowieckie, większych szkód nie wyrządziły, prócz rozbicia dwóch tramwai na Zygmuntowskiej bombą, rzuconą z trzech tysięcy metrów, było trochę zabitych i rannych, kto wie czy my bylibyśmy żyli, bo akurat tego dnia dawali twaróg w fabryce u Stasi a ja

miałem czas i pojechałem po nią, ale odradziłem jej stać w kolejce po te trochę twarogu i przyjechaliśmy do domu, a następna czwórka, która szła za nami została zabita, takie widocznie przeznaczenie. Niemcy opisali ten nalot jako barbarzyński, ale jak oni do pastuchów w 1939 r. strzelali to było kulturalnie.

Dn. 29.5.1944

Niemcy rozstrzeliwując zakładników, zawsze podają, że zostało rozstrzelanych tylu to a tylu komunistów, a faktycznie to są ludzie, którzy mają przeważnie bardzo mało wspólnego z konspiracją, albo wcale nic nie są winni i to jest najprzykrzejsze. Praca moja przy obsłudze sanitarnych już się skończyła, pracuję z powrotem u skurwysyna Kosińskiego w wagonówce, ja jak przeżyję to go znajdę, jak tylko będzie i on żył, to się porachujemy za wszystkie krzywdy nam wyrządzone.

Dn. 1.6.1944

Znów mieliśmy nalot sowiecki, tym razem w nocy. Huk był niemożliwy żyrandole oświecały jaskrawo niektóre punkty miasta i łagodnie opadając ku dołowi dodawały uroku nalotowi, od bomb ziemia drżała. Trwał półtorej godziny. Jakie straty były nie wiem. U nas w okolicy Marymontu nic nie spadło, samolotu też ani jednego nie strącili. Na terenie wydarzył się wypadek. Resor wagonowy obciął robotnikowi trzy palce.

Dn. 24.6.1944

Od pewnego czasu Anglia jest zarzucona pociskami rakietowymi V 1 i V 2, podobno wyrządzają olbrzymie spustoszenie. A na wschodzie nie pomogły niemcom i goliaty, walki

toczą się już w rejonie Białegostoku na ziemi Polskiej i armia sowiecka jest z każdym dniem bliżej stolicy, ale niemcy wierzą wciąż w swoje zwycięstwo. U nas na dworcu daje się zauważyć zdenerwowanie niemców i niesamowity bałagan. Nareszcie przyszła klęska i na pana Kosińskiego. Któregoś dnia przyjechała wyższa komisja i ujawniła nadużycia przeładunkowe popełnione przez Kosińskiego i za karę zwolnili go z dworca ma iść na front wschodni, a on spakował manatki i wiał do Starogardu, tyle mu zrobili. Tylko że zwolnili nas — robotników od tej zmory.

Dn. 28.6.1944

Alianci pomimo przechwałek niemieckich zrobili inwazję i wylądowali pod Kalais we Francji, gdzie się utrzymali i rozszerzyli swój przyczółek i obecnie są już w trzech punktach i dobrze im idzie. U nas w wagonówce jest jeden robotnik z Polesia stary chłop, a głupi. Jest to piłsudczyk legionista kawaler krzyża Wirtuti-military, a wszystko co niemieckie bardzo mu się podoba i podlizuje się niemcom. Jest gorliwy w robocie i nas popędza, nikt go z nas za to nie lubi, trzeba go będzie kiedy napalantować, to nabierze rozumu i szacunku do wszystkiego, co polskie.

Dn. 4.7.1944

W nocy mieliśmy nalot sowiecki, ale tym razem dochodziły nas jedynie światła reflektorów, żyrandoli i huk bomb lecących na szwabskie głowy. Nalot był na Pragę i drogę, prowadzącą z Radzymina do Warszawy. Podczas nalotu staliśmy ze Stachurkiem w koszulach w oknie i przyglądaliśmy się, nasłuchując z radością bliską chwilę wyzwolenia, spojrzeliśmy

sobie w oczy i o jednym pomyśleli, czy po tylu cierpieniach co przeżyliśmy, czy przeżyjemy do końca wojny. Stachurek drżał na całym ciele mówiąc „Wiesz, Kaziu ja czuję, że nie przeżyję". Zacząłem ją pocieszać, ale łzy mi się zakręciły, to byłoby fatalne, ale powiedziałem jej, że jak zginiemy to razem, albo przeżyjemy razem.

Dn. 6.7.1944

Dziś rano idąc do roboty widziałem oddziały rumuńskie w odwrocie z Pragi. Jadą przez całą Warszawę, wszystkiemi drogami. Jadą na koniach i furkach brudni, wynędzniali, czarni, zrezygnowani, na ten widok aż serce w człowieku z radości podskakuje a na twarzach ludzi widać już nieukrywaną radość, już wszyscy wiedzą że niedługo. Konie są tak wychudzone i wycieńczone, że po drodze padają lub ich po cichu Rumuni sprzedają naszym furmanom z tego powodu nasi Polacy mają nowe źródła zarobku. Nalot ten, który był dwa dni temu zastał ich na szosie radzymińskiej i dobrze im dokitowali.

Dn. 8.7.1944

Sensacja! Niemcy okopy i rowy dobiegowe robią nad brzegiem Wisły po naszej stronie warszawskiej. Na Wisłostradzie ustawili działka przeciwlotnicze i szybkostrzelne, reflektory, wszystko to wskazuje że armia sowiecka jest już niedaleko i niemcy mają zamiar bronić się na linii Wisły, zobaczymy czy to im co pomoże. We Francji też dostają we wszystkich miejscach, a Włochów już wykończyli alianci, Mussolini uciekł. Na dworcu słychać już o ewakuacji wszystkiego co będzie można wywieźć, sprowadzili dwa pociągi pancerne do obrony dworca.

Dn. 12.7.1944

Praca na dworcu już się skończy niedługo, teraz prawie nic nie robimy, chodzimy politykujemy i węgiel kradniemy, niemcy nie mają czasu nas pilnować, są zajęci pakowaniem swoich manatków i wywożeniem ich do vaterlandu. Wojska wciąż maszerują przez Warszawę, różnych formacji, rasy, samochodami, czołgami, ale ci zwycięzcy patrzą na naszą radość ponuro i blade ich miny. Wojska sowieckie są już za Siedlcami, Lublin zabrali w ciągu jednej nocy.

Dn. 17.7.1944

Niemcy wywożą już wszystko co przedstawia jakąś wartość a nas zapędzili do ładowania tych rzeczy na wagony, czekałem tylko na wypłatę, ale i tak nie dali bo inspektor uciekł już z pieniędzmi, więc już nie pracuję, za darmo robić będę — nie ma głupich, dosyć i tak przez tyle lat nas wyzyskiwali, byłem ze Stefanem nad Wisłą wykąpać się i widziałem walkę lotniczą trzech samolotów, dwa niemieckie myśliwce i jeden ruski, kulki tak gwizdały koło nas że weszliśmy do wody, wychylając tylko głowy. Plaża pusta nikogo nie ma, nad brzegiem idą dwa rzędy rowów, niemiec przyszedł i wygnał nas, pewnie to była ostatnia kąpiel w tym roku na Wiśle.

Dn. 20.7.1944

Ostre Pogotowie! Był goniec z organizacji i byliśmy na miejscu zbiórki na ul. Włościańskiej. Ja ze Stefanem mamy dyżury dzień i noc na zmianę. Mają przyjść samochody z bronią i amunicją, naszym zadaniem będzie powiadomić wszystkich, kogo należy i rozładować i roznieść broń, już dwa dni nie śpię w domu, jestem podniecony nie mogę się doczekać kiedy? i jak to wszystko będzie? Dostaliśmy instrukcję że jak armia sowiecka się zbliży i rozpocznie działania my szwabów zaczniemy tłuc od tyłu, żeby to już jaknajrychlej było!

Dn. 26.7.1944

Ktoś podpalił Dworzec Wschodni i z rana już wiedziała cała Warszawa o tym. Byłem dziś na Dworcu Gdańskim, już nikt prawie nie pracuje tylko kowal, kazali mi szwabscy kolejarze, nie wiadomo skąd przybyli, pomagać kowalowi no i pod groźbą pistoletu przepracowałem pół dnia i dostałem za to zaległą wypłatę, przyda się. Ale za to w składzie węgla, niemieccy kolejarze sami węgiel ładują na parowozy, jak dzikie osły zasuwają. Wszystkie urządzenia warsztatowe i maszyny już wywiezione, nawet gałgany do czyszczenia parowozów zabrane.

Dn. 29.7.1944

Nieszczęście! Monika zachorowała coś jej się w głowę stało. Stasia od zmysłów odchodzi z rozpaczy, mówi że to pewnie zapalenie mózgu, posłałem ją dzisiaj do lekarza. Mnie znów coś się zrobiło w nogę że wcale chodzić nie mogę. Powlokłem się do swojego sierżanta na punkt i zwolniłem się od dyżuru. Sierżant mnie zwolnił i powiedział że jak coś będzie, to przyśle po mnie gońca. Przyjechał do nas Ignac z zakładu ze Strugi, bo już nie mieli co jeść tam. Państwo, u których służyła Marysia siostra Stasi też wyjechali i Marysia też jest u nas. W ten sposób przybyło nam dwie twarze do jedzenia, rodzeństwo Stasi, ale jakoś tam damy sobie radę.

Dn. 4.8. 1944

Wszyscy spodziewaliśmy się czegoś nieokreślonego, nieznanego, ale nie tego co wybuchło — powstania. Zaczęło się nagle i niespodziewanie, przez wsypę pewnych ludzi z jednego z konspiracyjnych oddziałów, na Żoliborzu. Dnia 1.8. 1944 jadłem obiad, była godzina 2.30 pp., Ignac pojechał do apteki

na pl. Inwalidów (po lekarstwo dla Moniki, która na szczęście nie ma zapalenia mózgu i już jest zdrowsza), gdy usłyszałem strzały z początku pojedyńcze, a później seryjne i coraz bliżej i coraz gęstsze myślałem że łapanka jest na Żoliborzu. W parę minut później wpadł Ignac blady i opowiedział, że na pl. Inwalidów żandarmii gonili jakichś młodych ludzi, którzy uciekali w kierunku Marymontu ostrzeliwując się. Posiedziałem tak może z pół godz., strzały nie ustawały, zobaczyłem przechodzących przez nasze podwórko (było przechodnie) dziewięciu ludzi z biało-czerwonymi opaskami, dwóch z nich miało karabiny niemieckie, reszta granaty, nic jeszcze nie rozumiałem, myślałem, że to prowokacja niemiecka, o której ostatnio dużo się mówiło, żeby nie dać się zwieść. Zresztą, gdyby było coś oficjalnego to przysłaliby po mnie. Stasiek przyjechał i pracuje na górze w piekarni. Wziąłem latarkę Ignaca i poszedłem polami nad Wisłę do ojca, dowiedzieć się co się stało. Po drodze zatrzymali nas niemcy i po sprawdzeniu papierów puścili. Ojca nie zastałem w domu, byłem niezdecydowany, nie wiedziałem co mam robić, gdy wtem do sieni, gdzie stałem wpadło kilku ludzi, również z opaskami i teraz dowiedziałem się dopiero że wybuchło powstanie i walka na śmierć i życie z przeklętym wrogiem. Chciałem przyłączyć się do oddziału, ale w tej chwili rozpoczął się obustronny ogień i nikt nie miał czasu mną się zajmować, zeszłem więc do piwnicy, bo niemcy zaczęli blok ostrzeliwać z obu stron z działek przeciwlotniczych. Za chwilę zaczęli do piwnicy schodzić lokatorzy z całego bloku ze wszystkich pięter i ranni powstańcy. Czułem się nieswojo, bo byłem między obcymi. Do wieczora sytuacja nie uległa zmianie z tym, że rannych napływało coraz więcej i ludzie już wszyscy wiedzieli i pogodzili się z sytuacją. Około północy pocisk uderzył w komin i drzwiczki od przewodu się otworzyły, a prąd powietrza wyrzucił obłok sadzy, którą zostaliśmy kompletnie obsypani, byliśmy czarni. Nareszcie przyszedł ojciec, zaczęliśmy pomagać opatrywać rannych przenosić ich w bezpieczne miejsce. Strzały ucichły i powstańcy gdzieś wsiąkli jak kamfora. Na drugi dzień oko-

ło 11 rano usłyszeliśmy okrzyki niemieckie raus! Wyszliśmy z piwnicy na plac, była tu już kupa ludzi. W pewnej chwili podszedł niemiec i zabrał mnie i jeszcze jakiegoś mężczyznę. Wyszliśmy za bramę, za nami słychać było płacz, myśleli wszyscy, że nas wyprowadzają, aby nam dać w czapę i my byliśmy tej myśli, żal mi tylko było że nie zginę w walce, byłem zrezygnowany, ale nic. Kazali nam wziąć niemca rannego, którego w tej chwili przywiozła sanitarka z miasta. Niemiec był ciężki i ranny gdzieś w plecy, już stygł nam na rękach, krew ciurkiem ciekła z niego poprzez nasze ręce. Powiedziałem niemcowi, aby dał nam jeszcze dwóch do pomocy i dał, wyszedł mój ojciec i tamtego gościa syn i we czterech nieśliśmy go do Cytadeli i położyliśmy w trupiarni, leżało tu już sześciu. Idąc z powrotem zobaczyliśmy już cały tłum na podwórku w środku Cytadeli, podzielonych, kobiety z dziećmi osobno i mężczyźni osobno, Ignac był razem z kobietami. Kobiety zostały zagnane do baraku, a my do lochu i postawiono nad nami żołnierza, ślązaka, który na nasze zapytania co z nami zrobią — odpowiedział „Jutro wszystkie będzieta rozstrzelane". Ano trudno. W parę godzin później niemcy wysadzili dwie klatki schodowe z bloku ojca w powietrze a nam przynieśli piwa ukradzionego ze sklepu polskiego pana Sokoła. Przedrzemaliśmy w kucki na ziemi. Rano wyprowadzili nas na plac i podzielili na grupy, kazali oglądać w trupiarni trupów niemieckich, których zamordowali „polnisze bandite", było już ich tam jedenastu. Potym nastąpiło przeglądanie dokumentów i przemowa w języku niemieckim, tłumaczonym na polski, przy akompaniamencie wzmagających się strzałów. W końcu nam zakomunikowano że jak jeszcze raz z bloków będą strzelać bandyci, to blok zostanie spalony wraz z mieszkańcami, a teraz mamy 15 minut czasu na dojście do domu, tylko musimy poczekać, aż oni zadzwonią, aby artyleria przerwała ogień. W tej chwili przyleciał jakiś stary gruby szwab w mundurze majora — komendant Cytadeli i zaczął się zawzięcie kłócić z kapitanem, który miał do nas mowę i domagał się koniecznie, aby nas rozstrzelać, lecz kapitan postawił

na swoim i za chwilę otworzono nam bramę na wolność. Pożegnałem się z ojcem i biegiem leciałem aby przed upływem 15 minut zdążyć do domu przed samym domem kula zbłąkana gwizdnęła mi koło ucha, za chwilę byłem w domu, ściskany jak jaki bohater przez Stasieńkę i matkę. Ignac był już w domu, puścili ich wcześniej. Na Marymoncie niemcy zdążyli spalić na ul. Marii Kazimiery kilka domów.

Dn. 6.8. 1944

Sytuacja w domu jest tragiczna, nie mamy żadnych zapasów żywności, a ludzi do żarcia jest więcej niż normalnie. Na razie matka nas dożywia, która jeszcze coś niecoś ma. Odpoczęłem, umyłem się, jutro idę zgłosić się do walki, pomimo ostrych protestów ze strony Stasi i matki, przecież jak wszyscy walczą ja nie mogę siedzieć bezczynnie. Walka objęła już całe miasto, które co noc świeci łunami palących się domów. Niemcy wprowadzili do walki samoloty. Zrzucali dziś ulotki, wzywając do kapitulacji. Powstańców niemcy po złapaniu rozstrzeliwują, to samo my robimy z nimi.

Dn. 10.8. 1944

Ponieważ z przyjęciem do AK robią wielkie ceregiele zapisałem się do AL, gdzie przyjęto mnie ochoczo i z chęcią. Do AK chciałem iść, bo Stefan i Stasiek tam jest, chciałbym być razem z nimi, zawsze weselej ginąć w towarzystwie kolegów. Ale jak nie to nie. Stefan zrobił wielkie oczy... jak się dowiedział że jestem w AL. Sztab nasz na Żoliborzu stoi na czwartej kolonii, dowódcą nad oddziałami AL jest kapitan Szaniawski i jego zastępca, kapitan Zieliński „Kobra", mój były nauczyciel z początku mnie nie poznał, dowódcą mojej kompanii jest porucznik Witek, morowy chłop. Na razie mamy taki rozkład: rano śniadanie, musztra i wykład polityczny, obiad — przerwa

i wykład o broni, uczymy się rozbierać pepesze p.p.s. i wisa, nieraz są wypadki, jak wczoraj chłopak niechcący pociągnął za spust i oddał serię w sufit, na szczęście nikogo nie zranił. Po kolacji kto nie ma służby wartowniczej może iść spać. Czasami używają nas do robienia umocnień i zabezpieczenia okien. Sami śpimy w sześciu w jednym pokoju z jednym oknem bez szyb. Od trzech dni dopiero dziś byłem w domu. Stasia jakoś daje sobie radę. Ignac z Maryśką chodzą na działki (oczywiście nie na nasze, bo nasza jest pod obstrzałem z Cytadeli) i przynoszą to trochę kartofli, fasoli, lub pomidorów i jakoś sobie radzą.

Dn. 15.8. 1944

Na Żoliborzu panuje względny spokój nie licząc artylerii, szafy, i moździerzy, czołgi pokazują się rzadko, bo kilka żeśmy już zniszczyli, to teraz są już ostrożni. Anglicy dali nam pierwsze zrzuty, ale dużo samolotów w drodze zginęło, tak, że więcej już chyba nie przylecą, a u nas daje się odczuć brak broni i amunicji. Na Pradze walki trwały dwa dni tylko. Najwięcej atakowana jest Starówka, którą bombardują wszelkimi rodzajami broni. Niemcy zdobyli już prawie całą Wolę, a ludność rozwalili, lub wywieźli do Pruszkowa, gdzie założyli obóz przejściowy, stamtąd kto nie umrze z głodu, jedzie do niemiec na roboty. Nareszcie zagranica zainteresowała się powstańcami i obiecuje pomoc żywnościową dla tych z Pruszkowa. My na razie wykonujemy zadania pomocnicze, szkolimy się, jesteśmy w rezerwie, ale wszyscy chłopcy chcieliby już iść na stanowiska i prać niemców, ale nie ma dla nas broni.

Dn. 20.8. 1944

Przybyły do nas na Żolibórz pierwsze oddziały leśne z Kampinosa, są dobrze ubrane i uzbrojone, mają iść na pomoc Starówce. Pożary nie gasną, niebo widne od ich łun co

noc, a w dzień snują się dymy. W śródmieściu sytuacja jest bardzo ciężka z braku wody i żywności. Żolibórz jest otoczony dookoła przez niemców, którzy siedzą w Cytadeli, na Dworcu Gdańskim, w Instytucie Chemicznym, w CIWF-ie, w Blaszance i Śmigłowej na Kamedułów. Od czasu do czasu słychać kanonadę artyleryjską na Pradze, to oddziały sowieckie zbliżają się do Pragi.

Dn. 25.8. 1944

Chłopcy z lasu starali się pod osłoną nocy przedrzeć się na Starówkę przez Dworzec Gdański, ale się nie udało, zostawili dużo trupa swojego i wrócili, poszli kanałami na Stare Miasto. Wczoraj w nocy poszerzaliśmy rów dobiegowy na przedpolu „Zmartwychwstanek", napracowaliśmy się porządnie, do rana rów był gotów. Mieliśmy podczas tej roboty dwóch zabitych jednego rannego, niemcy siedzieli przy ckm-ach o dwieście metrów od nas i co chwila świecili rakietami. Niemcy biją w Starówkę na ura, ale chłopcy jeszcze się trzymają. Teraz nie mam czasu chodzić do domu.

Dn. 30.8. 1944

Po bohaterskiej i rozpaczliwej walce ze Starówki nie został ani jeden dom, Starówka padła. Ludność cywilna została częściowo przed kapitulacją ewakuowana kanałami na śródmieście, resztę niemcy popędzili do Pruszkowa. Obrońcy Starówki wycofali się kanałami na Śródmieście i Żolibórz. Inne dzielnice na razie się trzymają, zastanawiam się co to będzie jak wszystkie dzielnice padną, co się z nami stanie. Myśmy na Żoliborzu powiększyli swój obszar. Zabraliśmy niemcom koszary na ul. Gdańskiej i szkołę na Kolektorskiej. Widziałem się ze Staśkiem już nie walczy jest ranny w rękę, podczas czyszczenia pistoletu jakiś chłopak go postrzelił, jest na kwa-

terze, czyta książki i czeka kiedy mu się zagoi ręka, żeby mógł iść walczyć. Stefan walczy na placu Lelewela w Zniczu. Dzisiaj nosiliśmy prowiant i amunicję dla naszych chłopców do Domków Policyjnych, pewnie my niedługo ich zmienimy, tak czuję. Część z naszych chłopców już zmieniła chłopców w klasztorze i niektórzy już zginęli, jednemu pocisk urwał obie nogi.

Dn. 5.9.1944

Jest jaka taka nadzieja na pomoc, dzisiaj były samoloty wywiadowcze sowieckie nad Warszawą i nawiązały kontakt z oddziałami sowieckimi, znajdującemi się przed Pragą przyrzekli nam pomoc w żywności i broni. Niemcy naciskają coraz więcej na wszystkich odcinkach w mieście, które przedstawia podobno rozpaczliwy widok, wszędzie trupy na ulicach, gruzy i pożary. Niemcy przeważnie zwalczają nas samolotami i szafami, które wyrządzają wielkie straty i w domach i w ludziach. Ludzie już mają dosyć powstania i niechętnym okiem na nas patrzą. Mężczyzn do pracy trzeba wyciągać siłą, pod groźbą pistoletu. W ogóle na Żoliborzu ludność jest wredna, pomimo, że dobrze sytuowana i ma względny spokój, wobec innych dzielnic. Nic nie chcą pomóc biedakom z Marymontu którym domy się spaliły i nie mają gdzie mieszkać, to nawet na nocleg nie chcą przyjąć, ani talerza zupy dać, pomimo że wszędzie mają zapasy i nawet pozwalają sobie na takie luksusy jak naleśniki z konfiturami, co widziałem sam, ale dla wojska to nie mają nic.

Dn. 10.9.1944

Niemcy opanowali Elektrownię i wyłączyli światło. Otrzymaliśmy pierwsze zrzuty sowieckie w nocy. Dostaliśmy słoninę, tytoń, suchary białe i czarne oraz kaszę przetłuszczoną

i już ludzie zdążyli pokraść nam ten prowiant, gdzie my nie pilnowaliśmy, nawet Akowcy zataili prawdziwą ilość podjętych zrzutów, teraz będziemy chodzić po zrzuty we dwóch, jeden z AK i jeden z AL. Powiśle padło, u nas na Żoliborzu spokój, Niemcy zrzucili ulotki wzywające ludność cywilną do opuszczenia Warszawy, aby móc wtedy nas mordować bezkarnie, choć prawo międzynarodowe uważa i przyznało nam prawa żołnierzy i powinniśmy być jak żołnierze traktowani, po dostaniu się do niewoli. Dwa dni temu niemcy obrzucali Marymont pociskami zapalającemi, spalił się i nasz dom, zostaliśmy dziadami, nie uratowała Stasia nic, została w jednej sukience i ledwie z duszą uciekła. Marysia została zabita, jest pochowana na podwórku, Stasia mieszka teraz u matki na Szlacheckiej.

Dn. 14.9. 1944

Niemcy wysadzili most Poniatowskiego i średnicowy w powietrze, nagłym wypadem z Blaszanki i Bielan, po wielkim nalocie sowieckim uderzyli na Marymont i zabrali go nam, nie wiem nic, co się dzieje z moją rodziną, nie zdążyłem ich uprzedzić, żeby wycofali się na Żolibórz. Armia Radziecka zajęła Pragę po silnym nalocie i bombardowaniu nocnym. Nareszcie jestem na pozycji, daliśmy zmianę tym z Domków Policyjnych, mieli dwóch rannych, których w nocy sanitariuszki zabrały. Teraz po zajęciu Marymontu jest to placówka najdalej wysunięta w kierunku Marymontu. Wesoło jest tu u nas, mamy poprzydzielane domki, w jednym jest nas od 4 do 8, przestronno na razie cicho, patefony grają w każdym domku, a grunt że jest co palić i to mewy przedwojenne. Jestem przydzielony do obsługi granatnika, mam funkcję wycierania pocisków i podawania ich dowódcy i jestem jednocześnie jego zastępcą w razie jego nieobecności oraz obserwatorem. Na razie jest cicho więc czytam książki a w nocy chodzę do pilnowania zrzutów które teraz otrzymujemy co

noc. Będąc w kwaterze na Żoliborzu, zauważyłem sporo żydów w naszych oddziałach, którzy biorą udział w walkach. Dowódcą naszego odcinka jest porucznik Henryk ze Starówki, który zabił na Starówce żołnierza „Wróbla" dziwny z niego człowiek i ponury czuję do niego dziwną antypatię.

Dn. 18.9. 1944

Wczoraj latałem po wszystkich schronach na Żoliborzu i szukałem swoich, lecz bez skutku, jestem przygnębiony, nie wiem co się z nimi stało, może już nie żyją, słyszałem o okrucieństwach popełnionych przez ukraińców po zajęciu przez nich Marymontu na ludności cywilnej, bez względu na wiek i płeć. Od nas przez lornetkę widać trupy leżące pośród zgliszcz na ulicach, potwornie rozdęte, może i moja Stasia gdzieś tak leży pod gołym niebem, Boże dlaczego nie ześlesz kary na tych zbrodniarzy?! Odebrałem zrzut sowieckich granatów i podczas gdy byliśmy pod obstrzałem artyleryjskim uzbrajaliśmy z Kazikiem granaty. Dowódca naszego granatnika nazywa się Zygmunt. Niemcy pomału zaczynają dobierać się i do nas, wdarli się do pierwszych domków na Dolnym Żoliborzu od strony Wisły, wszystkie akcje przeprowadzają przy użyciu czołgów z dużej odległości ostrzeliwując nas, a my nic nie możemy zrobić, ani spalić bo za daleko ani uszkodzić bo nie mamy czym i szlak nas wtedy trafia.

Dn. 23.9. 1944

Jest coraz gorzej — padło Powiśle — Czerniaków pomimo tego że walczyły tam oddziały Polskiej Armii Kościuszkowskiej i to nie pomogło. Stefan zmienił Staśka który już wyzdrowiał i poszedł do akcji a Stefan leży w szpitalu na ulicy Cieszkowskiego. Podczas natarcia czołgów dostał kulą dumdum, która mu strzaskała kość lewej ręki, byłem u niego

w szpitalu, czuje się dobrze, tylko ból mu dokucza i jest bardzo blady. Sowieckie zrzuty są kontynuowane co noc pomimo wściekłego ognia przeciwlotniczych dział niemieckich. Jak do tej pory to nie udało się niemcom strącić ani jednego samolotu sowieckiego. Artyleria sowiecka kierowana przez nas radiem ostrzeliwuje niemieckie pozycje, które niemcy są zmuszeni ciągle zmieniać, niekiedy toczą się pojedynki artyleryjskie. Wiele pocisków niemieckich nie sięga celu i wpadają do Wisły, wyrzucając olbrzymie fontanny wody. Niemcy przeprowadzili dwa naloty na Dolny Żolibórz, który mocno ucierpiał i na ulicy Słowackiego, tu bomby były niecelne i trafili dwa domy tylko ofiar w ludziach nie było. Oddziały powstańcze wycofały się z Czerniakowa na Mokotów. Nareszcie dowiedzieliśmy się kto jest inicjatorem tego niespodziewanego i nieudanego powstania — bo że się nie uda to już widać, zamiast zyskiwać, to tracimy z każdym dniem na terenie i za to ponoszą odpowiedzialność: w Londynie pan Mikołajczyk, który nie chciał prosić o pomoc dla nas Związku Radzieckiego i w kraju pan Bór-Komorowski, ano zobaczymy jak oni z tego wyjdą, kto odpowie za śmierć i kalectwo tylu ludzi, ja ich obu szczerze nienawidzę, jeżeli jest tak, jak mówią.

Dn. 28.9. 1944

Nie ma już dla nas ratunku — Mokotów skapitulował, broni się jeszcze tylko Żolibórz i Śródmieście. I my też niedługo wytrzymamy, bo niemcy skierowali teraz całą uwagę na te dwa punkty oporu i nękają nas ogniem w dzień i w nocy z różnego rodzaju broni, najwięcej dokucza lotnictwo i artyleria. Pierścień wokół Żoliborza zacieśnia się coraz bardziej. Dowództwo nasze pociesza nas że w ostateczności to przeprawimy się wpław na Pragę pod ogniem artylerii sowieckiej. Niemcy już postawili żądania kapitulacji Żoliborza, ale zostało odrzucone, zobaczymy co nas czeka za to jutro. Niemieckie sztukasy odwiedzają nas kilka razy dziennie, wzniecili kilka

pożarów, sytuacja staje się bardzo trudna. Mamy w swoim ręku zaledwie parę bloków. Zrzuty są co noc, broni maszynowej mamy pod dostatkiem i amunicji, tylko nie ma komu z niej strzelać. Dziś rano byłem z meldunkiem na czwórce, cały czas pod ogniem artylerii jak ja doszedłem i powróciłem cały to nie wiem, sam się dziwię.

Dn. 30.9.1944

Już po wszystkim — Żolibórz skapitulował! Wczoraj z rana o piątej zbudził nas dowódca i biegiem z granatnikiem na stanowisko, które wybraliśmy przy końcu rowu dobiegowego i przez nasze domki zaczęliśmy szwabom posyłać granaciki, pociski niemieckie z ogłuszającym wyciem i gwizdem padały ze wszystkich stron, dym zasłaniał widok, nie można było się zorientować z której strony biją, bo bili z każdej strony, w uszach słyszałem bezustanne dzwonienie, jeszcze takiego ognia na nas nie było. Od strony Marymontu nacierały czołgi. Zygmunt wysłał mnie na dach domu abym kierował ogniem, poleciłem duszę Bogu i wlazłem na strych i tak pokierowałem, żeśmy przypacykowali czołgowi jednemu dwa razy ale niewiele mu to zaszkodziło, obrócił się i pojechał dalej, za chwilę przyleciał po mnie Kazik, drugi z obsługi granatnika i powiedział że Zygmunt jest ranny i mam go zastąpić. Zeszłem i oczom moim ukazał się Zygmunt niepodobny, z twarzy zrobiła się krwawa maska — odłamki pocisku artyleryjskiego poprzecinały mu całą twarz w wielu miejscach a krew ciekła obficie, udał się zaraz do szpitala a nam por. Henryk kazał zająć pozycję między domkami i dalej kontynuować obstrzał. Cóż z tego gdy Kazika opanował paniczny strach i zamiast podawać mi granaty, to za każdym gwizdem oznajmiającym nadlatywanie pocisku, wpadał do domku i żadne moje prośby ani klątwy nie były go w stanie stamtąd wyciągnąć dopóki nie przeleciał pocisk lub nie wybuchł, a on widział że mi się nic nie stało, dopiero wychodził. Przestałem

zwracać na niego uwagę i sam strzelałem, jeszcze dwa razy zmieniłem pozycję, gdyż Niemcy podeszli blisko i była obawa że wskoczą do pierwszej linii okopów, amunicji starczyło mi do południa, a później już nie było skąd wziąć, granatnik stał się bezużytecznym gratem, zaniosłem go do dowódcy, który dał mi karabin-mauzer, garść naboi i zająłem stanowisko przy oknie w domku na pierwszej linii. Po obiedzie ogień osłabł, porucznik powiedział żeby wytrzymać do zmroku a jutro już będzie pomoc. Mieliśmy w swoim posiadaniu tylko cztery punkty: Dom Szklanny, Feniks, Znicz i Domki Policyjne a naokoło było widać czołgi gotowe do ataku, stały one tak blisko nas, że słyszałem rozmowę niemców, którzy się przechadzali za czołgami, noc uspokoiła wszystko. Byłem głodny, od rana nic nie jadłem, w domu tym wszystko co się nadawało do zjedzenia zostało wyszabrowane dawno przez poprzedników. Stojąc przy oknie ze zmęczenia wrażenia i głodu, we łbie mi się kręciło i choć ślipie wytrzeszczałem w ciemność z całej siły, to zasypiałem na stojąco i nie pomogło szczypanie się w policzki i ślinienie oczu, mój towarzysz gdzieś się urwał i przyszedł dopiero o północy a powinien mnie zmieniać co dwie godziny. Po zmianie zeszedłem do piwnicy i tu dobrzy ludzie dali mi kaszy trochę jakiejś dziecinnej i papierosa, poczułem się trochę lepiej. Teraz znów dowódca naszego domku upadł na mózg i kazał wynosić się tym ludziom natychmiast, mówiąc że jutro tu już mogą być niemcy i on im nie gwarantuje czy zostaną żywi. Ludzie ci mieli sporo dzieci małych, które spały, gdzie się dało i teraz budzone zaczęły płakać, a miało to być zrobione w największej ciszy. Wtedy poszedłem do dowódcy i przemówiłem mu do rozumu żeby pozwolił tym ludziom zostać, na co ostatecznie się zgodził ludzie ci wyrazili mi swą wdzięczność, częstując mnie papierosami, które w tym czasie były już bardzo cenne, co się stało z tymi ludźmi po naszym odejściu nie wiem. Do rana znów staliśmy przy oknie obaj, i znów zaczęło się piekło, skoro się rozwidniło, czołgi ruszyły do ataku, tylko ogień artylerii był słaby bo pozycje niemieckie znajdowały się za blisko naszych. Jednak tym ra-

zem samoloty sowieckie ratowały sytuację nadlatując co pół godziny i obrzucając bombami czołgi które za daleko wysunęły się na widoczne miejsce i tak wytrzymaliśmy do drugiej po południu o której to godzinie przyszedł rozkaz nie wiem od kogo żeby opuszczać stanowiska i rowem dobiegowym wycofać się do Znicza a stamtąd do domu Szklannego, skąd mieliśmy nocą przeprawić się na drugą stronę Wisły. Ściągnęliśmy wszystkich ludzi, powiedzieli o co chodzi, każdy wziął broń, trochę amunicji i gęsiego ruszyliśmy do Znicza, gdzie byliśmy około godziny czwartej. Ze Znicza nie mogliśmy iść do Szklannego Domu, gdyż jedyne wyjście dogodne było zasypane a innem nie można było wyjść gdyż było pod obstrzałem czołga, który stał na ulicy Bytomskiej, koło apteki i trzymał nas w szachu. Musieliśmy czekać aż odkopią przejście. Wewnątrz domu był tłok i gwar nieopisany, były tu różne oddziały AK i AL, „Żubry", „Żyrafy", „Żbiki", spotykali się znajomi i koledzy opowiadali sobie ile kto niemców zabił, krzyżowały się pytania o znajomych i rodziny, panował szum jak w ulu i ścisk niemożliwy. Spotkaliśmy kapitana „Kobrę", który nas poprowadził do Szklannego Domu i tu siedzącym nam powiedział jak się przedstawia sprawa, Żolibórz skapitulował i mamy iść do niewoli. A do tej pory krążyła wersja że Związek Radziecki zawarł rozejm z niemcami (czemu znów przeczyła wspólna wymiana strzałów artyleryjskich) i na tej zasadzie będziemy mogli opuścić Warszawę i udać się na Pragę. Inni znów twierdzili że o dziesiątej wieczorem mamy pod osłoną ognia artylerii sowieckiej na pozycje niemieckie, forsować Wisłę. Siedziałem, głodny i zdeterminowany na wszystko. Przed dziesiątą rzeczywiście artyleria sowiecka rozpoczęła huraganowy ogień na szerokości ulicy Bohomolca, którą mieliśmy iść ku Wiśle. Żolibórz w kilkunastu miejscach płonął. Żołnierze z AK, którzy byli początkowo razem z nami zaczęli gdzieś znikać, pojedynczo lub grupkami. Dwudziestu dwóch Sowietów którzy poszli na własną rękę na Wisłę zostali wybici i tylko czterech wróciło z powrotem a dwóch zdołało dopaść do wody a czy przepłynęli to też nie wiadomo.

Nad samą Wisłą niemcy ustawili karabiny maszynowe i ktokolwiek się zbliżał, siekli niemiłosiernie, tak że tu też była zasadzka i czyhała śmierć. Teraz już całe oddziały zwarte AK, niektórzy z bronią lub bez oddawały się w ręce niemieckim zbirom, którzy szyderczo uśmiechnięci czekali na podwórku domu Feniks, pomyślałem sobie, do niewoli to jeszcze i jutro zdążę i poszedłem najpierw wyszukać sobie kącika jakiego żebym mógł się przespać. I na co ten wysiłek, krew młoda przelana i życie tysięcy młodych istnień oddane dla ciebie panie Komorowski i Mikołajczyku?! Czy Polska ma z tego jakiś pożytek? Dokąd żeście nas zaprowadzili? Łzy matek, żon i sióstr i ich przekleństwa niech wam towarzyszą do grobu, za śmierć tych najbliższych im istot, za ich kalectwo i udręki! Kiedyś i ludzie i historia was potępi. Od jutra skończy się dla mnie okupacja a zacznie niewola!

IRENA NIEZNANIEC

WOJNA i JA

Poświęcam Iwonce

Spisywanie dziejów tych smutnych dni i godzin jest marnotrawieniem czasu, mówi Wandzia. Możliwe, bo i mnie samej nasuwa się porównanie tej pisaniny do przechowywania materii wyciśniętej z bolesnego ropienia. Wojna — ból jest w tej chwili w stadium bolesnego jątrzenia i nie wiadomo kiedy się zagoi. Właściwie najwięcej męczy to — kiedy? Wiecznie wojna trwać nie może, był początek będzie i koniec, lecz kiedy? jutro, za rok, czy tfu! — za lat dziesięć? Kiedy zmieni się w suchy zaskorupiały strup? Dla kogo zbieram tę ropę, czy czasem nie dla Ciebie mała istoto, której nie znam i dla której o zgrozo! nie czuję wielkiej miłości. Czyżbym była wyrodnym stworzeniem pozbawionym instynktów macierzyńskich, a może instynkta po drodze wstąpiły na piwo i przyjdą później. Poczekam. Teraz mam jedno pragnienie: rodzaju nijaki — wyjdź już sobie, zrób miejsce moim flakom, bo już mi obojętne czy będziesz chłopcem, czy babą jak twoja mama.

Dziś mija akurat 9 miesięcy jak zlatywały na Poznań niemieckie „cygara". Dzień ów i następne pełne grozy tak barwnie i zdaje się ładnie opisałam w tym zeszycie co wisi u W... w ustępie. Znalazł się tam skutkiem „bidy" i mortusu W... oraz filantropii mojej macierzy. Ta moja mama ma tylko dwa uniwersalne terminy: myślałam i ten tego. W ogóle nasza wyrobnicza sfera uszlachetnia się, gdy tymczasem ta szlachetniejsza, to zn. „lepsza" wiara stara się odszlachetnić. Maleńki przykład: u nas pracuje przy szczotkach p. Jarzembowska, kobieta ongiś bogata i co rzadko idzie w parze — inteligentna. Otóż owa pani próbuje najmożliwszych sposobów, by sobie pozyskać sympatię współpracowników, robotników z krwi i kości. Używa więc gwary poz-

nańskiej, klnie jak lucyper i nawet zapytana gdzie idzie mówi zamiast do toalety, po prostu s..., gdy tymczasem Walek na określenie tej samej czynności używa zwrotu — wytentegować. Walek jawnie i ostentacyjnie okazuje niechęć do tej pani, a widzę, że jej zależy bardzo na uzyskaniu jego sympatii. Kiedyś zapytałam się jej dlaczego się tak delektuje soczystymi wyrażeniami i czy to jej ułatwia mowę. Była strapiona i odpowiedziała mi, że to do czasu. Odpowiedź taka mnie się nie podoba. Do jakiego czasu chcesz być wulgarną w mowie moja wykształcona pani, i co za cel? Nie potrzeba używać mowy górnolotnej naszpikowanej cudzymi wyrazami, ale też nie potrzeba aby, jak mówi moja mama, „żaby z pyska leźli". Przy mojej twarzy to by te słowa nie raziły, ale jej subtelna „sznupka", będąca jakby płodem samego rozumu i duszy, do tych jasnych choler i s... kotów na puszczy podczas gradobicia, to doprawdy coś nie tego.

Dziś u pracy opowiadaliśmy sobie o tym jak każdy z nas przeżył bombardowanie w pierwszym dniu wojny. To nadziewanie czy „naciąganie" szczotek jak tu mówią, ma swoją dobrą stronę — można do woli rozmawiać, naturalnie wtedy, gdy nie ma „bomblatego" wściekłego Emila. Hania nazwała go bomblatym z racji jego ogromnej mięsistej obwisłej dolnej wargi. Przedtem gdy stała pod nosem warcząca i zgrzytająca tarczówka, na której głuchy Stefan pruł bele drzewa, porozumiewać się można było tylko krzykiem. Teraz w tym miejscu stoi wiertarka, którą Walek wierci dziury, dziurki i dziureczki w najrozmaitszych drewienkach do szczotek, jest trochę chrzęstu i warkotu motoru, lecz gadać można, a to grunt. Snują się więc baśnie o wojnie, po której mało ludzi pozostanie. Człowiek będzie całował ślady stopy drugiego człowieka i z sercem w garści ścigać go będzie, a ów myśląc, że ten z granatem goni, będzie uciekał aż obaj padną z wysiłku i wtedy będzie koniec świata. Wojna poprzedzająca tą gonitwę będzie trwała lat 20.

Stefka histeryczka krzywi się z rozczarowania, bo sądziła, że z 50 lat, bo przecież wojna trzydziestolenia... tu Walek

splunął i nazwał ją głupią śmierdzącą rupturą, a śmiech nasz rozwiał strachy. Apokaliptyczne potwory i sybille przycupły w kącie, a my z kolei słuchaliśmy z rozdziawionemi ustami opowieści Walka. Opowiadał nam o cudownej odwadze i brawurze lotników polskich. Najwybitniejszym lotnikiem, według Walkowych najprawdziwszych i najświeższych wiadomości, jest nim Mieloch, którego znam z widzenia. Nieraz widywałam tego kilkakrotnego mistrza w wyścigach motocyklowych, pędzącego jak wariat do lotniska, gdzie miał pono własną awionetkę. Poza tym nazwisko to sławne było swego czasu z powodu wyhodowania przez któregoś z nich czarnych róż. Ten zuch, według Walkowych relacji, latał w Berlinie niziutko między domami lotem koszącym i kosił jak cholera. Na ulicy an den Linden to bomby gołą łapą rzucał oknami do wnętrza domów. Niby mityczny Achilles jest nieuchwytny i strzały się go nie imają. Ciekawam gdzie jego pięta? Niemcy podobno za jego głowę wyznaczyli 10 tys. marek. Ach gdyby to się nie okazało kaczką — wzdycha wątpiąco pani Jarzembowska, a wtedy Walek momentalnie dostał „kikra“ i zaczął zyzolić jak zwykle gdy jest wściekły. Dziewczęta zaczęły go naciągać na opowiadanie coś z radia lub najprawdziwszych wieści, ale Walek zaciął się i milczał jak kret. Nie znosi powątpiewania w prawdziwość jego wiadomości. Wobec uporczywego milczenia zaczęłyśmy sobie opowiadać po raz nie wiem który wrażenia z pierwszego bombardowania. Stasia śmiesznie opisała panikę, którą wywołał w kamienicy jakiś zbłąkany zuch oficer wrzaskiem — gaz, nakładać maski. Stasia wytresowana na kursie „Lopu“ zręcznie i przepisowo nałożyła nowiutką maskę, z której zapomniała uprzednio zdjąć papier zasłaniający dziurki od pochłaniacza. Byłaby się prawie udusiła, gdyby nie pewna babcia, która z braku maski zatkała sobie buzię łącznie z noskiem chusteczką zmoczoną w... moczu. Pociągnęła podobno nosem odważnie i zawołała lekceważąco, że oprócz smrodu swojego „mokszu“ nijakich gazów nie czuje obok ludzkich. Wtedy to odważyli się ludziska uwolnić z kajdanów

swe spotniałe lica, a przezorny oficer zrobił to ostatni. U nas na Ławicy też ktoś wrzasnął: gazy!, ale my nie mieliśmy masek, a strach maskowaliśmy pobożnemi westchnieniami: dziej się wola Twoja Panie. Dziś już nie śmieję się z tych co ze strachu dostają rozwolnienia, bo i ja ulżyłam sobie dopiero skrywszy się wstydliwie po bombardowaniu w pierwszym lepszym leju. Widok ludzi zdrowych i wesołych przed kwadransem leżących obok trupów końskich, zabitych, przeraża i zmusza do myślenia o tym „niewiadomym". A „bicze Boże" latały i grzmiały bombami przeraźliwe momento mori. Ja z Wandzią po strusiemu ryłyśmy nosami ściernisko, gdy mama na większą zgryzotę położyła się twarzą do prażącego słońca i prażących bombowców. „Oj dzieci bo leci! Wypuścili — o jak się kręci, ma skrzydełka z boków. Do widzenia córuchny — tam w niebie! Boże bądź miłościw mnie grzesznej"! Nie wiem co nas więcej przerażało, bomby czy te jęki. Ja milczałam na pewno bardziej „wzniośle" od Makuszyńskiego i byłam pierwszy bodaj raz w życiu jednocześnie cierpliwą i wyrozumiałą, tylko Wandzia pokornie prosiła: Mamo nie patrz na samoloty i nie strasz.

Czy warto opisywać widok tych chmar ciągnących do Warszawy, do bastionu niezdobytego. My nie mieliśmy dokąd uciekać, i prócz swej osoby nie było czego bronić. Zostaliśmy wraz z garstką biedaków zrezygnowanych. Wtedy to sieroctwo i ubóstwo uśmiechnęło się do nas i okazało się litościwe. Tamci wrócili z niezdobytej twierdzy, spod Kutna, wrócili głodni i obdarci, pozbawieni futer, piernatów i co lepszego dobytku. Ach jak zazdrościliśmy jednak ewakuowanym rodzinom wojskowych, jadącym z pełnią wiary w zwycięstwo i szczęśliwy powrót. Czekajcie — ryczeli młodzi lotnicy, wznosząc zuchowato pięście ku zachodowi, gdy dziś ręce niejednego z nich prężą się w służalczym — heil Hitler. Pyszna elegantka sierżantowa S. usadowiwszy się wygodnie z rabiatą i bagażami w aucie, raczyła się do nas hołoty, „bidoty", litościwie odezwać: biedni wy co zostajecie, będzie z was sie-

kane. Stało się inaczej, bo nas już nie bombardowali, a ją w pociągu jadącym do Kutna siekła jedna kulka z karabinu maszynowego i to na śmierć.

Czy warto wspominać o tych mieszkańcach „złodziejowa", co kwiatami witali wroga i o tych panach co ryczeli: jesteśmy zwarci, silni, gotowi. Nasz wściekły Emil folksdeutsch, utuczony polskim chlebem i zbogacony w Polsce, mawia nieraz: wasi panowie byli silni w pysku, zwarci przy kasie i gotowi do ucieczki. Na te kpiny nie jestem w stanie odszczeknąć, bo tak mi to mocno trąci prawdą, że aż mnie zatyka. A jednak jeszcze kult do tych „polskich panów" nie zamarł w nas zupełnie i czar piosenki buńczucznej nie sczezł.

Przy lada sposobności, piosenka zrodzona z brzęczących nieśmiałych pomrukiwań przeradza się w gremialny śpiew:

Marszałek Śmigły Rydz
Nasz drogi dzielny wódz.

Rydz „zrobił hyc". Rydz nie rydz, obojętnie jak się zwiesz, lecz czy jesteś drogi Wodzu nasz — gdzie śmigasz po Paryżu czy Londynie!

Francja wzięta — więc nie połamali zębów na linii Maginota jak sądziliśmy. A może Walek ma rację, że to tylko „wycieranie i zalewanie na gips". Zdaje się, że jednak to prawda. Nadzieja wypina pośladki i naga, bezwstydna pozwala się gładzić i kopać zwyrodniałej rezygnacji. Jesteśmy jak przysłowiowa tabaka w rogu. Nie ma nawet tej głupiej gazetki, za którą straciło wolność i życie tylu chłopców i dziewcząt — dzieci. Pan Bóg litościwy ale nierychliwy w wymiarze litości i sprawiedliwości. Krew tych sług Bożych i tych niewinnych ofiar za słabym jeszcze głosem? Przecież już połowa kleru poznańskiego siedzi. Płacz dzieci i matek zrywanych po nocach i pędzonych nieraz pół nago do baraku na wywóz, nie dociera do nieba. Ile dzieci zżarł głód i mróz tej zimy w barakach?! Mówią że niemal wszystka inteligencja wywieziona i zostaliśmy znowu na swych śmieciach my

„bidota", biedna na ciele i duszy. Jest w tym dużo przesady, bo i hołoty nabrali wiele i inteligencji sporo zostało. Biedni oni wszyscy. Pisali znajomi z Warszawy — prosili o skórki chleba i bodaj suszone obierzyny z kartofli. Boże, Boże, nigdy nie jęczę — o ile sobie przypominasz, ale choć w tym zeszycie niech się los wylamentuje. Niech te moje gorzkie żale rozpamiętywanie męki i drogi krzyżowej Mojego Narodu będą modlitwą błagalną o jaśniejsze jutro. Jękiem modlitewnym kończę dzisiejszy dzień i czuję, że pewno i w nocy jęczeć będę. Jakby to ładnie było, gdyby ten mój pierwszy wojenny jęk był ostatnim.

— — — — — — — — — — — —

W tej chwili moje marzenia o końcu wojny plączą się z innymi pragnieniami — myślę jakby się wydostać z pracy. Stary zwolnić mnie nie chce. Goryl złośliwy — twierdzi że jestem jego pierwszą siłą, choć wie, że prawie nic nie robię. Przed wojną robiłam 5 do 6 tys. dziurek dziennie po 1 marce od tysiąca, a teraz więcej nie naciągnę niż 1 lub 2 tys. W tym tygodniu jakby mnie na zgryzotę, nakupił masę włosia z rakarni i gotuje w olbrzymim kotle w piecu specjalnie do tego zbudowanym. Włosie to ze zdechłych koni, gnijące nieraz z kawałkami padliny, pełne robactwa, wydaje okropną woń, a co dopiero gdy zacznie się gotować. Mój stan nie pozwala mi bezkarnie powąchać dymu tytoniowego, a co dopiero takie smrody. Nie wzrusza go wcale, gdy torsje szarpią mój pusty żołądek, a oczy z orbit chcą wyskoczyć z wysiłku. Stasia ma miękkie serce i widząc mnie tak nieszczęśliwą, popłakała się, aż jej musiałam przygadać. Walek i głuchy Stefan tak klęli starego, że wprost zrozumieć trudno w tych cudopłodnych czasach, że się nie rozleciał przynajmniej w molekuły. W ogóle zepsułam wiaruchnie humor. Nic mi nie zostało jak prosić Bozię o ciężki katar. Namawiają mnie bym się położyła do łóżka i zawołała lekarza, lecz boję się kombinować, gdy nie ma gorączki. Pójdę sama, bo zdaje mi się,

że to nerki nawalają, że ani stać ani siedzieć, ani nawet leżeć nie mogę. To skutek pracy w nieopalanym warsztacie. Choć mrozy były silne, nie palił, bo żal mu było węgla dla polskich świń. Kazał nam się rozgrzewać pracą, a my słuchaliśmy i trzaskaliśmy mu dwa razy tyle co dziś — dla rozgrzewki. Gdzie jak gdzie myślałyśmy ale u tego Arnolda powinno nam być znośnie. Dlatego, że było mu w Polsce dobrze, bo szanowano go jako członka zw. kupców chrześcijańskich.

Dzisiaj zapowiedział, że od jutra już „pan szef" mówi tylko po niemiecku i w tym języku trzeba się do niego zwracać. Verstand?! Tak, to jest: ja, ale dlaczego pan szef nie umie czy zapomniał? rzuca Stefka zuchwałe pytanie, robiąc przy tym minę tak szczerze zdziwioną i naiwną. Tak jest, odparł już po niemiecku, zapomniałem, i wyszedł szczerząc żółte kły. O gnojku, posypały się za nim soczyste epitety. My sobie kpimy z twego zakazu, mamy go w „duszy". To już nie po raz pierwszy się wygłupia. Nie wytrzyma, by nam radośnie nie zakomunikował o nowych „siegach", właśnie w swej ładnej i na wstyd większej części pracowników nadzwyczaj poprawnej polszczyźnie. Kiedyś pochwaliłam jego wymowę, a skutek był taki, że zaczął umyślnie paskudzić i kaleczyć swą polszczyznę. Zresztą tak robią wszyscy volksdeutsche. Arnold w oczach naszych ma tą wyższość nad gronem nowych volksdeutschów, że był odkąd go znaliśmy, zawsze niemcem ewangelikiem. Nie tuszował tego jak inni jego współplemieńcy, którzy dla interesu chętnie i celowo mienili się Polakami. Dziś niemcy ci mają niejakie trudności w przeszwarcowaniu się na łono hitlerowskiej rodziny, gdyż dzieci ich nie znają swego języka. Arnold wychowywał dzieci po niemiecku, lecz dlaczego syn jego Zigi nie chodził do niemieckiej szkoły lecz skończył gimnazjum Bergera, nie wiem. Przynależność do swej rasy, według opowiadania Emila, zadokumentował dość znamiennie. Kiedy w 38 roku stanął poborowo do wojska, na zapytanie o narodowość oświadczył hardo iż jest niemcem. Wtedy powiedziano mu, że jako nie-

miec nie może iść na podchorążówkę, tylko zwyczajnie jako szeregowy i kazano mu się namyśleć z odpowiedzią do jutra. Zigi w odpowiedzi zbiegł do Niemiec. Jaki był właściwy powód jego ucieczki nie wiadomo. Wyłonił się w mundurze lotniczym w 3 miesiące po zajęciu Polski.

— — — — — — — — — — — —

Byłam u lekarza. Zwolnił na czas nieograniczony. Nerki, jak się domyśliłam. Po zbadaniu, oświadczył, że pewno w domu nie urodzę. Szpital brr... to mi się nie podoba. Pierwszy raz zaczynam odczuwać coś na kształt obawy „przed spełnieniem tej funkcji fizjologicznej". Emil gdy mu wczoraj byłam wręczyć zwolnienie, zawiadomił mnie, że już ma z arbeitsamtu następczynię na moje miejsce — jakąś fajną wdowę. Obliznął się lubieżnie stary kozioł i mlasnął językiem, Ciekawam ją widzieć — tą wdowę. W zeszłym roku była służąca Marta — też fajna. Walek ich kiedyś podpatrzył i sprowadził „starą". Stara ją okropnie zmasakrowała, w czym gorliwie dopomagał jej sam uwiedziony Emilek, wrzeszcząc za każdym razem: „du polnische lump i polnische schwein". Marta kiedyś naskarżyła „staremu". gdy Walek zwędził 10 świderków łyżkowych i dwa łożyska kulkowe, za co ten miast tygodniówki, dostał po buzi i kilka potężnych kopniaków w siedzenie i „klejnoty rodzinne". Ale wtedy ryknął boleśnie. Nie zapomnę tego ryku. Odpłacił jej za ładne prześlicznym. Teraz mają sługę Franię, podobno moralną dziewczkę. Mnie jednak niepokoi jej olbrzymie spiczaste przedsięwzięcie. Powinna je dla bezpieczeństwa mniej wypinać. Po buzi dostała dopiero za porwanie pończoch, które naturalnie stara po tym znalazła w Heni biustonoszu. Heni jest urzędniczką arbeitsamtu — jego zgrozą i postrachem. Im młodsza, ładniejsza i szykowniejsza Polka, tym gorszą pracę jej przeznacza. Wszelkie zaświadczenia lekarskie bez czytania drze i rzuca do kosza, a za najlżejszy cień protestu bije po twarzy. Widziałam raz, gdy mnie stara posłała do niej ze

śniadaniem jak silnym uderzeniem w twarz puściła z nosa krew kobiecie może pięćdziesięcioletniej. Mimo swych 15 lat twarz jej jest okrutna i dziwnie stara. Jednak jej koleżanka Emilka może siedemnastoletnia dziewczyna o drobnej i prawie niewinnej twarzy dziecka, jest nielepsza. Różnica jest w tym, że Heni bije z pianą wściekłości na ustach, a ta z uśmiechem takimś jakimś przyjaznym i dobrotliwym.

Patrząc na wyczyny tego „aniołka", myślę że to pewno dzieło jakiejś frankensteinowej pomyłki zamiany mózgów i czuję jak moja teoria o twarzy zwierciadle duszy wali się w gruzy.

— — — — — — — — — — — —

Wczoraj Wańdzia zadała mi idiotyczne pytanie: co to jest cieplak? Cieplak to nie rzecz, a osoba, ważna osoba, bo to był arcybiskup, tłumaczę, ale Wańdzia się rozzłościła nie wiem dlaczego. Nie mam udawać głupiej, wrzeszczy. Głupiej nie udaję moja droga, mówię i widocznie jestem naprawdę głupią, kiedy nie wiem o jakiego cieplaka ci chodzi. Naprawdę nie wiesz? bo widzisz Zigi jest cieplak, mówiła mi ta po tobie — wdowa. Kiedy się pytałam co to takiego, to kazali mi się ciebie zapytać. Zapytaj jej mówię, bo sama jestem ciekawa co to takiego. Ci poznaniacy mają swoje ausdruki. Mówię ci poznaniacy jakbym nią sama nie była, a przecież jestem nią całą duszą, bo tu się wychowałam. To chyba nie ma znaczenia, że ojciec jest z Litwy, a mama z „konińskiej gubernii".

Poznań jest rdzennie niemieckim miastem, mówi do mnie Schachnisowa, właścicielka sąsiedniej willi. Istotnie, takie odnosi się wrażenie idąc przez „Plajte" obecnie Wilhelmplatz. Ten głośny szwargot niemiecki, kamienice z gotyckimi świetlanemi napisami, to wszystko dziwnie wrogie i obce. W Warszawie, gdzie dotąd dominuje mowa polska, musi być milej.

Kto wie czy nie była niewczesną nasza radość, gdy „stary" oświadczył nam, że proklamował swoje robotnice. Był

on jednym z hersztów partii, która pariasów ze snu zrywała i pędziła do „Polski". Pewno już dłużej nie uda się nam zachować Heńka od pracy. Łapią masowo po ulicach i tych co nie mają bescheftigunkarty, wywożą do Reichu. Już moc naszych znajomych wywieźli z takiej nagonki, a między nimi brata Hali, mojej koleżanki. Jej mąż Zygmunt jest i Heńka kolegą. Pracuje w lotnisku przy instalacji gromochronów. Chce tam wkręcić Heńka, lecz czy to mu się uda. Kombinujemy co by tu wymyślić gdy go zapytają dlaczego dotychczas nie meldował się w arbeitsamcie. Gdyby nie to, że już i po mieszkaniach szukają, to niechby jeszcze siedział — powietrza w ogródku dosyć. Lepiej zaopatrzeć nasze lotnisko w piorunochrony, niż być bomborobem. Jak dotychczas mam jedną wymówkę — chorobę. Grypa i reumatyzm będą chyba niezłe.

— — — — — — — — — — — —

W domu jestem bardziej przygnębiona niż u pracy. Siedzę sama to zn. z Heńkiem. Nie umiem tak uporczywie i bez sensu milczeć, więc nucę piosenki o cudacznych własnej kompozycji melodiach. Heniek się truje, bo ma jutro z Romanem iść na arbeitsamt. Niechby dostali trochę, myślę cichutko, byle nie wywieźli. Policzki będą palić z godzinę lub dwie, ale przestaną. Wiem po sobie gdy dostałam w zeszłym roku za to, że nie chciałam iść z wojskowym, który mnie zaangażował do kantyny wojskowej. Popiekło i przestało, a po tym załatwił wszystko Emil.

Dowiedziałam się co to cieplak. Jest to ni mniej ni więcej tylko pederasta. Jak widzę z Wańdzinej relacji, „wdowa" udziela im lekcji świnologii. Przyszłam wobec tego do przekonania, że można jej wobec tego dać do przeczytania książeczkę Vita seksualis. Niech lepiej na te wszystkie sprawy popatrzy prosto nie w odbiciu krzywych zwierciadeł takich wdów. Ma 17 lat i jest po swojemu inteligentna. Wstyd mi nieraz, że choć jest o 3 lata młodsza, bije mnie na polu

powagi i rozsądku. Są chwile, że nienawidzę tej mojej jedynej siostry, właśnie za ten jej rozsądek. Widzę nieraz w spojrzeniu mojego męża nie wypowiedzianą słowami wymówkę: dlaczego ty nie jesteś taką? Nie jestem taką i nie będę, bo nie urodziłam się taką rozsądną i rozważną, ceniącą ogromnie każde zdanie, nad których wypowiedzeniem rozmyśla się co najmniej z pięć minut. Przecież moje szybkie decyzje nie świadczą jeszcze o tym bym była zmienną w gustach, zapatrywaniach lub nie stanowczą. Ludzi, których określa się jednym słowem: rozsądny, nie lubię, naturalnie wyjąwszy mego męża, na którego jeszcze wciąż patrzę przez wypiękniające szkiełka zakochania. Zdaje mi się ciągle, że człowiek rozsądny i przewidujący nie może być szczęśliwym. Heniek jak dotąd twierdzi, że jest szczęśliwym jeśli chodzi o nasze „stadłowe" pożycie. Nie wiem, nie wiem, ale możliwe. Brzydko to z mojej strony, ale w moją niepoważną duszę wkrada się czasami zupełnie poważne powątpiewanie i jakby dziwne uświadomienie, że coś jest nie w porządku, że coś „nawala". Przedwczoraj na przykład powiada: wiesz daj mi dowód że mnie naprawdę kochasz i że zależy ci na mnie. Pomyślałam chwilkę i oświadczyłam mu, że nie zaproszę jak zamierzałam trójki moich najmorowszych kolegów, Kazia, Stacha i Bolka, na niedzielę, lecz pójdziemy we dwoje na tor wyścigowy, usiądziemy w oleandrach i będziemy marzyć o tym miłym co było i o tych cudach co przyjdą i o tych, których nie ma. Sądziłam że przyjmie z radością popartą miłymi prztykami w twarz, gdyż wie jak bardzo lubię sobie potrajkotać z miłymi zawsze pełnymi optymizmu i dobrej wiary chłopakami, należącymi do kliki zawodowych roznosicieli „dobrych nowin". Stało się inaczej, mój Heniutek skrzywił się bąknął coś o brydżu. Wańdzia by to na pewno przewidziała i nie taki dałaby mu dowód miłości. Że też ja nie potrafię myśleć o kilku rzeczach na raz. Zupełnie zapomniałam o jego brydżowo-preferansowej manii, a przecież raz już słyszałem z jego ust zdanie wypowiedziane do Wańdzi, według mnie dość idio-

tyczne, że każda kulturalna kobieta gra dziś w brydża. Wańdzia tym razem zupełnie bez namysłu powiedziała to co ja miałam na końcu języka: trudno, trafiłeś niestety na niewiasty niekulturalne, które nie tylko że nie umią grać w nic innego jak świnkę, i w oko, ale w dodatku cierpią na chroniczny kartowstręt. Co do mnie to i w tych grach nie celuję. Kiedyś mu tłumaczyłam skąd u mnie niechęć do kart. Przecież tylko karty i wódka rozdzieliły moich rodziców. Dzieje czasów tych nie mniej smutnych a może więcej niż obecne, zaryłam głęboko w urodzajną glebę zapomnienia, na której już dziś po siedmiu latach rozłąki zaczyna wyrastać kwiat pobłażania i przebaczenia. Mamin kwiat niestety jeszcze nie kiełkuje, bo krzywda i łzy wciąż są dla niej jeszcze świeże. Karty to jedno — choć muszę przyznać, że Heniek gra tylko dla przyjemności jaką daje ta zapewne interesująca i zmuszająca do myślenia gra. Najlepszy dowód, że nauczył innych grać bez pieniędzy, jedynie na punkty. Początkowo chłopcy uważali, że gra bez pieniędzy ich znudzi, ale okazało się, że nie.

Drugą rzeczą, która mnie u niego razi, jest już kilka razy przez niego powtarzana formułka: kobieta czyli żona do męża powinna umieć podejść. Denerwuje mnie to, choć wiem, że tego nie wymyślił. Dlaczego jednak nie ma powiedzenia, że do żony trzeba umieć podejść? Dlaczego w ogóle podchodzenie? Coś mi to słowo przypomina podchody, podchodzenie do odyńca i do wściekłego psa. Może ten, który to zdanie wymyślił, miał niejasną świadomość, że coś z tych stworów tkwi w chłopie — w mężu. Nie chcę się broń Boże zaliczać do kategorii tych upośledzonych istot co stale głoszą, że kobieta jest męczennicą, lecz w ogóle nie uznaję terminu podchodzenie, zdobywanie. Po co jedno do drugiego ma podchodzić, skradać się — czaić? Stary rozpustnik Pitigrilli, na którego świnologię nieraz śliny braknie, ma jednak rację w jednym miejscu w swoim „Pasie cnoty", gdzie wyszydza oklepany termin: oddała mu się. Jestem może zbyt prostaczką, lecz to oddała mu się, ofia-

rowała, wygląda mi na wygłupianie. W takim razie młody chłopak, który pierwszy raz „oddaje się“ zazwyczaj w rączki „fachowe“, lub co najmniej doświadczone, powinien w swych wspomnieniach (o ile cierpi na dziennikowanie) pisać: kiedy pierwszy raz ofiarowałem swój wianeczek pani X... Jako kobieta nie uważam się ani za istotę upośledzoną, ani co gorsze wyższą i ważniejszą. Role kobiety i mężczyzny reasumując podzielone są sprawiedliwie. Zresztą po co to piszę. Ostatnie moje zdanie coś mi wonieje na plagiat, ale skąd ja to wzięłam, nie pamiętam. Ostatnio coś za bardzo analizuję swoje słowa i czyny, i czy tylko swoje? Co robię i wypowiadam, to zdaje mi się, że powtarzam to już po raz drugi, ale po zastanowieniu się dochodzę do wniosku, że nie, bo skąd? Tak niewiele czytałam ostatecznie. Autokrytycyzm jest dobrą rzeczą, gdy nie jest przesadny. Do czego dążę? do odrębności mojego wysławiania się, do odrębności gestów? Nie, ja do niczego nie dążę, bo to nie ma sensu. Czyż życie nie jest jednym plagiatem. O ile sobie zdaję z tego sprawę, to wszystko co robimy i mówimy, jest naśladowaniem kogoś, czegoś. Ludzie oryginalni są to plagiatorzy i przerabiacze doskonali, bo oryginalność i odrębność nie spada nagle z nieba, lecz rodzi się na coraz lepszym i udoskonalonym naśladownictwie. Maleńkie frazesy i poprawki to jak gzymsy i sztuczne esy floresy zdobiące fasadę pałaców, narastają z biegiem lat aż pokryją cały stary dom prawzór i uczynią zeń dziwoląga oryginała.

— — — — — — — — — — — —

Wańdzia widać wiele czytała pamiętników i robi mi w tej chwili może zupełnie słuszną uwagę, że co to za pamiętnik bez dat? Cóż mi jest data? Co mi powie na przykład dzisiaj któryś tam lipca? Nie wiem nawet który dziś jest z braku kalendarza czy gazety. Przecież to nie kapitański diariusz okrętowy. Nie wiadomo też który dzień jest ważniejszy od innego. Nie wiem czy to ważne dla nas Polaków, że Włochy

wydały wojnę Grecji. Chciałam kiedyś zanotować sobie dzień, w którym padła Francja według Beobachtera, ale zrezygnowałam. Po co być kronikarką ich „siegów". Fakt ów uważam za przeraźliwie smutny, i coś nie bardzo wierzę tym razem Geńkowi, który uporczywie dowodzi, że „podpuszczanie" ich tam było celowe. Walek też powiada, że to celowe, by im po tym dać mocniej w „cyc". Co za idiotyczne wyrażonka, ale Heniek ich naturalnie nie dostrzega, sekunduje aż się zaczerwienił. Dzisiejszy dzień doprawdy warto by uczcić datą, bo stała się rzecz nie oczekiwana przynajmniej przeze mnie. Heniek z Romanem wrócili z arbeitsamtu i ani ich na transport nie zapisali ani po pysku nie dostali. Wszystko odbyło się gładko, gdyż sprawę załatwił ich szef, niejaki Manke z Berlina. Zamiast się cieszyć z tego, jest jeszcze więcej milczący niż zwykle. Wiem że dla takiego typa jest to przeżycie. Pracować dla niemców to znaczy dla niego więcej może niż niejednemu plunięcie w twarz. Jego nienawiść do niemców przechodzi wprost w chorobliwą manię. Niechby ktoś niebacznie dał im w najbłahszej rzeczy jakiś plus, to Boże strzeż — traci rozsądek i staje się chwilami wprost ordynarny. Przecież nienawidzę ich jak wszyscy, lecz to już chyba przesada. Przypomniałam niebacznie raz o tym, jak to nasze gazety głosiły, że niemcy chodzą w papierowych ubraniach i mają tanki papierowe, a sami są ogromnie wycieńczeni, gdy jest odwrotnie. Wtedy pierwszy bodaj raz ubliżył mi, nazywając mnie głupią gęsią, która nie wie, że to wszystko zrabowane, nawet to sadło, co dźwigają w kałdonach, jest skradzione polskim grubasom. Miał rację, ale po co się tak fanatycznie unosić. Boję się by mu ten fanatyzm wyskokowy nie zaszkodził. Fakt że Heniek ma sztywny język i uporczywy wstręt do uczenia się niemieckiego, niepokoił mnie trochę, ale teraz zdaje mi się, że to i lepiej. Będzie milczał z powodu „głuchoty i niemoty". Jestem tak zaambarasowana sobą i moimi sprawami, że zapomniałam wspomnieć, że jeden z jego braci podzielił los tysięcy „dobrowolnych emigrantów". Wywieźli go do

Hannoweru. Mimo że jest z zawodu szoferem, wzięli go ze względu na silną budowę do pracy przy budowie torów kolejowych. Dwanaście godzin dziennej pracy przy „stopce" dla człowieka który ostatnio 10 lat przesiedział za kierownicą, to trochę trudne. Tam podobno bez kartek nie dostanie się niczego prócz piwa. Tu też sprzedaż ciastek i mięsa jest ograniczona, to zn. że formalnie nie ma dla Polaków wcale, a wywieszki w oknach wystawowych głoszą: Nur für Deutsche. Józik, ten brat z Niemiec, poza tym pisze, iż tamtejsi niemcy mniemają, że Polacy przyjechali dobrowolnie za chlebem. Trochę z tymi papierowymi ubraniami nasza prasa przesadziła, lecz nie tak bardzo znowu, bo oto co pisze Józik: spodnie moje, te sztuczkowe, to obmacywali jakby były ze złota, a gdy im nagadaliśmy, że tam jeszcze w Polsce dużo dobrych rzeczy można bez kartek dostać, to wydziwić się nie mogli. Heniek tryumfuje — widzisz! widzisz! Widzę, widzę mężu i teraz nim coś rzeknę, postaram się pomyśleć. Zamierzałam z początku prowadzić liczebną statystykę wszystkich świętych Polaków, których nazwiska zostały umieszczone na „krwawych" afiszach, lecz stanęłam na liczbie 51. Teraz dawno nie byłam, to zn. nie chodziłam po mieście. Z tej Ławicy raz że daleko, a po drugie nie ma po co łazić. Milej nam tu za miastem. W niedzielę to i tu powietrze zanieczyszczone, bo wszędzie pełno tego germańskiego pomiotu. Maszeruje na plażę do Kiekrza i „Hitler Jugend" i deutsche „bundmädchen", a wszyscy do znudzenia śpiewają dokoła: wir gehen nach England. Idą i idą, ale jakoś dojść nie mogą. Krzyczą że za miesiąc będą w Anglii. Dałby Bóg aby „wyspiarze" się nie dali. Szykują znowu ofensywę. Jak dotąd to bądź co bądź idą naprzód. „Furor teutonicus", pominąwszy Polskę, zmienił przysłowiowy kurs z „drang nach osten" na „drang nach westen". Wczoraj był alarm. Podobno przelatywał angielski samolot — na zwiady. Walek twierdził tam w warsztacie, że to był polski „Łoś" z szachownicą. Widział go przez „lumpę" jak walił przez Zegrze na War-

szawę. Według relacji „naszej prasy“ był to zbłąkany myśliwiec angielski, który w Murowanej Goślinie został zestrzelony przez Luftschutzwaffe.

Co też przyniesie następny miesiąc? zwycięstwo czy klęskę? O Albionie, niech cię Opatrzność trzyma na łonie, ale rym uliniłam, do jasnej pogody! No trudno, nie jestem poetką. Szkoda że rymy to jeszcze nie poezja. Gdzie są te czasy, kiedy myślało się inaczej, w swym upojeniu i świadomości, że jest się ozdobą lekcji języka polskiego, pominąwszy rzeczywiście zawiłą i bezsensowną gramatykę. Tego dnia, kiedy mnie na skutek pewnego wiersza „nasza pani“ od polskiego nazwała poetką, nie zapomnę nigdy.

Pamiętam nawet pierwsze rymy owej sławnej „historii o pieskach“. — Oto one:

W budzie siedzą cudne pieski —
Ten jeden różowy,
Cały ogon ma niebieski,
A łeb fioletowy.
To drugie psiątko czerwone
Jest też całkiem niczego,
Ma nogi cudnie zielone.
i t. d.

— — — — — — — — — — — —

Był u nas majster mojego męża niejaki Albert. Jest pomarszczony i łysy jak pośladek, choć ma dopiero lat 30. Przyniósł wódkę kümmel, którą pił sam. Gadał również sam. Mama rozumie go najlepiej. Mówi że Heńka lubi, bo jest cichy, t. zn. nic nie mówi. Dziwi go tylko, że mimo że niemal rok już jak niemcy „wrócili“, on nic jeszcze nie umie po niemiecku. Jemu wydaje się, że człowiek, który mówi inaczej niż po niemiecku, ma tu — puka się w czoło. Gdy mu powiedziałam, że my Polacy sądzimy podobnie, zdziwił się okropnie. Upił się i zaczął się wywnętrzać, jak to on Polaków szanuje, i że przecież nie wszyscy Polacy mordowali

tych biednych niemców. Prawda, że ty Heinrich nie mordowałeś niemców, nicht war? Ten mu bezmyślnie potakuje, ja, ja, a ja z mamą muszę się męczyć, by utrzymać równowagę. Wyszedł wreszcie po wielu perswazjach, obiecując jutro wrócić i przynieść „kümmel" — süsse wódka. Tłumaczyłam mu jak umiałam, że niemcom z Polakami — verboten, ale ten oświadczył, że jemu wszystko jedno. Jeszcze na szosie świnia robił mi reklamę swym wrzaskiem „na zdrowieńko pani", Ciekawam skąd zdobył to „na zdrowieńko", pewno to Zygmunta szkoła. Musimy się jutro z mamą gdzieś wynieść. Jeszcze by tego brakowało, by nas zaczęli po chałupach roznosić, że szwabów gościmy.

— — — — — — — — — — — —

Martwię się bo Heńkowi codziennie z ust „jedzie wódka". Podobno nie mogą się wymówić, bo Albert wpada w pasję gdy wykręcają się od picia. Praca w lotnisku ukończona więc jadą do Berlina, a nie jak mówili przedtym do „Protektoratu". Heniek znowu wystawiony tyłkiem do wiatru. Miałam nadzieję, że gdyby tam wyjechali, to może Heniek znalazłby jakieś locum, mógłby potem i nas przeszwarcować do tej głodnej i biednej — Polski. Ci którzy pojechali tam pierwszymi transportami wbrew przepowiedniom nie pomarli, lecz żyją niegorzej niż tu. Nie chciał iść pracować do D.H.M. lecz teraz ma do wyboru tylko tutejszą fabrykę amunicji lub berlińską. Kto wie czy uda mu się pozostać bo mechaników właśnie masowo wywożą do Berlina. Gdyby tylko mężczyzn, lecz i tysiące kobiet i dziewcząt od 13 lat wysyłają. Na Ławicy już prawie nie widać podlotków — wszystko wywiezione. Zrozpaczonym matkom którym powyrywano przemocą te dzieciaki oświadczyli, że to tylko na sześć tygodni, na przeszkolenie a potym wrócą i będą pracować tutaj. Nikt w to nie wierzy, a matki tych dzieci robią wrażenie obłąkanych. Żal patrzeć na nie. Nikt już nikogo

nie pociesza i nie mówi o bliskim końcu, wyjąwszy niemców. Jaki będzie ten koniec? Na moim stole leżą porozkładane luźne kartki z proroctwami królowej Saby, i św. Andrzeja Boboli. Oto co nam pozostało: bzdurne proroctwa, zmyślone pomyślne wieści, i modlitwa dla niektórych flegmatyków. Co będzie gdy naprawdę wygrają? Jaki los czeka nas już obecnie, ich pachołków? Jak to przyszło że w ogóle tak szybko staliśmy się nimi. Dlaczego oni nami tak gardzą? czy nie dlatego że wzięli nas jak baranów, bez walki? Dziś po blisko roku niewoli, nie mogę zrozumieć dlaczego to się stało tak prędko. Przecież na mój głupi rozum to bodaj na pięści mogli się Polacy bronić nieco dłużej. Jak fakt ten opisze i nazwie kiedyś historia, sprawiedliwa, nie niemiecka. Czy nie ujrzymy tam czasem po raz pierwszy w naszych dziejach sromotnego słowa — tchórzostwo. Niemcy mówią o zdradzie, lecz ja nie mogę w to uwierzyć, wreszcie nie chcę. Czyż ucieczka jest zawsze dowodem tchórzostwa? Zasadniczo, tak jest, lecz po cóż nie nazwać tego przezornością. Jak zazdrościmy tym nielicznym, którym udało się dostać na Węgry, do Rumunii i Włoch. Co stało się z naszymi wojskami we Francji i z ich legendarnym wodzem, który coraz to inaczej się nazywa?

Chcę pojechać do Kalisza może tam usłyszy się coś z tych nowin pocieszających.

— — — — — — — — — — — —

Dostałam z „prezidium polizei“ „passierschein“ ważny na tydzień. Jutro wyjeżdżam. Mój miły podróżny nastrój zepsuł mi pewien jegomość, którego rano spotkałam. Przyjechał z Chodzieży miasteczka, w którym mieszka mój „Tatko“, właśnie miał do nas wdepnąć by nam zakomunikować pewną wiadomość, a mianowicie że mój Tatka obawiając się wywiezienia do Niemiec, postanowił się zapisać na listę „auslenderów“, co według mnie jest równoznaczne z zapisaniem się na listę niemiecką. To jest niemożliwe? Czym on chce być —

Białorusinem czy Litwinem, będzie z niego gorsza kreatura niż Jaszwili, bo przecież jest Polakiem, tak samo jak był nim Mickiewicz. Jeśli to prawda, to już go znać nie chcę! Mama nie kazała jeszcze Heńkowi nic mówić, bo nie wiadomo czy to prawda.

Pytałam już niejednego niemca, dlaczego tutejszych nazywają volksdeutschami, lecz nie potrafili mi tej nazwy jasno wytłumaczyć. Jedno jest pewne, że tacy są tylko w Polsce i że jest to nowotwór językowy — oznaczający sprzedawczyków, którzy dla funta masła stają się zdrajcami. Odwieczna interpretacja historii Judasza. Co najboleśniejsze — to właśnie to, że ci są gorsi od prawdziwych niezmieszanych niemców. Ci zeszłoroczni patrioci których twarze płonęły zapałem i chęcią walki do ostatniego tchu, są dziś w „partiach". Może przyjdzie jednak ta upragniona chwila że pluniemy im w twarz. Co najdziwniejsze to właśnie to, że ci którzy są naprawdę spowinowaceni blisko przez krew, ci nie ubiegają się tyle o swoje, będąc sprawiedliwym, może i słuszne prawa. Jednym z wielu przykładów jest ojciec mojego kolegi Genia Mullera, który będąc Austriakiem czyli po dzisiejszemu niemcem, został Polakiem. Żeniąc się stał się katolikiem i ukochał wraz z żoną i Polskę. Wywieźli ich wraz z gromadką dzieci do Protektoratu. Geniek tylko pozostał, tu sam jeden, dlatego że w tym czasie pracował w Murowanej Goślinie. Gdy wrócił zastał dom zamknięty i opieczętowany. Został tylko w roboczym brudnym kombinezonie. Takie przykłady można mnożyć, gdy tymczasem wczorajsi Polacy o polskich nazwiskach wygrzebują prababki i pradziadków, których pociotek był ożenionym z niemką.

Po południu mieliśmy niespodzianą wizytę. Była to osławiona „wdowa". Zupełnie ją sobie wyobrażałam inaczej jako wdowę. Jest młoda i ładna i zupełnie jak Emil określił fajna. Pospolity typ rumianej okrągłej o zadartym nosku buzi i niebieskich oczach przy ciemnych włosach. Typowa poznańska — fest mela. Gdyby nie pewna sztuczność w mo-

wie byłaby, zupełnie miłą. Przyszła jak mówi naskarżyć na pannę Wandzię, która jest bardzo inteligentna i w „defakcie" najwięcej lubiana, ale używa takich nieprzyzwoitych wyrazów. Na przykład gdy czasami mi się coś powie o wojnie co niewesołego i co jej się nie podoba, to rozkazuje mi nie „sikać się", lub nie powtarzać „pierdołek" starej babusi. Te pierdołki pewno przypominają jej początkową sylabą określenie pewnej czynności. Wandzia się śmieje i daje jawnie do zrozumienia gdzie nauczycielka tej ozdobnej polszczyzny, a mnie robi się ciepło w prawe ucho. Tłumaczę jej niezdarnie że i Rej używał tego określenia w swych dziełach, tego wyrazu o brzydkim dziś znaczeniu, a raczej o trywialnym określeniu pewnej dla 90 procent ludzkości miłej, a dla wszystkich pożytecznej „pracy". Uśmiechnęła się tajemniczo i powiedziała: „hau du judu", co pewno miało oznaczać — rozumiem. Przyszła poprosić o jakąś książkę, bo ona wprost pożera książki, aż mama wyzywa i mówi że i tak już jest za mądra. Kazałam jej wyszukać coś z małego zapasu na etażerce. Wybrała książkę Diderota o interesującym tytule: „Kubuś fatalista i jego pan". Drugą kazała mnie wybrać. Poleciłam jej Szczuckiej „Krzyżowców", ale skrzywiła się bo historycznych nie lubi tylko życiowe, o takie jak „Pamiętniki panny służącej". Tłumaczę jej, że to choć nie współczesne jest bardzo życiowe, nawet użyciowe. Można się z niej na przykład dowiedzieć skąd w Europie wziął się syfilis. Trafiłam — porwała łapczywie. Wandzia wyjaśniła mi że nie mówi się syfilis lecz „orkiestra". Prima! mówię, to tak jak ten „cieplak" zupełnie delikatnie i po polsku.

Teraz „wdowa" zarumieniła się i pożegnawszy się niespodzianie szybko wyfrunęła. Pisząc w tej chwili doznaję dziwnego jakiego uczucia gdy to coś w brzuchu mi się wierci i najwyraźniej kopie w żołądek. Nie mogę nijak nazwać tego uczucia. Hala opowiadała mi kiedyś, że gdy jej Jurek tak podskakiwał, to jej mąż ją całował w ten falujący brzuch. Także miała co opowiadać — ośmieszać chłopa, bo mówiła to

w jego obecności. Jak to nieraz kobieta może z mądrego i inteligentnego mężczyzny zrobić taką, no bo ja wiem taką „ciućkę" — ciepłe kluski.

— — — — — — — — — — — —

Byłam w Kaliszu. Jest tam niby tak samo, a jednak inaczej. Ta „inakszość" polega właściwie na tym że dominującym językiem jest język polski. Mówią nim policjanci, esmany, gestapo i dzieciaki w mundurach „hitler jugend". To wszystko są „foldojcze" jak ich tu Polacy zwią. Ci kaliscy foldojcze w przeciwieństwie do naszych nie umią po niemiecku wcale. U nas jest takich mało. W sklepach i na ulicach czuje się jeszcze Polskę. Wywóz i aresztowania jednak są jak i u nas wciąż w toku. Tempo ich oczyszczającej działalności jest niemniejsze. Spod deszczem zmytych napisów i szyldów sklepowych wyłażą dobrą polską farbą wykonane napisy polskie. Które z tych skłóconych nazwisk pozostaną zobaczymy za rok lub może na Boże Narodzenie. Ba! gdyby to. Wczoraj właśnie znalazłam na strychu między innymi starymi gazetami „Orędownik" z 36 roku, a w nim artykuł sensacyjny, który nam popsuł humory, a mamę to formalnie wytrącił z równowagi. Jest to reportaż, w którym opisana jest rozmowa kilku korespondentów z jakimś starym zgrzybiałym, korsykańskim jasnowidzem czy prorokiem. Stary ów korsykanin na usilne prośby dziennikarzy, rzuca jak z łaski kilka horoskopów. Według niego wojna która nastąpi trwać będzie do 1945 roku, to jest że jeszcze nie jest powiedziane iż się w tym roku zakończy, lecz że wtedy stanie u zenitu swej grozy i okrucieństwa: „pół świata stanie w ogniu i krwi a potym nasza planeta zatopi się w oceanie". Chyba nie w Atlantyckim. Są to bzdury z rodzaju tych co nastrajają pesymistycznie, a u starszych chorych na obstrukcję, regulują przemianę materii.

Był u nas ojciec. Aż mi lżej, że nieprawdą jest iż zmienił narodowość. Plotka powstała stąd, że jakiemuś ukraiń-

cowi oświadczył że gdyby chciał to też mógłby zostać obcokrajowcem, z racji swych litewskich przodków i nazwiska o brzmieniu litewskim.

Z radości kupiłam mu sama bez przymówki pierwszy raz w życiu półlitrową flachę „posener wodka" i prędko odprowadziłam na dworzec. Czuję do niego więcej sentymentu gdy pociąg „odparowuje" i gdy „jest już odjechawszy". Trudno, już moja dziecięca miłość inaczej nie potrafi się okazywać. Wciąż jeszcze u nas szepcą, że wiara ma aparaty nadawcze. Że odbiorcze mają to wiem. Heniek jeździ na Łazarz do państwa Nowaków, którzy osobiście słuchają. Te wieści prawdziwe nie są wcale tak czarowne. Naturalnie pocieszają wciąż lecz nic poza tym. Już nie myślę teraz tyle o wojnie ile o ponurych zapowiedziach głodu. Można by jeszcze zrobić zapasy, lecz za co, i wreszcie gdzie je ukryć. Wańdzin szef Emil staje się coraz ordynarniejszym. Szykanuje Polaków jak może i na dobitek zabronił dziewczętom śpiewać. Boją się go. Zapowiedział, że która nie zrobi przynajmniej 4 tysiące dziurek, to może się znaleźć w barakach bez tobołków i koszuli. Włosiane szczotki robi się dobrze, lecz te twarde do szorowania, miast baszyny, fibru, czy piawary robi się z kłującego igliwa i gęsich twardych piór. Palce Wańdzi są pokłute do krwi. Za swą gorliwą działalność w partii, i czynnym udziale w nagonce na Polaków dostał 3-piętrową kamienicę. Wańdzia chciałaby się od niego wydostać, lecz odradzamy jej, by nawet nie ważyła się próbować.

Gdzie indziej jest o wiele gorzej, bo biją. Niechby tak przypadkiem dali ją za „dienst-mäthen" to dopiero los! Co innego jest pracować w zgranej i miłej gromadce między swymi, niż być popychadłem przez 12 godzin bitym i poniewieranym przez niemiecką wiedźmę, lub całą zgraję bab. Dość słyszy się tych bolesnych i ponurych opowiadań poniewieranych dziewcząt i kobiet. Dziewki folwarczne i ulicznice berlińskie w ohydny sposób znęcają się nad swymi polskiemi sługami, a biada tej która nie umie po niemiecku. Z opowiadań tych mogłyby powstać powieści, grozą i okrucieńst-

wem przewyższające wszelkie historie o krzyżakach. Gdybym miała więcej czasu, przytoczyłabym niejedną bolesną historię, ale zredukuję moje życzenia do napisania jednej z tych, które słyszy się codziennie coraz to groźniejsze.

Idąc pieszo z miasta na Ławicę, poznałam się w drodze przypadkowo z dziewczyną, która mi opowiedziała swój smutny los. Jest służącą w domu pewnego oficera lotnika. Żona jego — znam ją z widzenia, jest piękną, wysoką brunetką, o ognistych latających oczach i cienkim zgrabnym o wiecznie poruszających się nozdrzach, nosie.

Pierwszego dnia, — opowiada — kiedy przyszłam była bardzo miła. Podpisała mi arbeitkartę i oświadczyła, że podobam jej się i że będę miała u niej dobrze, bo roboty jest niewiele przy niej i przy jednym dziecku. Gdym odniosła kartę na arbeitsamt, to jedna z naszych urzędniczek popatrzywszy w kartotekę zauważyła, że ja już jestem siódmą z kolei. Przyszedłszy nazajutrz do „funkty" niby od niechcenia zapytałam pełna trwogi nieuzasadnionej: dlaczego to przez parę miesięcy tyle już tu sług było. Pewno były leniwe? O tak, mówi niestropiona, leniwe to one były wszystkie lecz najgorsze to, że były nieposłuszne. Spytała mnie o imię, więc mówię: Aleksandra, lecz wołają mnie Ola. Powiedziała gut, to zupełnie stosowne eule „Ojla", (sowa). Mówię że nie życzę sobie przezwisk a ta jak nie doskoczy i chlast mnie w twarz. Ty polska świnio! zawołała grożąc mi pięściami przed oczyma, jesteś Ojla czy nie? Powiedziałam: tak. To był pierwszy dzień. Następne upływały mi na ciężkiej pracy trwającej od 5-tej rano nieraz do północy. Po tygodniu wyczerpana zupełnie, ośmieliłam się poprosić o wcześniejsze zwalnianie mnie na spoczynek, gdyż brak mi już sił. Za to zostałam zbitą i za karę musiałam całą noc kopać ogród. Na drugi dzień poprosiłam o zwolnienie i wtedy to rozpoczęło się piekło. Sprowadziła swojego przyjaciela jakiegoś oficera, który nazywając mnie bez przerwy śmierdzącym leniem powiedział mi kazanie.

Chciałam zaprotestować, bo nie wyglądał zły, lecz gdy ta zrobiła minę męczennicy, ten wrzasnął mi tylko milczeć

i marsz do roboty. Odtąd „za karę" pracowałam jeszcze 2 noce w ogrodzie. Na trzecią noc odważyłam się wejść do altany i zasnąć. Byłam zziębnięta i chora zupełnie. Tam mnie znalazła śpiącą i za karę ostrzygła mi głowę jak rekrutowi. Nazajutrz swój czyn tłumaczyła znajomym niemkom tym żem się za długo „pindroczyła" w lustrze z moimi włosami, ja która nie miałam czasu porządnie umyć się.

Istotnie dziewczyna miała pod chustką głowę ostrzyżoną na kolano. Komentarze zbyteczne. Czy jest osoba która może mi pokazać dobrego czy dobrą niemkę? Owszem słyszy się o miłych i dobrych niemcach, lecz nie wiem czy to przypadek zrządził, że pochwały te płynęły zawsze z ust młodych i najczęściej niebrzydkich kobiet.

— — — — — — — — — — — —

Rozmawiałam z moim sąsiadem b. porucznikiem Armii Polskiej Gryszą Jaszwilem. Idąc ze mną co chwila prężył przed znajomymi niemcami swą tłustą gruzińską łapę w służalczym „haihitlowaniu". Gdybym tak mogła wygrzmocić ją czymś twardym, na pewno bym sobie nie poskąpiła tej uciechy. Pan „auslender" jest na prawach niemieckich, ale że nie umie po niemiecku, ma zupełnie lichą polską posadę. Jest stróżem w Zoo. Mówią, że pawianom i koczkodanom tyłki wyciera. Tłumaczył mnie że gdy się poduczy po niemiecku dostanie dobrą posadę. Jest dość inteligentny i domyślny, bo nim zdążyłam usta otworzyć już odgadł i tłumaczył: Jestem przecież cudzoziemiec a afganistańskie przysłowie mówi: Całuj rękę której nie możesz uciąć. Skinęłam głową, bo wszelka rozmowa na ten temat zbyteczna. Boję się go — ma fałszywe oczy, oczy płomienne gruzińskie. Patrząc na niego nie można myśleć o czym innym jak o tym dalekim nieznanym ludzie gruzińskim, o wielkich i pewno równie pięknych oczach.

Jakże inaczej rozmawialiśmy przed niespełna rokiem. Wracając z głównej komendy L O P P., spotkałam go i mówię że Częstochowę już niemcy bombardowali a ten na mnie

z pyskiem: Niech pani nie rozszerza paniki, bo wie pani, że choć ją lubię to jako oficer, muszę pani kategorycznie zabronić rozszerzać wersje. Ależ, mówię, przecież gdyby to były plotki, to by mi tego kapitan nie kazał opowiadać w moim rejonie LOPPu. Nonsens, przesłyszała się pani. Oni na nas nie ośmielą się napaść, bo my na to nie pozwolimy. My oficerowie, podoficerowie i Armia Polska. Patrzyłam z uznaniem jak grzmocił się w szeroką pierś, a raczej w „piersi" które ukradkiem porównywałam do swoich. Taki biust u chłopa to świństwo, gdy ja kobieta... Tak to był jeden z pryncypalnych defektów mojej urody. Napisało mi się urody! A niech tam. Jest okres że i pokrzywa jest urodziwa, a ja byłam właśnie w tym okresie. Pomyśleć 19 lat. To pewno jest czarem co dodaje uroku tym moim przedwojennym wspomnieniom. Jest wojna, ciężki czas niewoli, lecz szczerze mówiąc warunki materialne przynajmniej dla nas i innych ze sfer rękodzielniczych nie są wiele gorsze niż przed wojną. Niemcom naturalnie się kłamie, bo jakże, lecz tu po refleksji będę sprawiedliwą i za każdym razem gdy powiem nie ma jak to było przed wojną dodam obok gdy było się wolnym — gdy miało się 18 lat. Młodość i radość życia to był nasz kapitał zakładowy, którym weseli biedacy płacili hojnie za godziny śmiechu i wesela. A jednak ten śmiech mój był nieraz moją zgryzotą. Nie budujące to, cóż zrobię, ale śmiałam się nieraz też w najmniej odpowiedniej chwili. Spotkała mnie za to nieraz nieprzyjemność. Jedną taką nieprzyjemność przeżyłam na pogrzebie Bieleckiej, tej z wyścigów, co się powiesiła. Poszłam nieco wcześniej, bom nigdy jeszcze nie widziała wisielca. W trupiarni było już tłoczno, że ledwo się docisłam. Patrzę sobie i nie widzę w trupie nic szczególnego. Jak na wisielca to całkiem solidnie wyglądała. Ani języka na piersiach, myślę sobie, może wcisnęli w usta, lub ucięli, ani oczy z orbit nie wyskoczyły, i wcale nie była sina. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie wisielca, którego pono sam imci szatan własnemi rączkami wykańcza i który jest pochowany w nie poświęconej ziemi.

Bieleckich aresztowano za szpiegostwo. Męża zwolnili, a żona zwolniła się sama za pomocą podwiązki czy biustonosza. Podobno nie mogła przeżyć hańby aresztowania i w dodatku niesprawiedliwego. Coś mi się w głowie nie mieści, by kobieta dla jakiegoś głupiego honoru mogła się wieszać, będąc w dodatku „niewinną". Tego jeszcze nawet w kinie i „sznekrach" pewno nie było. Mąż z rozpaczy stał się o przeszło 100 proc. brzydszy niż był, a chłopiec i dziewczyna dzieci denatki posmarkiwały żałośnie. Było naprawdę smutno, nawet powietrze miało bolesny i astralny zapach. Czuć było duchami i najwyraźniej słyszałam odgłos pętającego się między wieńcami demona Bieleckiej. A jednak nie pochowali jej w nie święconym miejscu raczej zdawało mi się iż ksiądz miejsce to gorliwiej kropił, niż plac pod zwłoki jakiejś tercjarki. To zrozumiałe! Bieleckiego czuć było forsą. Dosłownie czuć, bo zmięte banknoty i gruby bilon, mają osobliwą specyficzną woń. Ściślej biorąc, to właściciele cięższej floty pachną zawsze jednakowo. Zapach ten niezmiennie jednakowy, jest mieszaniną „przedniego tureckiego", wody kolońskiej, mydła „palmoliw" i męskiej skóry.

Zaczęłam o tym idiocie Jaszwilu, pochowałam Bielecką, gdy trup jej powinien jeszcze leżeć w kostnicy. No więc kończę zwięźle fachowo. Trup leży, ja stoję. Patrzę i parskam śmiechem dzikim niepohamowanym.

Chciałabym udowodnić tym którzy śmiejących się niby bez powodu nazywają głuptasami, że ich twierdzenie jakoby po śmiechu można było poznać głupiego jest błędne. Nie myślę w tej chwili o mojej osobie, która ostatecznie może być taką jaką kto chce ją widzieć, ale o pewnej panience z Kalisza którą ktoś niesłusznie nazwał głupią. Panna Anna Starosta lat 40 żyje do dziś pod skromnym pseudonimem „lilijki" jest znana całemu społeczeństwu kaliskiemu. Dama ta do wiosny jeszcze chadzała w welonie i białej sukni z lilią w ręku, stąd jej przezwisko. Idioci policaje hitlerowscy zabronili używać tego symbolicznego stroju. Panienkę ową nazwali głupią na podstawie idiotycznego twierdzenia że po śmiechu poznać

głupiego. Oto ja znając „lilijkę“ ośmielam się twierdzić wręcz odwrotnie, — że po śmiechu poznać mądrego. Oto przykład: Lilijka wybucha serdecznym wesołym szczerym — nie idiotycznym Boże strzeż, śmiechem w czasie podniesienia, i podczas najwznioślejszego kazania dobrego kaznodziei. Śmiech jej bije pod malowany strop świątyni i pewno bukietem dziękczynnym, jakby to powiedział poeta, kładzie się u stóp Stwórcy. Piszę dziękczynnym dlatego, że jak mi sama „lilijka“ tłumaczyła ten odruch, śmiech jej jest najwyższym wyrazem radości i szczęścia. Śmieje się więc radośnie szczęśliwa że Zbawca raczył zstąpić na ołtarz i śmieje się, gdy usłyszy kazanie, takie dla siebie. Gdy jednak kaznodzieja jest mierny i ludzie drzemią w ławkach wtedy i „lilijka“ milczy, i ani jej usta drgną. Wniosek stąd taki, że nie „lilijka“ a kościelny który ją wyprowadza z kościoła jest kretyn. A jednak „lilijka“ ma bzika i to wielkiego. Jej fiks idee to uparte bezkompromisowe twierdzenie, że ksiądz nie może być potępionym. Jeśli ktoś chce popatrzeć na najtragiczniejszą z fars wystarczy powiedzieć: Pani Andziu, widziałam księdza od Nazaretanek, jak szedł w cywilu pod rękę z jakąś panną, wtedy uśmiech znika z twarzy pogodnej i skądinąd rozsądnej dowcipnej, szydzącej z siebie głuptaski i zaczyna uparte twierdzenie i wmawianie o złudzeniu optycznym, pomyłce, i niemożliwości podobnego faktu, o świętości i celibacie ciała i ducha kapłańskiego. Tłumacząc, płacze nabożnie cichutko. Ja jednak nie lubię cichego płaczu, który będąc żałośliwym, obojętnie głupi czy mądry, powoduje wiercenie w nosie i swędzenie w oku. Pobudzić ją do ryku można stwierdzeniem faktu iż widziało się jakiegoś księdza całującego pannę.

Wtedy dopiero ryczy, modli się za bluźniercę, a w końcu uspakaja się i tłumaczy: ach to zapewne była siostra tego księdza więc ją pocałował, jaka ja głupia, i śmieje się radośnie z swej niedomyślności. Nie mam siły już zaprzeczyć i potwierdzam. Wolę jej śmiech niż ów obłąkany płacz, w którym przebija właśnie jej głupota i bigoterskie obłąkanie. Gdyby tak wszystkich śmiejących się wariatów zrozumiano, może

by mniej używano tego głupiego zdania że po śmiechu można poznać głupiego. Ja śmiech „lilijki" zrozumiałam, lecz mojego śmiechu tam w kostnicy nad trupem nie rozumie ani Wańdzia ani mama ani nawet Heniek.

— — — — — — — — —

Napisałam stek bzdur i zastanawiam się czy nie wydrzeć tych kartek. Może w czasie gdym to pisała masy moich rówieśniczek dostawały bolesne razy, od swych pań i władczyń.

— — — — — — — — —

Eklamsja. Nigdy w życiu nie słyszałam tego wyrazu, a teraz i w domu tak mnie nazywają. Tam w szpitalu tak mnie nazywali wszyscy — lekarze, pielęgniarki i chore. Początkowo nim dowiedziałam się że to nazwa mojej choroby, byłam trochę zdenerwowana tym jak mniemałam przezwiskiem. Nie wiem nawet czy dobrze to czy niedobrze nie pamiętać i nie wiedzieć nic. Z opowiadań wiem tylko że w środę odwieźli mnie nieprzytomną do kliniki, a w niedzielę pierwszego września, w rocznicę wojny, wydobyto kleszczami, na świat moją córeczkę. Nie będę opisywała tych potwornych boleści, które raz mnie pozbawiały przytomności, a drugi raz wracały przytomność.

Pacjentki, które ze mną leżały, twierdzą, że byłam obłąkaną. Musiałam jednak w tym krótkotrwałem zamroczeniu mieć sporo rozumu, kiedym lekarzy niemieckich za każdym zbliżeniem wyzywała od morderców, złodziei i bandytów. Pewno z tej racji przenieśli mnie na seperatkę dla kończących. Tam po raz pierwszy obudziłam się. Było mi bardzo słabo, lecz długo nie trwało, a domyśliłam się że to już po wszystkim. Chciało mi się szalenie pić, a że dzwonek był wyłączony i krzyczeć nie miałam siły, więc wstałam i na słaniających się nogach dobrnęłam do kranu. W lustrze nad umywalką zobaczyłam jakąś twarz. Z lękiem odwróciłam się

za siebie, ale w pokoju nie było nikogo, a dzika twarz w lustrze to byłam ja. Nie poznałam się. Opalona moja gęba z wiejskiemi kolorami była jakaś beżowa, czy kremowa, a perkaty nos był dziwnie szpiczasty. Oczy o ile nie jak talary, to były przynajmniej wielkości naszych polskich dziesięciozłotówek. Miast trwałej ondulacji, po bokach zwisały mi smutno małe warkoczyki z wplecionymi na końcach czerwonymi sznureczkami, co nadawało mi wygląd trupa jakiejś piętnastoletniej dziewczyny, przypadkiem zmartwychwstałej. Napiłam się łakomie wody i nim jeszcze wysączyłam ostatnią kroplę nektaru, zaczęła mną potrząsać, mocna jak koń, febra. Dobrnęłam do łóżka i od tego dnia znowu nie pamiętałam co działo się przez następne 3 dni.

Dopiero po dwóch tygodniach opuściła mnie gorączka. Z wrażeń szpitalnych zanotuję jedno które będzie przykrym wspomnieniem dla mnie. Pielęgniarki polskie w rozmowie z lżej chorymi są miłe i okazywały wiele patriotyzmu i polskości sądząc po słowach. Niech Bóg jednak strzeże chorą, która leży z brzuchem sklamrowanym i jest zdana na ich łaskę. Takie — ach doprawdy że boleśnie pisać, prosiły Boga by przyszły obsługiwać je niemki. Te młode cielątka z głębi Reichu widocznie jeszcze nie pouczone, okazały się siostrami, gdy te nasze „polskie siostry" miały jedynie dla ciężej chorych grymas zniechęcony i znudzony. Jakie szczęście że po powrocie mej świadomości przestałam się już zaliczać do ciężko chorych. Według ich słów niemieckie pacjentki są o wiele milsze. Możliwe, ale ile wy im okazujecie usłużności bałwochwalczej. Ze skóry wyłażą taka Renia, Genia czy Kazia, by im dogodzić. Jedna tylko malutka, Ania jej na imię, jest siostrą, do której wszystkie chore gotowe modlić się. Dla tej wątłej dziewczyny naprawdę zapracowanej nad siły, wszystkie chore nie wyłączając starych kancerowatych babinek, są kochanymi dzieciakami — bachorami. Sama im opatruje rany, wkłada i wyciąga z ran cuchnące tampony, ściele łóżka i nawet czynności posługaczek wykonuje. A to dziwne — koleżanki jej nie lubią, choć taka miła.

O sobie nie wiem co wpierw pisać? Chyba to że tylko raz widziałam moje dziecko. Przyniosła mi je siostra do pocałowania i zaniosła do cieplarki. Specjalnie się nim interesują bo to ośmiomiesięczne, choć według mojej rachuby musiałoby być dopiero 7 i ½ miesiąca. Coś z tym dzieckiem jest nie w porządku. Dlaczego jest całe tak mocno obandażowane. Siostra stacyjna, gdy ją pytałam mówi że nie wie dokładnie, ale zdaje jej się, że dziecko ma zadrapania od kleszczy. Stara Anna znowu twierdzi że „coś się w nóżkę zrobiło". Nikt nic nie wie. Dopiero lekarz na moje natrętne pytania, tłumaczone przez jedną z chorych, powiedział że przyrzuciły się jakieś brodawy, które profesor Fuks chce wyleczyć. Co za brodawy? Byłam w błędnym kole. Coś mnie ściskało za krtań, a w głowie kręciło się pytanie, czy to dziecko cierpi czy czuje? Jedna z pacjentek idąc do domu, oświadczyła mi że wie jakie to są te brodawy lecz na razie ze względu na moje słabe jeszcze zdrowie, powiedzieć nie może. Nie nalegałam by mi coś więcej powiedziała tu na sali, bo w głowie mej jak nieoczekiwany wystrzał zrodziło się okropne posądzenie. Czyżby mój mąż, ten szczery i porządny chłopiec coś zataił? Jutro go spytam, wybadam i biada...

— — — — — — — — — — — —

To było paskudne posądzenie. W rodzinie jego może nie wszyscy słyszeli o tych importowanych choróbkach. Mama tzn. babcia była dziś u mojej Iwonki. Dziś ma jeden miesiąc życia a właściwie nie, bo dziś dopiero powinna się urodzić jako normalnie donoszone dziecko. Mama była obecną przy opatrunku. Rany muszą być okropne, kiedy mama mówi, że są „dość duże".

Szkoda że nie mogę jeszcze chodzić. Noga mi zesztywniała i boli od zastrzyków, których dostałam w ciągu trzech tygodni 67. Zaraz bym tam pobiegła na Polną do mojej córy. Kocham tą moją brzydką cierpiącą dziewczynkę. Mamę denerwuje to moje proste stwierdzenie faktu o brzydocie mojego dziecka.

Nazywa mnie wyrodkiem, które własne dziecko „oczernia". Tęsknię za dzieckiem dla którego nie mam w piersi kropli pokarmu. Ani pokarmu nie mam ani nawet piersi. Znowu jestem „decha". A niech tam! Nie dbam o nie, gdy już mam dziecko, które wreszcie kocham. Jestem pewną że nawet z „defektami" podobam się „mojemu". Pani Haklińska co obok mieszka ma takie okropne gąsiory do mleka, a dziecka nie ma. Żeby mnie tak arbeitsamt zwolnił z pracy. Może właśnie będę miała szczęście i będę mogła oddać się wyłącznie swojemu dziecku.

Moje dziecko jeszcze w szpitalu, a mnie już wzywali na komisję lekarską. Zwolnili mnie jeszcze na miesiąc, a potym pewno już arbeitsamt mnie nie puści. Już się tym nie przejmuję. Chłopcy z niemiec i dziewczęta z Kalisza piszą listy pełne nadziei. Gwiazdka wigilijna będzie mrugać już w Poznaniu stolicy Wielkopolski, a nie tak jak zyzoliła w zeszłym roku na jakiś Posen w Wartegau. Mieli we wrześniu zdobyć Anglię, a tymczasem coś dużo samolotów „nie powróciło" dotychczas, pisze Ostdeutscher Beobachter. Niemcy mają przerzedzone miny, tylko Arnold jest podobno wypchany optymizmem. Rosja, potężna Rosja da im wszystkie swoje bogactwa i żelazo i ropę i złoto. Czyżby to prawdą było jak powiada, że gdy uderzą razem na Anglię to już żadne Ameryki i Roosevelty jej nie uratują.

Ciekawam kiedy Polacy zdążyliby pomordować tyle niemców, jak oni piszą. Emilek co prawda też był postawiony z rodzinką pod mur, ale ten ich lokator, zapomniałam nazwiska uratował ich. Że uratował ich no to już kwestia jego litościwego serca, ale po co oferma opowiada takie zapewne kłamane brednie, że wszyscy urzędnicy sądowi musieli złożyć przysięgę, że zakatrupią najmniej jednego znajomego niemca. Za to „trzeszczenie" zapewne ma w domu Emilka dotąd jeszcze przyzwoite mieszkanie.

Chodzi pogłoska, że niemcy urządzą z nami „noc św. Bartłomieja". Chyba nie zdążą nas powybijać do „Gwiazdki". Do protektoratu wywożą już coraz mniej, ale za to usuwają Pola-

ków z przyzwoitszych mieszkań i lokują nieraz trzy rodziny w jednym pokoju. Są zmuszeni spać pokotem na podłodze. My nadzieję pokładamy w grzybie, co zżera naszą podłogę i wchodzi za szafami na ściany. Całe procesje niemców chodzą oglądać nasz domek i każdy kręci nosem poznawszy węchem grzyb. Bieda jednak będzie jeśli pokusi się jaki o usunięcie tego zbawczego grzybka. Mają w projekcie „oczyścić" całkowicie Poznań z Polaków. Ciekawam kto wtedy będzie pracował.

Co za brednie opowiadał kiedyś Franek o sławnej parze lotników Mielochów, za których głowy wyznaczona miała być tak pokaźna suma. Dowiedziałam się od jednej pani ich dobrej znajomej, że „sławni lotnicy" siedzą w Warszawie spokojniejsi pewno niż my. Tam przynajmniej jest Polska więcej Polską, choćby z racji polskich pieniędzy i tych „polskich" gazet których my jednak prenumerować nie możemy. Za to nasi „emigranci" w Niemczech je prenumerują. Przyjechał z Niemiec jakiś Heńka znajomy, którego zwolnili z racji gruźlicy. Twierdzi on że w porównaniu do nas Polacy tam w Reichu są traktowani nieco lepiej. Za uprawianie miłości z niemką kilku już powiesili. Trupy ku przestrodze wisiały po kilka dni. Nie żal mi takich. Dziewczynom które uwiodły niemca odbierają dziecko.

Zdaje się, że ani wspomniałam iż Heniek już pracuje w fabryce amunicji. Koledzy postarali mu się o zapotrzebowanie w tutejszej fabryce. Inaczej wyjechałby do Berlina. Przeklina chłopak los który ja uważam za szczęśliwy. Trochę z niego początkowo pokpiwałam, że nie robi bomb, lecz kręci bicze na swą skórę, w postaci kulek ale zaprzestałam tego sportu, bo ze złości staje się nieznośnym. Pracuje prawie 11 godzin. Wychodzi rano o 5-tej a wraca o 6-tej wieczorem. Gdyby wreszcie przeciągnęli tą linię tramwajową, bo 2 km. lecieć do przystanku to nie bardzo przyjemnie. Praca Heńka polega na pilnowaniu maszyn produkujących gilzy. Pracują na nich same kobiety. Nie ma dnia by kilka kobiet na hali nie zostało pobitych. Dzień, w których dostanie po twarzy tylko jedna,

należy do wyjątkowo szczęśliwych. Jak to dobrze, że nie umie po niemiecku. Raz tylko temu „niemowie“ jak go majster nazywa zrzucił któryś z niemców czapkę, dając lekcję grzeczności. Ta delikatność go bardzo zdziwiła, bo kiedy indziej za nieukłonienie się forarbeiterowi niemcowi czy majstrowi było mordobicie.

— — — — — — — — — — — —

Wczoraj odebrałam z kliniki dziecko, niby już wyleczone z ran. Te rany... nie potrafię opisać mojego przerażenia i bólu gdym zamiast pośladków zobaczyła u dziecka pościągane dziwnie i z lekka zasuszone, żywe czerwone mięso. Ciało bez skóry. Są wielkie czerwone jeszcze blizny, na łydce i pięcie. Ile bólu wycierpiało to maleństwo od pierwszej chwili swego przyjścia na ten smutny wojujący świat. I za co, dlaczego. Nie wiem. Nie wiem dlaczego temu dziecku usiłowali wprawiać cudze ciało i dlaczego rosło jakieś dzikie mięso? Czy słyszał kto by kiedy urodziło się dziecko, któremu trzeba wprawiać na pośladkach ciałko. Dziwne jednak, że ta 5-funtowa kruszyna tak mało płacze. Czyżby ją nie bolała ta okropna rana. Może już przywykła do bólu i nie czuje jak szczypie mocz. Dlaczego to dziecko tak poważnie patrzy. Powiedział mi lekarz, oddając bym pilnowała, by nie dostała krzywicy do której ma skłonności. Dopiero początek listopada, a ściany już zaczynają lśnieć od szronu. To dziecko chyba mi umarznie. Ani kawałka węgla. Mleko grzeję na smole do podpalania, tzw. „lofiksie“ bo spirytusu nie dali dotychczas. Wydawali węgiel lecz mama miała pecha. Stała 7 godzin w ogonku i w końcu brakło. Kiedy dadzą ten centnar, nie wiadomo.

— — — — — — — — — — — —

Byłam z dzieckiem w mieście u lekarza dziecięcego. Prosiłam by mi powiedział co to za rany są u tego dziecka. Powiedział, że trzeba było w klinice zapytać. Powtórzyłam mu

więc historię o „brodawkach", ale pewno nie bardzo rozumiał, bo patrzył na mnie tak jakoś niewyraźnie. W końcu oświadczył mi, że muszę wierzyć w to co powiedział lekarz w klinice o ile naturalnie był to niemiec. A ja właśnie dlatego nie wierzę. Jak będę miała kilka marek, to sprowadzę polskiego lekarza prywatnie.

Ostatnio pewne warstwy Polaków zdaje mi się zmysły postradały. Zapisują się kto może na listę niemiecką. Teraz na koniec wojny. Nasz poczciwy dotąd szewczyna Zeifert już jest niemcem. Uczy się na gwałt nocami po niemiecku. Janiszewscy, tacy zeszłoroczni patrioci, starają się zostać aż Reichdeutschami, bo dziadzia rodził się w Berlinie. Stefa Walkowiakówna ta co mieszka za nami, starała się również o wpisanie ją na listę, lecz odrzucili. Nie pomogło, że matka jej rozszarpana przez bombę niemiecką, była z domu Schubert. A tak biedna marzyła o jakimś oberleutnancie, który miał śliczny mundur. Nie wie pewno o tym że ów śliczny mundur jest uszyty z tego samego materiału, z którego nosili mundury, nasze lotniki, tak niegdyś przez nią uwielbiane „kapraliki".

Kapraliki lotniki, śliczne chłopczyki! Dziewczynom tym zdaje się że niemcy zostaną tu już na amen. W tej chwili mam jedno pragnienie: móc pluć ile śliny starczy w twarze tych dziewczyn co mimo surowego zakazu szwendają się po szosie nocą z żołdakami. Gdyby to były „zawodowe", ale to są dziewczyny przeważnie z dawniejszych tak zwanych porządnych domów, to jest z rodzin kolejarzy czy podoficerów. Widocznie że mundur jeszcze na te istoty ciągle oddziałowuje tym bardziej, że kolor mało się różni. Te które poduczyły się po niemiecku udają na całego niemki. Takich trzeba się strzec.

— — — — — — — — — — — —

Już z pół godziny, jak Heniek poszedł, a to dopiero piąta, bo żydzi idą. Zmarznie czekając na pierwszy tramwaj. Du, du, du, dudnią ich drewniaki po lekko zmarzniętej drodze kroki ludzi pewno najwięcej obecnie umęczonych. Stuk tych

kroków dziwnie mi przypomina odgłos grudek ziemi rzucanej na ukochaną trumnę. Wczorajszy wypadek zmusza mnie do pominięcia mych spraw osobistych i napisania o tych wiecznych tułaczach. Nie ma pewno już wśród tych, którzy urodzili się antysemitami, człowieka którego by nie wzruszył widok tych truposzów, o pałających gorączką oczach, odzianych w cuchnące łachmany. Do wczoraj jeszcze rzucaliśmy ukradkiem zza płotu do rowu połówki chleba i pęczki cebuli, ale skończyło się. Za okazaną litość zostałam z matką zbita po twarzy i skopana po brzuchu. Była może ósma godzina, gdy tylną furtką weszło do ogródka dwóch żydów, ciągnąc pod pachy trzeciego jak się okazało konającego towarzysza. Przestraszyłyśmy się okropnie bo ledwo weszli w próg ów chory skonał charcząc przeraźliwie. Skonał w pozycji na pół stojącej podtrzymywany przez tych dwu. Gdy go położyli na cementowej podłodze sionki był już nieżywy. Mama wystraszona dała im wszystko co było w kredensie, resztę chleba i cebuli i bliny które jadłyśmy na śniadanie, prosząc by prędko wyszli z trupem na ulicę. Pobiegłam najpierw do furtki popatrzeć, czy nie widać nikogo, a potym co prędzej pomogłyśmy wyciągnąć trupa bo te dwa „żywe trupy" nie mogli sobie już dać rady. Sąsiadce w oknie rzuciliśmy, że zasłabł i pewno umrze. Takich słabeuszów i gorączkujących po tyfusie mieliśmy w gościnie niemal co rano. Ułożyliśmy trupa w rowie i poszłyśmy do domu, oświadczając sąsiadce, że żyd w rowie już kona. Ta zaniosła im chleba i po chwili przybiegła zdyszana powiedzieć nam, że akurat umarł. Odetchnęłyśmy z ulgą że skończył dopiero w rowie. Co by to było jakby go ktoś u nas zobaczył. Może byśmy wszyscy nie oglądali już świata, na którym mimo że tak źle, to jednak ach jak bardzo chce się żyć. Biadałyśmy właśnie nad losem tych wyklętych, o których jak i o nas nie upomni się nikt, aż tu dzwonek gwałtowny, przeciągły. Zerwałyśmy się jak na komendę do okna. Policaje z żydami. Poszłam otwierać furtkę z sercem łomoczącym w gardle. Weszli do mieszkania każą wołać matkę. Znalazłam ją oczywiście jak zwykle w takich razach w wy-

gódce. Stała trzęsąc się z dzieckiem śpiącym w poduszce. To mnie tak zirytowało, że zaczęłam kpić i głośno wyzywać. Mój głos poruszył ją z miejsca. Ruszyła jak automat i tuląc do piersi poduszkę z maleństwem. Policaje na jej widok parsknęli śmiechem i ja zaśmiałam się głupio. No gadajcie, która dała cebulę żydom zawołał jeden z nich po polsku. Nim zdążyła która z nas odezwać się gdy jeden z żydów uśmiechając się tłumaczył że to ja właśnie celowałam w niego gdy szli szosą cebulami. A ta stara chlebem co? Tak odparł drugi uśmiechając się jeszcze idiotyczniej i dodając: czy pani nie wie że żydom nie wolno nic dawać. Te ostatnie słowa doprowadziły mnie do wściekłości. Zaczęłam im wymyślać od niewdzięcznych gadów, fałszywych psów i już podniosłam rękę by trzasnąć w tą głupią śmiejącą się twarz żyda, gdy spojrzenie drugiego nagle pozbawiło mnie tej chęci i ręka spadła równie gwałtownie jak się podniosła. W oczach tamtego tyle było męki, strachu i prośby że zrozumiałam od razu. By nie dać poznać mojej raptownej zmiany, wymyślałam nadal idiotycznie, aż policaj kazał mi zamknąć „pisk". Następnie wstał i kazał nam pootwierać szafy i kredens. W szafie znaleźli nasz skarb — kawał może 1 kg. słoniny, którą dał temu gadającemu żydowi rozkazując mu to natychmiast skonsumować samemu. Żyd jadł łakomie a policaj zaczął wysypywać nasze skromne zapasy do kubła z pomyjami. Sypały się mąka, sól, kasza i groch bez słowa protestu z naszej strony, lecz gdy zabrał się do wysypywania cukru i płatków owsianych, jedynego pokarmu mojego dziecka, poczęłam z matką prosić, by zostawili trochę dla dziecka. Wtedy to dostałam dwa potężne kopniaki w brzuch a matka pięścią po twarzy i głowie. Gdy wysypał wszystko poradził nam ze śmiechem ugotować dla dziecka całe wiadro tego żarcia. Starczy dziecku na cały miesiąc. Po cośmy się odzywały pyta jedna drugiej. Potrzebne bym dziś chodziła zgarbiona. Dzięki Bogu że na tym się skończyło. Co by było gdyby wiedzieli, że oni tu niemal co dzień, i że ten w rowie skończył tu u nas. Leżał tu cały dzień i dopiero o 8-ej zabrali go byli koledzy wracający od pracy. Nie

rozumiem jak mogłam się unieść do tego stopnia. Byłabym tego żyda wybiła po twarzy. Czyż on jednak mógł inaczej zrobić, ratując swoje życie. Był świetnym aktorem. To ta jego mina naiwna i bezczelna odebrała mi rozsądek. Nie wiem gdzie podziała się moja niechęć do żydów. Abym ich tak bardzo nie cierpiała nie powiem, ale czułam zawsze niechęć, jaką czuje się do czynników wprowadzających zamieszanie w społeczeństwie.

Jednak ci którzy popierają hitlerowską tezę, jakoby żydzi byli przyczyną wojny denerwują mnie. Anglia to według nich druga Palestyna. Co za bzdury. No niechby ostatecznie, lecz co im uczynił ten wystraszony tłum polskich żydów. O ile robił geszefty mniej lub więcej uczciwe, to ostatecznie nie ich krzywdził, jeśli już mam użyć tego wyrazu. Do tzw. lepszych posad dla Polaków należą stanowiska dozorców nad żydami. O ten tak niski zaszczyt trzeba się podobno umieć ubiegać. Dziękuję! współczuję tym idiotom którzy tak bardzo starają się o tą „fonkte".

— — — — — — — — — — — —

Jutro Boże Narodzenie. Wbrew przewidywaniom i nadziei, druga Gwiazdka „nie nasza". Gdzież dawna nasza uciecha na najmilsze ze świąt. Pasterka zapowiedziana jest na 6-tą rano. Tam jedynie u Tego który umie tak miłować jak chłostać, ukoją się zbolałe dusze tych, którym odebrano mężów, dzieci, braci i siostry. Czy miłe jednak będą Panu modły tych co w cierpieniu przeklinali? Przekleństwa dosięgają już i Twego Następcę — Boże. Tak. Idzie fama, wieść ponura i bolesna, że papież błogosławił idących na wojnę makaroniarzy i niemców. Błogosławił zbirów i złodziei i swych ziomków ich satelitów. Co prawda w tutejszym kościółku ksiądz Gracz kategorycznie zaprzeczył prawdzie owych pogłosek, wieszczących jakoby papież miał potępić Polskę i wypowiedzieć słowa uwłaczające powadze kościoła Bożego. Słowami owymi miało być oświadczenie że Ojciec św. nasampierw jest

Włochem, a potym dopiero papieżem. Gdzie są proroctwa przedwojenne, głoszące że Pius XII będzie papieżem pokoju. Oj, papieżu Ojcze św., Twą herbową gałązkę biały gołąb uciekając cisnął w pożogę wojny, by spaliła się i nie istniała kłamiąc. Jeno Ty trwasz by być winnie czy niewinnie wyklinanym przez swe owieczki.

Drugiego stycznia idę do pracy. Mam jeszcze chaos i szum w głowie po tym na co napatrzyłam się w arbeitsamcie. Nie można i nie trzeba zapisywać tych obrazów, które na kliszy naszej pamięci zostały utrwalone niezmywalnym tatuażem łez ludzkich. Ten płacz i prośby, rozpacz rozstania matek z dziećmi, mężów z żonami, braci i sióstr z rodzeństwem, i ten śmiech szyderczy szatańskich urzędniczek nie ucichnie w naszej pamięci. Trzy dni trwało zanim wyszukali odpowiednią dla mnie jako chorej pracę. Znowu chcieli mnie obdarować „pracą umysłową" w charakterze bufetowej w kantynie wojskowej. Ile mnie kosztowało proszenia i łażenia z pokoju do pokoju, zanim znaleźli mi pracę siedzącą. Już miałam w ręku kartę do szwalni na wykończarkę, ale w ostatniej chwili smarkula z Hitler Jugend oświadczyła że to za dobra praca dla takiej która ma taki fajn mantel. Wydarła mi kartę zapotrzebowania i wypełniła inną.

Pobiegłam na Bukowską do koszar, gdzie przyjęto mnie do strugania kartofli. Jestem zadowoloną, bo mogło być gorzej. Mamie po tygodniu łażenia i kilkugodzinnego stania udało się wreszcie, na podstawie metryki Iwonki i naszych arbeitskart uzyskać zwolnienie do maja. Może jak w piosence ów maj zaświeci nam swobodą.

— — — — — — — — — — — —

Od miesiąca już pracuję. Siedzę obok kuchni w gromadce kobiet i strugam, strugam kartofle. Jedno, dwa, trzy i cztery wiadra. Czasem więcej, a gdy są jarzyny to mniej. Marchew i brukiew nie ma powodzenia. Żołnierze mówią że to żarcie nie dla ludzi, lecz dla świń i Polaków. Dla ładnych

i młodych Polek mają jednak ci żołdacy nieraz wiele miłych słów, które jak wszędzie tak i tu różnie są przez różnych przyjmowane i rozumiane. Niestety i ja należę do tych młodych i nie każdego z tych knechtów przeraża i odstręcza moja anormalna wątłość i blada suchotnicza twarz. Trudno nieraz przejść przez kuchnię czy korytarz, by nie być zaczepioną. Uchodzę tu przecież za takie nic, nawet dla tych kobiet które ze mną pracują. Żadna z nich nie widzi mnie. To zrozumiałe, nie jestem inteligentna, kiedy jeszcze dotąd nie nauczyłam się po niemiecku. Żadna z nich nie umiała, a teraz mówią jak rodowite niemki. Podoficerowie i żołnierze wydziwić się nie mogą. Czując się jakby winną tłumaczę im, że dotąd nie stykałam się bezpośrednio z niemcami. To „stykałam" kilka dość dziwnie zrozumiało, bo oświadczyły mi, że one też się nie stykały bo są uczciwe. Nie lubię tych pseudo i ćwierć inteligentek rekrutujących się w większości z żon drobnych urzędników i podoficerów. Wolę moją wiaruchnę, która nie zadaje sobie trudu silenia się. Jest ich na szczęście więcej niż tamtych. Są tak proste że nie umieją odróżnić nieraz prawdy od zwykłego wygłupiania, ale gdy już za wiele to i one wiedzą w którym miejscu mrugnąć. O ile więcej w takim mrugnięciu tej prostej kobieciny mieści się inteligencji. Gdyby ta klika chwalących się „pań" wiedziała jak głupie i czcze są ich chwalby i wzdychania. Bo za czym one najczęściej wzdychają: za Rabką, Worochtą, Ciechocinkiem i ulgowemi biletami. Ach jak ich ta praca poniża.

Szefowe nasze to dwie kucharki takie nijakie. Nie znam ich jeszcze. Czasami jednak zdaje się że i te nawet lubię. Jest to wtedy, gdy śpiewamy polskie piosenki. Są dziwne: Wzdychają za Polską, płaczą za mężami będącymi w niewoli i klną szwabów. Wystarczy jednak jakiś głupi dowcip żołnierza a śmieją się uszczęśliwione. Śmiać się trzeba bo jakże. I ja się śmieję choć nie zawsze wiem z czego. Trzeba bo te bydlaki studiują pilnie wyraz naszych twarzy. Nie wszyscy są głupcami, ale czyż uśmiech ten musi być koniecznie taki błogi i miodowy. Jak trzeba się śmiać to uważam, że już rechotać

głośno ordynarnie tak jak oni, bez wywracania białek. Tylko nasi rozumieli się na śmieszkach i subtelnych półuśmiechach. Ci to rozumieją zgoła inaczej. Po tym taka męczennica żali się, że rady sobie nie może dać z natrętami. Oj co to, to nie. Z tym jedynie można sobie radę dać. Wystarczy przypomnieć im że Hitler karze za „kochanie" Polek a dadzą spokój. Tu w gromadzie jest się bezpieczniejszym niż gdzie indziej. Że bydlę uszczypnie cię gdzie nie trzeba to i cóż. Trzeba być gruboskórniejszą niż się jest z przyrodzenia.

Dziś był u nas na inspekcji sam oberleutnant Haus. Zaglądał we wszystkie zakamarki kuchenne. Będąc u nas niespodzianie odezwał się po polsku: Na baby strugata pyzy? strugata? Baby rozanielone zaczęły chichotać. Ja po raz pierwszy usłyszałam go mówiącego po polsku. Zauważył widać moje zdziwienie, bo zapytał czy umiem po niemiecku. Mówię że mało. Szkoda bo mogłybyście iść za kelnerkę do kantyny. On już zdążył się nauczyć choć nie potrzebuje po polsku, a ja nie. To wstyd dla takiej młodej. Stary kłamczuch. Dowiedziałam się że jest tutejszym volksdeutschem. Poznań jest zbyt małym miastem by nie spotkać co krok kogoś kto cię zna.

— — — — — — — — —

Dzisiaj był ten sam Haus co w zeszłym tygodniu. Wybierał według gustu kobiety do szorowania ustępów. Zabrał wszystkie „rote lipe" i zapowiedział że ustępy mają być takie czyste by je można pocałować „tak jak wasze malowane usta". Poszły za tym wszystkie „panie". Naturalnie, że to dla nich jest więcej upakarzające niż dla pierwszej lepszej z nas. Żadna ich nie żałowała, bo tego samego jeszcze dnia chwaliły na wyścigi tego Hausa. Dusza człowiek — inteligentny, a jaki dobry! Zupełnie jak nie niemiec. Oj jaki to dobry jest taki kubeł zimnej wody na głupi naiwny łeb.

Nigdy nie miałam odwagi, lecz dziś odważyłam się ściągnąć dwa brykiety. Włożyłam na dno torebki. Leży ich cała kupa o dwa kroki za wartownią. Będę tak robić codziennie.

Dziecko ma już dwa paluszki u rączki odmrożone. Jutro wsunę cztery małe, bo są pakowniejsze. Prowiantu brać nie można. Są rewizje i dość częste obmacywania. Zanim tu przyszłam to podobno mięso, kiche i słoninę baby widziały jak złoto. W końcu jednak któraś wsypała i była chryja na całego. „Ściągaczki" zabrało Gestapo, a ta co wsypała pisze w biurze i stara się o niemiecki ausweiss.

— — — — — — — — — — — —

Byłam u państwa Janiszewskich. Prosiłam o wysłanie Joziowi paczki do Niemiec. Te jej „znajomości" na poczcie to zwyczajny ausweiss z literką D. W tajemnicy wielkiej wyjawiła mi pani J. ile ich to kosztowało nim dali się skłonić. Gestapo nas zmusiło. Gdybym mogła wam wierzyć, ale niestety. Czy i do tego Gestapo was zmusza, byście wyprawiali bale z wojskowymi z rangą i bez. Ilu my znamy takich Janiszewskich. Jakim trzeba być dziś ostrożnym. Skończyły się te chwile, kiedy myślało się, że można swobodnie mówić po polsku, bo niemiec nie rozumie. Sypią volksdeutsche, sypią tacy którzy chcieli nimi być i nie dało się i nawet ci co nie próbują tego szczęścia, mając długie i lepkie palce zakończone sprytem. Tacy nie lecą na funt masła bo mają wiele nadto.

— — — — — — — — — — — —

Wczoraj dopiero dowiedziałam się co zrobili mojemu dziecku. Skąd te rany te blizny okropne, które nawet za lat 20 nie będą białymi. Dziecko moje bezpośrednio po urodzeniu zostało poparzone. Podstawiła je akuszerka pupką pod kran i bez zbadania puściła wodę, która okazała się gotująca. Stąd te rany na udach, łydce i piętce w kształcie strug. Stwierdził to dr. Potyk. Dlatego to cały kuperek jest pościągany w pęki i guzły okropne. W miejscu prawego pośladka jest pas ciała, ściągniętego w potwornych rozmiarów szew, stwardnięty jak kość. Kłamcy bezwstydni! Trzeba mi było 7 miesięcy czekać, by się dowiedzieć co jest przyczyną bólu i okaleczenia moje-

go maleństwa. Czy ona, ta moja cicha gurząca i uśmiechająca się kruszyna będzie mogła kiedykolwiek siedzieć na tej pościąganej pupce. Inne dzieci siedmiomiesięczne siedzą już o własnych siłach, a ona dopiero główkę podnosi.

Żyj moja malutka. Przecież dla ciebie to piszę! Może to kiedyś będzie nie na czasie i znudzi Cię okropnie ta prostacka pisanina, tak narwana i zmienna jak jest usposobienie twojej matki która ma wszystko w jednym flaku — rozpacz, radość, nadzieję, apatię, a może i tego bzika o którym wspomina, ku mej zgryzocie twój tatuś. Tak, tak głuptasie. Potrzebne to było byś całą generację mężowskich przodków, posądzała o „orkiestrę". Jutro idę do kliniki powiedzieć temu dr. Lembergerowi, że wiem co to za brodawy, „przyrzuciły" się same. Och ta siostra Anna. Tak idealnie kłamała ta starucha. Te brodawy to jej pomysł.

— — — — — — — — — — — —

Wróciłam z kliniki. Profesor Fuchs kazał mi jutro przyjść z dzieckiem. Myślałam że trzeba będzie użyć całej mojej wymowy by im przypomnieć się, ale nie. Wystarczyło że przedstawiłam się jako matka poparzonego dziecka, a już schwester, oberarct i profesor zapytali niemal jednocześnie: Dziecko żyje?! Bez żadnych zdziwionych min, bez komentarzy jak się spodziewałam. Jedynie to lekkie zdziwienie, że jednak żyje. Teraz dopiero dowiedziałam się, że dziecko mając 2 miesiące ważyło 1/2 kg. mniej niż w chwili urodzenia. Ciekawam dlaczego ośmiomiesięczne dziecko ma się gorzej chować od siedmiomiesięcznego. Przecież jako starsze... Ale siostra mnie nie słucha i twierdzi uporczywie że takie ciężko się i chowają i rzadko żyją. Po co ja tam lazłam? Żeby nabawić się lęku i niepokoju.

— — — — — — — — — —

Byłam wczoraj i dziś z moją „Rybką" w klinice. Badali ją, dusili, i mierzyli długość, szerokość i grubość blizn. Po-

śladka brakuje bo zmuszeni byli wyrżnąć z powodu narastającego dzikiego mięsa. Próba wstawienia obcego ciała nie udała się temu bądź co bądź osławionemu staremu chirurgowi Fuchsowi. Oświadczyli mi że mam robić wniosek o odszkodowanie. Jedna z sióstr napisała mi ów antrag. Zaraziłam się widokiem chorych i szpitala czy co? Bo tak mi niewyraźnie. Kończę, bo mnie moja kuma febra zaczyna gładzić kosmatą dłonią wzdłuż grzbietu. O! już zdążyła ponakłuwać całą skórę. Tysiące maleńkich dzióbów brr! zimno!

— — — — — — — — — — — —

I znowu trzęsie mnie febra, lecz już nie od grypy, a od strachu. Na grypę leżałam trzy tygodnie. Dziś dostałam zwolnienie z pracy. Na moje miejsce jest już inna. Jedna z sierżantowych pochwaliła mi się że teraz mają porządną i prawdziwą panią. Nie z takich jak ty dopowiedziały mi jej oczy. No idę, bo jestem ciekawa widzieć tą „panią". Tym razem mają rację. To nie z naszego gatunku. Stara siwa dama, żona jakiegoś uwięzionego profesora. Jej rasowa inteligentna twarz, mocno kontrastuje w tym otoczeniu. Cieszy się że może spokojnie pracować. Lubi strugać kartofle bo to lepsze niż być gdzie indziej narażonym na wymysły. A już najważniejsze jest, to ciepło. Oj racja. To ciepło. Kwestia w tym czy dostanę pracę, gdzie będzie ciepło. Niedługo Wielkanoc a mróz trzyma jakby się wściekł.

Lęk paniczny ogarnia mnie, ile godzin trzeba będzie stać przed drzwiami takiej wściekłej wrzeszczącej sekutnicy nim wpuszczą do jej biura. Gdyby to choć w jednym dniu załatwić. Uczę się na pamięć formułki którą mam wypowiedzieć: Proszę o pracę siedzącą bo mam reumatyzm w nogach i blisko bo nie mogę chodzić i niedługo bo mam dziecko małe i chorą matkę. Umiem na pamięć, ale jestem pewna, że jak każdej z ofiar pod wpływem zimnego szyderczego i nienawistnego spojrzenia, język mi skołowacieje i ani po polsku nie potrafię wypowiedzieć co trzeba. Mama już w tej intencji modli

się do św. Antoniego, choć myślę że raczej powinna modlić się w swej intencji bo jest naprawdę chora. Nie mogę jej tego powiedzieć, ale obawiam się że to będzie rak. Jak tylko załatwię z tym przeklętym arbeitsamtem to ani dnia nie zwlekając, zaprowadzę ją do lekarza. Narowem właściwym starszym osobom staje okoniem na samo wspomnienie lekarza, leków, szpitala. Na każdą próbę perswazji z mojej strony ma niezmienną odpowiedź: Chcę jeszcze trochę żyć, bodaj tyle co by tę kruszynę podchować i końca wojny doczekać. Mam jednak nadzieję, że gdy jej poświęcić z pół godziny gadanego na miękko — dopnę swego. Teraz nie mogę myśleć o niczym innem, jak o jutrzejszej przeprawie. Byle nie dostać się w ręce Henryki Arnold.

— — — — — — — — — — — —

Powoli z namysłem i iści niemiecką systematycznością zlatują miękkie olbrzymie płaty śniegu i układają się warstwami na blaszanym parapecie okiennym. Wczoraj była odwilż i śnieżki nie wiadomo skąd powyłaziły nagle i poprzykucały na mojej drodze. Niesposób było ich nie zauważyć, — pod progiem czy wzdłuż ganku. Teraz siedzą w szklance i moczą zziębnięte nożyny, patrzę na białe kwiaty lecące z nieba. Psychologia kwiatów... kiedyś dawno coś takiego czytałam. Że kwiaty mają jakąś psychę — gotowam uwierzyć, ale biłabym się z tym który by ośmielił się twierdzić że niemcy, a zwłaszcza te germańskie małpy mają dusze. Nie mogę o niczym dłużej myśleć ani o śniegu, ani o śniegulkach. Myśli mam zaprzątnięte, przesądami i złymi omenami, w których znaczenie zaczynam niemal wierzyć. Dziś specjalnie wyszłam rychło, bo już o 6-tej, by nie spotkać baby. Ciemno było, i gdy zamigotało z dala światełko lampki rowerowej, ucieszyłam się — chłop. Rower minął mnie — to była „baba". Miałam niepowstrzymaną ochotę zawrócić, ale wstyd mnie było przed sobą. Poszłam i znowu daremnie. Siedzących prac podobno nie ma. Dawają mi karty nie objaśniając zgoła, co za praca

i gdzie. Już mi było obojętne byle nie drżeć tyle godzin byle nie słuchać tych wymyślań, nie słuchać lamentów i przekleństw nieszczęsnych kobiet zapisanych na transport. Ale mnie nigdzie nie chcą — za słabo im wyglądam. Do dzieci też nie chcą — podejrzewają o suchoty. Nie wiem nawet, czy to lepiej czy gorzej. Cały tydzień już mi zleciał na tym nerwowym wyczekiwaniu. Nie dostałam się w ręce Henryki ale w szpony jakiejś rudej wydry. Odezwać się do niej po polsku, to drzwi otworzy, wypadnie na korytarz i woła następną. I tak z tych wyrzuconych formuje się drugi ogonek. Czekających spotykają atrakcje dość smutnej natury, jak zasłabnięcia, kurcze i ataki epileptyczne. Wczoraj jakaś dziewczyna dostała krwotoku z płuc, a dziś kobieta z wrzodami na dwunastnicy i żołądku — chlusnęła na korytarzu potokiem krwi. Jednak litości to w nich nie wzbudzi. Jedynym odruchem na jaki zdobyła się taka pokraka, jest grymas wstrętu i wykrzyknik — fuj! O ile do pokoju są wpuszczone trzy kobiety, to następuje półgodzinne wietrzenie tegoż. Ostatecznie wskórałam tyle że kazała mi samej sobie poszukać pracy w przeciągu 6 dni. Gdyby tak przyleciały samoloty i celnemi bombami zrównały z ziemią arbeitsamt. Może by się trochę odwlekło. Czy stracili drogę? Ta jedna legendarna bomba na Łazarzu i cisza. Mało już o niej się wspomina. Jedynie pani Adamiecka która w tym czasie miała zamiar urodzić córę, wspomina tę chwilę ze złością. Urodził się chłopiec, ale za miesiąc. Ma już przeszło rok i nawet jeszcze główki nie podnosi. Co za dziwaczne wybryki — jedne od wstrząsu ronią a u innych wstrząs wstrzymuje proces rodzenia na przeciąg jednego miesiąca.

— — — — — — — — — — — —

Wiosna już w pełni sezonu, ale tylko w postaci filcowych kapeluszy, bo słomkowe nosi się obecnie w lutym i w marcu.

Wczoraj trzeciego maja byliśmy u mamy w szpitalu. Przez okna wychodzące na park, podziwialiśmy drzewa i żywopłoty

strzyżone, pokryte kiściami śnieżnobiałego śniegu. Wiatr zimny, jak sowizdrzał ganiał między krzewami usiłując zapylić śniegowe kwiaty. Daremnie — kwiaty były martwe i twarde jak ciała lalek woskowych. Gwiazdka w maju, śmieją się na sali, ale mamę to nie wzrusza. Mama, ta pełna animuszu, moja mama leży z radem w brzuchu. Czuje się okropnie słabo. Zwyczajnie jak przy radzie. Leżeć trzeba 24 godziny bez ruchu i na czczo. Jutro rano wyjmą. To już będzie wszystko. Rentgeny już przeszła. Boję się tylko czy wytrzyma. Gdym ja leżała, to jedna pacjentka, wytrzymała tylko 5 godzin, a w 3 godziny po wyjęciu radu — zmarła. Nie pozwoliła się wynieść do separatki. Konała wśród nas na sali. Umierała pięknie. Ostatnie pożegnanie i pocałunek przesłała zachodzącemu w purpurze słońcu. Leżałam potem na jej łóżku, i wbrew złowróżbnym krakaniom wylizałam się. Ja jednak nie chcę myśleć o śmierci mamy choćby nawet tak pięknej jak tamtej.

Nigdy nie sądziłam że tak łatwo uda mi się namówić Mamę na badanie. I nie omyliłam się — był to rak. Mamine wnętrzności zaczął nadgryzać rak, a moją duszę napoczął pierwszy raz w życiu rak nienawiści do ludzi.

Znalazłam pracę — zdawałoby się dobrą, a jednak czuję że chyba nie wytrzymam. Zgodziłam się do pomocy w kuchni restauracyjnej. Mogłoby być nieźle: blisko pół godziny drogi, ciepło i obiady. Te plusa przyciągnęły mnie do restauracji koło Botaniki. Stary niemiec był inwalidą w gorsecie i kolorowej wstążeczce przy klapie marynarki. Poza tym nosił wysoko podniesioną siwą czuprynę i garnitur granatowy o spodniach wąziutkich i przykrótkich tzw. „drajtyrlach". Starej rysopisu właściwie zbyteczne podawać, bo był to tak bardzo zwyczajny i normalny egzemplarz starej, na czarno farbowanej, grubej rozlazłej jak kotka-ropucha czarownicy. Wyróżniała się może jedynie tym, że miała jedną z angielskich manier — wdziewanie etykietalnego stroju do obiadów. Uświęconym obiadowym strojem u niej jest króciutki podkasany strój tyrolski. Kolacje jada w takimż kostiumie, lecz z maleńką

zmianą kolorów. — Gdy do obiadu była spódnica zielona i fioletowe pończochy, to na kolację odwrotnie.

Przez tydzień strugałam „pyry", myłam naczynia. Było mi tak sobie zwyczajnie, bo najważniejsza złość skrupiała się zasadniczo na kucharce, a ta dopiero, zbytek wymysłów jak pies wodę z sierści strząsała na nas. Lubiłam nawet te burczenia bądź co bądź polskie, nie pozbawione racji i soczystości. Oprócz mnie pracuje tam panna Kasia czyli „Katryna", no i Burzyńska mieszkająca niedaleko nas.

Byłoby nieźle gdyby nie pech, który się przy mnie ciepło chowa. Któregoś dnia stara ni mniej ni więcej, wytrzaskała po twarzy bufetową i oddała w ręce „gestapo". Na nic zdały się moje wykręty — stara uparła się i w jej miejsce postawiła mnie. Trudno było oponować, tym bardziej że to co ja uważałam za kuksaniec pecha, to wszyscy współpracownicy moi uważali za jakieś szczęście osobliwe.

Zaczęła się dla mnie katorga — nie umieć po niemiecku i siedzieć w knajpie „nur für deutsche". Moja nieumiejętność wyjęzyczenia się nie tyle ich raziła, ile to że nie umiem mojej twarzy ozdobić uprzejmym uśmiechem. Goście zaczęli się skarżyć mojej frau schefin na mój brak humoru. Stara przy wszystkich zrobiła mi piekło. Nie mogła i nie chciała zrozumieć, że nie potrafię bez powodu śmiać się, tym bardziej, gdy myśli moje są zajęte matką chorą i dzieckiem pozostawionym na łasce sąsiadki.

Nasi żołnierze giną na froncie, a my nie rozpaczamy. Ja też z rozpaczy nie umieram, ale jak tu śmiać się do tych pijanych i natrętnych byków germańskich. Śmiałabym się może, gdyby tak nagle zjawiła się „kosiarka" z frontu i te purpurowe apoplektyczne pyski pomalowała na biało. Rano gdy stara zmora szła do miasta było najmilej. Uprzątałam stoły i myłam szklanki a Burzyńska myła podłogę. Mało z nią rozmawiałam, bo miała markę niepośledniej plotkarki. Bałam się jej. Któregoś dnia zagaduje mnie, czy panna Mychna I., z którą mnie onegdaj widziała idącą, jest naprawdę nauczycielką? Potwierdziłam. Jest to żona jednego z najmilszych moich kolegów. Tak?? Ten

znajdek? I dalej wymyślać: a to ślubu nie mają, na knebel żyją itd. Nie mogłam tego znieść i palnęłam że jej sprawy osobiste nic mnie nie obchodzą, a jej do niej wara. Nic o owej pani nie chcę słyszeć, bo ją szanuję z racji jej dobrego serca i charakteru, a to co ona wygaduje, wcale jej w moich oczach nie poniża, raczej przeciwnie. Odpowiedziała mi, że nie sądziła, iż jestem tyle warta co ta pani. Podziękowałam i zaczęłam sobie nucić, myśląc że na tym już koniec.

Niestety, to był dopiero początek tych przyjemności, które nastąpiły. Przychodzi stara. Mówię jej głośno jak mnie nauczyła „guten tag", a ta nic. Powtórzyłam wesoło myśląc że nie słyszała, a ta jak nie skoczy i dawaj mnie ciągnąć za uszy i wrzeszczeć: a ty „Polska Świnio" — do kuchni chcesz wracać, bo nie możesz na szwabów patrzeć. Czemu mi tego od razu nie powiedziałaś. Mówię jej żem nikomu tak nie mówiła, gdy na mój wrzask wchodzi pani Truda kelnerka, ta co wróciła z „forów". Proszę ją by się spytała za co mnie za uszy ciągnie i krzyczy o jakichś szwabach, których nie cierpię. Wtedy dowiedziałam się, że moją nienawiść do niemców wylewałam właśnie przed Burzyńską. Sądziłam że to pomyłka co do mojej osoby i każę wołać tą Burzyńską. Przyszła i... potwierdza. Myślałam, że źle rozumiem, a ta starej radzi, by mi gębę wytrzepała, bo się jeszcze wypieram. Nie miałam siły panować nad sobą — płakałam jak nigdy w życiu. Tak wygląda zemsta, nie przebierająca w środkach, — i za co? Czy ta kobieta nie jest Polką? Toż ją i jej dziecko nieletnie zmuszają do pracy. Dom jej rozwalili dając wzamian altanę. Pani Truda uważa że to jeszcze nie powód do łez. Chciałam zapytać co może być większym powodem, gdy ta pociągnęła mnie do ubikacji. Tu rozpięła suknię i pokazała mi swoje ciało. Przelękłam się. Całe plecy i piersi pokryte były okropnymi plamami, od czerwonych, zielonych i żółtych aż do granatowych. To znaki po plagach, których porcje codziennie jej odmierzano za to, że któregoś dnia miast pójść do celi, została na dworze, by zobaczyć z dala swego męża idącego w kolumnie mężczyzn. Oboje siedzieli za gazetki. Jego ścięli a ją jako młodą i zdatną do

pracy w swym fachu — puścili. Była kiedyś właścicielką restauracji, więc wróciła do fachu, w którym brak kwalifikowanych sił.

— — — — — — — — — —

Mama wróciła ze szpitala i czuje się nieźle. To dobrze, ale co ze mną będzie. Jestem chora, cierpię i nie wiem na co. Proszę Boga o jakąś konkretną nazwę dla tych wściekłych boleści. Niech się dzieje co chce, ale do pracy nie poszłam dziś, — nie mogłam. Byłam u lekarza, który na dobitek nie umie postawić diagnozy na moją chorobę. Zwolnić mnie nie może bo nie ma temperatury, lecz dał mi przekaz do prześwietlenia wątroby. Straszliwe jutro! Co będzie, gdy wątroba okaże się zdrowa. Wtedy uznają mnie za kombinatorkę i będę biedna.

Siedzę w oknie i patrzę czy nie idzie po mnie policja. Mama była co prawda mnie usprawiedliwić, ale cóż to znaczy. Zdaje mi się, że przejśca ostatnich dni są największą przyczyną moich cierpień. Burzyńska nie poprzestała na swej zemście. Szukała okazji, aż znalazła. Przedwczoraj zachorowała mi Iwonka. Rano zamiast do pracy pobiegłam po lekarza. Na nieszczęście było tyle ludzi, że niesposób było się docisnąć. Trzeba czekać w kolejce zgłaszających wizyty. Na szczęście wyszła żona lekarza pełniąca rolę asystentki. Ta poradziła mi najpierw dać dziecku na przeczyszczenie, a gdy nie poskutkuje, przyjść po południu. Przyszedłszy do domu, poleciłam matce pójść za jej radą, a sama popędziłam do znienawidzonej pracy. Spóźniłam się godzinę, ale stara jakoś moje tłumaczenie przyjęła bez krzyku.

Nazajutrz za to gdym weszła, już od drzwi zaczęła mnie okładać mokrym ręcznikiem. Za kłamstwo, za oszukaństwo, drze się wywijając ręcznikiem jak opętana. W końcu rzuciła ręcznik i waliła pięściami. Gdy trafiła w żołądek i nerki mało nie zemdlałam. W końcu nagle przestała. Zmęczyła się. Usiadła i już spokojnie oświadczyła mi, że od dziś będę pracowała po 13 godzin. Następnie zawołała Burzyńską poleciwszy jej wytłuma-

czyć mi za co była kara. Ta zadowolona zaczęła od razu od lenia śmierdzącego i galicyjskiego pomiotu (Mychna i Kazia są z Galicji), objaśniła mnie, że „panią“ okłamałam wczoraj. Gdym się spóźniła wczoraj podałam jako powód chorobę dziecka, gdy ona przechodząc koło nas po południu widziała dzieciaka raczkującego po ogródku. Poza tym jestem ordynarną i bez wychowania. Wszyscy nie wyłączając kucharki całują „panią“ w rękę tylko nie ja. Jestem niewdzięczną za to, że przy jednym stole z państwem jadam i nic nie robiąc prócz głupiego rachowania i ekspediowania kelnerkom obiadów i trunków, biorę tyle pieniędzy co i one. Ona nie znosi kłamstwa. Jeszcze dziś pójdzie do lekarza spytać czy tam byłam. Przeraziłam się, bo u doktora istotnie nie byłam, lecz nie chciałam już brnąć w tłumaczenia. Dziecku po rycynusie polepszyło się i rzeczywiście po południu bawiło się na dworze.

Dziś dowiedziałam się, że obietnicy dotrzymała. Była po informacje, lecz doktór domyślając się czegoś, przegonił nie dając żadnej odpowiedzi. Poczciwy kochany grubasek. Potyk złocisty! Obyś nigdy nikogo nagle nie uśmiercił. To są sprawy, którymi zamazuję całe karty. Tak czysto babskie, niskie i tak bolesne dla mnie.

Powinnam raczej opisać ów dzień oczekiwania na odpowiedź Rosji. Doczekaliśmy się od nich upragnionego słowa — wojna. Wojna, wojna państwo! padało z ust, oczu i uśmiechu znajomego i nieznajomego przechodnia. Cieszę się! Cieszymy się! Nasi się cieszą. Niech przyjdą, mówi każdy.

— — — — — — — — — —

Eureka! Żółciowe kamienie! Dostałam zwolnienie na 2 tygodnie, bo są na papierze gallensteiny jak woły. Jedna z tych solidnych najboleśniejszych chorób, na które tak rzadko się gorączkuje. Są szanse polepszenia mojego losu. Przede wszystkim moja stara już nie jest moją starą. Z braku ofiary łupie z kolei Burzyńską uznając ją za przyczynę mojego wywinięcia się, tak sprytnie wymyśloną chorobą. Drugi raz jestem świad-

kiem podziękowań, jakich niemcy udzielają swym wiernym sługom. Słyszę, że i ona z kolei chce wydostać się. Dziwno mi, że nie czuję już do niej nienawiści, a chęć dzikiej zemsty, wyparowała z mojego serca. Spotkałam się z nią w tramwaju i omal w kawałki się nie rozleciałam, gdy ta mi na dzień dobry rękę podaje. Zignorowałam ten jej odruch, a ta z wymówką. — Niewdzięczna jestem! Zapomniałam pewno, że jej jedynie mam do zawdzięczenia zwolnienie. Ona to obrzydziła starej moją osobę. Tylko w intencji przysłużenia się mnie inscenizowała te piekielne sceny. Trajkotała długo i w końcu zauważyła, że mam cholerne szczęście choćby z tą wątrobą. Że też ona choć po czterdziestce nie ma jakichś kamieni żółciowych albo innej francy.

Nie umiem określić tego typu ludzi. Zbyt ubogi mój słownik. Wiem od mamy, że takich Burzyńskich jest niestety na świecie sporo. Zresztą nie lubię myśleć długo o rzeczach przykrych, które minęły. Byłoby to tym samym co oglądanie miejsca gdzie leżał kot, w które się wdeptało niebacznie. Patrzę z uporem w nadziei zieloną kurtynę. Dekoracje znam — to budynek arbeitsamtu. Roli jednak mojej odgadnąć nie mogę.

— — — — — — — — — —

W najbliższą niedzielę przypada druga rocznica wojny i pierwsza rocznica urodzin mojej Rybki. Rok. Dopiero czy już? — nie wiem. Jedno i drugie. W każdym razie ani mi się śniło przed rokiem, że będę w kłopocie, co dać jeść mojemu maleństwu. Teraz chodzimy z babcią na „szteblówkę". Tak jak zbieraliśmy kłosy żytnie i pszeniczne, tak teraz szukamy na rozkopanych kartofliskach młodych kartofli. Ciężko nosić. Tylko 3 km. a ledwo przydybałam głupie pół centnara. Coś mnie w brzuchu boli. Ziemniaki w majątku Strzeszyn wybierają Żydówki. Dom, w którym mieszkają, cuchnie tak okropnie, że trudno opisać. Jest to tak osobliwa kakofonia zapachów, potu, moczu, ścierek i skisłego jedzenia, że kto raz poczuje to, nie zapomni nigdy. W takiej atmosferze żyją i pracują te nie-

szczęsne istoty z golonemi głowami. Widziałam jak za lada co są bite. Biją je niemcy, biją Polacy i bije je... żydówka. Ta jedyna z nich posiadająca długie włosy, ma nad nimi pieczę. Och jak bolesne muszą być dla nich te razy, otrzymywane z ręki tej siostry w Izraelu. Chleb kładziemy między łęty i bruzdy, bo zbliżyć się do dziewcząt niesposób. Za to ile kartofli nam zostawiają. Centnar można by uzbierać przez godzinę, ale jak przenieść. Próbowaliśmy raz przewieźć ręcznym wózkiem, ale nie udało się ciągnąć przez piachy.

Po południu chodzimy zbierać torf na opał. Znowu mamy go do zawdzięczenia Żydom, którzy plantują bagniste tereny nad Bogdanką. Ma tam powstać ogromne sztuczne jezioro. Już cały górzysty teren jest zrównany. Mama mówi, że jezioro zapełnią na pewno potem i łzami tych osłabłych i wycieńczonych żydów. Czy to nie potworność, by ciężko chorych i nieraz konających ciągnąć kilka kilometrów do pracy. Iść muszą, choćby po to, by — jak łachmany leżeć w rowach bezużytecznie. Nie wolno im konać na zgniłym barłogu. Mury baraków i szkoły muszą pozostać same. Muszą odpocząć, mówią dozorcy. Nie mają tak jak i my nikogo, kto by się ujął. Nawet zda się i Jehowa zapomniał o nich.

Nieraz udaje mi się porozmawiać z jednym z nich, którego bardzo lubię. Ów Walenty Kiermasz jest najśmieszniejszym prawnikiem, jakiego dotąd oglądały moje oczy. Ma szczupłą kobiecą twarz o naiwnych błękitnych oczach. Nie skarży się ani trochę i nic nie chce powiedzieć o swym obecnym życiu. Wiem o nim dotąd tyle, że matka jego była Polką, a on sam modli się do Chrystusa. Nikomu ani nawet mamie na myśl by nie przyszło, że rozmawiam z nim o... literaturze i sztuce. Zna ją tak dobrze, jak mało ja mam o niej pojęcia. Dziś był zmartwiony. Zabrał dla mnie książkę jedyną jaką miał i odebrał mu ją dozorca. Nie wspomniałam mu, że znam owych „Dojrzałych do życia". Dowiedziałam się od kolegi Michałka przykrej rzeczy. Podobno za przyjemność rozmowy ze mną dostał czterdzieści „bykowców". Wtedy to po raz pierwszy dostał krwotoku. Starałam się unikać go, lecz daremnie. Zjawia

się niespodzianie i pomaga mi w wyszukiwaniu suchych grudek torfowych. Ów Michałek prosił jednak bym mu o tym fakcie nie wspominała, lecz poczekała aż sam się przyzna. Nie przyznał się. Był uśmiechnięty, dowcipny i niemal wesoły. Jedynie gdym mu ukradkiem włożyła w kieszeń trochę chleba, powiedział jakimś dziwnym, pół smutnym, pół żartobliwym tonem: Ucałowałbym rączkę ofiarną, lecz nie wolno mi. Wysunęłam głowę ponad nasyp udając że oglądam się za „pastuchem", lecz on roześmiał się. — To nie to, ale gruźlica. Było mi strasznie niemiło i dziwnie przykro. Nie, nie mogę sobie w żaden sposób wyobrazić tego chłopca trupem, choć widziałam ich kilka. Gruźlica jednak w tych warunkach nie czeka na ofiary. „Pastuchy" są pastuchami dlatego, że nazywają ich bydłem. Mnie się jednak zdaje, że to mocą szatańskiej reinkarnacji — bydło dozoruje pasterzy, chociaż nie powiem bym tak bardzo chciała by byli tymi pasterzami.

— — — — — — — — — —

Może tym razem będzie to po raz ostatni. Arbeitsamt. Po słowie Gestapo, poty siódme to chyba najgorsze. Choćby jutro wojna się skończyła i przyszło żyć jeszcze 100 lat, to grozy tego słowa nie zapomnę. Po co ci Anglicy przelatują tak z głupia frant. Czyżby żadna podziemna stacja nadawcza nie objaśniła ich, że jest tu jeden jedyny i najważniejszy obiekt do strzaskania. Leżąc snuje się marzenie — nadlatują i walą w znienawidzone budy, a okoliczności i cudowne przeznaczenia tak kierują, że w budynkach tych nie ma w tej chwili żadnego Polaka, tylko one te nasze dręczycielki. Ale to tylko marzenia. Dzieje się natomiast coś zgoła odrębnego. Coś o czym żadna z przepowiedni nie mówi. Niestety — Drang nach Osten jest w toku. Codziennie huczno w prasie o „siegach", strat natomiast nie ma. Cudowni doprawdy zwycięzcy! Zaczynają się zjeżdżać ich ziomkowie z Rosji. Nazywają ich „balten deutsche". Co za dziadostwo — brudne i niechlujne. Tutejsi niemcy wstydzą

się ich, a reichsdeutsche nie cierpią ich bardziej od volksdeutschów.

Ja znowu byłam prosić o pracę siedzącą, ale niestety. Świadectwo lekarskie niewiele znaczy. Niech mi lekarz poszuka siedzącą pracę w zawodzie kuchennym. Do fabryki dać mnie nie mogą, bo należę przecież do familii kucharek i sług. Po czterech dniach zostałam pomocnicą kucharską. Kucharka i ja, jej pomocnica, zostałyśmy wybrane przez samego szefa z gromady niechętnych kandydatek. Jaką okropną twarz buldoga ma przyszły nasz szef. Będziemy gotowały obiad dla sześćdziesięciu pracowników firmy Petersen. „Firma" Petersen, to właśnie ów buldog. Lękam się, choć kucharka zapewnia, że nie ma czego. Będzie nam byczo we dwie powiada. — Otrzaskałam się z tymi chamami — nie są wcale tacy źli, tylko trzeba umieć do nich podejść. To podchodzenie, to obrzydliwe słowo będzie mnie pewno całe życie prześladować. Opowiada mi swoje nie bardzo budujące przygody ze swej kucharskiej kariery w kasynie podoficerskim. Było też byczo, jak musze w miodzie, ale skończyło się — zwolnili. Dlaczego? — milczy!

O mamie Arbeitsamt też nie zapomniał, wzywali. Chcieli koniecznie wcisnąć posługę, ale gdzie posłali to mama rekomendowała się świadectwem ze szpitala. Słowo rak odstręczało wszystkich i co prędzej pisali na karcie, że nie nadaje się. Po tygodniu łażenia zwolnili aż do następnego wezwania. Mimo wszystko jest jeszcze dosyć młodych i silnych kobiet, które nie pracowały i są pewne, że nieprędko je złapią. Szczęście swoje zawdzięczają niektóre szczęściu, a inne masłu i słoninie. Masło i słonina, jak wielka twoja moc. Nigdy jeszcze przysłowie, kto smaruje to jedzie, nie było bardziej na czasie. Żal mi, że nie mam tej słoniny. Nie zazdroszczę jednak. Daj im Boże szczęście do końca. Im mniej pracują tym lepiej. Nie wszyscy jednak podzielają to zdanie. Codziennie Arbeitsamt otrzymuje denuncjacje, że ta i ta sąsiadka jest silna i zdrowa, a nie pracuje dotąd. Są nawet tego rodzaju podania: Nudzę się — tyję od siedzenia i spania, a że jestem pełna sił i dobrej woli, proszę o pracę przynajmniej na 12 godzin. Przychodzi taka nieszczęs-

na nieraz matka od gromady dzieci, a oni jej wciskają pracę ciężką na 10 godzin. Gdy ośmieli się protestować, czytają z uśmiechem „jej prośbę". Nic już taką nie uratuje. Jak mnie wezmą, to zaraz melduję te wszystkie znajome cholery, co ani dzieci ani mężów nie mają — słyszy się co krok. Sprawiedliwość musi być moja pani, zwraca się do mnie jejmość stojąca za mną w ogonku. Jakby mnie od dzieci wzięli, to zaraz melduję moją sąsiadkę, co nic nie robi ino całki dziń się w łoknie rozwolo. No dobrze, pytam naiwnie, ale czy oni panią zwolnią za podeżgnięcie tamtej? Zrozumiała — nie odezwała się już ani słowem.

Wstrętni ludzie są w naszym narodzie. Nigdy bym nie myślała o tym kiedyś przed wojną. Ile to naszych braci gnije w forcie dzięki takim swoim braciom. Sprawiedliwość dziwnie jest dziś pojmowana. Czy i po wojnie będą ją pojmować podobnie? Aresztują nieszczęśnika mniej lub więcej winnego, a ten w poczuciu sprawiedliwości sypie winnych i Bogu ducha winnych. Dawniej zdarzało się, że takiego sprawiedliwego gagatka puszczali i nawet nie robili trudności w zapisaniu na volkslistę. Ale teraz szlus — siedzi więc ofiara ze swą ofiarą nieraz w jednej celi na jednym barłogu. Są wciąż razem i gdy już ich nie ma, to jeszcze nazwiska ich na czerwonych afiszach są razem. Na szczęście jest ich mniejszość. Ta większość to ofiary milczące mimo katusz i śmierci. To męczennicy i bohaterzy, o których nie zapomni historia.

— — — — — — — — —

Już po raz trzeci dostajemy życzenia spokojnych Świąt i aby ta następna Gwiazdka była już nasza. To „nasza" to jeden z najbardziej zrozumiałych naszych wojennych terminów. W słowie tym mieści się wszystko — Polska, wolność, powrót ukochanych, łzy radości, cały świat szczęścia — wszystko, wszystko. Nasza Gwiazdka! Kiedy nie będzie ich? Czyż jest możliwem by mogło ich kiedyś braknąć? Trzeba by cudu! Oni są tu już tak dawno, dawno... To przedtym to było nie — czas inaczej był mierzonym. Wówczas rok był dniem. To był sen, a teraz jest rzeczywistość. Czyż sny zwalczyły kiedy jawę?

Rzeczywistości, silną i skuteczną jest broń twoja — przebudzenie, Jawo, trzeźwa i realna — ty jedna, która nie wierzysz w majaki, przyznasz mi rację, że nie ma na globie potwora bardziej krwiożerczego od niemca. Czy są niemcy, którzy nie biją? Podobno są jeszcze tacy. Niestety ja mam „szczęście" jedynie do potworów. Jedyna moja ponura pociecha w tym, że nie ja sama patrzę na łotra, który osobliwie wyrabia swoje bicepsy w biciu po twarzy robotników. Moja współpracownica i przełożona śmieje się z mojej nieszczęśliwej miny. — Ciesz się pani, że to nie panią chlaszcze. Ależ to boli patrzeć — tak codziennie i akurat gdy mają jeść. Przykro to jest, ale żeby aż bolało, to już przesada. Pani Robaczewska nie lubi przesady. W wyszukiwaniu i dopatrywaniu się przesady jest przesadna. Do pasji ją doprowadza wszystko co trąci przesadą. Uprzejmy zwrot w rodzaju: droga lub łaskawa pani, irytuje ją. — Drogie jest futro, a łaskawy Pan Bóg, woła niegrzecznie, dodając na usprawiedliwienie jakby, sakramentalne — nie lubię przesady. Ależ bo ten Petersen bije — poci się od wysiłku. Dziś skarżył się w kuchni, że dłonie mu spuchły.

Biedni chłopcy. Nie przesadzę, o ile nazwę was dzielnymi. Ani jeden z obitych nie traci tego animuszu, który nie można inaczej nazwać jak humorem. Gdy wydaję im porcję, żartują jak gdyby to nie ich bito. Jeden biedaczysko dostał już piąty raz z rzędu i dziś gdy mu podawałam wody do obmycia skrwawionych ust i nosa, prosił mnie z iście wisielczą kurtuazją: — Gdy jutro dostanę, to proszę nie robić zbolałej miny, tylko uśmiechnąć się do mnie, to na pewno nie będzie tak boleć. Ach smarkaczu kochany, gdybym mogła, to bym cię ucałowała w ten nos rozbity, pod którym pewno mleko jeszcze nie obeschło, byle ci ulżyć. Myślę, że jest to jedyna firma w Poznaniu, gdzie robotnicy obiady swoje kraszą łzami i krwią z nosa.

Raz na tym ponurem tle zaszedł dość komiczny incydent. Jeden dość inteligentny chłopak nie wiem dlaczego przezwany Otellem dostawał lanie już kilka dni z rzędu. Pytam go dlaczego buldog tak się na niego zawziął. Nie wiem — ale mówię

pani, że dziś ostatni raz uszło mu to bezkarnie. Uśmiechnęłam się z przechwałki i poradziłam by mu lepiej w ślepia nie ustawiać się. A właśnie że jutro, gdyby nawet nie chciał, to specjalnie sprowokuje go. Ciekawam. Nazajutrz to samo — zbił już trzech i doskakuje do „Otella". W tym momencie przypomniałam sobie jego wczorajszą obietnicę — stanęłam z boku okienka, by obserwować i oczom nie wierzę. Petersen uderzył go, ale Otello policzek ten oddał mu pomnożony przez cztery i o dwukrotnej sile impetu. Po tej czynności mignął mu przed oczyma zielonym auswaisem. Dokonał Otello swego, lecz jaką ceną. Czy tylko dlatego zrobiłeś to, by nie być bitym, mój Otello? którego dotąd uważałam za jednego z dobrych Polaków.

Ciężka jest moja praca nie tylko moralnie, ale i fizycznie. Robię wszystko niemal sama, bo pani Robaczewskiej praca polega tylko na doprawianiu, kosztowaniu i nalewaniu do misek. Czasami pomaga mi w pomywaniu naczyń, a dzieje się to wtedy, gdy jej się bardzo gdzieś śpieszy. Wychodzić wolno nam po sprzątnięciu obojętnie kiedy — byle razem. Któregoś dnia żona Petersena przyszła po mnie bym zastąpiła w czynności chorą kucharkę, a na moje miejsce dała służącą. Poleciła mi zrobić rosół z kury i makaron. Makaron zrobiłam taki jak robiło się przed wojną — zwyczajnie na samych jajach. Tak im smakował, że oświadczyli, że w życiu takiego nie jedli. To Petersenową widocznie dobrze usposobiło, bo raczyła zauważyć, że spodziewam się dziecka i zapytała kiedy? Gdym powiedziała, że za 3 miesiące, to oświadczyła, że jeszcze przez 2 miesiące mogę pracować. Ładna pociecha, gdy ja już teraz ledwo zipię, taka jestem pękata. Na drugi dzień oświadczyła niespodzianie pani Robaczewskiej, że ma mi pomagać, „bo chyba widzi, że ta mała jest gruba". Pani kucharka widzi, ale wątpię czy rozumie, bo mimo że jest już dwanaście lat po ślubie, to jeszcze nigdy w takim stanie nie była. Mam jeszcze jedno i bodaj że najgorsze zmartwienie — pani Robaczewska wędzi co się zowie z iści mistrzowską wprawą. Mistrzynię znać i zupełnie zbyteczne są przechwałki o swych przedwojennych i obecnych wyczynach na tym polu. Opowiada ze swadą a może i przesa-

dą niemniejszą niż to czynił u Arnolda ten bądź co bądź sympatyczny złodziejaszek Walek. Ta jednak nie bierze sama — daje i mnie. Uważa to za dobrodziejstwo i szczyt swojej dla mnie lojalności. Gdy nie chcę brać, wymyśla mi od najgorszej fałszywizny, która nie bierze, bo ma zamiar denuncjować. Na nic moje uroczyste przysięgi, że nie jestem z tych co sypią — wciska przemocą. Nie wyobraża sobie ile strachu kosztuje mnie ta okropna chwila, kiedy przechodzimy przez warsztat do domu. Zdaje mi się, że wszyscy obserwują moją torbę, w której czeluści spoczywa kawałek kaszanki lub odrobina mąki.

— — — — — — — — —

Wczoraj biurowa mnie ostrzegła, że stary wyraził chęć zrewidowania nas przy wychodzeniu. Podziękowałam ze wstydem, który powoduje świadomość, że bliźni nas przejrzał i daje o tym delikatnie znać. Mało nawet pocieszającym było to, że owym bliźnim był człowiek tak dobry i wyrozumiały, jak panna Wańdzia biurowa.

Zginęło masło — nie wiedziałam nawet, że dali do obiadu masło. Podzieliłam się tą wieścią z moją współpracowniczką, ale ta miast podzięki, wzruszyła lekceważąco ramionami. — Jak ma pani takiego pietra, to może najwyżej nie brać. Zresztą o ile „ktoś“ jest takim idiotą i kładzie wszystko w torebkę lub kieszeń, to lepiej niech nie bierze. Zaświtało mi w głowie — już chciałam pytać gdzie można jeszcze w takim razie schować prowiant, ale zamilkłam w porę. Po co wszczynać piekło. Uśmiechnęłam się tylko do myśli, która wypowiedzianą brzmiałaby: smacznego na masełko z majtek. Nie wzięłam naturalnie kawałka słoninki, którą mi na odchodnem wsunęła w rękę. Na ten mój stanowczy odruch zareagowała dziś nie mniej stanowczo — nie odzywała się i w pracy nie pomogła. Ledwo nadążyłam, bo jest mi bardzo ciężko, a zwłaszcza przy noszeniu węgla i kartofli. Ciężyło mi jednak może więcej od pracy to jej wrogie milczenie. Nie wytrzymałam i pytam czy

gniewa się pani na mnie? Szybko pożałowałam mojego mimo chęci przepraszającego tonu — skoczyła jak oparzona i dawaj mi wymyślać od żmii, która chce ją wsypać — albo solidarność w „pracy“ albo raus stąd. Woli być sama, bo i tak jestem grzebielucha. — „Radę dam sobie sama śpiewająco!“ W takim razie mogę prosić o zwolnienie, tak? Powód pani mi sama daje. Naturalnie!

Ton jej był tak przekonywujący, że nie wypadało mi nic innego zrobić jak formować niemieckie zdania jakie mam wypowiedzieć gdy tu przyjdzie stary. — Będzie wilk syty i koza cała. Ucieszy się również i skąpiec Petersen, gdy nie będzie potrzebował płacić dwóm babom za tą samą pracę. Ucieszyłam się gdy miast Petersena przyszła jego „stara“. Udało mi się wypowiedzieć co chcę, ale nim jeszcze skończyłam, pożałowałam swej głupoty — na twarzy Robaczewskiej zobaczyłam strach. Zrozumiałam że widocznie słowa moje uważała za żart, albo sądziła że nie potrafię się na tyle wysłowić. Stara wysłuchała spokojnie i równie spokojnie oświadczyła, że niestety w kuchni muszą pracować dwie kobiety. Ja muszę pozostać z tą różnicą, że od dziś Robaczewska jako taka silna i pracowita będzie wykonywała moją dotychczasową pracę, a ja mam pilnować by się w kotle nie przypaliło. Wyszła nie czekając na naszą reakcję — zostałyśmy same. Było mi przykro.

Zrobiłam głupstwo i spodziewałam się słusznych poniekąd wymówek. Robaczewska jednak ograniczyła się do zrobienia uwagi, że jestem głupszą niż sądziła. Na skutek mojej głupoty niedługo czekałam — tuż przed „fajrantem“ stara przysłała po mnie swego pięcioletniego synka, który mnie zdrobniale nazywał małą polską świnką... Mała polska świnka jak pójdzie do domu ma wstąpić na górę do mutti. Było mi okropnie, tym bardziej że gdym ją żegnała zwyczajnym do widzenia, usłyszałam oświadczenie, że mogę powiedzieć iż ona mnie namawiała do kradzieży. Nie wiedziałam już w końcu czy naprawdę myślała że mogę coś powiedzieć i była przygotowana na skutki mojej podłości. Nastąpiło to czego byłyśmy pewne — badanie. Najpierw dostałam parę ciastek do zjedzenia i parę dla dziec-

ka, no i rybę wędzoną. Dary te przestraszyły mnie i uzbroiły. To jest niemożliwe, mówię Reni kucharce, która tłumaczyła. Jesteśmy ciągle razem i gdyby „ściągała", musiałabym choć raz widzieć. Cóż mi zależy na tym by kłamać. Nie lubię tej baby — jest pyskatsza ode mnie. Widziałam swoje cielęce oczy — były szczere jak złoto. Stara ogromnie ucieszyła się, że nie jesteśmy przyjaciółkami i oczywiście uwierzyła. To chłopak widocznie zgubił masło po drodze. I ja cieszę się, bo może teraz Robaczewska będzie zadowolona i zaufa mi.

— — — — — — — — —

Ufać ufała, ale zadowoloną nie była i pewno nie będzie. Zapamiętała się w pracy — nie pozwoli sobie pomagać. Trudno, prosić się nie będę. Cóż jestem winna, że jak powiada: woli diabła zobaczyć niż taką ślamazarę jak ja. Tak mi się odpłaciła za moje dobre. Widocznie to „dobre" znaczy owe wtykanie natrętne kradzionego prowiantu. Gdyby była inna, może bym jej jakoś wytłumaczyła że nie mogę przecież kraść w takim stanie ze względu na moje dziecko. Tłumaczenie to dość może śmieszne i naiwne, przeciętnej kobiecie z naszej sfery wystarczyłoby, ale nie jej. Postanowiłam już ostatecznie nie odzywać się. Nie powiem już nic. Nie powiem jej nawet jak okropnej rzeczy byłam świadkiem. Wątpię nawet czyby ją to zainteresowało, bo podejrzewam ją o oschłość serca — gdy Petersen bije robotników, twarz Robaczewskiej, patrzącej na to jest spokojna, pozbawiona najmniejszego grymasu. Może czuje to głębiej ode mnie tylko nie pokazuje. W każdym razie powieściowe zaciskanie i zagryzanie ust, zaciskanie pięści, oraz skurcze i drganie mięśni twarzy jest jej zapewne obce.

Byłam zmuszoną w tym tygodniu znowu odwiedzić ten piekielny arbeitsamt, a to z tego powodu że zgubiłam „beschefftigugskartę". W rewirze policyjnym, gdzie zameldowałam swą zgubę, dano mi świstek, z którym poszłam na arbeitsamt. Tam zapłaciłam karę 20 R.M. — wysłuchałam kazania na temat: jeszcze raz to zobaczysz i dostałam nową arbeitskartę. Aby

karta ta była ważną trzeba było iść do pokoju Nr. 51 w suterynie — do stempla. Zeszłam na dół i widzę płaczącego chłopaka może szesnastoletniego. Coś przyrzekał, prosił o coś z płaczem. Zwyczajna scena w tym groźnym budynku. Minęłam co prędzej płaczącego chłopaka i stojącego przy nim mężczyznę — nie wypada słuchać, bo za ciekawość można też oberwać. Szukam pokoju 51 a tu okazuje się, że to właśnie ten pokój, przed którym stoi płaczący chłopak. Wchodzę pokój pusty — trzeba zapytać tego co stoi z tym „płaczkiem". Nim nacisnęłam klamkę drzwi się otworzyły i ten co stał z chłopcem wskazując mi krzesło bykowcem kazał poczekać — momencik. Ledwo usiadłam gdy poderwał mnie na równe nogi krzyk straszliwy, nabrzmiały piekielnym bólem. Zaczęły się sypać razy. Świst bykowca mimo krzyku oprawcy i ofiary był tak przeraźliwie wyraźny — głośniejszym od klaskających uderzeń po gołym ciele. Oprawca wymyślał po polsku. Wiedziałam już wszystko — chłopak uciekł z transportu odchodzącego do Niemiec. Skończył wymyślać, tylko głośno liczył razy. Krzyk ofiary zaczął stopniowo słabnąć i stał się podobnym tak bardzo do szczenięcego skamlenia, aż w końcu zdrętwiała nie zauważyłam momentu w którym ucichł zupełnie. Mimo to razy sypały się jeszcze długo, długo. Nie zauważyłam kiedy wszedł i aż skoczyłam gdy mi znienacka wyciągnął z ręki kartę. Odbierając ją już opatrzoną stemplami, odważyłam się spojrzeć na kata. Twarz miał sympatyczną i uśmiechniętą. Zauważyłam jakiś brak w jego postaci. Dopiero przy wyjściu przypomniałam sobie że brak mu było czegoś małego i niepozornego a silnego — obceigu. Gdyby nie czoło i ręce, nawet na skos nosa była rozpryśnięta podłużna kropla, myślałabym, że to ktoś inny bił tamtego. Wyszłam z głową napęczniałą jakimś ponurym budzeniem. O krok od progu potknęłam się o jakieś szmaty. Były to jak się niebawem przekonałam spodnie tego co leżał na krześle z bezwładnie zwisającymi po bokach nogami i górną częścią tułowia. Dreszcz mnie przebiegł gdym spojrzała na wypięte krwią ociekające pośladki chłopca. Od portiera dowiedziałam się, że ten od bicia jest jeszcze dotąd Polakiem.

Długo myślałam nim przypomniałam sobie kiedy to byłam świadkiem analogicznych zdarzeń — to Żydówka z czarnymi długimi lokami tak samo biła swoje ogolone siostry. Nie mogę myśleć już o tych strasznych rzeczach. Zrywam się po nocach i krzyczę wystraszona, a przecież trzeba zapomnieć, trzeba choć teraz zadać sobie ten gwałt i być koniecznie wyspaną zdrową i silną. Byle przetrwać jeszcze ten miesiąc, a po tym połóg, może zwolnienie od pracy, a może koniec... Jaki wreszcie będzie ten koniec? Germańska szarańcza już Kijów zajęła. Czyżby mieli rzeczywiście zwyciężyć tego kolosa? i czy naprawdę jest to tylko kolos na glinianych nogach. Obok niewolników francuskich i angielskich gnają już i jeńców sowieckich. Tamci wypasieni czysto ubrani mają gęstą minę gdy ci — co za kontrast: chudzi zarośnięci, brudni i obdarci. Traktują ich — nielepiej od Żydów. Smutną pociechą dla Polaków, że obok nich są jeszcze ludzie gorzej traktowani: Żydzi i sowieccy żołnierze. Może nie spodziewali się tego sukcesu sami niemcy: W tym roku Hitler obiecał solennie zwyciężyć na obu frontach. Już nic pocieszającego nie słychać. Krzepiciele nasi gniją w Forcie VII a ich następcy krzepią na duchu tylko swych najbliższych, a My lud fizycznie pracujący jesteśmy pozostawieni sobie. Nikt nie zadaje sobie trudu krzepienia nas. Nie szkodzi, wytrwamy o ile śmierć nas nie podławi.

Cóż to znaczy, że nawet radio londyńskie przestało nam w uszy pluć wciąż jednaką śliną — niedługo, niedługo. My i bez radia wytrzymamy. Mało zresztą krzepiący jest fakt, że tam jest jakiś polski rząd, lub że Śmigły Rydz „wyśmigał się" i mieszka w Palestynie. Jest mu tam ciepło, nie wie co to znaczy czekać w ogonku 12 godzin, nieraz w trzaskającym mrozie, na pół centnara węgla.

— — — — — — — — —

Dziś na przekór złej i beznadziejnej doli, śmiałam się serdecznie jak za dawnych wolnych czasów. Dzień dzisiejszy jest ważnym w naszej rodzinie — przyniosłam mojej Rybeńce to

czego jeszcze w swoim życiu nigdy nie jadła — tabliczkę prawdziwej nie ersatzowej czekolady. Dzieje owego wiekopomnego zdarzenia są następujące: Wynoszę na śmietnik popiół i słyszę zza płotu śpiew. Śpiewali po angielsku. Muszę zobaczyć raz z bliska tych tłustych „brytanów". Postawiwszy wiadro, wlazłam na stertę śmieci i przyłożyłam oko do szpary w płocie. Szpara była jednak tak wąska że w ciasnym jej zasięgu patrzenia zobaczyłam tylko że dwojące i trojące się postacie murują dom. Znalazłam sęk dość jak mi się zdawało obluźniony i postanowiłam wykroić go „żydkiem" od kartofli. Skrobanie jednak mało pomagało — trzeba było wypchnąć sęk. Złożyłam kozik i przyłożywszy go do sęka z całej siły uderzyłam w drugi koniec. Uderzyłam za silnie — sęk wyprysnął na drugą stronę a w ślad za sękiem i nożyk. Spojrzałam przez spory okrągły otworek i zobaczyłam kozik leżący tuż koło płotu. Zeszłam ze śmietnika i wsunąwszy rękę starałam się sięgnąć. Okazało się jednak, że nie dam rady, bo ręka nie chciała się przecisnąć dalej niż do łokcia. Nie ma rady — trzeba iść do „okienka". Weszłam na śmietnik i wypatruję „okienka". Szukam i nie wiem co się stało — dziura była jedna jedyna i to przynajmniej wielkości niemowlęcej piąstki. Zdenerwowana zaczęłam w końcu wodzić dłońmi i penetrować każdą zmurszałą deskę z jej licznemi sękami aż naraz... ślina stanęła mi sztorcem w przełyku znalazłam „okienko" zatkane jasnem w białej szczeciniastej oprawie okiem. To ci osobliwe „verdunklung" zaczęłam się śmiać i w tej chwili oko odskoczyło a zza parkanu rozległ się zdrowy i zupełnie do polskiego podobny śmiech. Wtórując mu swym falsecikiem z kolei ja przyłożyłam do dziurki moje śliczne filigranowe żółte oczko. Za płotem było ich kilku i już nie śmiali się ale wprost ryczeli. Co robić — śmiałam się również. Mnie samą śmieszyły zawsze moje oczy takie okrąglutkie jakie kiedyś miały śledzie i tak samo prawie malutkie. Gdy już uraczyłam się niespodziewaną porcją śmiechu, zaczęłam prosić o nóż. Messer — zrozumieli i podali mi go prosząc na migi bym jeszcze nie odchodziła. Patrzyłam z przyjemnością na ich

rumiane błyszczące i roześmiane twarze, strojące najpocieszniejsze miny. Niektórzy z nich zaczęli składać usta w ryjki — prosili buzi. Jeden z nich wysunął się naprzód i wyciągnąwszy z kieszeni potężną tablicę czekolady, — wskazując na nią palcem gadał coś szybko wśród grzmiącego śmiechu. Rozumiałam wybornie — ofiarował mi czekoladę za całusa. Nie namyślając się zaczęłam wołać ja wohl, Yes, Yes! Śmiali się z uciechy jak dzicy. Odsłoniłam „okno" i natychmiast znalazł się w nim ryjek a następnie oko. Nie ma głupich mówię po swojemu, i pokazuję gestem, tym razem wielkiemu piwnemu oku, że wpierw czekoladę a po tym buzi. W oku mignął wyraz rozczarowania, ale za moment mrugnęło porozumiewawczo i odskoczyło. Usłyszałam gwiźnięcie ciche śmiechy i jakże tym razem zrozumiały dla mnie szwargot. Nie dadzą, pomyślałam, ale nim moja gęsta mina zdążyła „do czysta" rozrzednąć czyjaś biała włochata dłoń przesunęła mi dołem po śniegu czekoladę. Nim zeszłam by ją podnieść zdążyłam zauważyć że oko w „okienku" pilnie śledzi moje ruchy i zapewne zdążyło już zauważyć mój deformujący stan, który starałam się ukryć. Robiłam to jednak tak niezdarnie, że zamiast „banię" ukryć w fałdach kitla rozpiętego, odsłoniłam ją w całej okazałości pękającej spódniczki. Jednak to mu nie odebrało, jak przez moment sądziłam apetytu. Za chwilę „okienko" zostało zamknięte korkiem z mięsistych warg. Nie myśląc wiele poślniłam lekko dwa palce i przytknęłam do „ryjka". Uch jak całował — niech go jasna pogoda!... Żarł. Takiemu żarłocznemu odyńcowi dostać się w łapy to — dziękuję!... Dość już miałam tej zabawy, nie mającej już dla mnie uroku, gdy cel — czekolada tkwiła w biustonoszu. Na odchodnem by komedia ta miała pikantniejszy happy end pokazałam im dwa całowane palce. Przez chwilę czułam że nie wiedzieli o co mi chodzi, choć tłomaczyłam mozolnie po niemiecku, ale w końcu któryś cwaniak, a może namiętny zżeracz „ust" domyślił się podstępu. Zaczęli wykrzykiwać coś — spojrzałam przez dziurę, grozili mi palcem a niektórzy całując swoje dwa palce słali mi całusy.

Poszłam już a śmiech ich gonił mnie aż do kuchni, i dopiero zamilkł po zamknięciu drzwi. Jeśli w ten sposób mieszkańcy Albionu okazują swą „angielską flegmę to all right". Chcąc sobie zjednać i udobruchać nadąsaną towarzyszkę, opowiedziałam jej przygodę. Wzruszyła obelżywie ramionami i w odpowiedzi stanęła do mnie plecami. Było mi smutno, bo to jej milczenie ciążyło mi ogromnie, ale to nie przeszkodziło mi w zrobieniu pewnej uwagi. Dopiero teraz zauważyłam, że plecy jej były dziwnie okrągłe. Nadmierna tusza i silna wklęsłość jej talii dawały złudzenie, że ma dwa siedzenia, górne i dolne. Części czekolady, którą jej ofiarowałam też nie przyjęła. Trudno. Radością moją podzieliłam się przy obiedzie z moimi żarłokami. Śmiali się do rozpuku i na wszystkie strony oglądali angielską czekoladę. Było mi jednak nieprzyjemnie gdy któryś z chłopców powiedział mi, że pani Robaczewska za moimi plecami stuka się palcem w czoło. Nie chciałabym by któryś z nich miał się dowiedzieć że nawet my dwie baby nie możemy się zgodzić, ale gdy ona jawnie zechce manifestować swoją ku mnie wrogość, nic na to nie poradzę.

Odkąd Otello wygrzmocił staremu ryj dopiero jeden dostał po buzi. Tym razem ofiarą był mały piętnastoletni volksdeutsch Franek Guzik. Jest to może pierwszy któremu rzetelnie należało się, bo nie dosyć że grywa z innymi chłopakami po kątach w „oko" to jeszcze kradnie swym polskim kolegom co popadnie: czapki, karty żywnościowe i śniadania. Dziś gdy byłam w biurze przyszła jego matka prosić pokornie pana szefa by raczył jej Franka oddać do zakładu wychowawczego, bo ona nie może sobie z nim poradzić. Ależ się wybrała. Stary buldog na pierwsze jej zdania wystękane w niemczyźnie mało lepszej niż moja, skoczył do niej z furią i zelżywszy od bezczelnych, psów polskich, przerobionych volksdeutschów dosłownie wyrzucił za drzwi. Następne pół godziny darł się w warsztacie, że woli sto razy Polaków niż takich niemców. Jest tam wśród robotników kilku volksdeutschy — mają za swoje już teraz. Brawo! Zdaje mi się, że to nastawienie się sta-

rego, pohamowało kilku niedoszłych niemców od intensywniejszego starania się o karty niemieckie.

Między innymi wstrzymało to zapewne i byłego właściciela obecnego Maschinenwerku pana Tylchama. Końcówka tego nazwiska mówi cudownie sama za swego właściciela. Biurowa panna Wańdzia która pracowała u Tylchama jeszcze przed wojną mówi że walił on nowych pracowników tak samo, jak dziś to robi Petersen. Ja osobiście boję się go więcej niż starego, który ostatecznie w stosunku do mnie ogranicza się do spoglądania na moją lichą osobę, jak przysłowiowy byk zezujący na małą „pyrkę".

— — — — — — — — —

Umarła moja świekra. Stary zwolnił mnie z pracy ale w prezydium policji nie chcieli mi wydać przepustki. Urzędnik objaśnił mnie że teściowa to nie żadna krewna. Keine verwandte, może i racja, ale ja bardzo proszę bo kochałam moją teściową. Ktoś w ogonku zrobił niezupełnie pozbawioną słuszności uwagę, że na pewno z tą świekrą nigdy jeszcze nie mieszkałam, a ów nieczuły urzędnik powiedział tylko że to bardzo ładnie i dał Heńkowi antrag z którym miał iść na wskazany pokój po passierschein. Ucieszyłam się że coś może z tego będzie ale niestety antrag miał adnotację dopisaną z boku fur 1 personne. Spojrzałam i ucieszyłam się — ołówek kopiowy. Nim Heniek zorientował się o co mi chodzi pobiegłam po gumkę i w czeluściach korytarza jakiejś kamienicy przy Placu Wolności zostało dokonane fałszerstwo. W miejscu jedynki stanęło zamaszyste trochę za bardzo zamaszyste 2.

Moje Heńczysko zlękło się tego okropnego 2 i nie chciało mi iść z tym falsyfikatem. Na nic się nie zdało moje zachwalanie nieszczęsnej i ruchlatej dwójki. Musiałam użyć znanego wielkim rzeszom mężów argumentu — chusteczki do nosa. Dosłownie do nosa, bo jedynie katarem mogłam imitować płacz. Między innymi Bozia pozbawiła mnie umiejętności pusz-

czania na zawołanie tej cennej posoki rozmiękczającej ludzkie i męskie serca. Wreszcie poszedł składając na moje słabe barki winę jego ewentualnej śmierci i to za takie guano. Stanęłam pod drzwiami roztrzęsiona i zdenerwowana. A nuż zechce zobaczyć tą drugą personę. Wiedzą chyba i tu że teściowa nie jest krewną. Wyszedł wreszcie i już po minie, tej idiotycznie obojętnej minie jaką ma się wracając z ustępu, a jaką on zwykł przybierać w ciekawych i ważnych momentach. W porządku! Koło nosa! Nie kichaj tata! — pokaż! Była przepustka na dwie osoby. Nie mieliśmy fotografii i trzeba było przejechać się bimbą na Marsz. Focha do partacza który fotografował na poczekaniu. Minę na zdjęciu miał Heniek tak przeraźliwie pogrzebową że gdyby nie otwarte oczy i pionowa pozycja, można by wziąć go za nieboszczyka. Urzędniczka która przytwierdzała fotografię do przepustki zauważyła że wygląda jak prawdziwy Polnische bandit. Uśmiechnęła się do Heńka który na moje uszczypnięcie też obnażył swoje zęby. Co robić — nie wypadało inaczej gdy była tak wyjątkowo uprzejmą i tak miłą że zapytała ile lat miała nieboszczyca matka. Gdy Heniek objaśnił że „zekcyg" to zauważyła że był jej już czas, wielki czas. Co? Nie nie — mówi że 60 lat to wielki czas na umarcie. Nie mogłaś tej staruchy zapytać dlaczego w takim razie ona jeszcze tu się szwenda. Idź jej się zapytaj ty.

No więc pojechaliśmy. Tam to ja nieszczęsna popełniłam trzy okropne nietakty: Pierwszy nie płakałam ani przed ani na pogrzebie — zemdlałam w natłoczonym pokoju gdzie było tyle ludzi i ten pięć dni leżący i czekający na swe dzieci z Niemiec trup Matki. Gdybym chociaż nie tłumaczyła się po tym że to dlatego iż mamę tak czuć okropnie. One — siostry Heńka nie czuły zgoła nic. Mama wyjątkowo ładnie się trzyma, a to że w trumnie mokro to nic — to puchlizna otęchła dlatego. To raczej rozpylony perfum akacjowy, woń kwiatów i wieńców tujowych zamroczył mnie. Racja, ależ naturalnie — zupełnie zapomniałam, że to właśnie akacje i tuje trupem pachną. Bredziłabym może dłużej gdyby mnie Heniek delikatnie nie kuksnął kolanem w siedzenie. No a to trzecie — to nie chciałam na

pożegnanie uścisnąć ręki nieboszczycy. Bałam się panicznie tych wielkich sinych i nieżywych rąk mojej świekry. Powiedziałam że nie wolno mi dotykać trupa, bo dziecko które noszę umrze. Bratowa mi przytaknęła i splunąwszy trzy razy dodała że samo patrzenie zabija i tak jakoś głupi i przeraźliwie wstrętny zabobon wytłumaczył mnie. Nie tak bardzo jednak jakbym chciała, bo w oczach każdej ze szwagierek dostrzegłam jakiś nieokreślony żal do tej bratowej najmłodszej, która okazała się tak zimną i obcą. A jednak było mi smutno jak nigdy dotąd w życiu — lecz cóż — nie miałam tego normalnego sprawdzianu żalu — łez. Pogrzeb świekra moja miała jak na te czasy piękny. To nie to co u nas w Poznaniu, gdzie kondukty pogrzebowe ciągnące ulicami są już dawno tylko wspomnieniem przeszłości i przedwojennej pompy.

Tam to dopiero u trumny matki poznałam Józika, brata Heńka. Obaj z Marianem który jest szewcem w Kolonii opowiadali mi swoje przeżycia na obczyźnie. Dziwno mi było że choć jak Heniek nie kończyli gimnazjum mechanicznego byli niemniej inteligentni. Czytali wiele, a teraz otwarła się dla nich najmędrsza z ksiąg — bolesna księga poniżającego życia, pełnego smutnych doświadczeń. Pracują nad siły w męce oczekiwania na koniec i tęsknoty bezbrzeżnej za rodziną. Mimo wszystko zdaje mi się, że tam nie tyle plują im w twarz jak tu nam, dzieciom i właścicielom tej wielkopolskiej ziemi. Do domu przyjechałam chora. Boli mnie okropnie w krzyżach. Byle tylko nie dostać tej eklamsji i żeby rodzić w domu i nie widzieć szpitala.

— — — — — — — — — —

Taje śnieg i brudna żybura wlewa się do naszej sionki. By strumień jej nie dostał się do kuchni trzeba było jej bieg zatamować górą szmatów i worków. Siedzę przy otwartym oknie, a ciepłe marcowe słońce liże mnie miłośnie, tak, jak kiedyś w dzieciństwie zwykła mnie lizać swym ostrym ciepłym językiem moja ukochana jałówka „własna".

Znowu kwitną śniegulki i znowu pęczuszek ich w kieliszku stoi na szyfonierce koło posążku Chrystusa Króla. Patrzę z rozrzewnieniem na miniaturkę figury tego drogiego pomnika wybudowanego ofiarą całej katolickiej Polski. Ile uroku miały te defilady i msze polowe odprawiane przed olbrzymim spiżowym Chrystusem, błogosławiącym miastu i wolnej Polsce. A dziś? — dziś Pomnik wieczności stoi na szyfonierkach i komodach, a tam w tym miejscu koło zamku jest dziś pustka — latem porośnięty trawą zielony plac. Nie wiem ile w tym prawdy, ale mówią że figura była przeróbką dawniejszego Bismarcka. Czy przyjdzie jeszcze czas, że na pustej murawie zakróluje znowu pomnik Zwycięskiego Chrystusa? i czy wrócą z obozów kapłani którzy świętym nakazem danym z Watykanu cisną klątwy na bluźnierców łamiących krzyże i bezczeszczących nasze świątynie. Kościół Franciszkański jest dziś składnicą najróżniejszych polskich mebli, które niemcy mogą nabywać za bezcen. Stamtąd pochodzi łóżeczko mojej Iwonki, które kupiła mi obecnie już Reichsdeutsch, pani Janiszewska.

Myśli moje żeglują po morzu dawnych wspomnień i ani nie zauważyłam kiedy barka przebytych cierpień zaczęła wyrywać się by popłynąć znowu na oceany zapomnienia. Poczekaj, przytrzymam cię jeszcze na moment a po tym możesz popłynąć. Drugie moje dziecko, to drugi rozdział książki mojego życia, które właściwie rozpoczęło się teraz w wojnę. Tamtego przedwojennego preludium nie liczę. Zdaje mi się że kobieta zaczyna żyć dopiero od chwili dania życia swemu dziecku, — to znaczy zaczyna żyć intensywniej. W stadium obecnej wegetacji wojennej słowa te brzmią może patetycznie, ale czy czasami nie warto by nazwać wegetacją dobrobytu i w ogóle łatwizny życiowej. Wydaje mi się, że było to o wiele dawniej a to zaledwie dwa miesiące dzielą mnie od tych pod niektórymi względami analogicznych zdarzeń. Te same wrażenia szpitalne, i znowu tak jak wówczas nie umiem opowiedzieć nic o tej tak bardzo interesującej młode panienki funkcji rodzenia. Różnica tym razem polega na tym, że miast

jednego dziecka, były bliźnięta, z których chłopiec już nie żył a dziewczynka Stanisława i przymusowo Kazimiera żyła tylko 24 godziny. Były tak jak Iwonka ośmiomiesięczne. Wtedy była eklamsja, a teraz dla odmiany carskie cięcie, a potem skrzep, zapalenie płuc i rekonwalescencja którą jeszcze przechodzę. I na co to wszystko? Gdyby choć jedno dziecko żyło — mniej: gdybym je choć widziała, ale nawet to nie. Ogień strawił malutkie dwukilowe robaczki wtedy, gdy matka ich walczyła ze śmiercią. A tak cieszyłam się na czarnulkę, bo Rybka była taka biała blondynka jak jej babcia. Nici z czarnych loczków, a raczej popiół, a z marzeń moich jak zwykle nici. Iwonka zatem jest nadal jedynaczką i daj jej Boże by nią była jak najdłużej, bo na razie już mam dość, serdecznie dość.

Jedna smutna pociecha — obecnie jestem dzięki mojej niezdarności fizjologicznej trochę ważna w gronie rodziny i przyjaciół. Znoszą placek, bułki, mleko i znowu placek, a ja jem i czuję jak jest mi dobrze. Dojrzałam — nikt mnie już nie lekceważy nawet Wańdzia ma minę wzruszoną. Jeden tylko dr. Potyk, brzydal dotknął mnie okropnie — zbadawszy mnie, powiedział ni mniej ni więcej, tylko biedny ten chłop... Gdy dokończyłam, że ma taką nieudolną babę uśmiechnął się i skinął głową bez słowa protestu. Nie mogę jednak powiedzieć by mi nie współczuł. Dowodem tego jest choćby ten fakcik że nie szczędził swego drogocennego czasu na krótkie fachowe wskazówki, tym razem tyczące męża jak ma postępować w przyszłości, by znowu nie wtrącić zbyt prędko swej małżonki w podobną kabałę. Ach jak to Heńczysko słuchało drogocennych wywodów eskulapa, jak patrzył nabożnie na gestykulujące tłuste jego palce. A ja chichotałem pod pierzyną ku ich zgryzocie. Właśnie zdarłam sobie suche już strupy na udach i przyglądam się okrągłym dołkom. Tędy wlewali mi sztuczną krew, podobną z koloru do moczu czy rosołu z wielkich półlitrowych ampuł. Oj teraz było pewno jeszcze gorzej jak pierwszym razem. Dzień — rok dzielił się na równe etapy — zastrzyki, sztuczne odżywianie, lewatywa i znowu zastrzyki. Uczyniłam

ślub, że nigdy już przenigdy nie będę śmiała się z chorych na obstrukcję — więcej słowa tego nie będę nadużywać, choćbym w tłoku tramwajowym stracić miała wszystkie guziki i piórka łącznie z paltem i kapeluszem. Ta obrzydliwa sezonowa dolegliwość była powodem powtórnego klamrowania mojego brzucha. Postraszył mnie doktór, że jak nie postaram się dziś o wypróżnienie moich kiszek, to wsadzą mi w brzuch szklaną rurkę i tędy będzie się likwidować stare jedzenie. Usłuchałam i ostatnim wysiłkiem zrobiłam to co nakazał. W trakcie tej czynności, przechodzącej moje siły, rana na brzuchu pękła i poczułam na nogach coś gorącego. Nim zemdlałam zdążyłam jeszcze domyśleć się, że to były moje jelita. Obudziłam się w nocy. Coś ciążyło mi na nogach. Pięty mnie bolały przeraźliwie, ale ostatnim wysiłkiem poruszyłam nogą chcąc ją wyswobodzić z ciężaru. Ku mej radości ciężar zeskoczył i okazała się nim głowa dr. Junga. Pierwsze jego słowa były Got zei dank. Do dziś nie umiem sobie wytłumaczyć tej pieczołowitości niemieckiego lekarza. Dlaczego tak zależało mu na tym bym żyła. Snuliśmy różne domysły na temat tego jedynego z lekarzy który nie krępował się rozmawiać z nami po polsku. I odtąd żyłam.

Całego przebiegu ciężkiego zapalenia płuc też nie pamiętam. Znam ja jednak tę historię z detalami z opowiadań moich współlokatorek. Jakie one wszystkie były kochane. Niech im się dobrze dzieje za tyle dobroci i wyrozumiałości. Jedna z nich pani Kędzierska była niestrudzoną w zwilżaniu mi watą zmoczoną spalonych gorączką warg. A ja? ja byłam naprawdę drań — zjadałam te strzępy waty nasycone wodą i wypiłam całą zawartość wazonu. Od tej właśnie pani Kędzierskiej dowiedziałam się prawdy o Mielochu. Legendarny bohaterski lotnik, straszliwy pogromca niemców, wraz ze swą cenną głową za którą niemcy pono taką ciężką forsę obiecali i bohaterską siostrą Wańdzią siedzi spokojnie w Warszawie. Podczas pierwszego nalotu była owa p. Wanda istotnie czynną rozdając swym robotnikom maski gazowe. Poświęcenie to jednak które miało miejsce w „Pyrach“ jest tak nikłe i różne

od wyczynów bohaterskiego lotnika. Szkoda. Nie daj Boże by wszystkie bohaterskie i cudowne wyczyny „naszych" miały okazać się tylko fantazją.

Jedno tylko nie jest fantazją — to męczeństwo naszych braci i sióstr tam w Forcie 7. Najlepsi Polacy i Polki z moich bliższych i dalszych znajomych nie cieszą się już dawno wolnością. Nie ma już tej najmilszej w świecie dziewczyny, sparaliżowanej Irki Bobowskiej. Za ukochaną Ojczyznę oddała swoje młode życie. Poznałyśmy się w gimnazjum Dąbrówki na lekcjach francuskiego, zorganizowanych przez konsulat francuski. Polubiłam od razu tą dziewczynę o jasnej szczerej i tak pełnej poezji duszy. Czy to to, że byłyśmy rówieśniczkami, czy kontrast naszych usposobień, sprawił że polubiłyśmy się. Gdyby nie to że mieszkałam zbyt daleko od śródmieścia zostałybyśmy niezawodnie przyjaciółkami. Osiągnęła upragnionego celu — poświęcenia Ojczyźnie swego życia. Nie wiem nawet gdzie umarła, w każdym razie nie tu, bo z Fortu 7 została wywiezioną. Na „forach" od miesiąca już znajduje się mój Ojciec. Po aresztowaniu i przewiezieniu do Poznania, przez tydzień był przesłuchiwany w Domu Żołnierza i następny — w Forcie 7. Potem puścili go. Był u nas — ogolony i śmierdzący lizolem i okropnie pobity. Nie mógł wcale siedzieć, a spał leżąc plecami do góry. Wyobrażam sobie jego pośladki. Tak jak wielu innych nie wie za co go wzięli. Kazali mu się przyznawać do „zbrodni" których nawet nie uczynił. Czyż jest możliwym by ktoś nie wiedział za co jest pozbawionym wolności? Po czterech dniach zabrali go ponownie, lecz już bez nadziei rychłego zwolnienia. Matka jego pisząc robiła domysły, że zabrali go za kontaktowanie się z jeńcami sowieckimi. Może i prawda, ale dlaczego nic o tym nie mówił. Zabrali w tym tygodniu również i matkę mojej sąsiadki i rówieśnicy Kazi Witkowskiej — za to tylko że brat jej został aresztowany. Do kompletu całą rodzinę za jednego. Ojciec już w zeszłym roku skończył we „forach" na zapalenie płuc. Koledzy moi Staszek Kwaśniewski i Maryś Stankowski też umarli na zapalenie płuc. I Kazio Juja również. Kazio Kwaśniew-

ski miał suchoty to zrozumiałe, ale ci zdrowi i silni, — to wprost nie do wiary. Musi tam być przeraźliwie zimno i mokro w tych lochach podziemnych, porosłych z zewnątrz lasem liściastym który obecnie karczują. Ale Ostrowski, ten co hodował jedwabniki też skończył na suchoty mimo że był we Wronkach. Teraz czekamy z trwogą, czy lada chwila nie wtargną po którąś z nas. Co by się stało z Iwonką moją jedynaczką, Rybką najmilszą. Tak bardzo chce mi się jeszcze żyć, tym bardziej gdy minęło niebezpieczeństwo śmierci. Tak niewiele brakowało bym poszła tam, gdzie są już moi najweselsi towarzysze zabaw dziecinnych.

W Kaliszu, wnosząc z ostrożnych listów, jest niewiele lepiej niż tu. Najinteligentniejszych z naszej inteligencji, pisze Janka, już nie ma. Byłyśmy na dworcu zobaczyć najosobliwszą defiladę, — przerażający pochód księży okutych w kajdany. Na ulicach pustki — ludzie lękają się włazić w oczy mundurowanym chartom. Z żywnością jest tam jednak znacznie łatwiej. Co byśmy zrobili gdyby nie te periodycznie przesyłane paczki mąki, kaszy, grochu i różnych kostek zup i budyniów.

Myśli moje na sposób bumeranga wyskakują w nieznaną i tajemniczą przyszłość i wracają jak pies do nogi — do teraźniejszości. Jak tam sobie sama radzi pani Robaczewska. Teraz może „wędzić" ile wlezie. Ciężko mi było z nią, nie dlatego by była tak bardzo złą, ale po prostu nie dobrałyśmy się. Ostatecznie jej złodziejska mania mogłaby się w oczach moich pokazać zasługą, ale w tym wypadku pominąwszy mój strach było to pozbawianie tych nikłych ilości tłuszczu i mąki polskich robotników. To był prowiant kupiony na ich zulage i zusatz karty. Jedno nas tylko jak i wszystkich łączyło, wspólna nienawiść do wroga. Podkładem do jej wściekłej nienawiści ku niemcom była śmierć z rąk oprawców jej najmłodszego brata. Zakatowali go na śmierć za „gazetkę". Raz nawet ta pyskata baba urosła w moich oczach niezmiernie. Było to w tych rzadkich chwilach kiedy stara raczyła przyjść do kuchni na pogawędkę. W jednej z takich rozmów stara zauwa-

żyła z odcieniem jakby współczucia że nam Polakom jest rzeczywiście źle na świecie i na pewno nieraz wstydzimy się i żałujemy żeśmy się urodzili Polakami. Wtedy to Robaczewska zwykle we wszystkim przytakująca starej powiedziała a raczej jak mi się wtedy zdawało krzyknęła nein! Nie wstydzimy się wcale. My jesteśmy z tego dumni. Silnego akcentu na ostatnim słowie i tego dziwacznego pełnego teatralności gestu rąk nie zapomnę. Reakcja starej mimo moich obaw nie była wcale gwałtowna. Zdziwiła się tylko ironicznie: Na, na aż dumni — coś podobnego. Odtąd „stary" z szyderstwem nazywał nas „Stolz Polin". Taką jest Robaczewska. Cóż — charaktery ludzkie są tak różne, jak różne są ich twarze i odciski kciuków. Zdarzają się podobieństwa, ale nigdy nie można zbyt pochopnie powiedzieć o swym bliźnim: Oto mój alter ego, bo mimo pozornie analogicznych rysów znajdzie się jakiś na pozór nieznaczny u niego punkcik którego jesteśmy na szczęście lub nieszczęście pozbawieni. Punkcik nagle i niespodziewanie w jednej chwili może stać się plamą, lub carte blanche na całe życie. Jedno maleńkie zakrzywienie w ślimacznicy kciuka a już daktyloskop wie że to nie ten jest poszukiwanym. Stop — widać kto tonie w lekturze kryminalnej. Ale jeszcze nie tak źle, bo odstające uszy jeszcze sterczą i można za nie wyciągnąć denatkę, topiącą się w letnim rosołku fantastycznych bredni.

— — — — — — — — —

Schodzą się do mnie kumoszki i byłe współlokatorki klinicznej sali. Jem łakomie placek i dziwię się skąd ludziska mają — taki bieluśki i ach jaki smaczny. Chcę zostawić dziecku, ale one nie pozwalają bo dla dziecka mają osobny pakiecik. Więc jem i aż mi wstyd pisać jak bardzo się cieszę, że nie potrzebuję się z nikim dzielić. Mówię im że „utyłam" — ważę niemal że 45 kg., a one się śmieją z tej „gęsiej tucznicy".

Opowiadają mi nie wiem już po raz który jak to w malignie dziwiłam się bez końca mojemu nosowi który pęczniał

i rósł w nieskończoność a gdy sięgnął sufitu zrywałam się do ucieczki. Potem wyczerpana padałam na łóżko i krztusiłam się flegmą i śmiechem. One wtedy płakały, bo sądziły że to taka dziwaczna śmierć przyszła po mnie. Dlaczego płakały? — żem młoda! Były młodsze co umierały — o ta czarna Kazia z Niemiec, co to jej posługaczka dała po zbudzeniu się z narkozy pić. Piła łapczywie i w tej jednej szklance wody utopiła swoje bujne osiemnastoletnie życie. Spominaliśmy też rudą Józię, co karmiąc usnęła i swoją olbrzymią piersią zadusiła dziecko. Po tym opowiadałyśmy o tym noworodku, co urodził się bez czaszki i miał zupełnie żabią twarz. Wspomniałyśmy też ową pacjentkę, która czując że ją biorą torsje krzyczała: Siostrzyczko prędko nocniczka! bo będę wracać. Ale też „wracała" — omal że flaków nie zwróciła. Gdy jej potem siostra objaśniała, że mówi się zwracać, nazwała ją ciemną, co nie zna arytmetyki i jest we wogóle pozbawiona alimentarnej hajdukacji. „Zwracać się" można do kogoś z prośbą, zapytaniem, ale to jadło co się cofa, to najformalniej „wraca". Ja pierwsza i co prawda jedyna przyznałam jej rację, za co dostałam piękną mandarynkę, która już dawno sprawiała swym widokiem że ślina moja stawała się rozlewną niczym benzyna. Pani Moczydupska zaczęła opowiadać jak to przed wojną gdy leżała w klinice z Tolusiem urodziły się pewnej kapitanowej dwa hau, hau. Słuchałam z zaciekawieniem tej historii, aż tu moj oratorka urywa z najciekawszym miejscu. Oglądam się i naturalnie — to mama jeszcze trzyma palec na ustach. Jednym pobożnym okiem szturcha mojego gościa, a drugim wskazuje na Wańdzię. Och Wańdzia, wzruszyłam ramionami. Wie więcej o takich „cudach" niż ja. Nie darmo mają w warsztacie wdowę. No ale ta pani jak jej tam Ewa z brzydkim nazwiskiem, nie chciała już kończyć. Szkoda takam ciekawa jaką minę miał ten kapitan, mąż.

Co ploteczek nasłuchałam się. Między innymi była z Górczyna pani Klucha, dawna handlarka masłem i nasza była sąsiadka. Ma znajomą która była czymś w rodzaju burgrabiny na dworze naszego przedostatniego wojewody Ratajskiego. Co

to byli za niezbożniki, moja pani, ci Ratajscy. W katedrze na mszy św. w krześle na honorowym miejscu, a w domu obraza Boska. Zaproszą gości do pokoju gdzie jedynym umeblowaniem są koce, dywany i poduszki i bawią się. Tańczą i skaczą w jednej skórze. Wstydzi się powiedzieć nago. Za ich rozpustę Pan Bóg nas wojną pokarał i chłoszcze nas biczem, który zwie się Hitler. To ostatnie to nawet mamę oburzyło. — Co bicz Boży, a może sam archanioł gromiący szatanów, którymi są Polacy. Brednie, banialuki, symboliczne znaki, komety, zorze polarne, łańcuchy szczęścia i baśniowe proroctwa, oto strawa jaką karmią się Polacy z braku kalorii moralnej i zjadalnej natury.

Któregoś dnia otrzymaliśmy list od Ojca. Przyniósł nam jeden zwolniony. Zaklina nas na Boga, oraz miłość i przywiązanie które mimo wszystko miał do swych córek i błaga bodaj o trochę kartofli w mundurkach, a jeśli nie ma to choć tych mundurków. Mama i Wańdzia płaczą, Heniek wyciera zmarkotniały nos, a ja klnę — bo czy to nie zgroza by mu tam nic nie dali. Przecież regularnie co wtorek mama nosi paczkę. Oprócz kilku funtów sałatki kartoflanej jest chleb z żyta mielonego w młynku od kawy, trochę cebuli, marchew, kalarepa i liście tytoniowe. Jeśli takie nędzne paczki „nie dochodzą", to co mówić o tych w których jest słonina, placek biały i nabiał — paczkach od ludzi umiejących się kręcić. Co my wam możemy pomóc, biedacy. Czymże jest teraz nasze udręczenie pracą nadmierną, niedojadanie, wobec męki tych ofiar, bitych do krwi, gonionych i wiecznie głodnych.

— — — — — — — — — — — —

Wczoraj dostałam wezwanie na komisję lekarską. Musiałam iść bo temperatury nie mam. Zwolnili na dwa tygodnie. Zimno mi — czy za dwa tygodnie będę już miała siły do pracy. Jeszcze się trzęsę od wysiłku chodzenia. Gdyby choć dali lekką i siedzącą pracę. Ach zaczynam żałować żem od początku nie uczyła się po niemiecku. Siedziałabym w biurze, a zimą w przegrzanym pokoju otwierałabym okno i wpu-

szczała „frische luft". Węgla w tekę mogłabym też kłaść ile wlezie, bo nikt by pani biurowej nie posądzał o kradzież. Najlepszy dowód, że rewizje urządza się tylko wśród motłochu i kasjerek. Niewczesne twoje żale dziewuszko, bo dziś już służących i zawodowych nianiek do biur nie przyjmują. Wiele z nich też wróciło już do swych rodzimych profesji. Heniek schudł jeszcze przeraźliwiej odkąd musi jeździć rowerem na pierwszy werk na Główną dokąd został przeniesiony ich oddział. Robiliśmy podanie by mógł z powrotem pracować na Wildzie, gdzie ma o dobre 7 km. bliżej, ale bezskutecznie. Właśnie to jest ich cel, by Polak jak najwięcej umęczył się. Teraz latem, to jakoś przejedzie na swojej rozklekotanej „kozie", ale zimą w śniegu, lub błocie, czy po gołoledzi jechać rowerem 15 km. do pracy na 6-tą rano, to dziękuję.

— — — — — — — — — — — —

Chodzę do pracy. Tym razem miałam szczęście. Coś za wiele było tym razem starej urzędniczce tych zwolnień wszystkich „vegen krankencheiten" i na moją prośbę bez oporu posłała mnie do lekarza z arbeitsamtu. Były na diagnozie takie prima choroby, jak powiększenie serca i tarczycy, wątroba i nerwica żołądka, nie licząc osłabienia po operacji, że przez chwilę łudziłam się że zwolni mnie na amen. Było to tylko łudzenie się, rodzące rozczarowanie — napisał: zdolna do lekkiej pracy w ciągu 2—3 godzin. Dobre i to. Tym razem byłam załatwiona przez Polkę i widziałam że chciała zadośćuczynić takiemu jak ja zdechlakowi. Ale cóż — nie było absolutnie zapotrzebowań na tak mało godzin. Szkoda że pani wczoraj nie była, bo było takich „posad" aż kilka.

Ale pewno więcej kandydatek. O tak, zaśmiała się, kto by to nie wolał pracować trzy zamiast 10 godzin, ale niech pani chodzi codziennie może się znajdzie — będę pamiętała o pani. No więc chodziłam codziennie przez dwa tygodnie aż nie znaleźli: do sprzątania biur, ale nie na trzy lecz na cztery godziny, od 5-ej rano do 9-tej, a w soboty po południu mycie podłóg. Przyjęłam niemal z entuzjazmem — cały dzień wolny.

Chociaż raz nikt mi nad głową nie brzęczy a urzędniczki i urzędnicy w większości Polacy są naprawdę mili. Posługaczki mimo że pyskate są też morowe. Mało się co prawda z nimi stykam, bo każda sprząta swój rewir składający się z dziewięciu biur. Ja mam ponadto do sprzątania jeszcze dwa duże pokoje z których urządzono coś w rodzaju laboratorium przyrodniczego z mnóstwem wag, mikroskopów i kiełkowników. Jest to jak zapomniałam zaznaczyć Landesbaurnschafft dawniejsza Izba Rolnicza. Najgorsze jest to wstawanie o świcie. Wychodzę z domu o 3.30 bo z Ławicy na ul. Grottgera, jest dobre 7 km, a tramwaje jeszcze śpią. Teraz to jeszcze, ale straszą mnie moje współpracowniczki, że na pewno nie podołam gdy przyjdzie pora opalania biur. Podołam mówię — muszę podołać byle nie stracić „świetnej" posady. Pracując śpiewam sobie w kółko na nutę krakowiaka: Jak to miło, gdy nikt nie warczy nad uchem. Ten profesor co jest szefem mojego oddziału, to jakieś anormalne niemczysko nigdy nie krzyczy, a gdy czasami przeoczę i nie skurzę jakiegoś rupiecia to prosi o wytarcie i co jest wprost przerażające, to to że dziękuje. Mikroskopy i wagi wyciera sam, bo nie wolno mi się zbliżać. Ja vohl, ale mikroskop to grat szalenie interesujący nie tylko mnie, ale wszystkie posługaczki. Oglądamy sobie różne drobiazgi, jak włosy, wodę, plwociny. Brud zza paznokci i łupież nie są zbyt interesującymi, ale za to wesz i jej jajka, to ci zabawa. Przyniosła ją kiedyś Gzieczkowa w pudełku aksamitnym od ślubnych obrączek i wsadziła pod mikroskop. Wyglądała jak ropucha i nawet nie uciekała. Udawała zdechłą. Gdy wróciłam do domu to co prędzej kazałam mamie spenetrować moją głowę, czy nie ma tam czasem ropuch.

Brykiety wynosimy wszystkie aż miło. Nikt nas nie rewiduje. Głównym kierownikiem personalnym jest Weiss, z którym stróżka kłóci się stale o podwyżkę. Wyszczekała tyle że gdy zacznie się palenie w piecach mamy zamiast 48 dostać 50 fenigów na godzinę. Moje zarobione marki wysłałam już do Kalisza niby a conto „zjedzonych paczek", lecz wiem że dostaniemy znowu paczkę dziesięć razy droższą. Ach jak to mi-

ło znaleźć ni stąd ni zowąd takich fajnych krewnych, a wszystko tylko dzięki tej śmiesznej formułce jaką jest ślub. Najgorętsza miłość nie poparta ślubem nie byłaby tam w Kaliszu żadną rekomendacją. Są tyle dobrzy ile pobożni — na pewno naszą miłość nie popartą ślubami przeklęliby i z czystem sumieniem pozwoliliby błądzącym bezbożnikom umrzeć z głodu. W domu nie odpoczywam, lecz robię swetry za które otrzymuję zapłatę w naturze jak: chleb, płatki żytnie a nawet czasami kartki na mięso. Są ludzie, którzy dotąd nie jedli jeszcze zupy z płatków żytnich, choć to przecież niezłe, na przykład ugotowane z tym chudym mlekiem, którego dostajemy teraz dość regularnie 1/4 litra dziennie. Najchętniej jednak ku zgryzocie mamy wykonuję pracę za papierosy.

— — — — — — — — — — — —

W obecnej hitlerowskiej erze, stare Boże przykazanie „nie zabijaj" staje się niemodne i nieaktualne nawet w życiu cywilnym. Hitler wykreślając ze słowników niemieckich słowo niemożliwe tym samym przekreślił wszystkie „nie" przy przykazaniach Boskich, a do mało groźnego słowa zabijaj dopisał trzy maleńkie słówka, dręcz, uciskaj, torturuj.

Idąc rano do pracy już z dala zauważyłam w jasnym świetle księżyca, że na skrzyżowaniu ul. Dąbrowskiego i szosy Okrężnej stoi auto ciężarowe. Słychać było gwar kręcących się wokół postaci. Zdawało mi się jakby wiatr przywiał do mnie czyjś płacz. Doszedłszy bliżej przekonałem się że mnie słuch nie mylił, bo między szwargotem niemieckim rozróżniłam urywane polskie słowa. W mig zrozumiałam — to auto z więźniami. Poznaję kontury znajomego zielonego auta, z małymi okratowanemi okienkami. Dokąd udaje się, na rozprawę, czy na stracenie? Światła przygaszone wskazywały że jadą z Fortu ale czy zwrócą się ku miastu czy ku Ławicy. Nie wiedziałam co robić, poczekać aż odjadą czy iść dalej ku nim. Ostatecznie co mi mogą zrobić — co najwyżej to sprawdzą nachtausweiss. Kroki moje jednak mimowoli skierowałam na rozmiękłą po wczorajszym deszczu ścieżkę, jakby w przeczu-

ciu że wypadnie schować się za jedno z grubych drzew. Przejmujący zimny prawie już jesienny wiatr rozwiewał mi chustkę i włosy, a strącone z drzew liście tańczyły jakiś opętany derwiszowy taniec. Ciężko mi było mocować się z tym wiatrem wciskającym się zimnymi paluchami pod spódnicę. Na lotnisku wybiła czwarta i to mnie poderwało. Ruszyłam szybciej i już miałam się wynurzyć z błotnistej ścieżki na szosę, gdy usłyszałam rozpaczliwe napęczniałe płaczem słowa — litości!... Uskoczyłam w bok i już po chodniku z cienia doszłam do najbliższego drzewa. Przytuliłam się szczelnie do grubego pnia, który mnie krył znakomicie. Nie trzeba było wytężać słuchu, bo z wiatrem przybiegły do mnie słowa błagalne rozpaczliwe: Puście, dajcie mi uciec — wynagrodzę. Mam złoto, brylanty — oddam wszystko. Słuchałam przelękniona i zdawało mi się że rozdwoiłam się, — jedna z moich istot słuchała, czuła, drżała i była trzeźwą a ta druga bezmyślnie deklamowała Powrót Taty. Ach bierzcie wozy i bierzcie dostatek, tylko puszczajcie nas zdrowo. Głosy niemieckie zamilkły na moment i tylko zduszony śmiech roztargnął strunę ciszy. Potem nastąpiło coś jak w epilogu Powrotu Taty — słowa które złączyły z powrotem moją jaźń: No to wyrywaj ale schnell los, los! Mężczyzna puścił się biegiem wprost ku mnie, i na jakieś pięć metrów przed moim drzewem upadł, ugodzony kulami, wypuszczonymi w nierównych odstępach z kilku rewolwerów. Jedna kula trafiła w drzewo, do którego omal nie przyrosłam ze strachu. Człowiek leżał jęcząc okropnie, a gdy podeszli bliżej ku niemu SS-mani zrozumiałam, że umyślnie celowali w nogi. Wlekli go za ręce a jeden z tyłu kopał go w pośladki i okaleczone nogi. Oprzytomniałam dopiero gdy odjechali. Na Grottgera doszłam jakby nie na swoich nogach. Trzęsłam się jak w febrze i nie byłam w stanie pracować. Klęłam w dodatku zmarzlaków — zimno bo zimno, ale żeby przy końcu września w piecach palić. Gdy o 6.30 zaczęli się schodzić urzędnicy paliło się dopiero w dwóch piecach. Stróżka w dodatku zrobiła znowu swoją mądrą

uwagę: Od razu wiedziałam, że pani nie wydoła, bo to praca dla silnych. Powiedziałam że aby wydołać będę przychodzić o czwartej. Chyba, że tak. Nie mogłam myśleć o niczym innym niż o owym postrzelonym nieszczęśliwcu. Co się z nim stało i dlaczego go tak męczyli. Co tam robią z moim ojcem? We wtorek byłam zanieść paczkę i wtedy udało mi się zobaczyć dosłownie w przelocie mojego Ojca. Niby biegacze w treningu biegli wszyscy truchtem. Już z dala poznałam jego czarną ostrzyżoną głowę. Gdy dobiegli do nas nie namyślając się zawołałam: Tatka, paczkę dostałeś?! Zobaczył, uśmiechnął się smutno, skinął głową i już zobaczyłam tylko plecy biegnącej kolumny. Patrzyłam jak biegli coraz to szybciej i szybciej i nie zauważyłam gdy zbliżył się do mnie zielony policaj. Pociągnąwszy mnie za rękaw zaczął głośno by wszyscy stojący obok słyszeli, że za takie wołanie mogę się też tam znaleźć — wskazał na groźne żelazne wrota. Dostałam karton z brudną bielizną, a ten który odbierał paczki, objaśnił mnie dość grzecznie, że już administracja fortu jest skompletowana. Wszystko idzie jak w zegarku, a więźniowie swoje paczki otrzymują w całości. Więc to prawda? — Jest mi lżej — może przeżyje, bo zdrowy jest.

— — — — — — — — — — — —

Coś mi jest — ciągle mnie febra trzęsie, a na brzuchu rośnie mi coś miękkiego. Mama robi domysły, że to ruptura. Chciałam sobie zmierzyć temperaturę i termometr zbiłam — nie dlatego bym chciała zwolnienie od lekarza lecz z ciekawości. Do lekarza pójdę, ale nie w tym celu by mnie zwolnił na 3 dni. To nie fabryka, gdzie grunt to chorować i choćbyś rok chorował, to firma nie zwolni cię. Jeden dzień tylko nie byłam a już Weiss chciał posyłać na arbeitsamt po inną w moje miejsce. Nie mogę się niebacznie skazywać na nową szarpaninę nerwów w poszukiwaniu pracy na arbeitsamcie. Z moim pechem mogłabym zlecieć z deszczu pod rynnę. Znam kilka kobiet, które mimo że są zdrowe i bezdzietne, pracują po kilka

godzin. Dwa lub trzy razy w tygodniu. Robią to, albo szczęście, albo łapówki, i te znajomości a więcej jeszcze pokrewieństwa z niemcami. Trudno wreszcie znaleźć tu Polaka, który by choć w dziesiątym pokoleniu nie był spokrewnionym z jakimś niemcem. Chwilami odnoszę wrażenie, że to wszystko spolszczeni niemcy. Któregoś wieczoru mieliśmy teatr — Burzyńska darła się na całe ogródki: Czekaj cholero! ja mam matkę niemkę, to cię wsadzę „na fory" że nie wyliziesz. Czekaj ino dostanę niemieckie papiyry!... Twoje papiyry mam w d'...!

Z małych domków śmiech walił otwartymi oknami, jakiś dzieciak trzaskał wrzeszcząc w patelnię a sąsiadujący z nami kiłowaty lotnik ryczał: Halte maul, polnische Hund. Tak robi pospólstwo niższego gatunku, ale i ci „lepsi" są mało lepsi. Ilu jest takich wspaniałomyślnych i szlachetnych Polaków, którzy za lada błahostkę, lada poszturchnięcie w ogonku czy tramwaju ciskają: Zgniótłbym cię, ale się lituję i zbyt dobrym jestem Polakiem. Ci „zbyt dobrzy" Polacy nierzadko rekrutują się z niedoszłych Niemców. Są to najgłośniejsi patrioci. — Chcieli nas przemocą wpisać na listę, ale nie daliśmy się. Ta oklepana bajeczka tych „bohaterów" staje się strasznie nudna, ale każdy udaje że wierzy w nią. Wielu jest powołanych, lecz mało wybranych — odrzucają masowo wnioski chcących wrócić na łono Faterlandu, tych którzy nie mogą się należycie wylegitymować przodkami swoich przodków. Są jednak i tacy szczęśliwcy, którzy mimo, że nie mają w rodzinie od Adama i Ewy żadnego Niemca zostają volksdeutschami — to zasłużeni. Mówią, że na Śląsku i w Bydgoszczy zmuszali do gremialnego wpisywania się na volkslistę, ale czy można wierzyć.

— — — — — — — — — — — —

Jest listopad, a więc zaledwie dwa miesiące gdy pisałam po raz ostatni. Powtórzę słowa jakiegoś bezimiennego wygłupiacza: Życie odmierzać godzinami i latami jest nonsen-

sem, — czas powinno się mierzyć epizodami. Oj, trafiłeś bracie pod kłok — to zdanie to jakby dla mnie wymyślone. Wiosną po narodzeniu i śmierci moich bliźniaków, czułam się tak strasznie dojrzałą, a dziś u schyłku jesieni czuję się starą. Czy przyjdzie jeszcze czas, że będziesz się śmiała ty dwudziestotrzyletnia staruszko tym swoim śmiechem, trochę idiotycznym, natrząśniętym i łechcącym pod stopami i pachami swoich bliźnich?

Ostatnie moje kulfony jak widzę opiewają że było mi ciężko wykonywać pracę, na tej najwspanialszej z moich posad. Niestety, jak wszystko dobre na tej ziemi jest znikome i krótkotrwałe, tak i moja pyszna posada należy do przeszłości. Wstawałam niemal o północy, zaczynałam pracę o półtorej godziny wcześniej od innych i jednak nie mogłam podołać. Któregoś dnia tam u „funkty" zaniemogłam. — Schwyciła mnie gorączka i ruptura stała się większa niż zazwyczaj. Odwieźli mnie autem do szpitala i w tym samym dniu jeszcze zostałam operowaną. Leżałam dziesięć dni w szpitalu, tydzień w domu i po dwunastodniowym odpoczynku do pracy. Dali mi kartę do fryzjerni przy Moście Teatralnym. Sprzątnąć tylko salon damski i męski — najwyżej trzy godziny pracy i do domu. Pobiegłam co prędzej i zgodziłam się. Właścicielka zakładu, moja przyszła szefowa pani Klotylde Moops miała okropnie niesympatyczną twarz. Opasła, tleniona blondyna z ulizanym elegancko wałeczkiem z włosów, z wyłupiastymi bladymi oczyma pod którymi niby wymionka starej gruźliczki wisiały olbrzymie worki skóry robiła wrażenie odpychające. Gębę opatrzoną w parę wzdętych niczym dętki rowerowe warg, miała dosłownie zapchaną różnego gatunku i koloru zębami. Aluminiowe i mosiężne kapsułki walczyły o prym z innemi sztucznemi zębami i prawdziwemi żółtemi kłami. Rosyjski akcent zdradzał „bałtowę". Ucieszyłam się że jest z Rosji, bo ci podobno byli nienajgorsi mimo, że straszne flądry i łapciuchy z tych bab. Omyliłam się jednak — była z Rygi. Zapytałam ją na wstępie ile go-

dzin będzie trwała moja praca, bo ja jako chora dostałam przydzielenie najwyżej na 3 godziny itd. gadam znaną lekcję, ale ona miast konkretnej odpowiedzi powiedziała wymijająco: pójdę do domu jak sprzątnę. Czy ona wie, jak długo będę to robić, może trzy godziny a może i mniej. Zależy jak się uwinę. No gut mówię jeszcze raz oszacowawszy wzrokiem dwie niewielkie budy.

Nazajutrz jak kazała przyjechałam na siódmą do „funkty". W niespełna trzy godziny sprzątnęłam i wyszorowałam gruntownie cały lokal i zabieram się do domu, gdy ta woła mnie i wciskając w rękę 30 fenigów na tramwaj i jakąś karteczkę z adresem oraz klucze, objaśnia że mam zawieść te klucze jej córce. Co mi szkodzi, mogę się przejechać. Przyjechałam na Kopernika i dzwonię. Otworzyła mi drzwi owa pani Grube jej córka. Była młodsza i szczuplejsza, ale zupełnie podobna do matki. Pierwszą rzeczą, która mnie zaciekawiła, a ją zirytowała były nasze nogi jednakowo cienkie o małych stopach i obute w identyczne pantofelki brązowe przybrane jaszczurką. Pierwszy raz zobaczyłam takie same. Gdzie kupiłam te buciki — zapytała na wstępie wskazując na moje nogi. Gdy wymieniłam firmę to nie mogła się nadziwić, że na polski bezugschein takie same trzewiki dostałam. Przecież taki towar to tylko dla Niemców. Widocznie miałam kogoś znajomego w składzie. Nie. — Nie? No ładnie, ale jak będę tu przychodzić, mam ich nie ubierać, bo się zniszczą. Kiedy mówię nie mam innych i dlaczego mam tu przychodzić, po co? No zwyczajnie sprzątać mieszkanie, bo Rejze musi pilnować dzieci i nie może sobie sama rady dać. Zrobiło mi się słabo. — Jak to mówię, przecież godziłam się tylko do firmy Moops, a nie do niej. To wszystko jedno, bo firma Moops właśnie tu mieszka z nią razem odkąd tata umarł a jej mąż poszedł na wojnę. Jej pokoje właśnie mam sprzątać. Tłumaczę jej, że niestety nie mogę, bo nie jestem jeszcze po operacji zupełnie zdrowa, ale nie dała mi dokończyć. Ja, ja — zawołała z ironią, — wyście wszyscy chorzy, wszyscy Polacy. Znam tę

melodię, — tu ich było 17 sztuk i wszystkie były chore. Rejze chciała po kilku dniach też zachorować na zwolnienie, ale nie pozwoliłam jej i teraz jest zdrowa. Znam te sztuczki wasze, pocieranie termometrów, solenie sobie ciała pod pachami i mleczne zastrzyki. Byle nie robić u Niemców. Chciałam jeszcze oponować, ale łzy wściekłości zatykały mi już nos i gardło i niebawem moje oczka niby łodzie podwodne zaczęły się zanurzać w solonej wodzie. Nie spostrzegłam nawet, kiedy mi położyła na łonie skurzaczkę trzepaczkę i inne akcesoria posługackiego zawodu. Gdy wytrzepałam chodniki zabrałam się do ścielenia łóżek ale to nie było znowu takie łatwe, bo miast kołder lub pierzyn zobaczyłam górę lumpów. Brudne koce i prześcieradła z portretami pluskiew oraz kołdry porozrywane z których wywalała się wata nie dały się nijak wyrównać. Mrucząc dość głośno na porozrywane szmaty poprosiłam o igłę i nici by to jakoś pozszywać. Trochę ją to widać zawstydziło, bo zaczęła się tłumaczyć, że ani ona ani Rejze nie mają czasu, a to się drze i drze. Wybiła druga więc zostawiwszy nie dokończoną pracę zaczęłam się zabierać do domu. Byłam przeraźliwie głodna i przez moment sądziłam, że da mi choć ze skibkę chleba, ale gdzież tam. Na drugi dzień stara tak samo: dając mi list pisany po łotewsku znowu posyła do córki. Nie mogę mówię tyle godzin pracować bom chora. Och, — powiada — przecież ja godziłam na 6 godzin. Co, ale nie mnie! Tak właśnie że mnie na trzy godziny, tu u nas a na trzy godziny w mieszkaniu. Wyraźnie to zaznaczyłam na arbeitsamcie. Ale mnie pani tego nie zaznaczyła. Bo myślałam, że Irena wie już o tym. Nie jest to przecież tak źle. Zresztą potem — powiada — nie będzie trzeba co dzień jechać tam, Irena. Pojechałam rozczarowana i zgryziona. Tym razem dała mi grubą kupę brudnych i zażółkniętych pieluch do prania. Teraz uparłam się. Niech się robi co chce nie piorę. Raz się już poobrywałam i drugi raz nie myślę. Zaczęła mi wtedy monotonnym głosem narzekać na lenistwo Polaków, ich wszy, brud i niechlujstwo. Potem zaczęła opowiadać jak to Polacy mocno jęczą i płaczą gdy mają

trochę pracować. Cóż to jest że Polaków aresztują w porównaniu do nich, których mężowie walczą bohatersko i giną. One nie płaczą nie lamentują, ale cierpiąc milczą i pracują. Prawda Rejze, zwraca się co chwila do Teresy, ładnej szesnastoletniej dziewczyny, a ta niestrudzenie jak automat przytakuje: ja, ja, ja.

Pracujecie przecież dla siebie a nie tak jak my, wasi niewolnicy a to jest różnica. Ach soo?... Rozumiem. Popatrzyła na mnie pierwszy raz z przebłyskiem rozumu w oczach. Dlatego jesteście niezadowoleni i chorzy do pracy. Nie słuchałam już i poszłam robić porządki w jadalni. Na odchodnem oświadczyłam, że już tu nie przyjdę. Jak mam tu pracować 7 godzin to wolę iść na 8 godzin do szwalni, gdzie się pracuje siedząc. To ustawiczne latanie, to nie na moje siły. Nie przyjdziesz? — No zobaczymy! Rzeczywiście przyszłam. Rano gdym chciała zabierać się w zakładzie do porządkowania, Lusia fryzjerka miła dziewczyna powiedziała, że dziś ona sama sprzątnie a mnie stara kazała od razu jechać na Kopernika, bo córka chora. Co robić kiedy chora. — Pojechałam postanowiwszy solennie, że to ostatni raz. W drzwiach spotkałam Rejzę wybierającą się już tak rychło na spacer z bachorami.

— Gdzie stara? — pytam. Nie wiem. Przed chwilą kręciła się, — pewno wyszła. Niech pani idzie do „Grubej" — leży w swoim pokoju. Wyszła trzasnąwszy drzwiami a ja rozebrawszy się w przedpokoju zapukałam do sypialni Grube. Nikt mi nie odpowiedział więc pukam głośniej — cisza. Nie ma jej albo śpi — pomyślałam i weszłam do pokoju. Istotnie nie było jej tam. Patrząc na rozgrzebane wyro, domyśliłam się że poszła do ustępu. Poczekałam chwilę, a gdy nie wracała poszłam sprzątać do jadalni. Ze stołowego prowadziły drzwi do sypialni starej Moops. Wszedłszy, zobaczyłam, że drzwi były uchylone, a z sypialni dolatywały mnie głosy. Rozpoznałam głos starej i piskliwy skarżący się głos jej córki. Ałła, boli — zapiszczała w pewnej chwili. No mówię ci zegnij kolana — usłyszałam starą. Zaciekawiło mnie co też one tam robią i podeszłam do drzwi by zaglądnąć. Pu-

szysty dywan głuszył moje kroki. To co zobaczyłam było dla mnie bardzo interesujące. Frau Grube leżała na tapczanie w pozycji jaką trzeba przybrać podczas badań u ginekologa. Rolę ginekologa odgrywała mama Mcops. Na stoliku zauważyłam gruszkę gumową, taką prawie, jaką się robi lewatywy niemowlętom, tylko większą i opatrzoną czarnym zakrzywionym lejkiem. Zaczęła nią manipulować. Mogłam swobodnie patrzeć na manipulację starej, bo choć była zwrócona twarzą do drzwi, to jednak nie pomyślała ani razu spojrzeć na nie będąc pracowicie pochylona nad udami córki. Taka to twoja choroba kanalio — pomyślałam. Tam twój mąż na froncie krew leje od pół roku, jak sama opowiadałaś, a ty tu... tak samo. Napatrzyłam się już do syta na tę paprannę obrzydliwą i chciałam cofnąć się, gdy w tej chwili „nawiedziło mnie". Zamiast odejść zastukałam w drzwi i nie czekając odpowiedzi wskoczyłam jak sowizdrzał do pokoju. Młoda krzyknęła: ach! a stara zwinnie uskoczyła i zasłoniła swą tęgą figurą nieprzyzwoitą pozycję i nagość córki. Raus! — zaczęła wrzeszczeć. — Dlaczego wchodzisz bez pukania? Pukałam i tu i tam — mówię, hamując śmiech, ale nigdzie nikogo, więc wchodzę, bo myślałam... Nie dokończyłam — musiałam szurnąć za drzwi, bo stara chwyciła już wazon, mając zamiar nim gwizdnąć we mnie. Nim zdążyłam swej twarzy nadać mój zwyczajny, poważny, trochę niedowarzony wyraz, weszła stara. Jak długo stałam i podpatrywałam je? — pyta. Gdzie stałam — pytam głupio? No tu, wskazuje palcem. Tu? — a po co miałabym tu stać? No, myślałam żeś ciekawa — bo ja córce nogi smarowałam. Ma reumatyzm. Ach to okropne — mówię — ja już wiem co to znaczy, bo sama mam i właśnie chciałam, że nie mogę tego dużo na nogach, bo!... Co, nawet reumatyzm masz!? No jakich wy już chorób nie macie, gdy trzeba pracować. A tyfus i cholerę masz? Nie, no to dalej do roboty. Zaraz mi się bierz do prania, du faul! Nie zgodziłam się do prania mówię i prać nie będę. Co? Nie, nie będę bom za słaba na to. Zobaczymy! Zaczęła się ubierać i wychodząc oświadczyła mi, że idzie na

arbeitsamt. Zobaczymy czy nie będziesz pracować. Trzy godziny madame chciała pracować, a że my Niemcy pracujemy po 10 godzin to dobrze. Pracujecie według swoich sił i dla siebie, i nikt was nie dręczy. Tak to by każdy z nas chciał. Takaś mądra, ty fałszywa polska świnio. No gut! Trzasnęła drzwiami i poleciała.

Zostałam sama ze strachem i coraz wzmagającym się bólem wątroby. Przyszła stróżka po klucze i pyta czegom taka roztrzęsiona i nieswoja. Opowiedziałam jej, a ta pokiwawszy głową, zauważyła że to dobrze że mnie nie tłucze. Ja już tu jestem osiemnasta. Tamte wciąż uciekały i w rezultacie dostawały się w ręce Gestapo. Arbeitsamt jednak na skutek stałych zażaleń na brutalne traktowanie odmówił jej w końcu przydzielenia posługaczki. Wzięła się zatem na sposób i poprosiła o posługaczkę do swojej firmy. Tego jej nie odmówili, bo oprócz trzech fryzjerów i jednej fryzjerki nie miała w zakładzie nikogo do sprzątania. No i dostała mnie. Zaświtała mi myśl. Gdyby tak też pójść i poskarżyć się. Przecież mają moje papiery z komisji i wiedzą, że nie mam odpowiedniego zdrowia. Spróbuję — postanowiłam. Stara wróciła niespodziewanie prędko. Przelękłam się okropnie zauważywszy wchodzącego za nią SSmana. Ledwo wszedł, zapytał wskazując palcem — To ta? Ach to ty nie chcesz prać? A chcesz ty dostać po mordzie, co chcesz? Schwycił mnie pod brodę i uśmiechając się przymilnie, powtórzył. Nie odpowiedziałam — wtedy ścisnął mnie pod gardło i powtórzył ostrzej, nie przestając się uśmiechać. No, chcesz po mordzie? Ledwie wycharczałam: nie. Ach, nie chcesz, nie wstydź się; ja nie jestem skąpy i dam ci. Na masz — uderzył mnie całą siłą swej olbrzymiej łapy w jeden a potem w drugi policzek. Byłabym upadła, gdybym nie uchwyciła się klamki. Chodź tu, uklęknij i przeżegnaj się! Nie zrozumiałam w pierwszej chwili, ale on nie czekając pochwycił mnie za kark i kopnięciem w łydki zręcznie powalił mnie na kolana, pokazując łapą, że mam się przeżegnać. Nie usłuchałam, wtedy zaczął mnie okładać po żołądku i nerkach pięściami. Usłu-

chałam co prędzej i przeżegnałam się, a stara wybuchnęła śmiechem. Teraz powtórz: już nigdy nic nie powiem i zawsze będę robić to co rozkaże pani Moops i pani Grube. Powtórzyłam posłusznie. No, a teraz marsz do roboty. Z ledwością doszłam do balii, hamując jęk, jaki wyrywał mi się na skutek boleści, jakie sprawiała mi wątroba. Policzki mnie paliły, a jeden czułam że mi puchnie pod okiem. W tej chwili miałam szczerą ochotę umrzeć. Wzięłam do ręki mokry szmat, a wtedy zbliżyła się do mnie stara i klepiąc mnie po ramieniu, rozpoczęła przemowę: No widzisz, czy to potrzebne — nie dokończyła, bo w tej chwili zaczęłam wymiotować żółcią i wić się w ataku żółciowych kamieni. Stara zaczęła coś szybko gadać i po chwili splunąwszy, wyszła z „esmanem".

Zostawili mnie samą jęczącą i skuloną na podłodze. Nie byłam w stanie ruszyć się. W końcu nie wiem już, usnęłam czy zemdlałam, . gdy obudziłam się leżałam w tym samym miejscu, ale przykryta workami, a na świecie robiło się szaro. Podniosłam się — ból minął niemal zupełnie, tylko nogi mi się trzęsły z osłabienia. Od rana nic jeszcze nie jadłam. Okna nie były zaciemnione, więc światła jeszcze nie zapalano. Nie wiem nawet kto mi podał milcząco kubek mleka. Wypiłam i na moje podziękowanie usłyszałam męskie burknięcie. W korytarzu spotkałam starą. Stanęła przyglądając mi się, ale ja minęłam ją i wyszłam bez pożegnania. Jadąc tramwajem kombinowałam co zrobić — jak wydostać się z potrzasku. Było tylko jedno ryzyko, które albo mnie pogrąży albo uratuje z tego piekła. — Postanowiłam napisać zażalenie. Trzeba napisać, bo mówić tego o co nie pytają tam nie wolno, a taką stękałę jak ja wyrzuciliby nim bym dwa słowa wystękała. Napisałam o sobie i starając się streszczać, opisałam ostatnią scenę jaką przeżyłam. Mimo że się streszczałam, zapisałam szczelnie całą stronę wielkiego kancelaryjnego arkusza.

Poszłam do sąsiadki, pani Chotlińskiej, z prośbą o przetłumaczenie mi mojego memoriału. Przeczytawszy zdziwiła się i pokręciła głową — ciekawam sama co z tego wyjdzie. Nazajutrz zamiast do fryzjerni udałam się z moim podaniem na arbeitsamt. Trzęsłam się ze zdenerwowania, ale byłam dobrej myśli — wychodząc z domu spotkałam chłopa. Nie zatrzymałam się nawet przy płaczącej pobitej przez urzędniczkę kobiecie, otoczonej przez gromadkę współczujących kobiet. Na co wasze żale i bezsilne zaciskanie pięści. Cóż to wreszcie dziś wielkiego pobicie — zwyczajna rzecz. Latem, gdym tu była, widziałam gorszą scenę: — urzędniczka zbiła kobietę po twarzy, ta jej oddała i za ten jeden policzek oddała swe życie, tak cenne dla gromadki nieletnich swych dzieci. Zbitą zawlekli do suteryny i tam dokończyli dzieła, zakatowawszy ją na śmierć. Za kilka dni wywiesili czerwone karty, głoszące, że ta a ta, za pobicie urzędniczki niemieckiej została ścięta!

Przed pokojem nr. 12, do którego śpieszyłam, stały wyjątkowo tylko dwie kobiety. Ta, która miała wchodzić, oświadczyła, że o ile mnie się śpieszy, to ona mnie chętnie przepuści, bo jej tak serce bije i musi uspokoić się. Spoza drzwi pokoju dolatywały krzyk i płacz. Drzwi się raptem otwarły i wyszła jakaś szlochająca starsza kobiecina. Nächste! weszłam z roztańczonym dziko sercem i trzęsącą się ręką podałam zapisany papier. Popatrzyła na mnie i zauważywszy moje niemożliwe zdenerwowanie, uśmiechnęła się pod nosem. Rozwinęła arkusz i zaczęła czytać. Odważyłam się dopiero popatrzeć na nią — była piegowata i niemożliwie szpetna. Patrząc na nią przypomniał mi się rysunek, który gdzieś widziałam, przedstawiający kobietę jako dżumę. Była do niej z rysów dziwnie podobną, tylko brzydsza — brzydsza jak cholera. Przeczytała, pokiwała głową niedowierzająco, popatrzyła mi przenikliwie w oczy, i wskazując palcem papier, zapytała czy to prawda? Czy nie kłamie? Potwierdziłam i zaprzeczyłam

jednocześnie. Wstała i kazała mi iść za sobą. Opuściliśmy barak i weszłyśmy do jednego z biur mieszczących się w gmachu głównym. Czekało tam, jak zwykle, wielu mężczyzn z tobołkami, gotowych na wywóz. Kierownik, bo to on był, przeczytał mój wniosek, przeglądnął arbeitbuch i wszystkie zwolnienia i orzeczenia lekarskie. — No tak — powiada — w porządku. Mam pracować tylko 3 godziny i tylko w zakładzie, albo ma mnie zwolnić. Jednak arbeitsamt nie potrzebuje mi wierzyć, że pani Moops zatrudniała mnie tak długo, więc mam przynieść potwierdzenie na piśmie od niej. Wziął kartę urzędową i napisał krótkie zapytanie, czy to prawda, że Frau Moops zatrudnia swą posługaczkę 7—8 godzin. To mnie się wcale nie podobało, ale co robić — pojechałam z tą kartą do fryzjerni.

Stara przerwała golenie jakiegoś wojskowego, uśmiechając się ironicznie, i przeczytała. Gdy skończyła golić, napisała na karcie, że istotnie z bardzo ważnych powodów zatrudniała mnie nieco dłużej, ale teraz nie potrzebuje mnie dłużej niż na trzy godziny. Oddała mi kartę i pokazując mnie kilku Niemcom, czekającym na swą kolejkę, zaczęła opowiadać hałaśliwie jaki to ze mnie brudas. Przy mnie to ona i córka naharowały się jak konie. Na fortepianie zostawiałam tyle kurzu, o tak grubo, pokazała palcem. Przerwałam jej i poprosiłam grzecznie o zwolnienie. Co? może trzy godziny też za długo? Nie to, ale wolę dłużej byle nie tu. Po co ma zresztą zatrudniać brudasa. Nie ma, nie ma — zaśmiała się. — Dlatego, że ty nie chcesz tu być, dlatego będziesz. Wtedy to użyłam z góry obmyślonego sposobu. Podeszłam blisko i powiedziałam jej po cichu coś na ucho. Poskutkowało — popatrzywszy na mnie z wyrazem pomieszania i wściekłości, przekreśliła to co napisała na karcie i zamaszyście napisała, że zwalnia taką niedołęgę, która nawet przy zamiataniu mdleje. Wcisnąwszy mi kartę w rękę co prędzej wypchnęła mnie za drzwi. Ten cudowny zwrot sprawił maleńki szantaż. Powiedziałam jej ni mniej ni

więcej tylko to, że widziałam wszystko co wtenczas z córką robiła w sypialni, i gdy mnie nie zwolni, to opowiem wszystkim, a przede wszystkim tam gdzie trzeba. Może by mi się nie udało, gdyby to było dawniej, ale od wczoraj... sprawa zbyt świeża — córka jeszcze leży. Pojechałam na Wildę. Poszłam prosto do kierownika. Przeczytał i oddając mi arbeitsbuch, kazał mi iść na swój pokój po nową pracę.

Prosiłam do szwalni lub do fabryki, byle siedzącą pracę, ale odpowiedziała mi, że na tym pokoju są tylko prace dla służących, a na inny dział przedzielać mnie nie mogą. Mogę iść do fabryki, ale w charakterze posługaczki. Zaczęła się znowu wędrówka po biurach. Jednak wszędzie pisali na kartach: nie nadaje się. Moja bladość nadmierna powiększona upudrowaniem się zasypką dziecięcą oraz odpowiednio cierpiącą miną robiły swoje. Na niezmienne pytania czym chora, kiwałam niestrudzenie głową. Zresztą moje 39 kg żywej wagi przy 157 cm wysokości robiły mnie niemożliwie chudą. Idąc z niebieską kartą pod wskazany adres, spotkałam panią Kowalską — właścicielkę domku w którym mieszkamy. Żyłam z nią dobrze a z córką jej Cesią byłam na koleżeńskiej stopie. Teraz obie pracują jako urzędniczki w firmie Telefunken. Opowiedziałam jej o swym pechowym losie, a ta zaczęła kombinować jakby mnie wcisnąć do ich firmy. Jest to jedyna firma ciesząca się w Poznaniu dobrą sławą, a między innymi i tym, że robotnice tam nie są bite. Praca jest czysta i siedząca ale 10 godzin. Zapragnęłam tam się dostać. Nazajutrz pojechałam na Wojskową ulicę. Okazało się że owe Telefunken mieści się w byłej fabryce papierosów, gdzie zawsze przed wojną marzyłam by się dostać. Spodobało mi się tam. — Było czysto i co najważniejsze dla takiego jak ja bezkrwistego zmarzlaka — ciepło. Och, jak cieplutko!

Portier zaprowadził mnie do biura, gdzie p. Kowalska wręczyła mi kartę firmową, na której było napisane, że f-ma Telefunken pragnie zatrudnić Irenę Nieznaniec. Poszłam z nadzieją ale wróciłam z kwitkiem. To ich nic nie obchodzi. —

Moje papiery są na dziale posługaczek i przenosić ich na dział fabryczny nie wolno. Urzędniczka wyzwała mnie i dając niebieską kartę do jakiejś frau Żakowskiej na Staszica, zagroziła, że jak tam się nie zgodzę, to się rozprawi ze mną. Wróciłam zrozpaczona do Telefunken i opowiedziałam wszystko. Kowalska wysłuchawszy, pogadała z jakimś małym łysym niemcem, którego nazywała Kondulskim. Ten napisał list i zaadresował go do jakiejś urzędniczki na pokój nr. 11, który miałam jej wręczyć. Zapomniałam jakie, ale było to polskie nazwisko z końcówką tschky. Poszłam. Była niesympatyczna jak wszystkie te sekutnice, ale po przeczytaniu listu stała się dość uprzejmą. Pytała czy jeszcze wciąż jest taki gruby. Domyśliłam się, że pyta o tego Kondulskiego. O tak mówię — taki i wydęłam policzki, a ona roześmiała się. Poszła do pokoju gdzie byłam rejestrowana i przyniosła moją kartotekę. Dalej poszło już wszystko prosto i łatwo. Przed tym trzeba jednak było napisać swój życiorys, bo bez tego „taka firma jak nasza" ludzi nie przyjmuje. Pani Kowalska radziła mi zmyślać ile się zmieści na temat pochodzenia i kwalifikacji. Od tego zależy rodzaj mojej przyszłej pracy, „ordynarniejsze" idą do maszyn. Te ordynarniejsze to pewno służące pomyślałam i nawycierałam że niech Pan Bóg broni. Czym to nie byłam, a z jakich to rodziców ... Aż mnie wstyd, bo fantazja tak mnie poniosła, tych bzdur przeszło pół strony maczkiem, a mogłyby być tylko cztery linie. To wszystko w tej intencji by nie wynosić niemieckich nocników i nie być u byle babsztyla bitym popychadłem.

Wczoraj byłam pierwszy raz u pracy. Nigdy jeszcze nie byłam w hali fabrycznej gdzie pracuje aż tyle osób. Staraniem owego Kondulskiego dostałam się na werk nr. 9, który uchodzi za najlepszy z dwóch względów: lekkiej i czystej pracy oraz najlepszego majstra Schindlera. Ów Schindler o flaczatej twarzy, apoplektycznym karku i białych przekrwionych oczach, wcale mnie się nie podoba! Mniejsza z nim, bo bezpośrednio nie od niego będę zależną, ale od całej czeredy forarbeiterów i forarbeiterek w większości Polaków. Mam wresz-

cie tą błogą nadzieję, że nadszedł kres mojego losu, losu kopanej piłki. Po raz pierwszy od trzech lat kładę się do snu spokojna i prawie zdrowa.

— — — — — — — — — — — —

Już przywykłam do życia fabrycznego i zajęć jakże odmiennych od dotychczasowych. Jedynym minusem w tej pracy jest głupi porządek, że na najgłupszą pracę nałożony jest akord. Pierwszego dnia posadziła mnie moja forarbeiterka do montowania jakichś szpulek. Pracowałam pilnie i z zainteresowaniem i trzeciego dnia zrobiłam już tyle co stare pracownice. Zielonkowa pochwaliła mnie głośno dając za przykład jakimś dłubliwym dziewczynom. Potem nauczyła mnie przylutowywać ocynowane końce drutu nawiniętego na szpulce do „letajsów", to jest blaszek przymocowanych do płytek celofanowych. Szpule wkłada się do tak zwanej karny z lanego, niezwykle kruchego żelaza, po czym okrywa się je z dołu ową płytką, a z góry pudełeczkiem, które z powodu wystającej rurki nazywamy kominkami. Rurki te są to gwinty, czy mutry, w które wkręca się śrubki też z masy celofanowej. Rodzajów tych szpul jest niezliczona ilość, a nazwy ich trudne do spamiętania dlatego że składają się z kombinacji liczb i literek. Pochwała Zielonkowej miała najpierw przykry a potem zbawienny skutek. Kobiety siedzące obok mnie, gdy Zielonkowa odeszła, zaczęły mruczeć pod moim adresem, że znalazła się chapaczka co psuje robotę. Zawstydziły mnie ogromnie. Wytłumaczyłam im że to dlatego, że jeszcze nie bardzo się orientuję w tych akordach, a pilną jestem ze strachu by mnie stąd nie wyrzucili gdzie indziej. Oświadczyłam im, że to po raz pierwszy i ostatni zasłużyłam na tę głośną pochwałę i chapaczką nie myślę być diabłu na kapotę. Podobało im się to, bo się śmiały. Niechby tak Heniek wiedział, że ja od pierwszego dnia szarpałam jak dziki osioł. Ciągle słyszę jak skarży

się na głupie baby, co jedna drugim psują pracę. Do wickelei czyli działu nawijania i montowania szpul wzięli mnie na próbę. Tu nawijało się i montowało wyłącznie szpule, które reszta kobiet na sali, czyli montaż wmontowywał je do części lub aparatów. Zależało mi na tym, by tu się utrzymać dlatego że tu pracuje się na trzy zmiany po 8 godzin, a po drugie miałam tu kilka znajomych panienek z Ławicy. Praca rozpoczyna się tu o 6-tej rano, lecz my dojeżdżające koleją, przychodzimy o kwadrans przed ósmą. Praca nasza dość precyzyjna, wymaga uwagi i skupienia oraz dużej lekkości i zręczności palców. Kobiety i panienki siedzące w moim sąsiedztwie są przeważnie wesołe i sympatyczne. Pracę swą wykonują dokładnie ale powoli i z umiarkowaniem. Nie dają sobie urwać rękawa. Fuszerować nie można, bo każda dostawiona praca jest stemplowana i fuszerki wracają do poprawki. Każda musi poprawić swoje, a gdy nie zdąży przy tym wykonać wyznaczonego akordu, zostaje dłużej. Każda więc chcąc nie chcąc stara się robić dobrze. Oprócz tych zwyczajnych szarych mniej lub więcej dokładnych pracownic są dwie kategorie nadzwyczajnych — jedne z nich to „chapaczki", które wiecznie szarpią jakby chodziło o życie lub konkurs i robią ponad akord, mimo że im za to pies kulawy nie zapłaci, a drugie to „drykaczki" zawodowe lenie i niedorajdy, które nigdy nic nie umią i pracują mniej niż powoli. Z pierwszych rekrutują się forarbeiterki a z drugich dość często ofiary obozu w Żabikowie lub na forcie VII. Lubię je jednak te ślamazary, bo języki ich są na przekór rękom dość obrotne i dowcipne. Najtęższą akordnicą jest u nas mała trzydziestoletnia panna Bergerówna z Łowicza. Ta milczy przeważnie i jest wciąż zapracowana. Maszyna jej nie ma wytchnienia. Przyszła zaledwie tydzień przede mną i już jest pierwszą „ganiaczką". Jaki ma w tym cel nie wiadomo narazie. Już raz była przez nią awantura. Krysia Krzyżaniakówna, która tak jak reszta robotnic nie jest zwolenniczką gonionej roboty, przygadała jej na ten temat według przyrodzonego sobie zwyczaju. Po prostu zapytała ją dlaczego

tak szarpie, jakby ją sto diabłów z lucyperem na czele goniło? Czy ma zamiar pierwsza z naszej sali dostać leistung Pole! Bergerówna dotknięta poskarżyła się Zielonkowej, a ta jednemu z niemieckich „forarbeiterów". Ten skrzyczał dziewczynę za buntowanie i namawianie do sabotażu, grożąc obozem. Płakały obie każda z innej przyczyny. Marta i Zielonkowa usłyszały nie jeden docinek od ogółu. Zielonkowej słusznie to się należało — mogła przecież sama to załatwić, bez uciekania się do pomocy niemca. Dobrze, że niemcem tym był Koppman, bo gdyby inny, byłaby dziewczyna na pewno wylądowała w obozie.

Idąc do tej pracy najwięcej cieszyłam się na tych polskich forarbeiterów i nigdy bym się nie spodziewała, że ci właśnie są tu najgorsi. Aż przykro słuchać, ale każda wolałaby pracować u Koppmana lub innego niemca, tylko nie u Polaka. Polacy okazują się niestety gorsi od tych przybyszów z Reichu, a o ile ci stają się wkrótce chamami, to tylko dzięki ich donosom. Przekonuję się o tym z dnia na dzień. Coraz więcej. Dlaczego tak się dzieje? Jest to logiczne — Niemcy wybierają na poganiaczy ludzi o najgorszym pokroju i charakterze. Tylko cham dostaje się szybko na stanowisko forarbeitera i utrzymuje się na nim. O ile zdarzyło się, że przypadkiem omyłkowo zaawansowała kobieta normalna i dobra Polka, jakiemi są przeważnie wszystkie robotnice, to czemprędzej zostawała ku swej radości, a smutku reszty robotnic zdegradowaną. Te kanalie są doprawdy niemożliwe — jeden przez drugiego formalnie w tyłki tym szwabom wchodzą. Dla polskiej robotnicy wymyślanie, a dla byle szczeniaka niemieckiego najsłodszy uśmiech i pochlebstwa. Jedno tylko jest dobre, że bicie tu jest rzadkością, gdy w D.W.M. jest odwrotnie — kobiety i mężczyźni są za byle nieuwagę, głupie słowo lub krzywe spojrzenie bici po twarzy i kopani. Dziś, opowiadał Heniek, zbili kilka kobiet. Jedną byłą nauczycielkę za krzywe spojrzenie, które posłała niemcowi za obelgę. Została zbita do nieprzytomności. Inna znowu ciężarna za to, że dwa dni

nie była u pracy, została skopana po brzuchu i w rezultacie dostała krwotoku i poronienia. Gdy odchodził wieczorem, leżała jeszcze w krankenstubie w kałuży krwi bez opieki.

— — — — — — — — — — — —

Dziś dostaliśmy drugi list z Mauthausen, gdzie wywieziono mojego ojca. Jest zdrowy i prosi o paczki. Jesteśmy naprawdę w kłopocie co by mu wysłać. Chleba nam samym nie starcza i dożywiamy się kartoflami. Grochu i kaszy przecież mu nie poślemy. Najgorsze to, że nie mam co dać dziecku. Dla polskich dzieci 1/4 l. mleka, a dla niemieckich 1 litr. Po mleko trzeba chodzić albo do Czarnego na Krzyżownikach albo koło Botaniku. Wszędzie jednakowo daleko, więc mama jeździ do Botaniku trylibusem. Mleko przynosi również niemce Libudowej.

Ten Libuda kiedyś mi opowiadał, że pochodzi z Prus Wsch. a ojciec jego pisał się Lebioda. Wobec tego mówię pan jest z pochodzenia Polakiem. W takim razie powiada cała nasza wieś powinna się składać z Polaków, bo wszyscy mają nazwiska o polskim brzmieniu. O, roześmiał się — wszystkim chciałbym być tylko nie Polakiem. A Żydem pytam chciałby pan być? O, nie! a Ruskim? O, też nie, ale ostatecznie prędzej niż Polakiem. Dlaczego? Czy pan przekonał się, że Polacy są najgorsi? Ja osobiście nie, ale inni. Jacy inni ci niemcy co tu są? No nie, ale widzicie to dlatego, że Polacy tylu Niemców pomordowali. I pan tak bardzo w to wierzy? Muszę! Jestem żołnierzem niemieckim, a zresztą to nie temat dla was. Zamilkłam. Głupie niemczysko i tyle.

Ta Libudowa jest sobie tak samo niczego, trochę głupawa niemka. Ma dwoje dzieci, ale mimo to dziewczyny na cały dzień nie chcą jej przyznać, więc prosiła mamę, by jej nosiła mleko. Mama nie od razu się zdecydowała, ale zrobiłam to ja. Są z tego trzy korzyści: raz że za fatygę dała swoje kartki na chude mleko, drugie że na niemieckie karty nie po-

trzeba marznąć trzy godziny w ogonku, a po trzecie czy mama potrzebuje jej zanieść aż trzy litry pełnego mleka? Podług mojego rozumu byłby to grzech, gdybyśmy się jej mlekiem nie podzielili. Moje polskie dziecko może mieć też 1 litr pełnego mleka od polskiej krowy. Litrowa bańka z Iwonki mlekiem zostaje w powrotnej drodze dopełnioną mlekiem Libudowej, która w zamian dostaje domieszkę w postaci chudego mleka. To moja szkoła. I mama z zadania wywiązuje się doskonale.

Okradać wroga to nie grzech, a kraść dobrze to zasługa przed Ojczyzną. Do prawdziwego „wędzenia" potrzeba jednak daru, bo gdy nie ma iskry bożej i kleju w rękach, to klapa. Już byle jaki partacz nie powinien się brać do tego, bo za „złodziejomanię" płaci się dziś głową. Zabrali znajomego — pytasz za co? a rodzina z palcem na ustach powiada „politycznie". Gdzie, jak, pytasz, ciekawy jakby się dowiedzieć gdzie, jak i kto bawi się w politykę, ale to tajemnica. To tylko sama inteligencja. Ach tak?... Za kilka dni jednak dowiadujesz się od znajomych i z afiszów, że ten a ten (polityczny!) został ścięty za kradzież i to przeważnie b'ahostek.

Złodziei teraz za niemców nie ma, utarło się powiedzenie, bo ludzie sami kradną. Tych drobnych detalicznych złodziei w fabryce nie brakuje — raz gwiźnie parasol, raz chleb, innym razem 5 marek. Mają zazwyczaj takiego czy taką ptaszkę na oku, obserwują aż złapią. Dziwnym zbiegiem okoliczności niemal że w periodycznych odstępach czasu odbywa się u nas odwszawianie i odzłodziejanie. Zaswędzi którąś w głowie, a już leci do majstra z jękiem że ma zrobić porządek. Jest w tym trochę rozrywki i humoru jednak nie dla wszystkich, bo właścicielki głów, na których globie odkryto mniejsze lub większe stada „baranków egipskich" zwanych tu powszechnie pejami, są naprawdę biedne. Gdy nie pozbędą się w określonym terminie zwierzątek i ich jaj, to glaca murowana. Poza tym „farmerki" narażone są od współpracow-

nic na przykrości moralnej natury. Moja głowa stała się też dla mnie przedmiotem ciężkiego strapienia. Codziennie patrzę czy mam jeszcze choć parę włosów. Łysieję formalnie w szalenie przyśpieszonym tempie. Z potężnych moich loków na których niejeden grzebień zęby i grzbiet złamał, pozostało parę kłaków, które za leciutkim pociągnięciem wyłażą jakby rosły w maśle. Lekarz u którego byłam by się poradzić, kazał ogolić całą głowę, gdyż inaczej wyjdą mi do jednego.

Tak też zrobiłam lecz zostawiłam sobie kępkę nad czołem, którą, wypuszczam zawadiacko jak psa z budy spod zielonego turbanu, chroniącego moją rekrucką głowę. Nigdy nie sądziłam że moja główka jest taką nieforemną wielokanciastą bryłą. Mój zielony turban już stał się tak popularny że aż trochę mnie złości. Już kilka kobiet z montażu pytało mnie dlaczego nie zdejmuję turbanu, więc powiedziałam im że odwszawiacze mnie ogolili. Wierzą mi i serdecznie współczując uciekają a nasze kobietki chichocą aż Koppman musi je ciszyć. Koppman też kiedyś radził mi zdjąć, ale oświadczyłam mu że nigdy przenigdy, gdyż byłam w Mecce i turban mój jest święty. Myślałam że nie zrozumie i jest ciemny jak każdy szkieber a ta oferma jest inteligentna. Przyłazi często do mojego stołu i niby dając mi wskazówki, tyczące się pracy, opowiada o sobie. Wiem już, że jest artystą malarzem, urodzonym i wychowanym w Odessie. Rodzice jego pochodzili z Austrii. Więc pan jesteś mówię Austriakiem? To jest dziś ganze gall mówi wymijająco. Żona jego niejaka Przysiecka jest ukrainką a ściśle mówiąc galicjanką, jednak nie kocha jej jak mi się przyznał. Jest to zresztą publiczną tajemnicą, że kocha się w ślicznej delikatnej blondynce Hali Wietrzykowskiej, która nie chcąc być niemką odrzuciła jego matrymonialne oświadczyny. Od Zielonkowej słyszałam że jest równie fałszywy jak każdy niemiec, lecz najstarsza pracownica nie może powiedzieć by najmierniejsza z pracownic miała do czynienia z majstrem dzięki niemu. Natomiast dzięki takiej Zielonkowej niejedna już dziewczyna wyleciała z „wickelei". Nie słyszałam go do-

tąd krzyczącego — zdenerwowanie swoje okazuje uporczywym milczeniem. Kiedyś przy naszym stole skarżył się, że ludzie nie chcą go słuchać, a za hałasy oraz nieporządki na stole on jest odpowiedzialny przed majstrem, który go bezustannie na oczach całej sali sztorcuje. Któraś, zdaje się Zomerowa, poradziła mu by trochę wrzasnął, na co dał nam smutną lecz prawdziwą odpowiedź: Po co ja mam to robić kiedy oprócz majstra są do tego Polacy.

Te zakały według których szacowany jest niesłusznie ogół Polaków, nie tylko że pracują więcej niż rzetelnie, to jeszcze spełniają rolę szczekających i gryzących piesków. Dostaną za to niewątpliwie najpierwsi to upragnione „Leistung Pole".

W naszym „wickelei" jest trzech forarbeiterów i cztery forarbeiterki, ale jedna z nich tylko jest taką którą można by bez zastrzeżeń nazwać człowiekiem. Jest to młoda maleńka bardzo miła i inteligentna kobietka z Żabikowa. Każda marzy o tym by dostać się na zmianę panny Reni. Ja i kilka innych przyjezdnych które pracujemy tylko w dzień, cieszymy się nią co trzeci tydzień. Co najdziwniejsze u niej, to to, że mimo iż nie umie prawie wcale po niemiecku, daje sobie doskonale radę z pracą, ludźmi i majstrem. Praca którą wykonujemy, pominąwszy jej zbrodnicze cele jest nader interesującą w swych zawiłościach i komplikacjach. Co dzień niemal inne operacje się wykonuje i co dzień inne kształtem i sposobem nawijania szpulek. Dla takich z przyrodzenia pracowitych i dokładnych typów, praca ta jest dla nich tak interesująca, że tym samym traci dla nich swą trudność i staje się mniej męczącą. Kiedyś zapytałam ją dlaczego tak bardzo ją to interesuje? Chcę kiedyś gdy będzie Polska, pracować nadal tu i montować radioaparaty dla nas. Ona jedna nie wykorzystuje przywileju leniuchowania i łażenia z kąta w kąt lecz dopomaga wszystkim maruderom i fajtłapom. Trudno pogodzić dobre z pożytecznym, ale u niej praca zostaje wykonana dobrze i w przepisowym czasie. Powinno być inaczej, albo nie wykonać pracy, albo robić źle, ale niestety — ci co ryzykują na jedno z tych świętych dla nas wykroczeń i sabotują, płacą o ile nie

życiem lub utratą wolności to dodatkową pracą. Aby przeżyć trzeba milczeć i robić co każą. Robotnik polski a zwłaszcza poznański z natury nie znający lenistwa i partactwa nie potrafi robić źle. Mamy wszyscy to błogie przeświadczenie że praca nasza mimo swej solidności nie zbawi ich — za wiele na niej naszych łez i potu wylanego wśród przekleństw i złorzeczeń. Nie idą już naprzód lecz cofają się w przyśpieszonym tempie ale mimo to nie wykończą ich chyba do gwiazdki. Kto by myślał w 1939-tym roku że ta błyskawiczna wojna będzie niemal tak długa jak światowa. Jedna pociecha że Niemcy z Reichu zaczynają spuszczać nosy na kwintę. Cieszymy się że rąbią Niemcy i Berlin ale jak zwykle bywa niepełną jest nasza radość. Dla matek mających swe dzieci w Berlinie i w Karlsruhe, każda wiadomość o bombardowanniu jest ukłuciem trwogi o życie dziecka. Wszyscy nadzieję swą pokładają teraz w tej wszechmocnej i potężnej Ameryce. Dałby Bóg aby nas nie zawiódł ten grubas z białego domu, tak obrzydliwie karykaturowany w Ostdeutscher Beobachterze.

— — — — — — — — — —

Jakim bolesnym był tym razem zawód, gdy okazało się że radosne wydarzenia okazały się kaczką. Przybiegły do fabryki zadyszane o kwadrans za wcześnie byle podzielić się wieścią radosną rozpierającą serca i dławiącą w gardle. Wiecie dziś latały w nocy samoloty polskie i angielskie! Przecież wiemy bośmy w schronach siedzieli. Dlaczego mi pani przerywa? zresztą jeśli wiecie wszystko to zbyteczne mówić. Ależ nic nie wiemy — wołam z innymi — mów kobieto na Boga prędzej! No to powiem że tym razem nie na darmo latali — spuścili całą masę skoczków, desantów. Inwazja! Co pani mówi? Ach Boże nareszcie dałeś znać o sobie. Nawet Zielonkowa jest przejęta i Marta Berger, która już od tygodnia za swą rekordową pracę jest forarbeiterką. Zielonkowa z pobożną miną klnie szwabów co jej męża, sierżanta, z lagru nie puszczają i córkę wywieźli, a Marta nie lubi ich po prostu dlatego, że nie znosi tych „gnojków". Niemców nie cierpią jak cholera. Po dwóch

dniach historyjka okazała się zmyśloną i znów Zielonkowa z Martą wróciły do normy — są służbiste. Donoszą staremu o byle głupim wykroczeniu, byle prędzej, aby nie wyprzedził ich któryś z Niemców. Marta byłaby nawet niezła i z początku miałyśmy dla niej wiele pobłażliwości z racji jej trywialnej wesołości, przeplatanej wybuchami nieraz z błahego powodu, lub zgoła bezpodstawnego histerycznego płaczu. Jest samą bo prócz młodszej siostry w Niemczech nie ma nikogo. Kogo by nie wzruszył los sieroty. Jednak ta sierota potrafiła być podłą, a może raczej głupią — bo nie chcę przesądzać.

Halina, nazwisko wyleciało mi z głowy, dostaje jakieś okropne ataki sercowe. O ile nie zleci z taboretu to głowa jej przechyla się na stół, a nieraz swym gwałtownym i nieprzytomnym upadkiem na maszynę elektryczną do nawijania szpul hamuje jej rozpęd. Ciało jej raz po raz wstrząsają szalone drgawki. Zazwyczaj wynoszą ją do izby chorych, gdzie leży do powrotu świadomości i wraca osłabiona do rozpoczętej pracy. Zna ją już cała dziewiątka. Atakom tym widocznie dobrze przyjrzała się, mała o białych tlenionych włosach Dziunia. Dziunia ma dopiero 15 lat, ale to jej nie przeszkadza malować usta i policzki i być zaręczoną. Kiedyś skarżyła mi się na okrutne prawo zabraniające się żenić mężczyznom niżej 28 i kobietom mniej niż 25-letnim. No to zażartowałam poczekasz te mizerne 10 lat — cóż to jest. Uśmiechnęła się melancholijnie: Kochać i nie móc się pobrać, to męka. Łatwo pani się śmiać gdy jest mężatką — a po tym ta praca przeklęta dla takich które jak ja mają ataki sercowe. Roześmiałam się głośno i mówię: to ty aż ataki sercowe miewasz z tej miłości? Pani się śmieje i nie wierzy, ale zobaczy pani jakie to straszne. No i zobaczyłam jeszcze tego samego dnia po południu. Wszyscy pracowaliśmy milcząc bo Schindler i ten wściekły Fluchs jego zastępca kręcili się między stołami a tu bęc, leży ktoś na podłodze i ciska się jak ryba na ławicy. Patrzę — Dziunia. Atak był zrobiony na obraz i podobieństwo ataków Haliny. Wtedy to wierzyłam święcie w ten „atak" i zganiłam siebie za moje niedowiarstwo. Klęłam z resztą kobiet ten przeklęty „bat" zmuszający do pracy tak

ciężko chorych. Powtarzało się to bardzo często i nieraz zdarzało jej się uzyskać od lekarza zwolnienie na 1 lub 2 dni. Któregoś dnia jednak przekonaliśmy się że ataki te są tylko świetną grą małej aktorki jaką była Dziunia. Oprócz mnie i Mieci zrobiła to spostrzeżenie i Marta. Dziunia leżąc nieruchomo w pewnym momencie otwarła powolutku i dyskretnie jedno oko i zobaczywszy że jej się bacznie przyglądamy, zamknęła co prędzej i zaczęła co prędzej „ciskać się". Zaczęłyśmy się z Miecią cicho śmiać, a Marta jak nie doskoczy do dziewczyny, jak nie zacznie szarpać i wołać: a do roboty mi marsz komediantko, bo po pysku dam. Dziewczyna nie usłuchała i wtedy Marta wykonała swoją obietnicę — zbiła dziewczynę po twarzy. Czyn jej pozostał bez skutku. Dziunia zniosła policzki bohatersko bez krzyku, ale do pracy nie poszła — leżała nadal na podłodze. Marta uciekła podniosła awanturę na całą salę, ale miast posłuchu „chorej" zgotowała sobie pogardę nas wszystkich. Nikt zresztą nie wierzył by ta mała mogła aż tak udawać. Jakże takie ataki można udać, to by Pan Bóg mógł pokarać. Nie, takie coś nie mieści się w głowie poczciwym kobietom. To i cóż że Marta jest z zawodu pielęgniarka. Pielęgniarka od wynoszenia posuwaczy, to jeszcze nie lekarz. Powoływała się na mnie i na Mietkę, jako współodkrywczynie mistyfikacji, ale my mocą niemego porozumienia się nie widziałyśmy niczego. Zresztą obwieściła Mietka swe stanowisko w tej sprawie, gdybym nawet miała pewność że to udane to bym nie powiedziała. Wtedy to dopiero Marta zorientowała się co do naszych pozycji względem jej wybryku. Niedługo zdołało się więcej kobiet przekonać że mała „odgrywa", ale to nie przeszkodziło Dziuni w odniesieniu zwycięstwa. Któregoś dnia lekarka pobieżnie zbadawszy ją i wysłuchawszy relacji siostry Stefy na temat okropnych „ataków" dała jej zaświadczenie stwierdzające jakąś chorobę sercową która nie pozwala jej pracować dłużej ponad sześć godzin. Którejś z koleżanek przyznała się naiwniaczka że przed badaniem skonsumowała kilka „kogutków" bo od proszku szybciej serce „chodzi". Mimo to odtąd pracowała już tylko sześć godzin i gdy tylko mia-

ła mizerny akord zaczynała swoje podrygi które najdowcipniejsza ze wszystkich Janka nazwała „atakowaniem".

Zbliża się gwiazdka i dziewczęta z baraków piszą wnioski o przepustki do domu. Ja też ryzykowałam zrobić podanie o passierschein. Nie jestem z baraków, ale mam u krewnych w Kaliszu dziecko które mi krewni zwracają, gdyż połapali ich do pracy. Muszę je przywieźć. Może uda mi się sztuka, to by się przywiozło trochę wyżerki.

— — — — — — — — — — — — —

Są momenty, że trudno nie stwierdzić i nie uznać głupoty pewnych warstw ludu polskiego. Jadąc tramwajem widzę nieraz co robią z tłumami kobiet mężczyzn i dzieci stojącymi w nieskończonych „ogonkach" za biletami do kina. Stoją cierpliwie godzinami na mrozie aż nie wpadnie w tłum konny „policaj" i nie zacznie pałką walić po łbach. Uciekają w popłochu i na chwilę pusto przed kinem, ale gdy już policaja na koniu nie widać wyskakują z bram i zaułków i już wre walka o pierwszeństwo. Języki, łokcie i pięści w ruch byle prędzej dostać się do kasy nim wysprzedają bilety. Czy warto godzinami sterczeć na mrozie dla niskiej i głupiej przyjemności siedzenia obok „panów" brzydzących się głośno „polskiem bydłem" i patrzenia na ich filmy. Byłam jeden jedyny raz w kinie zobaczyć jak zdobywali Warszawę, i już odtąd nigdy nie miałam ochoty pójść więcej mimo że bilety mogę dostać łatwo przez znajomość Janki z kasjerką ze „Świtu".

W zeszłym roku pokusiłam się o pójście do cyrku. Mama z Heńkiem nie chcieli słuchać, ale gdy Maryś młody chłopiec pracujący z Wańdzią u Arnolda, nawiasem szepcąc wielbiciel jej wdzięków i stróż cnoty, przyniósł nam bilety i poszliśmy. Ależ odpokutowałam ja i wszyscy mnie podobni głupcy którzy tam przyszli. Olbrzymi namiot był zapchany widzami, w lwiej części składającymi się z Polaków. Nastrój był dość miły i prawie przedwojenny, bo wokoło rozbrzmiewał tylko polski śmiech i polska mowa. Zaczęły się popisy — nic nadzwyczajnego. Ani im się umyć do naszego cyrku Staniewskich. Między jednym

a drugim pokazem na arenę wpadło dwóch clownów. Zaczęli się idiotycznie z iście germańską ordynarnością pozbawioną sensu i dowcipu wygłupiać. W pewnej chwili jeden z nich zaczyna wąchać powietrze i zatykając nos wrzeszczeć że coś okropnie śmierdzi, na to drugi wskazując okrągłym ruchem na widownię po prostu, że to nic dziwnego, bo tu siedzą Polacy. Kilkanaście osób zerwało się do wyjścia, ale nie wszystkim udało się wyjść. Policjant tarasując swą osobą wyjście tłumaczył i perswadował że to przecież tylko cyrk i tylko clowni. Wyszliśmy niemal przemocą tłumacząc się zasłabnięciem mamy. Wańdzia z okna warsztatu nieraz obserwuje cyrkowców w cywilu i podpatruje ich życie. Kiedyś zapytała jednego z robotników, czy wszędzie tyle Polaków uczęszcza na ich przedstawienia. O nie, powiada, to tylko w Poznaniu. W Łodzi choć większe miasto mieli znacznie mniejszą frekwencję a gdy byli we Lwowie to formalnie klapa — stali trzy dni i odjechali ze stratą bo Polacy prawie że wcale nie przyszli. Wstyd to dla nas, ale jesteśmy tylko Polakami mądrymi po szkodzie. Mimo to Polacy pchają się do ich kin. Myślę że dobrze by było gdyby tak wypuścili z „forów" te rzesze niewinnych i najlepszych Polaków, a w ich miejsce wsadzili dla nauczki tę wystrojoną hołotę pchającą się do kin. Gorszymi jednak idiotami, frymarczącymi swą wolnością, są ci którzy pchają się do kin i lokalów opatrzonych napisami für Polen verboten. Wiesz, powiada do mnie Zdzicha, byłam dziś w „Deli" a wczoraj w „Apollo", ale prima film dawali z Saarą Leander. Jakim sposobem dostałaś bilet? No zwyczajnie udałam niemkę która zapomniała ausweisu. Mówię ci jakiego miałam pietra — koło mnie siedziało dwóch gestapowców. Zaczęli mi się zalecać a ja bałam się gęby otworzyć, boby się zaraz kapli, gdyby usłyszeli moją niemczyznę. Opowiada o swym „bohaterstwie" z dumą wartą lepszej sprawy. Ile jest takich Zdzich które za te polityczne sprawy zaludniają obóz w Żabikowie. W prezydium policji i w domu żołnierza siedzi pełno Polaków połapanych w niemieckich kinach i kawiarniach. Cierpią takie ofiary za swą głupotę a rodziny ich głoszą, że „siedzą

politycznie". Czy można nazwać więźniem politycznym takiego który dostał trzy lata obozu za strojenie się w „kreutzhake". Pominąwszy ludzi z fabryki których nie znam jeszcze zbyt dobrze, a którzy nie wątpię że są takimi za jakich się mienią, znam przeważnie i widzę takich tylko Polaków. Widocznie nie godnam widzieć i znać dużo takich którzy zasłużyli sobie na najświętszy dla nas tytuł Prawdziwego Polaka. Może ja po prostu źle widzę, może w tym co na pozór nieraz wydaje się podłością kryje się bohaterstwo, a maska uniżoności i wierności satrapie jest środkiem do osiągnięcia celu świętego. Daj Boże! Tak niewiele znam z tych tysięcy Polaków cierpiących męki i katusze za swą polskość jedynie, ale klękam przed tymi nieznanymi braćmi Polakami i schylam głowę. Dla was jedynie mam cześć, ale dla motłochu tracącego swą wolność i życie dla głupich wybryków, jest tylko litość.

— — — — — — — — — —

Tak dawno już żaden niemiec nie uderzył mnie że myślałam iż to już koniec a tu okazało się że niestety. Może to dlatego że moja szeroka mięsista twarz jest z rodzaju tych które aż się proszą by w nie chlastać. Trzeba mi było aż do Kalisza pojechać by dostać po pysku. Jechałam z gromadą moich fabrycznych koleżanek, z których jedne jechały do Ostrowa, a reszta do Kalisza i Zduńskiej Woli. Dziewuchy morowe co do jednej, a humor ich iście gwiazdkowy i mnie się udzielił. Pierwszy raz jechałam sama, bo Heńkowi obiecali przepustkę dopiero na Nowy Rok. Dziewczęta pokpiwały sobie trochę z mojego słomianego wdowieństwa i snuły już fantastyczne baśnie na temat moich cudownych przygód sercowych na terenie Kalisza. W Kaliszu autobus dworcowy był przepełniony, więc byłam zmuszona wraz z gromadą innych przyjezdnych Polaków iść do miasta pieszo. Pogoda była piękna — śnieg skrzypiący, słońce, więc i nastrój był podobny do opisanej pogody, pominąwszy owe skrzypienie śniegu. Idę sobie poświstując przez zęby i od czasu do czasu ślizgam się na zamarznię-

tych kałużach mańkutowato lewą nogą naprzód aż staje przede mną ogromny drab w mundurze i patrzy mi jakoś wyczekująco w oczy. Spojrzałam na niego tak jak patrzy kobieta normalna na zaczepki uliczników i posunęłam się w bok chcąc się wydostać by iść dalej, a ten mi trzask z jednej i z drugiej strony w policzki. W jednej chwili na moment ogłuchłam i oślepłam. Oparłam się by nie upaść o coś co po oprzytomnieniu okazało się płotem, za którym na tle jakichś płyt kamiennych i nagrobków stał mężczyzna i przyglądał mi się. Poszukałam na ziemi kapelusza, ale okazało się że wisiał sobie spokojnie uczepiony do spinki gumką na plecach. Boli? zapytał poważnie tamten zza płotu gdym spojrzała na niego. Boli, mówię i nie wiem za co to było. Może pan wie? Owszem, uderzył panią za to że mu się pani nie ukłoniła. Co, ja mam się jemu kłaniać? Jemu i każdemu niemcowi w mundurze. Dlatego jak pani widzi takie pustki na ulicach, prócz tego bydła nikogo bo ludzie albo siedzą w domu albo chodzą między opłotkami. Miał rację — szwagierki moje, pominąwszy niedzielną wycieczkę bocznicami do jednego kościoła na Rypinku nigdzie nie wychodziły. Myślałam, że będą zasmucone że miast brata przyjechała bratowa ale nie — ucieszyły się szczerze i ugościły czym mogły. Po wypiciu dwóch kielichów „taty z mamą", zakwiliłam im o ich biednym wiecznie przemęczonym pracą bracie a moim mężu, a na zakończenie powitalnego śniadania zaśpiewaliśmy „Boże coś Polskę" i „grunt to rodzinka".

Popularność moja wśród mężowskiej rodzinki ma jednak i swoje niemiłe dla mnie strony. Gromadka dzieciaków szwagra Mariana, roztrajkotana wzorem swej macierzy, jest zdolna w pół godziny rozgłosić radosną a więcej jeszcze sensacyjną wieść że ciocia z Poznania przyjechała, po całej dzielnicy. Rezultat taki że gdy ruszę się nosem za próg rozlegają się wołania dzieciarni: Ciocia z Poznania! hej a masz ciociu przepustkę?! Dobiło mnie już gdy jeden może 14 lat, łobuziak zauważył: Gdzie tam taka młoda potrzebuje przepustki. Jeden „esman" ją w portkach przeszwarcował a na stacji rozporkiem

wypuścił. Zła byłam i zapowiedziałam dzieciakom że już się z nimi bawić nie będę. Były zmartwione bo wczoraj tak ładnie bawiliśmy się. Zabawy tych dzieciaków są osobliwe: Pod wielkim wcale nie uginającym się stołem wigilijnym był kościół Nazaretanek. Z kościoła na czterech wychodzą dziewczynki, ubrane w baranice, to jest wierne w karakułowych futrach, a w tym wyskakuje zza szafy Tolek — policaj i zdziera z nich futra. One krzyczą, płaczą i trzęsą się z zimna a wtedy Tolek — policaj: co, jest wam „kalt", to chodźcie do „arbajt" i popycha je kolbą w plecy to jest piórnikiem wołając, sznela, sznela, los, los. Ja nie mogąc patrzeć na taką krzywdę zrobiłam z gazety angielskiego samolota i po krótkim alarmie zbombardowałam niecnego policaja orzechami. Dziewczynki cudownie ocalałe tańczyły przed trupem wroga, wesoło pokwikując. Marycha moja bratowa nie może się dość nadziwić jak może się mężatka i matka od dzieci tak bawić z dzieciakami, bo jej by się nie chciało choć jest dzięki Bogu zdrowa. Jest na to za poważna. Różnica naszego wieku wynosi 19 lat i już chciałam powiedzieć niegrzecznie że za 20 lat może i ja spoważnieję, ale w porę przyszła refleksja że może ona jest z gatunku tych, co z taktem i dystynkcją rodzą się, a bon ton i savoir vivre mają na wieki wypalone na ustach które imitując uśmiech, ciągną się jak dwa cieniutkie pasma gumy arabskiej i oczach które przy tej czynności nie tracą swego zwykłego jak letni żur wyrazu. W drodze powrotnej była rewizja passierscheinów i walizek. Wielu z pasażerów powyrzucało przez okna swoje olbrzymie pełne prowiantu walizy. Mogli i moją walizkę zabrać albo zawartość jej wysypać przez okno, i mimo że nie było w niej nic ponad płody ziemi usiadłam na niej w imię przysłowia, że strzeżonego Pan Bóg strzeże. Zbyteczna i niepotrzebna okazała się ostrożność moich towarzyszów podróży bo los postąpił swoim zwyczajem według znanej parodii tego przysłowia że strzyżonego Pan Bóg strzyże. Oj ostrzygł niektórych jak na „glacę" — policaje minęli nasz przedział jak zapowietrzony i weszli do następnego. Wtedy popłynęły do nieba

gorzkie skargi tych co wyćpili przez okno walizy pękate: Panie dlaczegoś nas nie obdarzył psim węchem, czyli: darem jasnowidzenia?!

— — — — — — — — — —

Skończyły się już te dobre czasy kiedy pracowaliśmy na trzy zmiany a my przyjezdne pracowałyśmy tylko w dzień. Obecnie pracujemy jeden tydzień nocki, a drugi dzionki. Kto chce z przyjezdnych pracować tylko w dzień może uzyskać tę „łaskę" drogą odpowiednich wniosków. Ja nie korzystałam z przywileju z tej racji, że ci „dzienni" muszą pracować zamiast 9, 10 i pół godziny. Niemiłe są dla mnie noce, nie tyle z powodu przemęczenia ile z racji samotnych powrotów. Żadna z dziewcząt nie połakomiła się na zmiany o 1 i pół godziny krótsze od stałej dziennej pracy. Gdybym była panną, to może i ja wolałabym przepracować dłużej, a potem wrócić pociągiem który w Ławicy jest przed ósmą — a więc z górą po 14 godzinach być w domu. Niestety teraz właśnie gdy arbeitsamt obdarzył mamę w drodze łaski, jako chorą, pracą w domu muszę śpieszyć by jej pomagać. Do Alei Przybyszewskiego idę z Felą Suligowską, córką inżyniera, który jakimś cudem dotąd dzierży dawną swą posadę w P.K.E. Dziewoja ta, mimo że należy do t. zw. „lepszej wiary", nie zadziera nosa i umie żyć ze wszystkimi na stopie koleżeńskiej. Jest w miarę wesołą i zalotną, lubianą przez wszystkich tak jak i jej przyjaciółka Krysia Mozany której ojciec kapitan W.P. został zamordowany przez hitlerowców. Początkowo skracałam sobie drogę idąc koło cmentarza, lecz którejś nocy wystraszyły mnie liście spadające z drzew, swym szelestem imitując stąpających, czy płynących duchów. Odtąd chodzę a raczej biegnę szosą. Nie zakładam nawet trzewików, które tak przeraźliwie w ciszy nocnej stukają budząc śpiące po rowach echa lecz pędzę w szmacianych łapciach. Lecąc truchcikiem jestem za godzinę w domu. Parę razy jeszcze widziałam auto wiozące więźniów do fortu VII a poza tym ani żywego ducha.

Dwa tygodnie temu idąc przeżyłam sporo strachu. Byłam akurat koło wieży wodociągowej, jak zaczęły na ostry alarm wyć syreny. Przyśpieszyłam kroku by jak najprędzej znaleźć się w domu, aż tu ledwie minęłam Botanik słyszę warkot motorów. Stanęłam i nadsłuchując, rozglądałam się po niebie, zasłanym rozkudłanymi pakułami chmur, które gnane wiatrem co chwilę siadały okrakiem na księżycu, podobnym do bladego naleśnika upieczonego na „ajersatzu" jakbym tam miała zobaczyć samoloty, gdy niespodzianie zaczęły walić „flaki" przeciwlotnicze. Zerwałam się do biegu i z duszą na ramieniu pędziłam wśród huku i padających z góry odłamków od pocisków. Głowę przykryłam moją tekturową torbą i z takim prowizorycznym dachem mającym mnie ochronić od przedziurawienia mózgu dobiegłam do domu. Na moje gwałtowne dzwonienie u furtki nikt nie wyszedł więc byłam zmuszona przeleźć przez płot. W domu wszyscy siedzieli ubrani i gotowi do drogi. Gdy mnie zobaczyli myśleli że z nieba spadłam. Sądzili, że jest dopiero 12 bo o 11-tej stanął zegarek. Na pytanie czy to bombardowanie nie umiałam odpowiedzieć, bo ogłupiał nas piekielny hałas i huk koncentrujący się jakby pod naszym ogródkiem. Moja Rybka śmiała się wesoło i klaszcząc w ręce za każdym większym hukiem wołała mama bu! bu! Od miesiąca mówi mi już mama, bo babcia złościła się na te bezbożne wybryki i nie pozwalała już dziecku nazywać mnie Ira. Ach mój Dziubusiu biały, albinosku kochany, czy nie lepiej byłoby bym ciebie pilnowała miast łazić po nocy jak ćma, lub zmora jaka, co nietoperze zjada. Potrzebny ci jest sweterek i co z tego że wełnę mam gdy nie ma kiedy zrobić go. Gdyby jeszcze tej nieszczęsnej babci nie wciśli roboty która moim zdaniem nie jest nawet zajęciem dla kobiety. Szyć dratwą pasy do spadochronów z grubochnej skóry i twardego płótna jest dość ciężko, ale czy jest dla Polaka dziś praca zbyt ciężka? Przecież właśnie Polki wywiązują się tak świetnie z swych męskich prac, czy to jako konduktorki, czy też ślusarki, tokarki i nawet „kamieniotłuki".

— — — — — — — — — —

Świństwem byłoby z mej strony nie poświęcić kilka słów Tobie mała astmatyczna czarna Ninko. W wyszczekanem mojem sercu masz więcej miejsca niż sobie wyobrażasz, bo przecież ty a nie kto inny, nazwałaś mnie prosto z mostu pomyloną, miast powiedzieć to gdzieś w kącie komuś kogo nie znam, lub nie lubię. A ta pierwsza skiba chleba z leberką którąś mi włożyła cichaczem do torby też nie zostanie zapomnianą. Nie została jak możesz sądzić zżarta łakomie po drodze — to Iwonka chwaląc smaczny chlebek z kichą sławiła twoje serduszko. Ninka (bez przesady i patosu) jest takim małym zapomnianym kwiatkiem z kategorii tych którym zdaje się że nie mogą zdobić ni pachnieć, dlatego że nie mają ojca. Pies go ogryzł. Czarnulko i bez niego jesteś kwiatkiem ka pe wu?! Ta gąska najmilsza czekała 22 lata na to by jej dopiero taka Ira powiedziała że jej krótkowzroczne oczy kryjące się za ogromnymi okularami są piękne i nie trzeba ich zasłaniać gdy się nie pracuje. Czym byłyby nasze noce gdyby nie jej śliczne piosenki śpiewane rzewnym cichym głosem istoty ciężko chorej na astmę sercową. Ile trudu kosztowało mnie i naszą jedyną nie stojącą na zdradzie vorarbeiterkę Renię, nim zdołała przełamać swą tremę i zaśpiewała nam walc, o tych „co nie mają racji i mówią o walcu źle". W ślad za tym popłynęły już silniejsze w tonie arie z Toski, Cassanovy i Halki. Ciekawam skąd ona ta córka posługaczki i nieznanego ojca umie te cudne piosenki. Poczekam aż mi znowu kiedyś sama to powie. Teraz rozumiem jej ironiczne uśmieszki które ukazywały się na jej bladych wiecznie gorączką spieczonych ustach, gdy któraś z nas porykiwała fałszywie i nieudolnie starając się naśladować choćby tą oklepaną i niemilknącą Saare Leander. Gdy po północy zamilkną w głośnikach głosy niemieckich śpiewaków, wtedy trele swe rozpoczyna nasza choruszka. Słucha jej polskich regionalnych piosenek pół sali, aż dokąd głos jej doleci. Niemieckie włóczykije łażą między stołami i wybałuszają tylko swe wyłupiaste ślepia. Dobrze że choć śpiewać nie wzbraniają. Smutne są jednak te noce gdy naszego słowika zacznie męczyć astma, kiedy jej dziwnie wysokie piersi skryte w fałdach kitla

zaczynają swą okropną pracę. Usta jej otwierają się a oczy wychodząc z orbit zda się dotykają szkieł okularów. Czasami wyprowadzają ją do izby sanitarnej gdzie „siostra" rozespana i zła zmuszona jest odstąpić jej swe legowisko. Bezowocne są jej wnioski o zmniejszenie godzin pracy, zwolnienie od nocnej zmiany lub bodaj o przydzielenie jej do takiej pracy gdzie nie potrzeba lutować. Smród smażącej się cyny, kwasu i kalafonii jest dla zdrowych nie do zniesienia, a co dopiero dla astmatycznych. Drugą osobą cieszącą się jakąś dziwną mieszaniną sympatii złożonej z pogardy i lekceważącego pobłażania jest mała wdówka nazwana przez wesołą i trochę też zwariowaną mężatkę Bronkę, Apolonią Łapserdaczek. Co prawda nazwa ta nie jest jej pomysłem, lecz jest tak do tej istoty dopasowana że od razu przyjęła się. Dziś nikt nie umie powiedzieć jakie jest jej właściwe nazwisko. Najdziwniejsze to to, że nie gniewa się na swój pseudonim. Te nowe „galicjony" ze Zduńskiej Woli wcale nie wiedzą, że to przezwisko. Delektują się więc do syta brzmieniem mniemanego nazwiska i co chwila pytają i proszą o coś panią Łapserdaczek. Ta wieczyście uprzejma budzi się z wieczystej drzemki i gada, gada bez końca. Jak mucha w miodzie wleką się jej opowiadania szczegółowo o jej porodach i poronieniach, z których to ósme odbyło się w tramwaju, i o pogrzebie męża zmarłego w więzieniu niemieckim. Słuchają tych bzdur chichocące dziewczęta i szesnastoletni Jurek z wielkim nosem i odstającymi uszami, wielki mądrala i zjadacz powieści seksualnych. Zauważyłam, że nawet te panie które ostentacyjnie mówią fe! i niby rozmawiają o czym innym podsłuchują z ciekawością. Znana jest nie tylko z lenistwa wrodzonego i ospałości ale i z niedołęstwa — co weźmie w rękę to zepsuje. Jest starszą ode mnie o dwa lata, lecz buzia jej rumiana i pulchna wskazuje nie więcej niż 18 lat. Gdy nam robiono fotografie do kenkarty pytano ją niezmiennie czy skończyła już 16 lat. Autentyczność jej opowiadań o ostatnich dziesięciu latach życia małżeńskiego spędzonego na nieustannym rodzeniu i ronieniu potwierdzają jedynie potworne żylaki na nogach których nie są w stanie przykryć nawet półgrube bawełniane pończochy. Kiedyś

na skutek ospałości i lenistwa posunęła się do małej podłości i „buchnęła“ mi cztery sztuki wykończone. Były to t. zw. „ringkerny“ to jest kółka zrobione z szczelnie uwiniętych pasów blaszanych które bandażuje się tasiemkami jedwabnemi lub płóciennemi. No już skończyłam powiada, a teraz bądźcie łaskawe dać oko i jak który nadpłynie to mnie sztuknijcie — zdrzemnę się kapkę. Co? to już nawet Łapserdaczka skończyła a wy jeszcze nie? woła Zielonkowa. Dalej, dalej, nie spać, pospieszcie się bo już niecałe dwie godziny. Pośpieszyłam się z bandażowaniem ostatnich dwóch sztuk bo spieszno mi było do umywalni czyli do palarni zapalić papierosa którego ofiarowała mi posługaczka i pospać z godzinkę w ustępie. Zrobiłam i gotowe zaczynam układać w skrzynce, aż tu liczę, brakuje cztery sztuki. Szukam gdzie by się podziały — nie ma. W końcu znalazła je Janka, gdzie? — w skrzynce śpiącej jak niemowlę Łapserdaczki. Były znaczone dlatego, że ja jedna miałam do bandażowania taśmę białą, podczas gdy inne miały na środku nitkę czerwoną. Zbudziłam śpiocha i skrzyczałam na ucho za „pomyłkę“. Zaczęła się mazać więc w rezultacie byłyśmy zmuszone z Janką jej pomóc byle „Zielenica“ nie zobaczyła. Powiedziałam sobie że już do brudasa rozkudłanego nie odezwę się, ale czy to można? Nazajutrz przychodzi do mnie i pyta: Pani Iro czy pani jeszcze gniewa się na mnie? — Pewnie! — Szkoda bo ja pani chciałam coś pokazać... Nie odezwałam się ale ta nie zrażona wyjmuje z torebki i kładzie przede mną zdjęcie jakiejś kobiety. Popatrzyłam i obojętnie wzruszyłam ramionami. To moja kuzynka powiada, właśnie ta co miała ze swym ojcem dziecko. — To mnie tyle interesuje jak te panine romanse po kątach ze szwabami! — Spojrzała na mnie głupimi oczyma ni to pomylonej ni to dziecka i łzy puściły jej się z oczu. Smarkała zupełnie tak samo żałośnie jak moja Iwonka gdy dostanie klapsa, a mnie zrobiło się nieprzyjemnie. Taką jest ta Łapserdaczka nie zła ale nieszczęśliwa i głupia. Coś mam wrażenie że mimo wszystko pisząc bezpośrednio po Jance o niej obrażam tą pierwszą. Do najjaśniejszych momentów naszego fabrycznego życia trzeba zaliczyć te chwile kiedy cała nasza sala podejmuje

jedną piosenkę. Największym powodzeniem cieszą się kolędy których sezon nie minął jeszcze. Kilka ładniejszych kolend Koppmann odpisał sobie. Co będzie gdy zbraknie Koppmanna tego jedynego niemca który wstydzi się za swych ziomków. Schindler i inżynier Derman nie cierpią go dlatego tylko że jest dobrym i nie należy do żadnej partii. Codziennie robią mu awantury z lada błahego powodu i nieraz już doskakiwali do niego w zamiarze uderzenia go. Uważają go za wroga gorszego od Polaka którego trzeba usunąć, dlatego to już w przyszłym tygodniu idzie na front. Na Nowy Rok urządził pożegnalne przyjęcie na które zaprosił samych Polaków a między innymi i umiłowaną swoją Halinkę Wietrzykowską. Wszyscy lękają się by miejsca jego jak przewidują nie zajął najgorszy z vorarbeiterów Skrobnięty. Ten niemiec to prawdziwy „odmieniec" i nieraz dodaje nam otuchy, szepcąc tym którym ufa: już niedługo nie stękajcie bo Ruskowi już czapkę widać. Nie boi się pan „Ruska"? Ja — może bym się bał gdybym ich nie znał. Pewno prawda nie ma czego się bać — przecież w Rosji się urodził i wychował. Ach byle prędzej przyszli nim zdążą się ziścić zamiary tych morderców, które Arnold w rozmowie z Wańdzią tak skrystalizował: Gdyby tu mieli przypadkiem na krótki czas wedrzeć się bolszewicy, to my przedtem wszystkich Polaków zagazujemy.

— — — — — — — — — —

Smutna, zrezygnowana idę do pracy i patrzę na olbrzymią lśniącą taflę wody. Gdzie są ci, których potem i męką zostało stworzone to piękne sztuczne jezioro. Żydów nie ma już od roku, ani na Ławicy, ani nigdzie w Poznaniu. Co stało się z Kiermaszem, moim sympatycznym Żydem? — pewno już nie żyje. Opowiadała mi Janiszewska o pewnym swoim znajomym volksdeutschu, któremu nagle odechciało się być niemcem, a masło niemieckie zaczyna go dławić. By dojść do tego przekonania że niemców nie można zaliczać do ludzi, trzeba mu było przez dłuższy czas być dozorcą nad Żydami których

w końcu wystrzelano. Według jego opowiadania odbyła się ta egzekucja w następujący sposób: Żydzi po wykopaniu przez siebie olbrzymiego kwadratowego głębokiego grobu, musieli wchodzić doń po dziesięciu. Po wystrzelaniu pierwszej dziesiątki, następnych dziesięciu Żydów przysypywało drgające ciała swych towarzyszów ziemią, by następnie z kolei stanąć samym jako druga warstwa. I tak dalej systematycznie wystrzelano maszynówkami wszystkich. Większość Żydów zostało pogrzebanych niemal żywcem, tak że według opowiadania owego niemca olbrzymia ta mogiła unosiła się jakby oddychała. Czyż to możliwem by takie potwory chodziły po ziemi? Cóż oni im zrobili, i czy wreszcie zrobili komuś jaką krzywdę? Może to wreszcie i prawda, że Hitler to antychryst, który zerwał się z łańcucha i na czele swych diabłów wojuje na świecie. To mnie nastraja ponuro.

W fabryce też wiele zmieniło się odkąd brakło Koppmana. Poszedł na front bić tych, których darzył sympatią. Jego miejsce jak przewidywaliśmy zajął Skrobnięty. Jest to człowiek tak ordynarny że trudno opisać. Na 70 kobiet w „wickelei" którymi dowodzi nie ma ani jednej która by nie odezwała się o nim z mściwą nienawiścią i zaciśnięciem pięści. W ogóle wszyscy vorarbeiterzy odkąd dostali to upragnione Leistung Pole, stali się gorsi dla nas, łącząc się z sobą solidarnie. Tym kanaliom wydaje się że my im zazdrościmy tych niemieckich kartek. Na szczęście teraz dopiero przekonałam się że właśnie ta reszta szarych nie wyróżnionych robotników i robotnic to Polacy ci prawdziwi. Głupcy nie wiedzą że oni nie tylko nie zazdroszczą, ale cieszą się że ich ten zaszczyt niski nie spotkał. O ile była tu między nami zaraza pracująca jak wół ponad ustaloną normę, to już jej nie ma, bo została wywyższona do godności właśnie forarbeiterki. W ów dzień kiedy majster ogłosił ich wyróżnienie volksdeutschka Garczarkowa winszując Zielonkowej ostentacyjnie niemieckich kartek żywnościowych i stuprocentowej płacy bez odciągania owych 20 procent, zwraca się do nas: widzicie jaki to zaszczyt ją spotkał za rzetelną pracę? Na to Ninka bez namysłu palnęła: Dziękujemy za ten zaszczyt wątpliwej wartości. Wszyscy zaczęliśmy się głośno śmiać. Renia

melancholijnie pokiwała potakująco głową a Zielonkowa ograniczyła się do obrzucenia Ninki nienawistnym spojrzeniem. Trochę miałyśmy strachu gdy Garczarkowa obiecała z naszymi nastrojami zapoznać majstra. Teraz Ninka wyłączywszy Renię jest od wszystkich zaszczyconych wiecznie sztorcowana i obdarzana najgorszą pracą. Zmienił się również Schindler. Ten najlepszy z majstrów stał się najgorszym psem sławnym na całe „Telefunken". Po twarzy bije z lubością i często. Między innymi dostała już od niego i „atakująca" Dziunia za przeglądanie się w lusterku. Wróciły znowu sceny oglądane już przeze mnie tam w kuchni przez okienko. Codziennie prawie odbywają się aresztowania najczęściej za sabotaże największe Polskie zbrodnie. Gdy tylko pojawi się wysoka i tęga postać Dymkego który jest przedstawicielem Gestapo na Telefunken, wtedy cisza na sali tak przeraźliwa że słychać febryczne dzwonienie szczękających ze strachu zębów. Nie zawsze jednak aresztują za wykroczenia popełnione na terenie fabryki. Można być stąd zabranym za głupie słowo powiedziane niebacznie w tramwaju i inne nieostrożności. Najpiękniejszą dziewczynę na sali, Olę i jej siostrę już kilka razy zabierali do Żabikowa za brata którego nie mogą złapać a o którym to może i nic nie wiedzą. Siedziały po kilka miesięcy ale, że należą do dobrych sił, stary robił starania i wypuścili je. Nikt nie jest pewny czy po niego właśnie nie przyszedł Dymke. Nie wolno nam już śpiewać i akordy nam podwyższono. Mnie Skrobnięty wcisnął taką robotę której żaden z mężczyzn nie chciał wykonywać. Dlaczego zlękłam się tej kanalii o szczurzym pysku. Mogłam nie nawijać tej pierwszej szpulki. Gdym się zmiarkowała jak ciężko nawijać te „luwikany" na które jest taki marny akord było już za późno. Próbowałam potem udawać że nie umiem ale daremnie — Skrobnięty wziął mnie na krzyk i pogróżki. Dostaliśmy nowego magazyniera — nazywa się Mocniejszy. Nazwisko to stosuje się doskonale do niego, choćby z racji jego czerwonej twarzy, karku i takich samych oczu oraz tęgiej figury, znamionujących siłę. Ubiera się lepiej od majstra i inżyniera, a taki lizus z niego, że spod nosa by im wylizał gdyby na to pozwolili.

Już słychać że ma dostać Leistung Pole. To dopiero rekord zdobyć w dwa miesiące to czego nasze magazynierki przez dwa lata nie zdobyły! Zielonkowa raz zauważyła że ten Mocniejszy to lepszy gość — kupiec, na to odzywa się panna Basia: (43 lata) kupiec głupiec! — burdel miał w Puszczykowie i wielkie co! — Musiałabym go nie znać. Jak się pani ubierze to też nie przymierzając wygląda na lepszego gościa, no nie? Zielonkowa obraziła się okropnie, bo istotnie ubiera się ładnie i jako żona podoficera, a obecnie Leistung Pole uważa się za coś lepszego. Mimo że przyzwyczailiśmy się do jej pogróżek które często spełnia skarżąc się majstrowi na nas, to jednak nie zmieni smutnej prawdy że razy od wroga nie są tak bolesne jak od swego. Ciężko jest pracować a właściwie gonić i szarpać w atmosferze wiecznego lęku za te marne grosze i te najlepsze obiady, składające się z żytniej porośniętej kaszy i sztucznych zup rozdymających brzuchy. Każdy mimo to krzepi się nadzieją zawartą obecnie w aktualnym i mądrym zdaniu: Im gorzej tym lepiej, dodając stereotypowo: przecież niemożliwe by mieli „Ruska“ pognać na powrót do Rosji.

— — — — — — — — — —

Częste ostatnio alarmy wprowadzają nas w dziwny stan: obawy pomieszanej z radością. Niech zrąbią całą fabrykę, byle nie trafili w ten budynek, w którego piwnicach się znajdujemy. Schindler jest wtedy najwięcej ruchliwy — wszędzie widać jego pobladłą ze strachu twarz. Jakieś dziwne wieści o mającym wkrótce nastąpić bombardowaniu krążą nie wiadomo z jakich źródeł. Ulotki, które ostatnio rozrzucili Anglicy po mieście nic o tym nie mówią. Udało mi się zdobyć jedną z nich — ale oprócz apelu do Polaków by wytrwali i niszczyli co się da niczego żadnych konkretnych zapowiedzi. Widocznie ci Anglicy nie wiedzą co nas czeka za sabotaż. Tu nie protektorat, tu nie ma partyzantów, tu jest bat pracy przymusowej za unikanie której grozi Żabikowo i „Fordy“. Co z tego, że uda się któremuś zwiać lub ukryć, gdy wzamian do obozu wezmą jego całą ro-

dzinę. Grono naszych vorarbeiterów powiększyło się o dwóch — jeden z nich Rólewicz z ogoloną głową, to chłopak niedawno zwolniony z „forów". Jest starym pracownikiem firmy i pracę zna dobrze, więc zrobił go stary vorarbeiterem z zastrzeżeniem, że na Leistung Pole jako karany nie ma co czekać. Z tym Rólewiczem pracuje się nieźle bo i sam się nie przepracowuje i drugich nie goni a z nie wyrobionym akordem też daje sobie radę, umiejąc zmyślać bajeczki o zaginionych szpulach. Ten drugi, Kwaśniewski jest najokropniejszym jego kontrastem — nieznośnym, ordynarnym smarkaczem. Ów szesnastoletni dzieciuch nie zawaha się w obecności samego Schindlera i Fluchsa wydzierać na kobiety które mogą być jego matkami. Jest typem najwięcej cenionego i przez naszych tyranów poszukiwanego pieska. Nowy magazynier też nie zawiódł ich nadziei i jak przewidywaliśmy został już Leistung Pole. Jest to tak fałszywy typ że podobnego trudno byłoby znaleźć. Tu do nas klnie szwabów, ale biada temu naiwniakowi który oprócz przytaknięcia coś dorzuci. U nas w „wickelei" była już też awantura przez niego. Iza vorarbeiterka z drugiej zmiany przyczepiła mu w Popielec tradycyjny woreczek z popiołem. Naturalnie że z owym woreczkiem na plecach paradujący po sali wywołał niemało śmiechu, ale jak to u nas bywa, śmiech nasz kończy się zwykle awanturą. Obrażony do żywego poszedł Mocniejszy na skargę do Schindlera. Rezultat był taki że „winowajczyni" Iza musiała się przyznać. Za karę „stary" obiecał ją zdegradować do stopnia prostej robotnicy i faktycznie przez tydzień siedziała na środku sali by ją wszyscy mogli podziwiać i nitowała na maszynie. Po tygodniu jednak gdy starego ominęło przywrócił jej utracone prawa, bo przyszedł do przekonania, że nie prędko znalazłby na jej miejsce następczynię. Iza należy do tych typów które nie skarżą się co prawda, ale są niemniej dociekłe w pracy i niemniej dokuczliwe od tych zwyczajnych, ordynarnych donosicielek.

— — — — — — — — — —

Idziemy na „fory" tzn. że nasze Telefunken, a najpierw nasz werk 9 zostanie przeniesiony na Fort VII. Będziemy pra-

cować w najgroźniejszej katowni Wielkopolski a może i całej Polski. Nasze warsztaty będą się mieściły w groźnych lochach, miejscu kaźni tysięcy najlepszych Polaków. Będziemy oddychać powietrzem którym oddychali ci męczennicy których już nie ma. Niestety już wiemy na jaką to „gruźlicę" poumierali ci których najwięcej szanowaliśmy. Chłopcy którzy byli tam robić porządki, opowiadali że ściany które zamalowują były całe zlane krwią, nie mówiąc już o lepkiej wprost podłodze zasłanej całą masą wszów, pluskiew i wszelkiego robactwa. Usunięci z „forów" więźniowie mają być umieszczeni w Żabikowie. Fort VII ma uchronić naszą cenną firmę przed bombardowaniem którego spodziewają się na Wielkanoc.

Obecnie pracujemy na dwie zmiany po 12 godzin i na Wielkanoc mamy pracować tak samo. Przy tym wściekłym akordzie na „głodnego" praca ta jest dla nas męczarnią. Ja już od dwóch tygodni nie widziałam dziecka inaczej jak śpiącego, dlatego że byłam wypożyczoną do „luwikanów" na drugą zmianę. W domu mieszkam teraz 8 godzin, bo obojętnie w dzień, czy na nocki wychodzę z domu przed 5-tą, a wracam pociągiem przed 8-mą rano. Lepiej byłoby autobusem ale niesposób dostać się do niego. Czasami robi mi grzeczność wciągając mnie za ręce do natłoczonego autobusu, ale wolę zrezygnować z tej uprzejmości, bo ciężko mi strawić gdy potem głośno i ostentacyjnie zaczyna do mnie po niemiecku przemawiać Jaszwilowa. Kiedyś oficer jeden, słysząc jej głośne wygłupianie się, wziął mnie za niemkę i grzecznie ustąpił miejsca. Podziękowałam objaśniając żem Polka, ale ten po sekundzie wahania powiada: Nie szkodzi, proszę. Widocznie wtedy zrozumiała, a że jest cwana więc po wyjściu z autobusu odzywa się: Podobał mi się pani gest — tak, tak, każdy powinien być dumny ze swej narodowości. Wiem że Jaszwilowa jest Polką ale udając „greka" mówię: naturalnie, pewnie i pani jest dumna z tej swojej ojczyzny — wskazałam na chorągiewkę emaliowaną o barwach gruzińskich wpiętą w klapy futra. O tak, nie zmieszała się,

Gruzja jest obecnie i moją ojczyzną. Myślę że niebawem tam „wrócimy“ gdy Hitler zgniecie bolszewików i tym samym da wolność wszystkim państewkom kaukaskim, a mąż mój ma tam piękny majątek, piękny. To pani tak wierzy w słowa Hitlera i jego rzekome posłannictwo? Skądże? — czy pani doprawdy jest tak naiwną i nie rozumie polityki? Przecie to jasne, że oni (pewno alianci) umyślnie dopuścili do tego by on za nich zrobił w Rosji „czystkę“. Wysłabionego potem łatwiej wykończą. Nadjechał tramwaj i rozeszłyśmy się, każda wsiadając do swego wozu — ja do przyczepki a ona do pierwszego „nur für Deutsche“. Szkoda, bo nie zdążyłam jej zapytać jak to możliwe, gdy Rosjanie już są na naszych terenach. Widocznie ta zwariowana stara „Fekete“ jak ją nazywają istotnie zwariowała.

Życie moje staje się znowu ciężkie czyli że wraca do normy przeznaczonej mi przez złośliwe Erynie. W domu jestem tak krótko że nie mam nawet czasu wytłumaczyć mamie dlaczego jęczę po nocach. Wczorajszej nocy gdy mnie pytała co mnie boli przez sen wytłumaczyłam że „bolą mnie kamienie“. Dlatego to rano była mama zapłakana bo mama wie co to za męka pracować gdy „bolą“ te obrzydliwe kamienie żółciowe. Idź do lekarza dziecko! Łatwo to powiedzieć matce idź do lekarza, gdy nie wie kto jest tym lekarzem. Jest nią obecnie Polka, niej. p. Węsław. Niemniejszym od naszej radości na nową lekarkę Polkę jest nasze rozczarowanie. I cóż z tego że ta złośliwa, ironiczna, wiecznie mrugająca doktorowa jest Polką. Czy z tego godnego tytułu jest tak ordynarna bo nie mylą się chyba ci wszyscy którzy zgodnie twierdzą że dotąd firma Telefunken nie miała tak ironicznego lekarza. Żaden z dotychczasowych niemieckich lekarzy, a było ich sporo, na skargi chorych nie odpowiadał tak ryczałtowo stekiem ironicznych docinków i złośliwych uwag o apetycie na wypoczynek. Wychodząc od niej płaczące kobiety wspominają o innej lekarce o niezapomnianej Starkowskiej. Ach gdyby ta tu była, to na pewno uśmiechem swym jasnym i słowem pociechy ulżyłaby naszym cierpieniom.

Tak ale tej już nie ma, bo Niemcy ją „zjedli“ jak wytłumaczyła mi pewna kobiecina kiedy o nią pytałam na ul. Kopernika. Wiemy przecież jak niewielką jest moc polskich lekarzy, ale niechby tak prosto po ludzku powiedziała jak człowiek do człowieka i Polak do Polaka: Wiem że cierpicie i o ile by to zależało ode mnie to na pewno bym was zwolniła, ale niestety, widzicie kto mierzy temperaturę. Stałam w ogonku z kartą lekarską w ręce, a na ustach z prośbą o zwolnienie mnie choćby na dwa dni, lecz gdy zobaczyłam zapłakaną astmatyczną Ninkę i inne chorowite kobiety które dotychczas były zwalniane, zaniechałam zamiaru. Przekonałam się że w opowiadaniach o jej ordynarności kobiety ani o włos nie przesadziły. Po godzinnym czekaniu dobrnęłam do jaskini „koczkodana“ która mieściła się za białym muślinowym parawanikiem. Chory o swych dolegliwościach musiał opowiadać dosłownie „na uszach“ całego rzędu czekających. Życzenia swe zredukowałam jedynie do prośby o przepisanie mi tabletek „chologen“. Na co pani chce te tabletki pyta. Przecież to na wątrobę i na pewno nie dla pani. To drogie tabletki i zresztą wątpię czy pani dostanie. Wysłuchałam trajkotania i klaruję jej że właśnie ja choruję na wątrobę i pokazuję jej diagnozę: o ta co napisane „leber“ to od dr. Eberhardta, a ta, co Galenstein to od dr. Fiewega. A w kartotece jest wynik z prześwietlenia. Aha rozumiem to pani u jednego była chora na „kamienie“ a u drugiego na wątrobę i nim się zorientowałam zaczęła mi wymyślać w liczbie mnogiej o ciemnej, co gotowa uznać lekarza za głupiego, dlatego, że nie ma elementarnego pojęcia o anatomii. Takim głupcom zdaje się że wątroba i żółciowe kamienie to tak odrębne choroby jak angina i ślepa kiszka. Nie mogłam już wytrzymać i wyzwałam ją w imieniu wszystkich. Z całej mojej przemowy pamiętam jedynie zakończenie które brzmiało mniej więcej tak: Zapamiętaj sobie raz na zawsze szanowna i wielce uprzejma językiem gojąca rany lekarko, że nie trzeba nigdy prostych ludzi robić głupszymi niż są w istocie, bo choć żadna z nas nie kończyła medycyny, to na pewno każda miała sposobność zauważyć w swym dawnym

życiu, w czasie patroszenia drobiu, że woreczek z żółcią leży właśnie w wątrobie, a nie w sercu. Wiaruchna w ogonku tak się głośno śmiała, że nawet nie dosłyszałam co mi raczyła odpowiedzieć, ale recept napisała. Już chyba teraz przez tą dr. Węsław przeklnę całą Galicję, bo sądząc z akcentu stamtąd właśnie pochodzi. Po to pewno umilkły napady na „Galicję i Kongresówkę" określone ogólnym mianem ciepłych krain, by znowu wybuchnąć ze wzmożoną siłą. Ożyły zadawnione żale mniej czy więcej słuszne o panach radcach i innych wykształconych łachudrach co przyszli tu z tobołkami i Poznaniakom wydarli lepsze kęski chleba, sadowiąc się na najlepszych posadach. Nieraz to aż przykro słuchać tych pełnych nienawiści szyderstw o ich zwyczajach, życiu, mieszkaniu i mowie. Nie wiem czy istnieje jeszcze gdziekolwiek na świecie taka nienawiść regionalna i ciekawam czy i my jesteśmy nienawidzeni w tych „ciepłych krajach". Nieraz słuchając tych gadek ma się wrażenie że nienawidzą ich na równi z niemcami. Któraś inteligentniejsza zauważyła kiedyś że to przecież też Polacy i może więcej dali nam znakomitych ludzi niż wydały ich te ziemie tak „kulturalne" będące 150 lat pod pruskim zaborem. Trochę ich to ubodło a Krysia M. zaczęła świecić jej „naszym": Kasprowiczem i Kopernikiem, ale zręczne objaśnienie i udowodnienie iż nie jest to tak bardzo ich osobistą zasługą że Wielkopolska ma wsie i miasta porządniejsze i mniej brudne, zrobiło swoje. Racja, racja, odzywały się potakujące głosy, car rosyjski mało się troszczył o Polskę, gdy i u nich była „bryndza". Były nawet wszystkie ostentacyjnie miłe dla tych zbarakowanych „chadziajek" ze Zduńskiej Woli. Teraz znowu ożyły niemiłe dla niektórych gawędy o „galicjakach" a wszystko przez jedną naprawdę niesympatyczną galicjankę. Urodziłam się tu i wychowałam więc niesposób bym nie kochała tej ziemi i jej autochtonów, ale czasami nie mogę spokojnie słuchać ich samochwalstwa. Może i racja że naród ten prosty, o mowie twardej i stanowczych charakterach jest istotnie pracowitszy uczciwszy i mniej rozwiązły, ale dlaczego oni wszyscy ciągle o tych swych cnotach

mówią. Zresztą nie ma się czemu dziwić — nauczyły się cenić ich i wysławiać pod niebiosy swe Wielkopolskie cnoty przedwojenne gazety. Niewiele pewnie brakowało by między apelami do bojkotowania Żydów ukazały się i hasła wszystkiego co nie jest wielkopolskie. Teraz nienawiść ta ma inne podłoże. Coraz częściej piszą znajomi z Protektoratu że jest im nieźle i dziś cieszą się że zostali wywiezieni. Ich los się poprawił, gdy tymczasem u nas coraz gorzej. Państwo Ciepliccy z Warszawy, pisali nam, że Warszawiacy zapomnieli już grozę 39 roku i bawią się tak jak przed wojną. „Kawiarnie i dancingi przepełnione". Smutek swój topimy w „bimbrze".

My Poznaniacy niestety nie znamy bimbru, a w lokalach Łojpa i Kamińskiego jest tylko czarna ersatzowa lura zwana kawą oraz lemoniada i piwo. Gdzie tylko w prywatnym domu usłyszą trochę muzyki (na organkach ustnych) i więcej śmiejących się głosów, tam włażą i biorą do pracy. Mało już jest ludzi dla których niedziela jest dniem odpoczynku. Jeśli uda czasami się dostać na niedzielę wolne to tylko na pranie ją się wykorzystuje. Nie ma rodziny która by bodaj jednego z swych krewnych najbliższych nie miała w obozie lub na „forach". Nie ma dnia by u nas nie zabrali kogoś ze sali. Idzie taka ofiara tak jak stoi nie wiedząc za co i czy wróci tu. Za niewykonywanie akordu Schindler najgorszy obecnie z całej sfory majstrów naszej firmy, wysyła na 24 godziny do Żabikowa. W tym tygodniu za dopisywanie sobie akordu już po raz drugi zabrali Irkę Rabiegę. Wyjątkowo tej właśnie dziewczyny nikt specjalnie nie żałował z tej racji że miała zwyczaj „kochać" się z niemcami, lecz gdy po 24-godzinnym pobycie przywieźli ją z powrotem do pracy to naprawdę żal było patrzeć. Delikatne jej ręce o czerwono lakierowanych paznokciach były po łokcie zawalane w kale ludzkim. Trzęsła się w febrze a twarz jej z dziko wytrzeszczonymi oczyma, obramiona potarganemi i w gnoju upapranemi włosami robiła wstrząsające wrażenie. Gdy ją zawieźli opowiada musiała wraz z innymi „koleżankami" bez

przerwy szybko biegać. Gdy ze zmęczenia zwalniały dostawały na zapęd — batem po nogach. Gdy po kolei zaczęły padać zemdlone, wylewali na nich dla otrzeźwienia kubeł zimnej wody i znowu biegi. Następnie dla odpoczynku wygarniali gołymi rękoma gnój z kloaki, a potem znowu biegi bez chwili spoczynku, bez jedzenia i bez kropli wody. Dobrze gdy któraś miała karę tylko przez dobę, ale były takie które były w ten sposób karane kilka dni z rzędu. Żadna z nas już teraz ani marzy o drykowaniu się, byle nie podpaść. Nawet Łapserdaczka rozruszała się. Ostatnie obliczanie dla nas akordów było fatalne bo im wolniej starałyśmy się robić, gdy ten z komisji siedział z zegarkiem w ręku obliczając minuty na każdą operację, tym gorzej. Kombinacje tyle pomagały że akord zamiast jak domagałyśmy się pomniejszyć, podwyższyli nam.

Nie wiem jednak czy im to wiele pomoże gdy główny oddział w Berlinie został strzaskany. Rąbią Angliki Berlin już solidnie. Henze zastępca Schindlera przywiózł już swą żonę z Berlina i umieścił ją na jakiejś zapadłej wsi na Pomorzu bo powiada że tu w Poznaniu już też niepewnie. Oj jakiego oni mają pietra o swoje życie. Teraz już zbędne są nam wieści z radia, za którego słuchanie trzeba było głową płacić. Ostatnio po chryi jaką niemka Adamietz urządziła Sanderom za słuchanie radia przez ich służącą nie chodzę do Sanderów, a raczej do Zdzichy. Zdziśka naturalnie wyparła się: Słuchałam tylko muzyki, ale oficer prowadzący śledztwo, nawiasem znajomy Sanderów, oświadczył że służącej Polce ani muzyki nie wolno słuchać. Nie martwię się tym tak bardzo bo ostatecznie komunikaty te same podaje ostatnio choć o miesiąc spóźnione i w oględnej formie i Beobachter. Wystarczy zresztą spojrzeć na zastraszone twarze berliniaków, starających się usilnie utrzymać maskę butnej pewności siebie.

— — — — — — — — — —

Koniec już z moimi przejażdżkami tramwajem, koło gruzów byłej „fokewul". Ach jak ślicznie zrąbali tą fabrykę samo-

lotów przy ul. Marsz. Focha. Choć raz zapowiedź została spełniona — rozwalili te tandetne pawilony z tak cenną dla nich zawartością. Tylko nasze Telefunken stoi — albo zapomnieli albo zostawili na deser. A szkoda, bo mogli sobie walić gdyż nikogo prucz luftschutzu nie było, bo my pierwsze święto odrobiłyśmy przedtem. Samoloty „przyszły" w samo południe. Dopóki krążyły nam nad głowami powłaziliśmy do dziur w ogrodzie, a gdy oddaliły się w stronę miasta powłaziliśmy na dachy by obserwować. Weszłam i ja po drabinie z Iwonką na ręku popatrzeć na maleńkie, a tak okropnie burczące samolociki. Pogodę mieli na obstalunek, powietrze przejrzyste, słońce i niebo bez chmur wysokie. Tym razem czuliśmy, że będą walić, no i walili tam gdzie chcieli i tam gdzie nie chcieli. Samych Polaków zginęło w tym bombardowaniu przeszło 30. Ale komedię wyprawili. Teatr. Ofiary (Polacy) były chowane z pompą — wieńce, księża i udziałem władz. Są w gazetach fotografie. Farsa zupełnie podobna do tej jaka odbyła się po „wykryciu" grobów katyńskich ofiar. Mychno i Kaziku, przyjaciele moi radośni, dlaczego właśnie wam nie danym było doczekać końca. Spełniło się ale jakże szybko. Twoje pragnienie — umarłaś razem ze swym najmilszym mężem. To było jej wyraźnym życzeniem, bo kiedyś mówiła mi że nie chciałaby umrzeć prędzej od swego Kazika, ale jeszcze bardziej nie chciałaby przeżyć go. Pracował na kolei, a ona spodziewająca się lada dzień narodzin ich pierwszego dziecka poszła zanieść mu obiad świąteczny. Pod mostem kolejowym spotkali się i tam właśnie trafiła ich pierwsza bomba. Zostały z nich strzępy tylko dziecko jakimś potwornym przypadkiem było całe. Ułożyli je w małej trumience i pochowali obok resztek jego rodziców. W taki to sposób pokazał nam się początek niewiadomego jeszcze końca.

Za zbombardowaniem przyszło to czegośmy się tak obawiali, — pracujemy już na „forach". Nie zapomnę nigdy tego dnia gdy po raz pierwszy w ową niedzielę przeprowadzki, znaleźliśmy się w tych grozą sławnych murach. Nie wiedziałam, że nazywa

się to „Fort Colomba". Tu w tych potwornych stęchłych murach cierpieli katusze nasi bracia, a było ich tysiące. Tu w celach 51, 52 i 60 siedział kolejno mój Ojciec. Są to cele bez okien zimne i cuchnące. W naszych celach mimo że mają zakratowane okna przez które już od miesiąca leci „frische luft", jest okropny zaduch. Na dworze grzeje majowe słońce, a tu zimno, przeraźliwie zimno. Jutro mają przestać palić. Nie wiem jak wytrzymamy, a zwłaszcza nocą. Jedno tylko jest teraz dobre, pracujemy sami, bez montażu. Wickelei zostało same a i montaż został podzielony na pięć części. W naszej sali zrobionej z dwóch cel mieści się tylko 40 kobiet. Jeszcze jedna pociecha — nie ma z nami niemców, a ten malutki „Beniaminek" kręcący się u nas jak smród tylko w dzień nie jest taki groźny, byle go Zielonkowa i Skrobnięty nie zbuntowali. Skrobnięty go nie lubi, to on to właśnie zajął jego miejsce. Skrobniętemu zdawało się że już nikt prócz starego nim rządzić nie będzie, tymczasem inaczej. To nic że ten mały się wcale nie zna na robocie, wystarczy że jest niemcem. Tak, tak brutalu z muszką u koszuli i ulizanymi włosami, stary może ceni pracę, ale osobę twoją ma w portkach. Może wreszcie zrozumią ci nasi poganiacze gorliwi, że żaden z niemców nie ceni ich jako ludzi lecz jako pożyteczne bydło. Przecież i krowę i konia i psa tak samo klepią łaskawie po plecach jak was i tak samo jak już i wielu z was odczuło, kopią was tak jak zły i nieludzki gospodarz kopie swe bydło. Wielu z naszych poganiaczy już zaczyna przeglądać i „cieniej śpiewać", ale tej ogromnej reszcie potrzebne są koniecznie niemieckie kopniaki i policzki. Na szczęście w porównaniu z masami tych szarych nie wybijających się pracowników jest ich niewiele.

— — — — — — — — — — — —

Biedna Wańdzia, spadło na nią to czego najmniej się spodziewała — zabrali ją do kopania okopów. Nie chciała robić bomb, więc doczekała się zaszczytniejszego zajęcia — tamowania pochodu „wroga". Pojechała w pierwszym transporcie i nie

wiadomo dokąd. Już tydzień jak wyjechała, a listu jeszcze nie ma. Trudno już i w domu tych kilka marnych godzin wytrzymać, bo mama stale płacze jakby już ją co najmniej do Żabikowa zabrali, a i to smarkate patrząc na babcię, poskrzekuje stale. Robię dla niej najpocieszniejsze z moich min, ale nic nie pomaga — patrzy na mnie jakimiś krytycznemi nie dziecinnemi oczkami bez cienia uśmiechu. Pewno nie bardzo bym się zdziwiła, gdyby wzruszyła lekceważąco ramionkami. Sobaczy los! Heniek gdy się dowiedział, że szwaby już zaczynają i o swych „celowych wycofywaniach" pisać, znosi jakieś stare gazeciska, które Jezierscy powiesili w ustępie i ślabizując mozolnie swym sztywnym językiem, pyta co chwilę: a co to znaczy, albo to? Gdyby choć umiał poprawnie przeczytać. Nudzi się w domu chłopisko z babami, wiem, ale cóż poradzę.

Z początku te „wściekłe Kaliszany" to co niedzielę byli, a teraz gdy pozawierali już w mieście znajomości, to żaden z nich nosa nie pokaże. Mogliby przyjść czasem przez samą grzeczność, niechby sobie pograł w tego brydża, ale to wszystko takie dobre... Jednego tylko doczekał, że zamiast rowerem jeździ do pracy później troelebusem i tramwajem. Zrobili mu tą „łaskę", gdy po przymusowym prześwietlaniu zauważyli jakieś cienie na jego „dudach". Nic go nie boli tylko jest słaby. Skąd może być mocny? Przecież ten chleb z 100 proc. mąki i kartofli smarowany marmeladą z brukwi i marchwi nie bardzo posila. Na jego rowerze teraz ja jeżdżę. Dziesięć minut jazdy i jestem w domu, za to ci z miasta wiedzą teraz co to znaczy przemierzać nocą pieszo całe miasto. Idą nocą ale gromadkami, nie tak jak ja sama. Na dworze rozpostarło się już na dobre gorące lato. Rozsiadło się gorącymi pośladkami i na naszym forcie VII, bo zimno gdzieś uciekło, robiąc miejsce powietrzu dusznemu i ciężkiemu. Kobiety mdleją jak najęte, co chwila którąś wynoszą. Stary pozwolił bez pytania wychodzić gdy komuś zrobi się w nocy słabo. Nam tego powtarzać nie trzeba — całe podwórko roi się od spacerujących słabeuszów. Ja mimo,

że siedzę przy jednym z dwóch okien, też „zasłabłam". Spacerowałam sobie patrząc w rzęsiście oświetlone okna. Jedyne miejsce w Poznaniu gdzie okna pozbawione są „verdunklów". Tu zaciemnianie jest zbyteczne, bo gdy jest alarm to po prostu gaszą światła, a my siedzimy w ciemnościach lub schodzimy przeczekać do korytarzy podziemnych tam gdzie jest kuchnia i gdzie straszy. Stoimy tam zbici w gromady i trzęsiemy się od już wiecznie tu panującego chłodu i od strachu. Nie o swoje życie drżymy, bo my tu pod zwałami grubego muru pokrytego ziemią jesteśmy bezpieczne, lecz o swych najbliższych. Pieśni Maryjne płynące strumieniami leją się przez otwarte okna wraz ze światłem, i płyną daleko, żłobiąc niby strumyk górski koryto w czarnej granitowej skale ciemności, a echo ich tęskne wpada w głębokie fory i moje serce. Jakże inne są teraz te straszliwe „fory" — miejsce piekielnych katuszy, lokalne nasze piekło zamieniło się w kościół. Gdyby ci więźniowie, których wywieziono stąd do Żabikowa, mogli tak przez chwilę posłuchać tego śpiewu płynącego wprost z serc istot pozornie wolnych. Wolno nam śpiewać dla otrzeźwienia, byle nie usnąć, byle jak najwięcej zrobić. To wszystko dla wermachtu i dla siegu. Róbcie Polaczki i śpiewajcie sobie aż do naszego zwycięstwa, a potem zdławimy was i to będzie ostatnie nasze zwycięstwo. Słusznie przecież gauleiter Greiser powiedział, że Polak na tej ziemi jest bezpieczny tylko wtedy gdy znajduje się 3 metry pod ziemią. Poznaniu mój ukochany, miasto jedyne w Polsce, miasto niezwykle pełne kontrastów potwornych. Jest w tobie więcej może niż gdziekolwiek odszczepieńców, ale i męczenników jest tu więcej niż w innym mieście. Ten fort VII to pomnik bohaterów, którzy tu za polskość swoją życie oddali. Zostali tylko zdrajcy i my szary lud roboczy, niegroźne bydło, które w razie niebezpieczeństwa obiecują unicestwić gazami. Tak, na razie jeszcze należymy do szczęśliwców, porównując los nasz do losu tych uwięzionych nędzarek i nędzarzy. Przychodzą tu jeszcze pracować przy porządkowaniu dziedzińca. Pracują milcząco,

gdyż za odezwanie się któregoś grozi im bicie. Wymiar kary ze względu na nas odbywa się jednak dyskretniej. Posiłek ich składający się z wodnistej zupy, jest wydawany w takich porcjach, że nie wystarczyłby do zaspokojenia głodu dwuletniemu dziecku, dlatego też po połknięciu kwaterkowej porcji rzucają się łapczywie na nasypy porośnięte trawą i z gorączkowym pośpiechem wyrywają i pochłaniają trawę okraszoną listkami szczawiu. Ten widok wyciska nam łzy z oczu i nawet niemki mają ponure miny. Dotychczas podczas przerwy zostawialiśmy im skibki chleba, który znalazłszy pakowali sobie w usta i łykali całe skibki, resztę chowając gdzie się dało. Nam obserwujących ich z okien słali całusy, a jeden z nich jakiś starzec uklęknął i złożywszy w naszą stronę dłonie, zaczął się modlić. Ale to już skończyło się — nie tylko że nie wolno nam podczas przerwy wdrapywać się na wzgórki by usiąść na murawie, lecz nawet zbliżyć się do terenu porosłego trawą. Z jednej strony bramy usunięto już nasyp zielony spod którego wyłoniła się wysoka na kilka metrów ściana z cegieł, do której przylegał nasyp. Teraz do ściany tej przylegać będą magazyny, na których budowę budulec już zwożą.

— — — — — — — — — — — —

Znowu pracujemy na trzy zmiany, t. zn. my w „wickelei". Za wiele było „auschussów". Przyszli wreszcie do przekonania, że niewiele mogą być warte szpule nawijane przez istoty nieprzytomne z przemęczenia 12-godzinną mordęgą. Teraz wolę pracę w nocy niż we dnie, bo nie ma Schindlera. Łażą tylko Henze albo Fluchs. Z tym Fluchsem i z jedną z robotnic osiemnastoletnią Dziunią była porządna chryja. Cały werk od dawna już wiedział dzięki komu Dziunia nagle stała się vorarbeiterką. Jest niebrzydką i zgrabną dziewczyną, więc miała do wyboru wielu chłopców z fabryki, ale ona wolała tego wstrętnego szczura Fluchsa. Gdyby jeszcze był kawalerem, ale nie — był

mimo swych 23 lat żonaty i miał już sporego synka. Ja sama kiedyś jeszcze tam na starym miejscu przydybałam ich całujących się między szafkami i garderobą ustawioną wzdłuż rampy łączącej górą dwa budynki. Byłam w łapciach, więc nie słyszeli mych kroków, a ja słysząc szmer, w przeświadczeniu że to złodziej dobiera się do szafek, zaczęłam się skradać, a potem znienacka skoczyłam jak jastrząb wprost na nich. Było mi nieprzyjemnie, ale im pewno też, bo jeszcze do dziś Fluchs i Dziunia spuszczają oczy przede mną. Dla nas stosunek ich był publiczną tajemnicą, bo kiedy nocą Dziunia ulatniała się, to już z góry wiedzieliśmy, że Fluchs zniknie na godzinę lub dwie, ale stary nie „pracował" w nocy, więc nic o tym nie wiedział. Dowiedział się o tym nagle, z całkiem głupiego jak dla nas powodu. Któregoś dnia głupia dziewucha chcąc się podliznąć „staremu", poszła nagadać, że Lewandowski vorarbeiter z montażu, ten czarny chłopak z wielkim nosem, z którego jedna połowa ma nozdrze wywrócone na zęby i skręcone w brzydką ślimacznicę, mało goni swych ludzi. „Jej ludzie" wykonują tą samą pracę i prędzej i lepiej. Stary łasy na donosy i wiecznie polujący na okazję, zrobił mu naturalnie piekło na całe gardło i wtedy chłopak przez zemstę powiedział staremu, że tą gania za Fluchsem. Co się robiło — do fabryki została sprowadzona żona Fluchsa i przy udziale winowajców, pokrzywdzonej i oskarżycieli odbyło się coś w rodzaju rozprawy sądowej. Winowajcy naturalnie wyparli się bliższych znajomości i skończyło się, bacząc na młody wiek i gorliwą pracę dziewczyny, na wyszydzeniu winnych. Za karę „stary" zdegradował Dziunię do zwyczajnej robotnicy i przydzielił ją na drugą zmianę, by nie miała sposobności do kontaktowania się z kochankiem. Jednak tej smarkuli jest zupełnie obcym uczucie wstydu, szuka okazji by choć przez chwilę z nim się widzieć, a robi to na oczach wszystkich. Podczas obiadu, który jemy obecnie poza obrębem fortu, na porosłej drzewami polanie, zjawia się w plażówce i ogromnym słomianym kapeluszu. Tu przychodzi się

plażować, ku drwinom mężczyzn i naszej uciesze, zamiast spać. Pracują przecież po 12 godzin. Niestety takich głupich dziewuch jest pełno. Obiecują tym dziewczynom nasi, oj obiecują. No, zobaczymy po wojnie, czy też spełnią te groźne obietnice.

Nasze panie „majstrowe" ostatnio potraciły nieco ze swego animuszu, odkąd na ścianach ohydnego ustępu zaczęły się pokazywać olbrzymie napisy: Wy Leistung Polaki szykujcie wasze s... Marta niestrudzenie zamazuje je, niby ku naszemu bezpieczeństwu. Co by było powiada, gdyby to stary zobaczył, my jej przytakujemy, tak, tak, zmazuj Marciu, bo to przecież niemiło gdy tak straszą porządnych ludzi. Ich żądłem i obiektem wrogiej nienawiści stała się ostatnio wesoła mężatka Bronka. Ta wie zawsze wszystko, bo wyrasta tam, gdzie jej nie posieją. Było to tak: w tym „sezonie" grono mniej niż miernych robotnic powiększyły nasza lokalna piękność Fela Suligowska i jej serdeczna przyjaciółka Krysia Mazany. Akord mają co prawda mizerny, bo obie nawijają transformatory o 12 tys. zwojach drutem 0,66 mm. i niezliczonymi ilościami końców, które trzeba cynować, a następnie nakładać na nie wężyki. Krysia jak Krysia, ale Fela gdyby pilnie przysiedziała, to by zrobiła, ale ta zupełnie według nas słusznie stwierdziła, że oczy jej od bezustannego „ślipiania" stają się czerwieńsze od ust i w ogóle tracą urok. Zielonkowa poskarżyła się na jej lenistwo „Beniaminkowi", ale jakoś machnął na to ręką i nic. Obie dziewczyny miast trzech nawijały dwa transformatory a trzeci napoczęty dla pucu zostawiały i ulatniały się, lub przychodziły na pogawędkę do naszego stołu. No, powiada Krysia, Zielonkowa już nas nie powinna gonić, bo obowiązek swój spełniła i naskarżyła „pipusiowi". Stary nic jej nie zrobi już za nie wyrobiony akord, bo może wszystko zwalić na „pipusia". Zielonkowa jednak w swej lojalności dla firmy, jak nam udowodniła Bronka, posunęła się do podłości. Tą Bronkę, jak to zazwyczaj u niej bywa, tuż po północy obsiadły psie muchy. Słabo mi ojojoj i buch z krzesłem pod stół. Drzemiące kobiety pobudziły się

i zaczęły się śmiać, bo zemdloną nagle coś siekło i zaczęła na czworakach wędrówkę pod stołami, łechcąc kobiety po nogach. Śmiałyśmy się głośno gdy co chwilę z nad innego stołu wyłaziła rozczochrana jej głowa o twarzy najpocieszniej wykrzywionej. Fela śmiała się najgłośniej, a Zielonkową właśnie ten jej śmiech „śmierdzącego nygusa" najwięcej irytował. Wstała i spuszczając ze smyczy swoje oczy, szczuła nimi niby psami, mało o nią troszczącą się Felę, po czym zbliżywszy się do Marty grzebiącej w regałach, zaczęła do niej prędko gestykulując coś półgłosem mówić. Skończyła i wróciła do swojego stołu, gdy w tej chwili spod niego właśnie wykwitła Bronka. Tym razem jednak nie schowała się z powrotem a twarz jej była poważna. Zaczęłyśmy ją wołać, ale ta ruchem ręki nakazawszy nam milczenie, odezwała się: Pani Zielonkowa, może pani będzie tak łaskawą i powtórzy nam to co powiedziała pani po cichu do panny Marty. Ta cała czerwona z gniewu każe jej w tej chwili iść na swoje miejsce. „Do roboty marsz". Tak, pójdę, ale pozwoli pani, ukłoniła się przesadnie, że spełnię swój koleżeński obowiązek. Panno Felu, uwaga, bo ta oto pani Zielonkowa ma zamiar iść na skargę tym razem do samego majstra, by panią posłał gdzie należy, bo Beniaminek jest za głupi i za miękki. Skończyłam. Tego co potem nastąpiło, nie potrafię opisać. Posypały się z naszej strony niby pociski wyzwiska i obelgi. Nawet volksdeutschki pluły nazywając ją padliżną i prawdziwą polską świnią. To że obowiązkiem jej było z wszelkich niedociągnięć zdawać relację Beniaminkowi, wiedzieliśmy wszyscy, a ten mógł postąpić według swej woli, która co prawda była dość ograniczona, bo był zależnym od humorów Schindlera tak samo jak i wszyscy niemcy zajmujący zastępcze stanowiska, ale by gorliwość tej „siekiery" posunęła się aż do tego stopnia, to było oburzające. Teraz całą swą nienawiść przeniosła na Bronkę. Marta kuta na cztery boki i ostatnio straszna patriotka, zajęła w tej sprawie stanowisko neutralne, co więcej chcąc się wybielić trochę ze swoich dawnych wybryków, zawiadomiła Bronkę, by miała się na baczności, bo ta obrażona Zielonkowa

wybiera się na nią do starego. Bronka wysłuchawszy, oświadczyła, że skoro Zielonkowa ją ruszy, to wtedy stary dowie się kto się w nocy wysypia po kątach i kto robi na drutach swetry zamiast z Martą pilnować ludzi. Przywtórzyłyśmy wszystkie wiedząc, że Marta wszystko Zielonkowej powtórzy, a Bronka jest nadal wesoła i zabawia nas swemi kawałami i piosenkami. Śpiewają czasem obie z Ninką, a czasami solo zaczyna nam na te same melodie improwizować piosenki dość zabawne i nie zawsze pozbawione sensu. Wczoraj za jej i Niny inicjatywą urządziliśmy wieczór wspomnień. Bronka deklamowała Kasprowicza „Błogosławionych", a potem koncert Jankiela. To tym Żydom, których już nie ma, szepnęła mi jakby zawstydzona na ucho. Jest tak bardzo rasową poznanianką, że wstydzi się tego powiedzieć głośniej, by ją czasami nie posądzili o żydofilstwo. Ciekawy typ z tej Bronki. Coś zaczynam ją podejrzewać, że jest mniej głupia niż wygląda i niż stara się nam pokazać. Zdziwiłam się niepomiernie gdym ją raz podczas obiadu zobaczyła z dwiema paniami należącymi do naszego byłego „towarzystwa". Gdy ich potem zapytałam skąd znają tą roztrzepanicę, którą my tu nie bierzemy na serio. Bronkę? ależ ona mimo swej wesołości jest bardzo poważną kobietą. Coś podobnego. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdyby mi to oświadczył kto inny, ale pani Pniewska, żona inżyniera, który zginął właśnie tu „na forach", i żona publicysty dr. Brossiga nie lubią mówić na wiatr. Jak to jednak pogodzić? — Nie widziałam większego od niej roztrzepańca. Kiedyś zaczęły się z Felą okropnie sprzeczać o to jak się mówi „na fory" — fort czy ford. Marta z ciekawości poleciała przeczytać napis — było naturalnie Fort Colomba i naturalnie Bronka pokpiwała z Feli ile wlezie, naśladując komicznie warkot rozklekotanego forda. Teraz podjęła wojnę ze wszystkimi twierdząc uparcie, że nie mówi się, jak twierdzą wszyscy, ten, lecz to album. Wygląda jakby przegrała, bo Fela przywlekła skądś jakieś maturzystki, które oświadczyły, że album to mężczyzna a nie dziecko ani ciele. Jeśli album jest mężczyzną, to wy jesteście panie cielętami, obraziła je Bronka.

Do północy praca przeplatana śpiewkami i opowiadaniami, idzie jako tako, ale po północy każdy milcząco walczy z czającym się ze wszystkich kątów snem. Tych co nie śpią, obłazi strach, przypominają się najokropniejsze bajdy o upiorach i duchach. Nie możemy się nijak wyzbyć wrażenia, że duchy naszych znajomych, a każdy ma ich sporo, krążą między nami. Gdyby tak nagle ożyli, to na pewno nie zmieściliby się na olbrzymim terenie Fortu VII. Którejś nocy łażąc po korytarzach znalazłyśmy jakieś drzwi nie wiadomo dokąd prowadzące. Po otworzeniu ich okazało się, że był to karzec na jedną osobę. Słyszeliśmy już o jego istnieniu i oto teraz znalazłyśmy go. Wewnątrz znalazłam miseczkę z okropnie cuchnącą cieczą. Kiedy przechodzimy tam nocą, to mrówki rozłażą się nam po plecach — kto wie ile ofiar skończyło w tym właśnie karcu. Może to tu właśnie „kusi", a nie jak mówią koło tej pompy, obok której jest studnia.

Cele mojego ojca nr. 60, 61 i 62 zostaną zamienione z magazynów na sztancownie i borownie. Jak te kobiety, które będą tam pracować, wytrzymają w tych jamach bez okien pobielonych wapnem. Zaduch tu jest gorszy niż u nas. W ogóle całe „fory" śmierdzą niemożliwie. Przyczynia się do tego nadmierna ilość wylewanego lizolu i moczu stojącego kałużami w ohydnym wspólnym kloacznym ustępie, który miast wycierać, przysypuje się całymi funtami chlorku. O wycieraniu do sucha nie ma mowy — brak szmatów. Jadących w tramwaju robotników z Telefunken znają po zapachu wszyscy. Prześmierdliśmy do kości. Szkoda tylko tych pięknych sukienek, w które dziewczęta ubierają się ku wściekłej zazdrości niemców. W niedzielę gdy staną w ogonku przy zegarze, to istna rewia mód. Nie wiadomo na którą suknię patrzeć. Skąd one to mają! to przecież przedwojenne materiały dziwią się. I ja się dziwię, skąd? Czy to dobrze czy źle, że tak się stroją, tego już doprawdy nie wiem. Mimo wszystko ma się jakąś głupią satysfakcję i uciechę, że właśnie Polki mają najpiękniejsze polskiego kroju buty oficerki,

latem trzewiki na korku, kapelusze pilśniowe i śliczne gustowne okrycia. Nie wszystkie jednak lubią się stroić do fabryki. Stroje te w większości są zdobywane drogą handlu pokątnego, różnych kombinacji i po prostu kradzieży. Znam też i takie dziewczęta, które by sobie „na lewo", czy jak częściej u nas się mówi „pod ręką" kupić jakąś zupełnie zbędną szmatę, składają przez dwa miesiące maślane i mięsne kartki, by zdobyć upragniony lumpek. Inne natomiast są zmuszone wyprzedawać najpotrzebniejszą odzież byle utrzymać przy życiu swoje dzieci i siebie. Tych jest najwięcej. Obecnie coraz trudniej zdobyć cokolwiek na lewo, bo większość dostarczycieli tych wspaniałości znajduje się jeśli nie na drugim świecie, to w Żabikowie. Powinie się noga i najsprytniejszym gdy przyjdzie jego czas. Ci zawodowi handlarze najwięcej wzdychają do Protektoratu, gdzie wszystkiego w bród bez nijakich kartek, byle tylko forsę mieć. Takie jednak niezdary jak ja z moją rodziną wolą już siedzieć tu na swoich śmieciach, bo tam nie handlując a tylko pracując pomarlibyśmy z głodu przy takiej drożyźnie. Ten system kartkowy tak uprzykrzony z racji skąpych przydziałów dla nas Polaków nie byłby wcale taki zły, gdyby dali dostateczną ilość żywności potrzebną do życia. Nie wiem doprawdy jakbyśmy wytrzymali gdybym nie zarobiła sobie trochę na fabrykacji swetrów i gdyby nie paczki z Kalisza.

— — — — — — — — — — — —

Już po Zielonych Świętach i... po bombardowaniu. Kto by myślał, że i tym razem przylecą. Przylecieli w drugi dzień Świąt i zbombardowali do reszty „fokewul" na Marszałka Focha i główny oddział w Krzesinach, ale tam wykończyli już na czysto. Dostały też i D. W. M. na Wildzie, oraz warsztaty kolejowe. Na „Telefunken" też spadło kilka bomb. Jedna z nich wpadła na salę, gdzie ongiś było „wickelei". Tym razem szkody są większe, bo dostało się wielu domom prywatnym. Najpiękniej-

sze kamienice przy ul. Różanej są w gruzach, poza tym strzaskali kamienice na Pl. Sapieżyńskim, ul. Pocztowej i Al. Marcinkowskiego. Ofiar w ludziach też było więcej jak we Wielkanoc. My matki małych dzieci, ku zazdrości i zawiści nieszczęsnych starych kobiet oraz wszystkich panien i bezdzietnych mężatek, nie pracowałyśmy w święta. Siedziały biedaczki w lochach i drżały o swych najbliższych. Jurek z wielkim nosem wracając od pracy zastał zamiast domu kupę gruzów. Pakują znowu zbombardowanych do pokojów zajętych już po dwie i trzy rodziny. Nie mogli by to chamy ustąpić swoich pomieszczeń? Lepiej aby już te Ruski ruszyli z tych Ciepłych Krajów tu do nas. Wątroba wprost się z żalu człowiekowi skręca, że tam już dawno jest Polska z rządem, który te chamy nazywają marionetkowym. Czemu to Ruski tak powoli idą? Obiecali niemców do Berlina pędzić, więc czemu stoją? Gdyby im się udało dokonać tego, to gotowam sama nazwać to cudem i palcem Bożym.

— — — — — — — — — — — —

Z jakąż radością i entuzjazmem przyjęliśmy radosną wieść o powstaniu w Warszawie. Jakimż gwałtownym rytmem biły serca wszystkich, a teraz gdy daremną okazała się ofiara tych bohaterskich zapaleńców, kpią sobie z nich i złorzeczą „głupcom". Przez te warszawskie cholery, to człowiekowi teraz zdechnąć przyjdzie, bo za karę margaryny nie dają i dwanaście godzin harować trzeba, sypią się zewsząd klątwy. Kiedyś z Felą i Krysią starałam się przekonać zawziętych, że mimo klęski poniesionej, warszawiacy to bohaterowie i historia nie zapomni o nich. Zakrzyczeli nas jednak ordynarnie, że trzeba było buzię stulić i słuchać wywodów o głupocie tych co krew leją daremnie. Dobrze im tak — to za rozpustę Bóg ich pokarał. Jak z Paryża rozpusta na Europę ciekła, tak z Warszawy na całą Polskę itd. bez końca. Przykro wprost słuchać. Czy zrozumią, że nie teraz pora na wymówki? Czy zechcą kiedykol-

wiek zrozumieć, że na pewno nie ci co krew i życie dali w ofierze byli głupcami i rozpustnikami. Może przyjdzie czas, że pokażą im tych właściwych głupców co pozwolili tak lekkomyślnie krwawić ludowi swemu. Teraz gazety nic nie piszą o wschodnim froncie, a to przecież najwięcej nas interesuje. Tramwajarze jeździli po wozy tramwajowe do Warszawy, to opowiadali, że tam jeszcze nie zupełnie skończone, bo Warszawa dymi jeszcze. Właściwie opowiadał nam jeden z nich, Warszawy ani ludzi już nie ma. Pozostały kupy gruzów i błąkające się między nimi upiory. Boją się niemcy by u nas do tego nie doszło i trzymają nas jak psów na smyczy, trzymając smyczę krótko tuż przy obroży. Daremna ich obawa — Poznaniacy nie zrobią powstania, są na to za rozsądni. Zresztą byłoby to niemożliwe, tu w tej prawdziwej lwiej paszczęce.

Same zawody trzeba nam przeżywać. Pierwszą radosną nowiną była wiadomość o zamachu na Hitlera. Tak jak wtedy, gdy uciekł Hess cieszyliśmy się, że teraz to już „coś" nastąpi. Tymczasem zamiast upragnionej śmierci zbira, mamy wieści o jego cudownym ocaleniu. Temat ten dotąd jeszcze, jak u nas w fabryce, jest aktualny, bo nie wszyscy wierzą w to jego ocalenie. W naszych nieustających rozmowach Hitler dla bezpieczeństwa nazywa się Kaczmarek. Coś w tym jest, kiedy i tutejsi niemcy twierdzą, że „Kaczmarek" nie żyje, a te fotografie to bujda na resorach. Wszystko możliwe. Sama przecież widziałam to zdjęcie w berlińskiej gazecie, jak Hitler przecinał wstęgę na nowo przez nich odbudowanym moście Chrobrego, a pies tu tego psa widział.

— — — — — — — — — — — —

Ze wszystkich firm biorą na „einzatz" tylko nie z naszej firmy i nie z D.W.M. Jedni płaczą i wyrzekają, bo jest im źle i ciężko przy tych okopach, inni zgłaszają się sami ochotniczo, a zwłaszcza panny służące. Tym ostatnim nieszczęśnicom to

wcale się nie dziwię. Wańdzia jest obecnie pod Kutnem. Pisze, że z żywnością nie jest tak źle, ale jest chora na nerki, które jak wielu okopników ma przeziębione. Kopią bez względu na pogodę, która z dnia na dzień pogarsza się. U nas też zmieniło się na gorsze, bo Mama musi wyrabiać akord ośmiogodzinny i choć pomaga jej Heniek, to jednak nie może nadążyć. Ja obecnie jestem w domu chora, ale gdy pójdę na komisję, to na pewno wyślą mnie na operację. Boję się tej operacji, a zwłaszcza teraz, gdy niemal codziennie są alarmy. Iwonka stojąc przy furtce obserwuje ruch na szosie i dzięki niej wiemy kiedy jest alarm przygotowawczy, który ogłaszają przez radio. Przed właściwym alarmem auta z lotniska ustawiają się koło toru kolejowego. Mamo, babciu „volalalm", bo auta już jadą, woła i istotnie za parę minut wyją syreny. Ubieramy się w palta i czekamy, bo nigdy nie wiadomo czy właśnie dziś zaczną walić w lotnisko. Pocieszamy się po trosze nadzieją, że Oni wiedzą o tym, że tu wcale samolotów nie ma. Biedne dziewuszki muszą znowu tam szarpać po 12 godzin i pewno zazdroszczą mi, żem w domu. Jeśli tak to doprawdy nie mają czego, bo z moją wątrobą gorzej niż bym sama myślała. Przeziębiłam sobie w dodatku nerki i tylko im mam do zawdzięczenia 38 stopni temperatury, a co za tym idzie, zwolnienie. Dieta, którą mi zapisali, niewiele mi pomaga, z tej prostej przyczyny, że zjada ją Iwonka. Niepodobna przecież bym miała się paść kaszką z mlekiem i bułkami, a dziecko miało jeść ten obrzydliwy czarny i stęchły chleb. Co będzie za tydzień — do pracy czy do szpitala? Zdaje się, że wybiorę już to pierwsze. Zimno mi gdy pomyślę o tej wielkiej znowu wspólnej sali. Obecnie nie pracujemy już w celach, lecz w długiej sali zrobionej z głębokiej fosy. Pomysłowe to dranie są, nie ma co, ustawili wzdłuż fosy niski mur, w który wstawili 50 małych okien, dach z karbowanej blachy i sala gotowa. Takich sal już jest 5, a każda jednakowo biała z czerwoną trocinową posadzką i sznurem małych okienek pod samym sufitem. W dawnej naszej celi jest magazyn, a w norach bezokiennych są ma-

szyny, na których pracują kobiety. Skończyły się już te dobre czasy, kiedy odosobnieni mogliśmy rozmawiać i śpiewać do woli. Teraz trzeba milczeć i robić, robić — kręcić bicz na własną skórę. Odkąd nasza firma przestała być filią berlińskiego nieistniejącego już Telefunken, my musimy odrobić to co popsuli nasi przyjaciele. Tak zapowiedział nam Schindler.

— — — — — — — — — — — —

Czarną Hermanową żonę ryżego tramwajarza znają wszyscy. Sława jej na naszym werku ma dość prozaiczne podłoże. Pierwszy raz wsławiła się tym, że chcąc mieć piękne, długie fryzowane rzęsy, co to cieniem swym są w stanie zasłonić wszelkie niedomagania cery, posmarowała sobie jakimś rzęsotwórczym płynem oczy. Płyn ten kosztował 50 marek, ale rezultat był nadspodziewany, bo już na drugi dzień przyszła nie do pracy ale prosto do lekarki fabrycznej. Brwi i rzęsy wyszły co do włoska a powieki sczerwieniały i tak potwornie obrzękły, że mało świata przez nie widziała. Po czterech dniach przyszła do pracy z oczyma czerwonymi jak królik. Nazwali ją bezrzęsą i choć już rzęsy nieszczęsne i brwi odrosły, nazwa na wieczną rzeczy pamiątkę pozostała. Po raz drugi stała się interesująca przez opowiadania jak to bohatersko mąż jej musi walczyć by nie zostać volksdeutschem. Co kilka dni dostają wezwanie na „gestapo", gdzie są obietnicami i miłemi perspektywami na przyszłość zachęcani do wpisania się na listę. Ona jednak i jej mąż nie dają się skusić, powtarzając niezmiennie, że są Polakami, mimo że starzy Hermanowie to volksdeutsche. Może to co opowiada jest istotnie prawdziwe, bardzo ładnie, lecz w końcu te opowiadania stały się śmieszne i nudne, tym bardziej że tajemnicę tą powierza każdej z osobna, z niezmiennym zastrzeżeniem: „nie mów pani tego nikomu, bo ja tylko o tym pani w zaufaniu". Teraz to już hurmem pytają ją kobiety: No jak tam, zdecydowała się już pani na zmianę wiary? Poznała się na kpinach i odtąd milczy na ten temat. Dziś po raz trzeci

stała się interesującą. Skrobnięty uczył ją nawijania jakichś szpul, a że nie od razu pojęła, więc Skrobniętego „skrobło" i uderzył ją po rękach. Bezrzęsa narobiła wrzasku, w czym naturalnie wszystkieśmy jej sekundowały, a że Skrobnięty mało się tym wzruszył, rozżalona kobieta zrobiła głupstwo — poszła na skargę do samego Schindlera. Schindler przyszedł i wysłuchawszy relacji poszkodowanej i winnego, przyznał naturalnie jak było do przewidzenia, rację Skrobniętemu. Wykrzyczał ją okropnie i już mało brakowało, a byłby jej dołożył. Ona jednak żądna zemsty poleciała do inżyniera Dermana. Może by tam co wskórała bo ten Derman choć ma twarz notorycznego zbrodniarza, potrafi podobno, jak twierdzą jednostki, być sprawiedliwym. Hermanowa miała jednak pecha, bo ledwo weszła do jego biura i zaczęła swoją historię, wszedł Schindler. Co tam się działo dokładnie nie wiemy. Słychać było tylko okropny krzyk, a za chwilę z rozwartych drzwi z impetem wyleciała Hermanowa, cała roztrzęsiona, rozczochrana i płacząca. Tak, tak do Boga tylko po sprawiedliwość, litują się kobiety, lecz ona nie ma cierpliwości tak długo czekać; bo obiecała, że Pana Boga wyręczy jej mąż i połamie Skrobniętemu wszystkie gnaty. Vorarbeiterki wszystkie zgodnie przyznają rację Skrobniętemu, a my milczymy w tej kwestii dyplomatycznie i tylko niejedna splunie raz po raz ostentacyjnie za przechodzącym Skrobniętym. Niejedna pewno gorąco pragnie by go ryży tramwajarz trochę „pomacał". Może byłby trochę lepszy i przestał stawiać wszystkie kobiety do swego jaśnie bydlęcego poziomu. Ja osobiście przyznam, że tego drania nie bardzo rozumiem. Jest bardzo służbistym i niby wiernie oddanym niemcom, lecz w tym tygodniu zrobił coś, co go w moich oczach trochę podniosło. Widział jak ciężko jest mi nawijać te luwikan — szpule, że to naprawdę praca nie na moje siły i nauczył mnie psuć szpule. Szpula ta może na „vorichtungu" czyli na małym imadle, w którym się ją przymocowuje, pęknąć, lecz niesposób złamać ją w palcach. Można ją poziomo rozerwać na pół, tak jak rozłupuje się siekierą drzewo wzdłuż słoi, lecz złamać ją wzdłuż

nie łatwo, gdy nie zna się sposobu. Skrobnięty tego właśnie mnie nauczył: „O tak się robi na szaro", i włożywszy dwa kciuki w górną część otworu, a dwa wskazujące palce w dolną, rozerwał szpulę bez wysiłku. Odtąd robię szpulę na „szaro" aż miło. Na 100 szpul melduję 60 ausschussów. Inżynier lata jak opętany, bo szpule te są im okropnie potrzebne, a tak ich brak. Nieraz z tego powodu 50 ludzi siedzi bezczynnie nie mogąc z braku „luwikanów" kończyć montowania aparatów. Zupełnie zbytecznie zastrzegł mi przy tej operacji ostrożność. Sabotażu dokonuję w otwartej szufladzie. Wczoraj przynieśli tego świństwa całą skrzynię, a ja ze wszystkich dobrych większą połowę odrzuciłam. Wytłumaczyłam staremu, że to pęknięte i mam je zamiar na dobre zniszczyć, by się nie poplątały z dobrymi, bo skazy są tak niewidoczne; pokazałam mu jedno pęknięcie, że w pośpiechu trudno nieraz zauważyć. Racja powiada Schindler, bo potem przez pomyłkę, jak to już bywało, ponawijasz mi popękane. Złamane szpule muszę liczyć, bo idą do pracowni z powrotem. Na temat tego Skrobniętego snuję różne domysły i gotowam tego gbura posądzić o celowość w wyrabianiu sobie u Polaków marki wściekłego dla nich i wiernego niemcom pieska. Gdyby tak było, to gremialnie przebaczyłybyśmy mu wszelką ordynarność względem nas, więcej: zapomniałybyśmy pod wpływem radości nagle wszystko, jak ów Znachor u Mostowicza.

— — — — — — — — — — — —

Lampy którymi siostra w sanitarstubie nagrzewa moją wątrobę i nerki, przynoszą mi trochę ulgi w moich cierpieniach. Gdy mnie skręci idę do siostry, ale czasem nie mogę i muszą mnie znieść. Ostatnio było mi wstyd trochę i najchętniej bym zemdlała, bo między innymi zajął się tym pewien badacz Pisma Św. z bródką, który właściwie nie powinien na mnie spojrzeć, bo skrzywdziłam go. Potrosze winne są baby, bo nagadały mi wiele o tym „gnojku badaczu" co puścił kantem rodzoną żonę

i siedzi na wiarę z kochanką z którą ma dwoje dzieci. Jak tu nie współczuć porzuconej żonie, a w dodatku ta jego kozia bródka też nie jest bez winy. Gdy przechodził koło naszych stołów, wołałyśmy obie z Niną razem lub na zmianę meee! To kozie beczenie na jego widok doprowadzało wszystkich do ataków śmiechu. Skruszona jego współczującym spojrzeniem i słowami pociechy, powiedziałam mu że to ja najczęściej tak za nim beczę, a ten ku mojemu przerażeniu uśmiechnął się pobłażliwie i powiada że wiedział o tym i o ile mnie to tak bawi to nie ma nic przeciw temu bym nadal beczała. Widząc moje zawstydzenie wytłumaczył mi dobrodusznie że trzeba korzystać z okazji i śmiać się, bo śmiech to już nie tylko zdrowie lecz życie. Gdy przestaniemy się śmiać pomrzemy i nie doczekamy upragnionej wolności.

Opowiedziałam to koleżankom i zgodnie postanowiłyśmy korzystać ze wskazówek. Sypią się więc kawały jak z rękawa, a wszystkie na temat Hitlera czyli Kaczmarka. Zosia suchotnica zna ich najwięcej. Między innymi opowiedziała dwa, które na pamiątkę postanowiłam uwiecznić w moim papierowym pomniku. Oto pierwszy: Walter komik filmowy występował w teatrze warszawskim z trzema świnkami. Wszedłszy na scenę zaczął je liczyć, aj, cwaj, draj i... nieuk sztywnojęzyczny zamiast vier powiedział, a raczej wystękał führer. Policja naturalnie, zaaresztowała go i osadziła na trzy miesiące w areszcie. Po odsiedzeniu kary afisze znowu ogłosiły jego występ ze świnkami. Ludzi z ciekawości zbiegło się kupami. Przedstawienie zaczęło się tak samo od liczenia świnek: Aj, cwaj, draj... a nad czwartą z nich staje i powiada wygrażając pięścią: A przez ciebie świnio trzy miesiące w kryminale siedziałem.

A oto drugi kawał: Przed wystawą sklepową z obrazami staje pijak zalany w kij i wskazując mściwie palcem na portret Hitlera dowodzi: Ciebie już tu jutro nie będzie. Scenie tej przyglądają się dwaj policaje i zaciekawieni wołają kolegę volksdeutscha by im wytłumaczył co ów gada. Gdy ten wysłuchał pijackiego gadania i wytłumaczył, ci doskoczyli do pijaka

i pytają: dlaczego to jutro führera ma już nie być tu? A nie będzie go, powiada pijaczyna, bo ja go kupię. Powiedziawszy to wszedł do sklepu i po chwili wyszedł dźwigając portret Hitlera. Gdy na zapytanie czy jest Polakiem potwierdził, ci zaintrygowani poszli za nim by zbadać co to za Polak czci tak bardzo Hitlera. Wchodzą do mieszkania i pytają jeszcze raz żony pijaka, czy są Polakami. Udowodniła im dokumentami że w istocie tak jest. No to wytłumaczcie nam kobieto dlaczego wasz chłop kupuje portret führera? Ach, machnąwszy lekceważąco ręką zrezygnowana kobiecina powiada: To już tak zawsze z tym pijanicą, że jak się upije to kupuje byle gówno śmierdzące.

Takimi to bajkami skracamy sobie długie godziny pracy, ten czas oczekiwania na niewiadome. Czasami politykujemy, ale ta nasza babska polityka zazwyczaj kończy się na jedną nutę, to jest przekleństwami. Przeklinają kobieciska jak cyganichy i ów rząd co zwiał i grubasów i dziedziców i nawet Prymasa naszego ku zgrozie pobożniejszych nie szczędzą. Od nich to dopiero dowiedziałam się że nasz prezydent Mościcki wziął sobie panią Dobrzyńską za żonę tak jak niegdyś magnaci brali młode i ładne żony swym rabom. Ciekawam czy i ten oficer tak samo czuł się zaszczycony wyróżnieniem. Powiadają że bardzo kochał swą „kolumienkę", lecz ja myślę że raczej może sprzedał nudną mu zabawkę za awans. Co najwięcej nas dziwi to to, że Ojciec św. dał im rozwód a ks. biskup Kakowski ślub. Może ten jej mąż był niepłodnym a ona czuła popęd do rodzenia. Tak tłumaczymy sobie powód rozwiązania tego ślubu małżeńskiego. Co nie udało się Sinobrodemu to udało się Mościckiemu. Ma szczęście staruch który wynalazłszy sztuczny ozon, wynalazł dla siebie eliksir wiecznej młodości.

Godziny umęczonej pracy znowu uprzyjemniamy sobie gromadnym śpiewaniem wojskowych piosenek, a hymny narodowe śpiewamy mormurando, bo ta wstrętna vorarbeiterka Nina volksdeutscherka niemożliwa. Niecierpią ją nawet Zielonkowa i Skrobnięty. Wiecznie się na kogoś odgraża i już

raz poszła staremu powiedzieć, by zabronił nam śpiewać, ale stary oświadczył że woli już wysłuchiwać tego polskiego wycia, niż patrzeć jak przy pracy śpią. Śpiewamy więc rozgłośnie i radośnie aż zda się ściany naszej fosy rozstępują się od naporu i potęgi naszych melodii. Największa uciecha jest w soboty, gdy montaż o pierwszej w nocy kończy swą pracę i zostawia nas samych. Wtedy ni mniej ni więcej, rozpoczynają prawdziwą audycję przez radio „nasze artystki". Jurek speaker zapowiada przez mikrofon tradycyjne: Hallo, tu Polskie Radio Poznań. Audycję rozpoczyna nasza nowa gwiazda panna Helka solowymi partycjami z Moniuszki, Schuberta i Lehara. Śpiewa niczym Lucyna Szczepańska. Potem odwala „chór Dana" z potężnym pomrukiwaniem Jurka i Rólewicza i moim dyszkańcikiem. Zupełnie niczego. Po śpiewach następują deklamacje z nieśmiertelną „Odą do młodości", „Hymnem o zachodzie" i Kasprowiczowym „Błogosławieni". Na końcu następuje odczytywanie starych przedwojennych kawałów z gazet. Słuchaczki nasze robią to czego dotąd nie robiły pewno żadne radiosłuchaczki — klaszczą z uciechy w dłonie. Co by to było wyobrażamy sobie gdyby w czasie tych popisów wszedł znienacka któryś z naszych majstrów. Pewno byśmy co do jednej wylądowały w Żabikowie, gdybyśmy nie były przezorne. W czasie audycji trzymamy kolejno wartę we fosie i gdy z dala w odgłosie kroków, dochodzi niebezpieczeństwo, rozlega się przeraźliwe ujadanie i wszystko milknie, aż do odwołania tzn. do śpiewnego kukania tyrolskiego. Po tej zabawie zabieramy się do pracy. Renia i Rólewicz najlepsi z vorarbeiterów, których nie pozwolimy po wojnie zlinczować, pomagają artystom w wyrobieniu akordu. Kobiety z żalem wspominają te dobre czasy kiedy za niewyrobienie akordu odciągnęli coś z płacy, albo zostawili czasami z godzinę dłużej. Dziś za jednorazowe niewyrobienie akordu 24 godziny „Żabikowa", za dwa razy tydzień a za trzy miesiąc i więcej. Zabierają też na to przeszkolenie co dzień kogo innego. Wszyscy już zapomnieli o tych czasach gdy „stary" nie

bił. Tak u nas, ale gdzie indziej jeszcze gorzej, bo w fabrykach panuje rygor strafflagrowy. Jak dotąd w porównaniu do innych firma nasza ma opinię firmy gdzie ludzi traktuje się „względnie". Widzę, że w takim razie muszę być wdzięczną losowi, żem dostała się właśnie tu, lecz nie rozumiem nie mogę zrozumieć jak mogą wytrzymać ludzie w fabrykach, gdzie jest gorzej niż tu.

Kilka kobiet, matek od gromady dzieci zaryzykowało zrobienie sobie urlopu. Byle dzieci oprać i pozszywać łachmany. Poszły za to na katusze do Żabikowa. Wiedziały że pójdą, ale było już im wszystko jedno. Cóż to obchodzi tych krwiopijców, że dzieci nasze wypadają z okien, parzą sobie wrzątkiem głowy, lub podpalają mieszkania. Trudno mówią wojna totalerkrieg. Nasze kobiety też muszą pracować, gdy mają mniej niż troje dzieci. Idą do pracy zostawiając dzieci na łasce służącej Polki. Pracują i drżą, czy ta dziewczyna nie mści się na ich dzieciach, nie bije ich. Niektórym matkom mającym większą ilość drobnych dzieci daje arbeitsamt za służącą i opiekunkę, siedmdziesiątletnią niedołężną babcię. Zdarzało się, że matka zostawiająca pod pieczą takiej babci swoje pisklęta, zastawała je przyszedłszy po 12-godzinnej pracy do domu leżące na podłodze i nie mogące się ze słabości utrzymać na nogach. Wtedy dopiero okazywało się że pisklęta przez całe dnie nie dostawały papu, bo bułki i mleko zjadały zamiast dzieci zdziecinniałe i głupkowate już staruszki. Udręczenia te wzmagają w nas niezmierną tęsknotę za wolnością a co za tym idzie — chęć odwetu.

Mężczyźni z organizacji Toda którzy wrócili z niemiec wlali nam w serca potężne strumienie swej nadziei. Miasta niemieckie leżą w gruzach, a mieszkańcy ich niemniej od nas wyglądają końca wojny. Teraz już i ci z radia berlińskiego obiecują zakończyć wojnę do Gwiazdki. Nowa ofensywa z użyciem okropnego wynalazku V2 ma zakończyć wojnę na wszystkich frontach. Boimy się tej nowej broni którą jak szepcą, mają być gazy. Wiemy że i naszym przyjaciołom nie brak gazów, ale zdajemy sobie sprawę, że górą może być ten

który rozpocznie. Po takich pesymistycznie ponurych rozmowach stara Pawłowska zaczyna śpiewać Suplikacje, a my jej bezwiednie wtórujemy.

Nie pisałam dotąd jeszcze o pannie Basi czyli Pawłowskiej. Pawłowska czyli panna Basia jest kulawa i przeraźliwie brzydka. Ma 18-letniego syna w „Niemcach" na robocie, którego kocha jak mówi Garczarkowa małpią miłością i strasznie ordynarny, niewyparzony język. Staramy się nie włazić jej w drogę, bo biada tej która jej się sprzeciwi, nie przytaknie lub zażartuje. Kiedyś przyleciała rozwścieczona do pracy i ledwo siadła, zaczęła kląć jak nieprzytomna swojego syna. Pytamy się co jej zrobił no i dowiadujemy się że „cholerny szczon" napisał jej w liście: Kochana mamusiu. To co chłopiec pisał, że Alpy są piękne, świat wspaniały tylko ludzie źli, oraz to, że poznał już co to miłość, to ją zdaje się niewiele obchodziło. Klęła tylko „małpisko" co namówiło bez wątpienia jej chłopaka do nazwania jej mamusią. Ona nigdy nie pozwoliła się inaczej nazywać jak matka, bo wszelkie zdrobnienia przyprawiają ją o mdłości i wściekliznę. Obecnie znowu znajduje się w stadium uporczywego milczenia bo gniewa się na nas wszystkich, za to żeśmy ją wszystkie za głupie ordynarne rozumowanie wyrugały. Śmiertelną nienawiść czuje do Garczarkowej która ją bardzo brzydko nazwała. Śmiesznie i niewinnie to wypadło i z początku można było sądzić iż nie było to z góry ukartowane. Roznosili na śniadanie kawę, a ponieważ dzbanek postawili przed Garczarkową więc podchodziłyśmy kolejno z kubkami, a ta nam nalewała. Na samym końcu ktoś podstawił filiżankę Pawłowskiej. Gdzie jest ta panienka pyta nas Garczarkowa? O tam łazi pokazuje któraś, Garczarkowa zobaczywszy że ta zaczyna się oddalać zaczęła wrzeszczeć hej Pawłowska! Pawłowska! i w końcu złożywszy dłonie w trąbkę wrzasnęła: duu Pawłowska. Zaczęłyśmy się wszystkie śmiać, a Pawłowska usłyszawszy wreszcie kuśtykała uśmiechnięta. No nareszcie powiada Garczarkowa. Łazicie na pierdołki a kawa stygnie i podając jej kubek z kawą, zamiast

pij Pawłowska powiedziała pi Pawłowska. Zrozumiałyśmy wszystkie, zrozumiała i Pawłowska i była chwila gdyśmy się dusiły od śmiechu że zdawało się nam iż panna Basia rzuci się z pięściami na Garczarkową. Zamierzyła się tylko lecz ręka jej w porę opadła. Opamiętała się — Garczarkowa jest niemką, a ona chce jeszcze żyć bo ma dopiero 42 lata. W zamian posypały się razy słowne. Oj cośmy się wtedy dowiedziały o przeszłości pani Garczarek z domu von Preuss i o jej mężu Polaku co zostawił „niemrę" niemcom, a sam z dzieckiem dał nogę do Protektoratu. Ta poleciała do majstra ale my czekaliśmy godzinę jedną i drugą i nic. Gdy stary przyszedł jak zwykle popatrzeć na naszą robotę i obowiązkowo powrzeszczeć pomyślałyśmy, że napewno u niego nie była ze skargą. Z niemry tej jest kuta sztuka, stara się żyć dobrze z nami i z niemcami. Dziś szeptała mi na ucho że niedługo będzie nam lepiej. Zrazu nie zrozumiałam czy łączy nas do siebie czy odwrotnie. Po chwili głośniej: nie bójta się Rusków, bo to nie takie czarne diabły jak ich malują. Że dla nas nie będą diabłami to wiemy, ale czy i dla niemców tak samo to nie wiadomo. Ach tak? Pewnie, wy byście chcieli aby się za wasze urojone krzywdy na volksdeutschach mścili i może na Leistung Polackach? Na to nie odzywa się nikt. Milczy nawet zawsze jasno stawiająca kwestie Wańdzia Olejniczak, którą nazwały dziewczęta „Pewną Osobą". Pochodzi to jeszcze stąd, gdy przynosiła do pracy wiejski chleb z prawdziwej mąki i dzieląc między najbliżej niej siedzące smakowite skiby mówiła: Jedzcie dziewuszki bo „pewna osoba" przysłała mi cały bochen. Powtarzało się to często a my jadłyśmy i błogosławiłyśmy Wańdzię i tą „pewną osobę". Któregoś dnia dziewczęta z drugiej zmiany mieszkające w barakach przybiegły oznajmić że przyjechała pewna osoba, która by chciała się z nią widzieć. Wtedy to okazało się, że „pewna osoba" to po prostu Wańdzi narzeczony. Przyjechał z Ostrowa i przywiózł jej cudowności w postaci chleba, sera, masła i prawdziwyçh jaj. Dziewczęta z baraków gdy się zwiedziały poszły pod drzwi jej

„sztuby“ i zaśpiewały na cześć „pewnej osoby“ Wańdzi i prowiantów niezbędne 100 lat. Dostało im się coś niecoś, bo Wańdzia jak większość naszych dziewcząt jest szczera i koleżeńska. Odtąd to została Pewna Osoba. Nazwa ta nie jest jej przykrą, raczej zdaje się odwrotnie.

— — — — — — — — — — — —

Iwonka jest chora na szkarlatynę a mnie nawet zbliżyć się do niej nie wolno. Gdy zobaczyłam wysypkę pobiegłam po lekarza. Do pracy poszłam z dwugodzinnym opóźnieniem. Udałam się od razu do majstra by wytłumaczywszy swe opóźnienie prosić o zwolnienie. Byłam pewna, że ze względu na rodzaj choroby zwolnią mnie, ale omyliłam się. Zamiast upragnionego zwolnienia dał mi stary za samowolne zwolnienie się 12 godzin dodatkowej pracy. Po lekarza mógł iść mąż, a to że jemu też nie wolno się spóźnić, to jego nic nie obchodzi. Pracowałam więc 20 godzin bez przerwy, prawie na czczo, bo chleba nie zabrałam a stęchła żytnia kasza na gęsto cofała mi się mimo głodu do gardła. Jeszcze do niedawna na drzwiach epidemicznie chorych przybijali kartę z napisem „choroba zakaźna“ i nikt z domowników nie szedł do pracy, a dziś trzeba przymusowo chorych oddać do szpitala, gdzie przeważnie dzieci chore na szkarlatynę, umierają od nabytej tam dyfterii. Dzieje się to dlatego, że dla „dyfterytów“ nie ma osobnego pomieszczenia i leżą razem z chorymi na szkarlatynę. Poczciwy dr. Potyk wie o tym, więc zaleciwszy nam ostrożność nie meldował choroby. Jeszcze nigdy nie umarło tyle na dyfterię i to przeważnie dorosłych co w tym roku. Leżą ci nieszczęśnicy w bocznym gmachu Opery i umierają samotnie. Teraz zmuszeni jesteśmy spać i jeść u sąsiadów, tylko mama nie wychodząc wcale śpi razem z Iwonką, a wykonywaną przez nią robotę odwozi do firmy Stern sąsiadka.

Gorączka minęła i moja Rybka czując się lepiej skacze w łóżeczku aż jęczą sprężyny. Ja znowu czuję że nie spiłuję

już dłużej z tą moją wątrobą. W tym tygodniu znowu zaczęła mi dokuczać, więc poprosiłam Fluksa o kartę do siostry. Pyta po co, więc mówię mu, że siostra nagrzewa mnie lampami a ten jak nie skoczy do mnie, jak nie zacznie ryczeć. Myślałam, że mnie zbije. Nazwał mnie leniuchem. Czy ja nie wiem, że w obecnym ograniczeniu używalności światła, takie nagrzewania są sabotażem, za który można zawędrować do lagru. On by też chciał mieć takie nagrzewanie bo to bardzo przyjemnie. Krzyki jego trwały cały wieczór bo ja mimo to nie pracowałam i oparłszy głowę o maszynę siedziałam nieruchomo. Było mi głupio, bo nikt mnie dotąd nie widział w fabryce płaczącej ale teraz już nie mogłam. Moje całą siłą tłumione jęki wzruszały wszystkich. Słyszał płynące w ślad za nim przekleństwa ale nie ustawał w wymyślaniach. Chciał mnie przymusić do pracy, ale wiedział że nie uda mu się zrobić mi cokolwiek bo jestem istotnie chorą. Na Reni nieudolną prośbę by mnie zwolnił do siostry choćby po krople miał tylko jedno słowo: milczeć! To już są jego ostatnie podrygi Irenko pocieszają mnie poczciwe kobieciny. Już niedługo, niedługo. Nina widząc moje łzy zaczęła też płakać aż musiałam jej łzy otrzeć moim przemocą na ustach osadzonym uśmiechem.

Nie lekceważę już wszelkich pocieszających wieści, bo są coraz prawdziwsze. Szykuje się coś, bo niemcy masowo wysyłają swe bagaże do Reichu. Obecnie z powodu przepełnienia przesyłek nie przyjmują. Liczba cieni z napisem Psst... szpieg słucha, nalepionych i malowanych na wszystkich możliwych miejscach, wzrosła stokrotnie. Na nic rysunki obrazujące mordy i pożogi uczynione ręką komunistów. Chybili celu, siejąc panikę między swymi bo my z tych afiszów śmiejemy się tym ostentacyjniej gdy koło wywieszki z „obrazami" przechodzi niemiec.

Wańdzia przyjechała i obecnie chodzi kopać rowy, aż na Dębinę. W śniegu i błocie z przemoczonymi do kolan nogami kopią rowy przeciwpancerne. Całe pola są tak powywracane na ręby że wprost wierzyć się nie chce że jest to zrobione

łopatą. Kopią i całe zgraje hitlerjugend i NSDAP. Batalion świeżych gruźlików rekrutuje się właśnie z tych okopników, których mimo wszystko z pracy nie zwalniają. Choćby tylko raz po raz łopatą ruszył, lecz iść musi, bo przecież właśnie płucno chorym potrzeba dużo „frische luft". Że leje jak z kranu to trudno — deszczu nie są w stanie powstrzymać. Zresztą mają co innego do wstrzymania — muszą postawić silną tamę przeciw fali komunizmu grożącej zalewem całej Europie. Okopy to właśnie groble i zapory przed tą powodzią.

— — — — — — — — — — — —

Przyszła kreska na Matyska, zabrali do obozu najlepszą siłę naszego werku — Skrobniętego. Pierwszy to bodaj u nas odruch entuzjazmu jaki okazali między sobą Polacy na ich czyn. Dostał 3 lata ciężkiego straflagru za zwyczajną kradzież. Łudziliśmy się że będą to co najmniej odbiorcze czy nadawcze radioaparaty, a to były zwyczajne młotki, cęgi, pincety, imadełka, kolba; cyna i inne niepolityczne narzędzia których zbiorek znaleziono w jego szafce od garderoby. My cieszymy się nie słysząc burczenia ironicznej zmory a vorarbeiterki patrząc na naszą uciechę krzywym okiem milczą. Zielonkowa martwi się jak teraz pójdzie praca, gdyż dla nich był on bądź co bądź nieocenionym bo potrafił myśleć za ich całą czeredę i ze wszystkimi nowościami najpierwszy dawał sobie radę. Umiał nawet sam sporządzać schematy, które potem rysowniczki powielały.

Heniek powiada że i u nich zaszło trochę zmian. Majstrowie ich chodzą z opuszczonymi łbami i pewno z lenistwa mniej biją. Jedna a najwyżej dwie osoby dziennie oberwą parę kopniaków i koniec. Niektóre niemki też stały się lepsze dla swoich sług. Słyszy się nawet jak w mleczarni głośno chwalą swoje dziewczyny, którym przecież też krzywdy nie czynią nicht war? To że pod wpływem zdenerwowania pobiły je czasami to się nie liczy.

Tak słychać jest gdzie indziej lecz u nas nie zmieniło się wcale. Jest raczej gorzej. W biurach jedynie jak mówią nam urzędniczki daje się zauważyć ogólna konsternacja między urzędnikami niemcami, gdy tu w warsztatowej sali dyrektor Waschow o twarzy pawiana po dawnemu obchodzi sale z wysoko zadartym butnym łbem i naszą milczącą pracę przyjmuje co najmniej jak zwycięski wódz hołd swych jeńców. Ja obecnie montuję ładne filigranowe szpuleczki, których druciki przylutowuję do porcelany. Nazywają się one Urexy i Ulmy. Praca ta jest niezwykle delikatna i precyzyjna. Przylutować drut do porcelany nie jest tak łatwo. Trzeba mieć w tym dużo wyczucia, bo kolba przytrzymana o ułamek sekundy za długo, sprawia że srebro oksydowane spłynie z porcelany, a gdy za krótko to drut nie przylutuje się, a tylko przylepi na krótki czas, by przy lada poruszeniu odkleić się. Jest z tym tak samo co z opalaniem w piecyku końców drutów nawiniętych na szpulę a następnie gotowanych w wosku. Aby pozbyć się wosku oraz izolacji czy lakieru, trzeba końce potrzebne do przylutowywania wkładać do dziurki, wybuksowanej glinką szamotową, znajdującą się w specjalnym gazowym piecyku na którego wierzchu gotuje się cyna. Potrzymać za krótko to drut po skąpaniu w spirytusie zostanie czarny i nie przyjmie cyny a za długo to albo spali się, albo jest tak kruchy, że przy próbie zgięcia koniecznego przy lutowaniu złamie się, a wiadomo że szpulka bez końców jest szmelcem. Drut 0,5 mm grubości opala się nad płomieniem, co jest o wiele łatwiej gdyż widzi się kiedy jest dostatecznie czerwony. Akord przy opalaniu uznany za najtrudniejszy do wykonania okazał się dla mnie bardzo dobrym, bo w tajemnicy zrobiłam odkrycie że za jednym zamachem można zamiast jednego opalić skręcone cztery druciki. Udało mi się zrobić to niespostrzeżenie dlatego że piecyki stały w kącie i opalaczkom mogli widzieć wszystko tylko nie ręce. Przeczytałam tam z innymi opalaczkami niejedną książkę leżącą w półotwartej szufladzie. Renia wtajemniczona pilnowała by się nie wydało, bo sama

była zwolenniczką literatury noszonej na skutek rewizji w biustonoszach. Teraz te okropne luwikany nawija gruba i silna jak koń — czarna Lodzia. Pozbycie się tej ciężkiej jak na moje siły i na moje zdrowie pracy mam do zawdzięczenia samemu Greiserowi który zwiedzał naszą fabrykę. Już trzy razy była zapowiedziana ta wizyta połączona za każdym razem z gwałtownym porządkowaniem całej sali. Gdy zapowiedzieli po raz czwarty nikt już nie wierzył że nastąpi. Ja zamiast porządkować wyniosłam się do toalety gdzie zdążyłam wypróbować pięć gatunków tytoniu samosiejki. Gdy wróciłam na salę banda w mundurach łaziła już między stołami. Dobiegłszy chyłkiem na swoje miejsce, zaczęłam gorączkowo układać prawidłowo swoje narzędzia. Ledwo zaczęłam, gdy nadeszli w asyście dyrektorów, inżyniera i Schindlera, który już zdążył zauważyć moje gwałtowne ruchy. Co, dopiero teraz to robisz syknął cicho przez zęby. Była na to godzina czasu. Nie zdążyłam odpowiedzieć gdy nadeszli. Zatrzymali się i otoczywszy z boków i z tyłu zaczęli się przyglądać mojej pracy. Trzęsącymi się rękoma niezdarnie nawinęłam szpulę i gdy kolbę z roztopioną cyną wzniosłam do lutowania wtedy z rozdygotanej kolby cyna spadła na moją lewą rękę i polała się wąziutkim strumieniem po wierzchu lewej dłoni. Syknęłam i strząsnąwszy z dłoni płynny ogień zaczęłam dmuchać w ranę. Ktoś się do mnie odezwał, ale nie zrozumiałam. Po tym omal nie spadłam z krzesła gdy usłyszałam słowa w poprawnej polszczyźnie: Nie trzeba się tak denerwować, nikt panią nie zje. Poszli. Dopiero po tym dowiedziałam się że słowa te wypowiedział sam Greiser. Więc to ten bandyta który tak mściwie i pewnie zapowiedział, że dokąd to niebo i słońce nad tą ziemią, to Wartegau będzie ich. To ten co wysyła ludzi pod gilotynę i na inkwizycyjne tortury ma tak sympatyczny głos? Szkoda, że stał za mną i nie mogłam widzieć jego twarzy. Gdym leżała w szpitalu to jedna z pacjentek której córka służyła u Greiserowej w Ludwikowie za pokojówkę twierdziła, że jest on bardzo ludzkim dla służby. Więc dlaczego będąc dobrym dla jednostek ma sumienie ska-

zywać na śmierć, męczarnie i więzienie setki i tysiące Polaków. Cóż oni uczynili temu bandycie który tak samo jak ci urodził się i wzrósł na tej ziemi. Mam nadzieję, że nie zdołają go obronić przed sprawiedliwością żadne pokojówki ani służące.

Sprawiedliwość choć wolno, ale zbliża się a głos jej słyszała już tam Wańdzia pod Kutnem. Był głuchy jeszcze i daleki, lecz od dudnienia jego echa drżało klepisko stodoły w której biedaczki pokotem spały grzejąc się ciepłem swych ciał i oddechów.

Tak to Gauleiter przyniósł mi trochę ulgi w mej ciężkiej pracy. „Szczęście" to okupiłam boleśnie jątrzącą się ranką. Nim się zdążyła zagoić, to Lodzia nauczyła się pod przymusem tego co dotąd uchodziło za niepojęte. Jest silna, więc to kręcenie korbką nie sprawia jej zbytniego trudu. Nauczyłam z kolei Lodzię psuć szpulę, lecz niedługo trwała nasza uciecha. Zrobili teraz nowe szpule też z rybiej kości ale presowane. Są nie tylko ładniejsze, lśniące, ale i mocniejsze. Nie dają się rozrywać starym sposobem, za to ku zgryzocie Lodzi rozrywają się przy zdejmowaniu z vorrichtungu już po nawinięciu. Popsuta szpula nie liczy się więc trzeba nawijać nowe byle akord był pełny. Zamiast nas sabotaż uprawia w sprytny i niewinny sposób nasza Ninka. Biorąc z regałów swą pracę, ustawia stojące tam skrzynki z maleńkimi jak pianka delikatnymi porcelanowymi szpulkami tak niebezpiecznie na samym brzeżku, że wystarczy najdelikatniejsze poruszenie ich przez przechodzących a lecą całe setki i tłuką się na miał. Stary już kilka razy okropnie się awanturował o te sabotaże, które firmę drogo kosztują, ale co może zrobić gdy winnego nie ma? Przecież nie można winić tego który przechodząc ciasnym gankiem potknął się o wystającą skrzynię. Winni ci, co dochodzą do regałów, tzn. my wszyscy, bo nikomu nie śni się posądzać kogoś innego o złośliwość a tymbardziej „dychawiczną Ninkę".

— — — — — — — — — — — —

Jest mi radośniej bo i moja Rybka już wyzdrowiała i wogóle pachnie już czymś, czego jeszcze nie umiem nazwać. Co jest przyczyną mego nastroju niech powiedzą powtórzone słowa naszego ślusarza Wojtka który nie lubi gadać na wiatr. Dziewuszki, uważajcie, bo „Ruchy" już się ruszają, ino patrzeć jak każda z was dostanie generała z bródką. Zośka suchotnica wleciała dziś rano jakby ją kto wypluł i już od progu krzyczy: ty Nina, pakuj manatki bo już Bolszewiki w Zegrzu. Nina uśmiechnąwszy się głupio wzruszyła ramionami i powiada: nie boję się ich bo oni mnie mniej krzywdy zrobią niż tobie, a choćby nawet to dopiero po tobie, bo przecież wiadomo że wpierw idą na drzewa Polacy a na końcu niemcy i to nie wszyscy. Jakto psiakrew to już rezygnujesz z własnoręcznego wypuszczania im flaków? Ciekawy ten dialog przerwało wejście Schindlera. Nasze vorarbeiterki spuściły z tonu odkąd Garczarkowa rozpuściła „kaczkę", że Rosjanie wpierw niż niemców, wieszają na drzewach wszystkich Polaków zasłużonych w pracy dla ich wroga, a zwłaszcza Leistung Polaków. Tłumaczą się teraz dopiero, że nie prosiły o ten zaszczyt, a odmówić nie mogli, ale bezlitosna niemka ku naszemu zdumieniu zaczyna wyliczać tych z naszej sali, którzy wymówili się od przyjęcia tego zaszczytu. To ich dobiło, bo to istotnie prawda, ale nasze kobiety mają dobre serca i już teraz karę śmierci redukują do pozbawienia ich praw honorowych i publicznych na taki okres jak długo każdy z nich cieszył się wyróżnieniem. Poza tym zaopatrzenie ich żywnościowe przez ten okres ma być takie same jak obecnie nasze. Co prawda będą wyjątki, tak jak u nas Rólewicz i panna Renia, którzy są pożyteczni dla nas i nigdy nie skarżyli. Niestety takich jest niewiele, gdzie indziej jeszcze mniej niż u nas. Liczą ich na 20 procent ze wszystkich poznańskich Leistung Polaków. Mówimy o tym głośno, a ci słuchają i nic nie mówią. Są też i tacy którzy nie chcą mścić się na nikim, byle przeżyć, byle przetrwać a potem to choćby kartofel ze solą przez rok czy dwa, byle w swobodnej Polsce. Tak mówią przeważnie ci którzy najwięcej wycierpieli, prawdziwi lu-

dzie — Polacy. Czy to jednak istotnie już tak blisko? Może lepiej nie łudzić się zbytnio, bo nadzieja to matka rozczarowania. Opadają mnie wątpliwości gdy słucham muzyki i wesołego śpiewu nadawanych przez rozgłośnie miast podobno tak zrąbanych. Sądząc z radia na zachodzie bez zmian. U nas też jak dotąd praca wre jednakowym tempem. Okopy kopią bez końca mimo mrozów i śniegu. Wańdzia całe noce aż krztusi się od kaszlu, ale skoro świt musi wlec się do pracy. Jak to dobrze żeśmy od Zimniewicza kupili ten celt. Przydał się jej na kombinezon, który choć ersatzowy to jednak wiatru nie przepuszcza. Podobno sami żołnierze dozorujący ich przy pracy, śmieją się z tych rowów. Mówią, że Rosjanie jak się rozpędzą to je przeskoczą tylko poczekać ze dwa tygodnie. Dwa tygodnie t. zn. że już na gwiazdkę na Boże Narodzenie. Gdyby to naprawdę już ta gwiazdka była jeśli nie pierwszą radosną to przynajmniej ostatnią żałosną.

— — — — — — — — — — — —

Jaka szkoda że nie danem mi było widzieć min naszych tyranów w tym ostatnim dniu przeklętej pracy. Gdym przyjechała z Kalisza gdzie spędziłam święta zachorowałam na grypę. Dr. Potyk stwierdziwszy gorączkę dał mi zwolnienie. Wczoraj dostałam kartę na komisję przed którą już nigdy nie stanę, bo dziś w tę najradośniejszą od pięciu lat niedzielę! idą setki i tysiące niemców, idą procesjami pieszo do Vaterlandu. Opuszczają ciepłe przez pięć lat tak przytulne dla nich mieszkania i idą tam gdzie nie ma niczego. Jadą karawany wozów z pierzynami świniami i krowami i ich jedynej własności bękartami. Piesi zmęczeni już co cięższe walizy rzucają do rowów. Oto przeszła para eleganckich starców bez niczego tak jak stoją i mimo że podpierają się wzajemnie to padają co chwila z powodu ślizgawicy. Tam córka ciągnie w wannie ciężko chorą matkę. Idą tak już od wczoraj po południu, przez całą noc i cały dzień dzisiejszy. Mimo wszystko nastąpił ten zwrot dość nagle.

Jeszcze przedwczoraj w Heńka imieniny ani się komuś śniło że zdawkowe życzenia: oby już na drugi rok było inaczej tak prędko się ziszczą. Podobno Rosjanie opuściwszy już Warszawę idą w szalonym tempie na Łódź. Spodziewają się ich tu dziś a jutro, lecz to chyba niemożliwe. Ostatecznie to nie ptaki i nie polecą na oślep wiedząc że Poznań mają zamiar szwaby bronić. Patrząc oknem na ten nie kończący się pochód, przypomina mi się 39 rok. To samo lecz w większym natężeniu. A może to dlatego, że nasza szosa jest akurat szosą berlińską i tylko tędy można dojść prosto do Vaterlandu.

— — — — — — — — — — — —

Słychać już dalekie grzmoty ale czasem to tak blisko huknie jakby byli tuż, tuż. Byliśmy w mieście w którym jest jakoś dziwnie, bo cywilnych niemców nie widać wcale. Roznosili ulotki z rozkładem jazdy kolejowej i wezwaniem do opuszczenia miasta, które stanie się fortecą. Żaden jednak Polak dobrej „przyjacielskiej" rady nie posłucha, bo jak słychać wszyscy zostają. Na szosach gorączkowo podcinają drzewa i kładą miny. Ledwośmy umknęli przed żołnierzami łapiącymi chłopów na roboty. W firmie Dawidowskiego szalony ruch. Żołnierze i Polacy wynoszą całe skrzynie z konserwami mięsnymi. Chcieliśmy z Heńkiem też wejść i wziąć choć kilka puszek ale uciekliśmy zobaczywszy trupa zatratowanej kobiety. Mimo to dostało nam się kilka, bo jakiemuś mężczyźnie rozwaliła się drewniana skrzynka i nie mogąc zabrać wszystkich rozsypanych puszek, odstąpił nam 5 sztuk. Na Jeżycach rozstrzelali żołnierze trzy ekspedientki okradające sklepy. Na Wildze znowu uginali się ludzie pod olbrzymiemi kręgami serów szwajcarskich. Do domu wróciliśmy pieszo bo tramwaje już stanęły. Ledwośmy się rozebrali z płaszczy, a tu sąsiedzi wołają, byśmy szli po mąkę i cukier, bo za godzinę wojsko podpali składnicę. Heniek się ociągał i ledwośmy go wypędziły. Przytaszczyli ze sąsiadem na saneczkach centnar cukru i centnar mąki gryzowej. Teraz leży

i nawet patrzeć nie chce na tę mąkę z której mama placek zarabia. Jakoś jeszcze tych baraków z magazynami nie spalili, bo dotąd ludzie wynoszą po 8 i 10 worków mąki i cukru. Niektórzy z Krzyżownik furmankami zajeżdżają. Gdyby żołnierze nie gonili do pośpiechu nie byłoby takiego tłoku i tratowania wzajemnego. Heniek mówi że tam nie ludzie a bydło i ma żal żeśmy go tam zmusili iść. Głupstwo! Ale placek do głodnego brzucha pchać będzie. Ludzie tam brodzą po pas w mące, kaszy i grochu dlatego że ci którzy nie mogli udźwignąć całego worka po prostu połowę zawartości wysypywali na ziemię. No to już i wojna prawdziwa. Front zbliża się, bo od jego gromów nasze domki drżą.

— — — — — — — — — — — —

Do nas siedzących w piwnicy u państwa Tomysów na kupach kartofli, wolność przyszła w postaci dwu oficerów. Już zdala po dźwiękach mowy poznaliśmy, że to nie ci w białych ochronnych kombinezonach, co byli tu przed godziną. Przyszli i zwyczajnie, kryjąc wzruszenie na widok naszej przeogromnej radości, zapytali o drogę do punktów, które mieli wyznaczone na mapie. Informacji udzieliłam im ja w swojej lichej białoruszczyźnie, a na zapytanie gdzie są cywilni niemcy powiedziałam im że poszli w ki... Tej pogardy jaką ujrzałam w ich oczach po wypowiedzeniu tego słowa nie zapomnę nigdy. Nigdy nie myślałam, że to słowo wyraża co innego i wcale nie jest równoznaczne z pospolitym poszli k' czortu. Dalej nie będę już opisywać nadejścia i triumfu swobody, przynajmniej nie w tym zeszycie. Może kiedyś moja córa gdy przypadkiem wyrośnie na poetkę napisze o tym poemat, a że zapamięta te chwile to wiem.

— — — — — — — — — — — —

Dziś po roku przeglądając te notatki dochodzę do wniosku, że i taki wojenny pamiętnik powinien mieć epilog.

Gdy czytam kartkę po kartce te moje żale przychodzi mi na myśl treść stale powtarzających się reklam przedwojennych firmy „Radion". On myślał że jego koszula jest biała i dopiero gdy ją porównał z koszulą kolegi przekonał się itd. To samo z moimi wspomnieniami. Są blade w porównaniu do cierpień innych. To cośmy przechodzili my ludzie „wolni" było tak małe w porównaniu do innych, o których ogromie męki wiedzieliśmy tylko z półgębkowych szeptów. Dziś widzę że ja należałam do tych szczęśliwszych, a pamiętnik mój to pamiętnik robotnicy która doprawdy miała szczęście i nie była wcale tak bardzo pechową jak to się jej wówczas zdawało.

SPIS RZECZY

Str.

*** 5

Kilka słów o pamiętnikach i pamiętnikarzach 13

KAZIMIERZ SZYMCZAK — Dni zgrozy i walki o wolność . 19

IRENA NIEZNANIEC — Wojna i ja 149

4555/2